

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Nr 3 (24) Zielona Góra 2008 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



*Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa
ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego*

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 3(24) – 2008

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Piotr Szurek

Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2007

Redaktor naczelny
Grzegorz Gorzechowski

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Czesław Sobkowiak

Członkowie redakcji:
*Ewa Andrzejewska, Anita Kucharska-Dziedzic, Jarosław Kuczer, Sławomir Kufel,
Czesław Sobkowiak, Maria Wasik, Grażyna Zwolińska*

Stali współpracownicy:
Krystyna Kamińska, Ireneusz K. Szmidt, Andrzej K. Waśkiewicz, Jacek Wesółowski

Fotografie:
*archiwum TPPG w Zielonej Górze, archiwum WiMBP w Zielonej Górze,
Piotr Chojnacki, Krzysztof Gozdowski, Ewa Mielczarek, Rafał Werszler*

Wydawca
*Pro Libris - Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra*

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 068 451 72 78

Druk i oprawa
Drukarnia FILIP

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642-5995
Nr indeksu 370754

Adres Redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: Wydawnictwo.Prolibris@wimbp.zgora.pl
<http://www.wimbp.zgora.pl>

Od Redakcji

Popularność tematu wartości, głosy w dyskusji, jakie się pojawiły, pokazują, że porządkowanie tematyki każdego numeru pod kątem określonych zagadnień problemowych, często kontrowersyjnie ujętych, jest dobrą drogą do ożywienia dyskusji. Efektem dwóch poprzednich numerów, w których pojawiły się teksty dotyczące problematyki wartości, w tym roli Kościoła w ich ustalaniu, w kształtowaniu charakteru i wyznaczaniu torów dyskursu społecznego w kwestii generalistów jest m.in. publikowana w tym numerze dyskusja, jaka miała miejsce podczas spotkania promującego dwa ostatnie numery. Dyskusja, która obok ciągnącej się od poprzedniego numeru polemiki ks. dr. Andrzeja Draguły i Wojciecha Mielczarka, podsumowuje i kończy temat wartości i kościoła.

Niestety, obok tego, co udało się do tej pory osiągnąć, trzeba wspomnieć też o błędach, od których nie zawsze udaje się ustrzec – w tym miejscu chcę przeprosić Eugeniusza Wachowiaka, którego tekst *Moja przygoda niemiecka albo dwie strony medalu* został opublikowany w 22. numerze „Pro Libris”. Tłumaczenie niemieckie przygotowywane w ostatniej chwili do druku, oprócz ewidentnych błędów edytorskich, zawiera również błędy merytoryczne, za co autora, zastrzeżonego tłumacza języka niemieckiego, serdecznie przepraszamy.

Wracając jednak do tego numeru – rozpoczynamy obecnie kolejny temat, tym razem w centrum zainteresowań stawiamy mniejszości narodowe. Mniejszości, o których chcemy pisać w kontekście kulturowym, o tym jakie mają znaczenie i w jaki sposób oddziałują na obraz i kulturę okolicy, miasta, regionu czy nawet kraju, w którym na co dzień żyją. Z jakimi problemami muszą się borykać i jakie problemy niosą ze sobą.

Jerzy Szewczyk przedstawia losy Greków, którzy postanowili swój los związać z Polską. W tym roku mija 60. rocznica wielkiej fali emigracji greckiej. W numerze znajdziemy też grecką poezję i wywiad z pisarzem dr. Nikosem Chadzinikolau, który postanowił być Polakiem. W tekście otwierającym ten numer Grażyna Zwolińska przedstawia losy trzech Ukrainek, dla których polska ziemia nie zawsze była łaskawa. W kolejnym tekście Ewa Slaska daje świadectwo społecznej aktywności Polaków w Berlinie. W tym mikrokosmosie, tygłu kulturowym nasi rodacy ślad po sobie zostawiali już od dawna, o czym wciąż warto przypominać. Temat mniejszości eksplorują też zamieszczone w numerze fragmenty prozy, m.in. tekst Jacka Wesołowskiego *Nasi Żydzi*.

Oprócz tego znajdują Państwo mnóstwo innych świetnych tekstów, w tym stałe cykliczne pozycje, prozę, wiersze, recenzje najnowszych książek. Zapraszam do lektury.

Grzegorz Gorzechowski

Von der Redaktion

Die Beliebtheit, der sich das Thema „Werte“ erfreut, die Stimmen in der Diskussion, die aufgekommen sind, zeigen, dass es für deren Belebung sinnvoll ist, jedem Heft eine eigene Thematik zu verleihen und im voraus bestimmte Probleme, auch kontrovers, aufzuwerfen. In den zwei vorherigen Heften konnten wir Texte zum Thema „Werte“ lesen, darunter zur Rolle der katholischen Kirche bei deren Bestimmung, bei der Gestaltung von dem Charakter und den Bahnen des öffentlichen Diskurses über Generalia; was folgte, war u. a. die in diesem Heft veröffentlichte Diskussion, die während eines Treffens zur Promotion der zwei vorherigen Hefte stattgefunden hat. Diese Diskussion fasst, neben der nun fortgesetzten Polemik von Priester Dr. Andrzej Draguła und Wojciech Mielczarek, dieses Thema zusammen und schließt es ab.

Dabei, was wir bisher erreicht haben, ist es uns leider nicht immer gelungen, uns vor Fehlern zu bewahren. An dieser Stelle möchte ich mich bei Herrn Eugeniusz Wachowiak für die Form entschuldigen, in der sein Text „Mein deutsches Abenteuer oder die zwei Seiten einer Medaille“ im 22. Heft von „Pro Libris“ veröffentlicht wurde. Die deutsche Fassung wurde im letzten Moment vor dem Druck gefertigt und enthält, neben offenkundigen editorischen, auch Übersetzungsfehler, wofür wir den Autor, einen verdienten Übersetzer der deutschen Sprache, recht herzlich um Verzeihung bitten.

Zurück aber zum vorliegenden Heft: Wir leiten ein neues Thema ein, dieses Mal wollen wir die nationalen Minderheiten unter die Lupe nehmen. Und zwar in Bezug auf die Kultur: Ob und in wieweit die Minderheiten das Bild und die kulturelle Landschaft der Umgebung, der Stadt, der Region oder sogar des Staates prägen, in denen sie leben. Mit welchen Problemen müssen sie zurecht kommen, welche Probleme bringen sie aber mit sich.

Jerzy Szewczyk erzählt vom Schicksal der Griechen, die sich entschlossen hatten, ihr Leben mit Polen zu verbinden. Es sind heute 60 Jahre seit der großen Welle der griechischen Immigration nach Polen. Der Leser findet hier auch griechische Poesie und ein Interview mit Dr. Nikos Chadzinikolau, der beschlossen hat, Pole zu sein. Im einleitenden Text stellt Grażyna Zwolińska das Schicksal von drei Ukrainerinnen dar, denen sich die polnische Erde nicht immer gnädig zeigte. Dann berichtet Ewa Slaska über die gesellschaftliche Aktivität von Polen in Berlin. In diesem Mikrokosmos, in diesem Tiegel der Kulturen, haben unsere Landsleute schon lange ihre Spuren hinterlassen, und es lohnt, daran immer wieder zu erinnern. Auch die in diesem Heft veröffentlichten Prosafragmente erforschen das Thema „Minderheiten“, so z. B. der Text von Jack Wesołowski „Unsere Juden“.

Daneben finden Sie hier zahlreiche andere ausgezeichnete Beiträge, darunter unsere ständigen Spalten, Prosastücke und Gedichte, Besprechungen der neuesten Bücher. Viel Spaß beim Lesen!

Grzegorz Gorzechowski

Spis treści

Grażyna Zwolińska , Z Polski do Polski, czyli przybysze mimo woli	6
Ewa Ślaska , Duch Czasu (Zeitgeist)	12
Jacek Wesołowski , Nasi Żydzi	20
<i>W Polsce zjawiałem się na raty.</i>	
Z prof. Giorgi Melikidze rozmawia Grażyna Zwolińska	24
Mieczysław Warszawski , Wiersze [<i>Próba wypośrodkowania, Wzgórze, Moja prywatność, Ciężenie wód gruntowych</i>]	27
<i>Grek, który jest Polakiem.</i>	
Z dr. Nikosem Chadzinikolau rozmawia Alfred Siatecki	30
Jerzy Szewczyk , 60 lat greckiej emigracji	32
<i>Poezja grecka w tłumaczeniu Donaty Wolskiej: Jorgos Seferis <i>Dźwięki</i>, Panos N. Panajutinis <i>Żal</i>, Spiros Kitsinelis <i>Śpiew syreny</i>, Thodoris Vorias <i>Buty</i></i>	
Anna Wakulik , Pociągi pod specjalnym nadzorem	40
Władysław Łazuka , Wiersze [<i>W centrum, Z rozmowy, Do Marii... (2), Wiatr</i> ,	48
Krzysztof Dobrucki , Inwazja	52
Czesław Sobkowiak , Wiersze [<i>*** Kwiaty akacji, Wierzba, Liść, Piołun</i>]	54
Agnieszka Haupe , O smoku Wiku filozofie	58
POLEMIKI	60
Wojciech Mielczarek , Bóg się śmieje, patrząc na to z daleka	60
<i>(Gott schaut nach unten und lacht – Zusammenfassung)</i>	
ks. Andrzej Draguła , Duchowość na polanie	69
<i>(Geistigkeit auf der Wiese – Zusammenfassung)</i>	
<i>Wokół dyskusji o wartościach (religijnych).</i>	
Relacja z promocji „Pro Libris” nr 2(23)2008	74
NA GRANICY	82
Jacek Wesołowski , Fotka z vipem, część I (Ugady po-Graniczne II)	
<i>Foto mit dem VIP, Teil 1. (Die nachgrenzartigen Un-Reden 2.)</i>	
Zbigniew Mich , Trumna papieska	94
PREZENTACJE „Pro Libris”	96
Piotr Szurek	96
Marek Wittbrot , Nadzieja powrotu	97
VARIA BIBLIOTECZNE	98
Rafał Werszler , Architektura wnętrza biblioteki kanoników regularnych	
<i>świętego Augustyna w Żaganiu na tle wydarzeń historycznych</i>	
Tadeusz Marcinkowski , Kolekcjonerska pasja	107

VARIA	111
Barbara Krzeszewska-Zmyślony , Rok 2008 rokiem dialogu międzykulturowego ...	111
Ewa Mielczarek , <i>Domi</i> w Starej Plebanii (<i>Domi im Alten Pfarrhaus</i>)	114
PRZYPOMNIENIA LITERACKIE	118
Czesław Markiewicz , Czytanie źródeł XIII. Gadający mózg Ludwika Lipnickiego ..	118
Z TEKI HISTORYKA FILOZOFII	121
Maciej Makarewicz , Granice sztuki jako granice rzeczywistości – propozycja Leona Chwistka	121
RECENZJE I OMÓWIENIA	125
Alfred Siatecki, <i>A jednak będzie noc poślubna</i> (Sławomir Kufel)	125
Ulla Berkéwicz <i>Überlebnis</i> ; Iris Hanika, <i>Treffen sich zwei</i> ; Helge Timmerberg, <i>In 80 Tagen um die Welt</i> (Rita König)	127
Jerzy Hajduga, <i>Wynajęty widok</i> (ks. Andrzej Draguła)	131
Adam Żuczkowski, <i>A w ustach węzeł słów</i> (Konrad Wojtyła)	132
Eugeniusz Kurzawa, <i>Autoportret z przyszłością</i> (Wacław Klejmont)	134
Janusz Werstler, <i>Kunickie strofy</i> ; Henryk Szyłkin, <i>Santoka</i> ; Edward Derylak, <i>Cień lasu</i> ; Irena Zielińska: <i>Oceania irenejska</i> , <i>Naga rzeka</i> , <i>Złota cisza poety</i> ; Ireneusz Krzysztof Szmidt, <i>Wysłuchani w kamienie Gorzowa</i> (Czesław Sobkowiak)	137
KRONIKA LUBUSKA	144
KSIĄŻKI NADESŁANE	150
AUTORZY NUMERU	151

Z Polski do Polski, czyli przybysze mimo woli

Przyjechali na teren obecnego woj. lubuskiego 61 lat temu. Wyrzuceni z godziny na godzinę ze swoich domów na południowym wschodzie Polski, stłoczeni w bydłych wagonach, przerażeni.

Wsiadali na stacjach na zachodzie Polski z poczuciem niesprawiedliwości i doznanej krzywdy. A także ze świadomością, że polscy mieszkańcy tych ziem nie przyjmą ich z otwartymi ramionami. Byli przecież Ukraińcami, tymczasem w pamięci Polaków ze Wschodu (a tacy w większości zasiedlili te do niedawna niemieckie tereny) żywa była rzeź na Wołyniu, dokonana przez oddziały UPA, czyli Ukraińskiej Armii Powstańczej. Do tego dochodziła oficjalna, niezyczliwa Ukraińcom, propaganda.

Etniczne gry

Wielu dzisiejszych mieszkańców Ziemi Lubuskiej nie ma pojęcia, skąd parę lat po wojnie wzięli się na tych terenach Ukraińcy. Tylko bardziej interesujący się historią wiedzą, że od kwietnia do lipca 1947 r. w ramach militarnej Akcji Wisła z terenów Polski południowo-wschodniej (Rzeszowszczyzna i południowa Lubelszczyzna) przesiedlono, głównie na tzw. Ziemię Odzyskaną, ponad 140 tys. Ukraińców. Trudno powiedzieć, ilu dokładnie trafiło na teren obecnego woj. lubuskiego. Przyjmuje się, że na obszar od Legnicy po Gorzów Wlkp. przesiedlono ok. 38 tys. ludzi. Wielu wywieziono też na Warmię i Mazury oraz Pomorze.

Przepisy porządkowe Akcji Wisła mówiły, że każdy, kto pozostanie we wsi po jej wysiedleniu, będzie uważany za członka bandy i tak traktowany.

Na spakowanie się pozostawiano w najlepszym razie 5 godzin, często znacznie mniej. Można było zabrać żywy inwentarz, podstawowy sprzęt rolniczy i po 25 kg odzieży, naczyń i zapasu żywności na drogę. W praktyce w popłochu łapano, co było pod ręką. Reszta dobytku miała być dowieziona później, ale zwykle pozostawała na miejscu.

Dziś trzeba by nazwać to wszystkim czystką etniczną, jakby to przykro dla nas, Polaków, nie brzmiało. Nie usprawiedliwia jej to, że wcześniej, głównie w 1943 r., także w ramach czystki etnicznej (używając obecnego języka), Ukraińcy wymordowali na Wołyniu i w Galicji Wschodniej ok. 120-130 tys. Polaków. Tłumaczenie, że oni nas wymordowali, a my ich tylko wywieźliśmy, brzmi, jak brzmi. Dla jednych jako usprawiedliwienie, dla drugich – niekoniecznie.

Lata całe tłumaczono Polakom, że bez wywiezienia niemal wszystkich Ukraińców z południowo-wschodniej Polski nie dałoby się pokonać oddziałów Ukraińskiej Armii Powstańczej. Ten argument jednak tylko w pewnym stopniu tłumaczy postępowanie ówczesnych polskich władz. Są poważne opracowania naukowe kwestionujące tę tezę i sugerujące, że zimą 1946/47 była realna szansa przeprowadzenia skutecznej akcji wojskowej przeciw UPA, bez etnicznej czystki. Dla polskich władz jednak niemniej ważne było to, żeby w imię tworzenia państwa jednolitego narodowościowo zlikwidować ukraińską mniejszość w Polsce poprzez jej wynarodowienie. Akcja Wisła miała też m.in. zwiększyć poparcie dla władzy ludowej wśród polskiej ludności.

Kategorie bezpieczeństwa

Zgodnie z zarządzeniem Departamentu Osiedleńczego Ministerstwa Ziemi Odzyskanych przesiedleńcy mieli być rozrzućeni po terenie tych ziem tak, aby nigdzie nie powstawały ukraińskie skupiska. Mogli osiedlać się tylko we wsiach. W zależności od przyznanej kategorii bezpieczeństwa (A, B lub C), do konkretnej miejscowości miała trafiać jedna, najwyżej dwie rodziny, w wyjątkowych przypadkach – po kilka, ale najlepiej nie znających się wcześniej i pochodzących z różnych regionów. Szybko jednak okazało się, że nie da się osiedlić tak dużej liczby ludności w zgodzie z restrykcyjnymi przepisami.

Ukraińscy przesiedleńcy byli w znacznie gorszej sytuacji niż Polacy wysiedleni ze Wschodu i wojskowi

polscy osadnicy. Przyjechali tu dwa lata po zakończeniu wojny, kiedy większość ponemieckich domostw i gospodarstw była zajęta, a te, które pozostały, były zwykłe w opłakanym stanie. Zdarzało się kwaterowanie kilku rodzin w jednym domu, osiedlanie w stajniach i budynkach gospodarczych. Bez koni, krów, urządzeń rolniczych, zboża siewnego trudno było zapewnić byt rodzinie. Długo więc poziom życia ukraińskich przesiedleńców ustępował poziomowi polskich rodzin. Wielu trafiło do PGR-ów.

Uważa się, że dopiero po 1989 r. pojawiły się w Polsce słowa potępienia wobec Akcji Wisła. To prawda, że w 1990 r. potępił ją Senat RP, a w 2007 r. prezydenci Polski i Ukrainy – Lech Kaczyński i Wiktor Juszczenko. Warto jednak przypomnieć, że już w protokole z posiedzenia Kolegium Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 19 czerwca 1956 r. znalazła się negatywna ocena tych działań. Przeczytać w nim można, że „był to ogromny błąd w stosunku do ludności ukraińskiej”. Mleko się jednak rozlało...

Konsekwencją Akcji Wisła było (obok cierpień wysiedlanej ludności) znaczące wyludnienie Bieszczad, Roztocza, Pogórza Przemyskiego i Beskidu Niskiego oraz zniszczenie dziedzictwa kulturowego tych regionów. Przestało całkowicie istnieć co najmniej kilkadziesiąt miejscowości. Jedną z ich była duża wieś Ulucz. Niektórzy z jej mieszkańców trafili na Ziemię Lubuską.

Trzy opowieści

Stefania

W Uluczu w powiecie brzozowskim (rejon Sano-ka) było 30 gospodarstw polskich, 20 żydowskich i aż 300 ukraińskich. Działyły dwie cerkwie, chór cerkiewny i świecki oraz organizacja Proswita, czyli Oświata. Na szczęście do pogromu Polaków w czasie wojny nie doszło, choć incydentów nie brakowało, bo we wsi było kilkunastu członków UPA.

Jesienią 1946 r., a więc jeszcze przed Akcją Wisła, polskie wojsko spaliło część wioski w ramach odwetu za palone przez UPA polskie wsie. Dramat Ulucza rozpoczął się jednak już wcześniej, kiedy część ukraińskich mieszkańców wywieziono do radzieckiej Ukrainy. Odbywało się to w ramach szerokiej akcji, która objęła w latach 1944–46 ponad pół miliona z około 700 tys. Ukraińców mieszkających na powojennym terytorium Polski. Tych, którzy zostali, wywieziono w 1947 r. w ramach Akcji Wisła na Ziemię Odzyskaną.

Dom babci Stefanii Jawornickiej, dziś mieszkanki Nowogrodu Bobrzańskiego i szefowej lubuskiego oddziału Związku Ukraińców w Polsce, miał dach z blachy. W 1946 r. więc dach się nie spalił, tylko osiadł na ziemi. Pod „namiot” wstawiono żelazny piecyk, pootulano szczeliny słomą i tak babcia przeczekała zimę z siostrą i jej synem niemową. Wiosną 1947 r., kiedy do Ulucza przyszło polskie wojsko, do „namiotu” jakiś żołnierz wrzucił



wiązkę słomy polaną benzyną. Babcia się uratowała, ale jej siostra z synem spłonęli.

Wiosną 1947 r. spłonął też dom rodziców pani Stefanii. Najpierw polscy żołnierze kazali się pakować. Łapało się, co było pod ręką. Pierzyny, dzieżę do chleba, wanienkę do kąpania dzieci. Matka widząc, że żołnierz polewa dom benzyną, zaczęła z nim dyskutować. Chciał ją wepchnąć do środka.

– Jakież był wtedy poziom nienawiści... – mówi dziś Stefania Jawornicka.

W opracowaniach dotyczących tamtego okresu można przeczytać, że do Akcji Wisła kierowano głównie żołnierzy pochodzących z Wołynia i Galicji Wschodniej, gdzie w czasie wojny Ukraińcy z UPA wymordowali wielu Polaków. Młodzi polscy mężczyźni mieli więc często osobistą motywację do działania...

W 1947 r. spalono cały Ulucz. Zostały tylko dwie cerkwie. Nową, wyświęconą w 1938 r. rozebrali mieszkańcy sąsiedniej wsi. Druga, zabytkowa, bo pochodząca z 1510 r. miała być w latach 50. spalona w ramach zacierania resztek ukraińskich śladów. Udało się ją uratować m.in. dzięki tygodnikowi „Przyjaciółka”. To tam i do wielu innych gazet pisała listy w tej sprawie ciotka pani Stefanii.

Stefania Jawornicka zna tamte wydarzenia tylko z rodzinnych opowieści. Po latach jej mama nie tyle żałowała spalonego domu, co płakała za swoimi świątecznymi haftowanymi strojami. Te stroje to była przecież część jej narodowej tożsamości.

Stefania urodziła się w Ząbrowie na Pojezierzu Iławskim, bo tam wywieziono jej bliskich. Do Ząbrowa trafiły tylko dwie ukraińskie rodziny: Stefanii i druga z sąsiedniej, też wysiedlonej wsi Hruszówka. Razem zamieszkały w zrujnowanym domu 4 km od centrum wsi. Dorosli wierzyli, że wkrótce zacznie się III wojna światowa i wrócą do siebie. Wojna się jednak nie zaczynała, a trzeba było jakoś żyć. Zabić czymś wybite okna (tylko w jednym była szyba), zorganizować łóżko do spania, coś do jedzenia.

– Pamiętam z dzieciństwa moje kanapki. Chleb z cukrem pokropiony wodą, żeby cukier się nie wysypywał. Polskie koleżanki miały kanapki z mielonym kotletem. Moim marzeniem było kupić sobie herbatniki – opowiada Stefania Jawornicka. – Długo było nam ciężko. Nie mieliśmy urządzeń rolniczych ani zwierząt gospodarskich. Tato pracował jako parobek u polskich sąsiadów. Mama szyła po nocach sąsiadkom. Trzeba było zarobić na ziarno i zasiał pole.

Pamiętam, jakim wydarzeniem było kupienie trzydrzwiowej szafy.

Czasem ktoś zawałał za Stefanią: – Ty Ukrainko! Mama jej powtarzała: – Odpowiadaj, że wiesz, kim jesteś i dodawaj: A ty jesteś Polakiem. Czapurnej Stefanii zdarzało się też pokazywać podniebienie, na dowód, że nie jest... czarne (takie, według przekonania niektórych Polaków, mieli mieć Ukraińcy).

W sumie jednak szkołę wspomina dobrze. Jak jej brakowało polskich słów i wtrącała ukraińskie, nauczycielka broniła przed drwinami niektórych polskich dzieci. Tylko raz ksiądz kazał jej wyjść na środek klasy, bo dowiedział się, że pojechała z matką do cerkwi. – Dzieci, powinnyście ją opluć, bo nas zdradziła! Nie powinna z wami chodzić do szkoły – powiedział. – Mamo, ja nie chcę chodzić na religię! – wykrzyczała w domu. W końcu wszystko się jakoś ułożyło.

– Gdybym była aż tak ciemiężona, nie byłabym taka radosna – kwituje dziś pani Stefania tamte wspomnienia, wśród których przeważają jednak te dobre.

Rodzina w końcu wrosła w wiejską społeczność. Polacy, którzy wcześniej spali z siekierą pod poduszką, bo powiedziano im, że do wioski sprowadzą się ukraińscy bandyci, zaakceptowali piękną śpiewającą w kościelnym chórze Ukrainkę, grekokatoliczkę, matkę Stefanii i jej ukraińskiego męża. Wzajemne trzymanie sobie dzieci do chrztu było najlepszym dowodem, że obie nacje jakoś się, mimo wzajemnych ran, dogadywały.

Dopiero w 1972 r. Stefania Jawornicka przyjechała na Ziemię Lubuską do Nowogrodu Bobrzańskiego. Za mężem, Ukraińcem z tego samego Ulucza. Jego rodzinę wysiedlono akurat na te tereny.

Teściowa kryła się ze swoją ukraińskością, połowicznie, bo jej ojciec był Polakiem. Stefania wprawdzie nie biegała z transparentem, że jest Ukrainką, ale też tego nie tała. Prenumerowała ukraińskie „Nasze Słowo”, uczyła języka ukraińskiego, sprowadziła z Legnicy ukraińskich kołodników. Mieszkańca obok w bloku kuzynka dała jej dla nich kopertę, ale nie zgodziła się, żeby też do niej przyszli i zaśpiewali. Mimo że minęło tyle lat, wolała się nie ujawniać.

Mąż pani Stefanii, pod wpływem żony, powoli odbudowywał swoją ukraińską tożsamość. Teściowa zaakceptowała synową w pełni dopiero wtedy, gdy ta została dyrektorką szkoły. Polskiej szkoły.

Anna

Pamięta, jak stała na podwórku i strasznie płakała. Nie rozumiała, dlaczego przyjechało polskie wojsko i kazało im się wynosić. Natychmiast. – Nie płacz, maleńka – powiedział do niej żołnierz. – Tam będziesz chodzić do szkoły i UPA was nie będzie straszyc.

We wsi Krampna koło Jasła (dziś Krępna) wprowadzie UPA ich nie straszyla, ale polski żołnierz mógł o tym nie wiedzieć. Po prostu wzruszył go płacz siedmioletniej Ukrainki.

– Łemkyni – poprawia 69-letnia już dziś Anna Husak z Zielonej Góry. – Jesteśmy Łemkami.

Rodzice zapakowali w popłochu na wóz pierzyny, ubrania, garnki i czwórkę dzieci. Najmłodsze miało dwa miesiące. Wzięli też krowę. Z tą krową, koniem i resztkami dobytku ponad dwa tygodnie jechali do Strzelec Krajeńskich. Potem traktory z przyczepami zawiozły 15 łemkowskich i ukraińskich rodzin do wsi Ogardy. Pani Anna pamięta, że siedziała z rodzeństwem na górze przyczepy, na bagażach. Gałęzie kwitnących jabłoni tłukły po głowach.

Zakwaterowano wszystkich w poniemieckim pałacu. Każda rodzina dostała po jednym pokoju. W tym jednym pokoju urodziła się jeszcze trójka rodzeństwa pani Anny.

Mieszkańców Krampna rozrzuciono po wsiach wokół Strzelec Krajeńskich. Powoli zaczęli się odnajdować. Robili to w tajemnicy. Na początku Polacy ich się obawiali. W końcu bandyci przyjechali, więc...

– Nikomu jednak krzywdy nie robiliśmy, byliśmy pracowici, to chyba zrozumieli, że nie jesteśmy z UPA – opowiada Anna Husak. – Starsi może mieli więcej obiekcji, ale młodzi zaprzyjaźnili się dość szybko. Łemkowie to rozśpiewany naród. U nas po pagórkach echo śpiew tak pięknie niósło.

W Ogardzie też śpiewaliśmy. Młodzi Polacy chętnie słuchali.

Ania na początku nie umiała mówić po polsku. Czasem dzieci się podśmiewały. Jedna nauczycielka je karmiła, druga do podśmiewania się dołączała. Dzieci szybko jednak uczy się nowego języka. Wkrótce więc Ania była już dwujęzyczna. Miała polskie koleżanki.

– Mama do śmierci nie nauczyła się po polsku, ale wszyscy ją rozumieli i dobrze traktowali – opowiada Anna Husak.

Dziś pani Anna mieszka w domku w Zielonej Górze. Mówi, że nie ma żalu o te wysiedlenia. Szkoda jej tylko swojej mamy. Wie, jak była rozżalona. – Jak można tu mieszkać, jak tu rzeki nie ma – mówiła czasem.

Dom rodziców pani Anny w Krampnie stał nad rzeką. Niebogaty, strzechą kryty, drewniany. Wsi nie spalono. Pojechała więc go zobaczyć, gdy miała 22 lata. Polscy lokatorzy wpuścili do środka, choć może niezbyt chętnie. W następnych latach rozbijała namiot nad rodzinną rzeką i patrzyła na rodzinny dom. – Nawet zapłakałam – mówi.

Matka Anny zdecydowała się pojechać tam dopiero tuż przed śmiercią. Na miejscu starego domu jakiś Polak wybudował nowy.

Anna Husak kupiła kawałek ziemi w tamtych stronach. Nie po to, żeby się przeprowadzić, ale żeby mieć kawałek łemkowszczyzny. Jej dzieci wybudowały tam dom, choć na co dzień mieszkają w USA i Kanadzie. Mogłaby się

przeprowadzić, ale mówi, że tu, czyli w Zielonej Górze ma całe swoje życie, tu ma znajomych. Każdego roku w lipcu jedzie jednak na Watrę do Żdyni, czyli na trwające trzy dni święto kultury łemkowskiej, gromadzące Łemków z całego świata. Potem wraca do Zielonej Góry, gdzie, jak mówi, jest u siebie.



Olga

Olga Juszcak dobrze pamięta wysiedlenie swojej rodziny. Miała wtedy już 10 lat. Mieszkała w dużej wsi Jasiunka (dziś Jasionka) koło Gorlic. Rodzice mieli piękny nowy podpiwniczony dom kryty białą dachówką i dużo lasu.

– Żołnierze przyszli w obiad. Dali nam 25 minut. Pamiętam, że mama wzięła jałówkę – opowiada pani Olga. – Najpierw zabrali nas do sąsiedniej wioski, stamtąd wozami do Zagurian (dziś Zagórzany). Czekaliśmy tam dość długo w lesie na transport. Było bardzo dużo ludzi z różnych wiosek. Mama poszła sprzedać krowę. Potem była długa podróż wagonami towarowymi. Wojsko dawało nam jedzenie. Zawieźli nas pod Jelenią Górę, czy Wałbrzych do Nowogródzka, jeśli dobrze pamiętam. Ludzie się ucieszyli, bo było tam pięknie. Takie sady... Ale okazało się, że to pomyłka, bo mieliśmy trafić w okolice Nowogrodu Bobrzańskiego. Najpierw były to Niwiska, potem Pilice, w końcu Broniszów. Załamaliśmy się, bo tu były same piaski.

Niełatwo też było znieść, powszechne wtedy, dzielenie rodzin.

– Brata mamy wysłano na północ aż do Trzcianki, siostrę taty pod Wołów na Dolnym Śląsku, siostrę mamy do Jarogniewic niedaleko Zielonej Góry. Znaleźliśmy się dopiero po dłuższym czasie poprzez rodzinę w USA, do której wszyscy pisaliśmy listy – mówi Olga Juszcak.

Polacy rozebrali domy w całej Jasiunce. Postawili budynki PGR-u, resztę włączyli do powstałego parku narodowego. W 1958 r. matce pani Olgi powiedziano, że jak będzie pracować w tamtejszym PGR-ze, to dostanie mieszkanie. Pracowała prawie dwa lata, ale mieszkania nie dostała.

Olga Juszcak, podobnie jak Anna Husak, też pamięta tę materialną różnicę między nią a polskimi dziewczętami. One miały lepsze ubrania, cukierki. Po dwóch miesiącach Olga uciekła ze szkoły.

Co jeszcze pamięta? To, że najgorsi byli Polacy zza Buga. Potrafili dokuczyć, zabrać szkolną torbę i podeptać, wziąć krowę.

– Traktowali nas jak Ukraińców. Próbowaliśmy tłumaczyć, że jesteśmy Łemkami. Dużo czasu musiało upłynąć, żeby to się ułożyło – mówi.

Swego rodzaju ironią losu jest to, że jeszcze pod koniec wojny rodzinę pani Olgi wysiedlono z Jasiunki na Ukrainę radziecką.

– Mówili nam, że tam płoty będą grodzone kielbasami, a wylądowaliśmy w lepiance, w strasznej nędzy. Uciekajcie z powrotem do Polski, bo zamkną granicę, radzili ludzi rodzicom. I uciekliśmy. A w 1947 roku w obiad przyszli Polacy, kazali nam się spakować w 25 minut i wywieźli... – Olga Juszcak zawieszła głos.

Świadomość pochodzenia

W 1947 r. polscy Ukraińcy mieszkali na terenach stanowiących przedłużenie ukraińskiego obszaru etnicznego. Byli tam ludnością autochtoniczną, skupioną głównie we wsiach. Co działo się z nimi w ciągu tych ponad 60. lat od przeprowadzenia Akcji Wisła, w ramach której zostali rozproszeni po Polsce?

Po odwilży w 1956 r. kilkanaście tysięcy wróciło w rodzinne strony. Niekoniecznie do swoich wiosek, bo wielu z nich już przecież nie było. Część osiedliła się w miastach, np. w Przemysłu i Lublinie.

Ci, którzy pozostali na terenach, na które ich przed laty wywieziono, zaczęli przenosić się do okolicznych miast. Stąd skupiska ukraińskie we Wrocławiu, Szczecinie, Olsztynie, ale też Zielonej Górze czy Gorzowie. Miasta pozwalały na większą anonimowość i ukrycie ukraińskiej tożsamości, jeśli ktoś czuł taką potrzebę. A nie było to wcale takie rzadkie. Miasta dawały też szanse na lepsze kształcenie dzieci. Tak narodziła się nowa ukraińska inteligencja. Ukraińska, bo z czasem zaczęły powstawać ukraińskie stowarzyszenia, amatorskie zespoły folklorystyczne, rozwinęła się nauka języka ukraińskiego.

Pewna grupa Ukraińców spolonizowała się. Początkowo była to tylko polonizacja językowa. Dzieci części wysiedleńców, urodzone już na nowych ziemiach, mówiły tylko po polsku. Zdarzało się, że rodzice skutecznie ukrywali przed nimi swoją narodową tożsamość. Świadomie nie uczyli ukraińskiego. Z czasem doszło do całkowitego wtopienia się ich w polski naród.

– Spolonizowanie Ukraińców to nie wina Polaków, ale samych Ukraińców, którzy nie zadbali o to, żeby ich dzieci miały narodową świadomość – uważa Stefania Jawornicka. – Dostają białej gorączki, jak słyszę: – Moje wnuki nie mówią po ukraińsku, bo to czy tamto...

Jednak nawet ci, którzy posiadają dziś świadomość swojego pochodzenia, do ziem przodków mają

stosunek głównie sentymentalny. Niekoniecznie chcieliby tam wracać. Potwierdza to fakt, że dziś, kiedy nie ma żadnych administracyjnych przeszkód, migracja na tereny ojców jest niewielka. Dla potomków wysiedleńców rzeczywistymi rodzinnymi stronami są np. Zielona Góra czy Gorzów. Mieszkanie tu nie przeszkadza (tym, którzy tego pragną) w pielęgnowaniu narodowej tożsamości. Chyba coraz mniej aktualny jest już dowcip:

Dzwoni telefon.

– Czy jest Wasyl?

– Nie, takiego tu nie ma.

Po chwili telefon znów dzwoni.

– Czy jest Wacek?

– Wasyl, telefon do ciebie!

Spis niepełny

Ilu jest dziś Ukraińców w naszym kraju? Ilu na Ziemi Lubuskiej?

Narodowy Spis Powszechny z 2002 r. wykazał, że dziś w Polsce jest tylko 35 tys. Ukraińców, razem z Łemkami. Liderzy mniejszości ukraińskiej szacują tymczasem ich liczebność w Polsce nawet na 300-400 tysięcy. Byli więc bardzo zaskoczeni. Zwłaszcza że podobny spis z 1992 r. wykazał, że jest ich 265 tysięcy.

– Te wyniki nie są wiarygodne – ocenia prezes lubuskiego Związku Ukraińców w Polsce Stefania Jawornicka. – Według tego spisu u nas, w woj. lubuskim, jest tylko około 1500 Ukraińców, w tym 764 łemków, uznawanych za grupę etniczną narodu ukraińskiego. Podważyliśmy sposób przeprowadzenia spisu. Pani, która mnie w jego ramach odwiedziła, w ogóle nie spytała o narodowość. Zgłosiłam to do Warszawy.

Jest też prawdopodobne, że wielu Ukraińców i Łemków nie przyznało się do swojej narodowości. A część o niej po prostu nie wie. Jak choćby pewna studentka zielonogórskiej polonistyki, która miała na ćwiczenia opisać łemkowską gwarą łemkowskie tradycje. Zwróciła się o pomoc do przypadkowo poznanej Stefanii Jawornickiej. I tak po nitce do kłębka okazało się, że ojciec studentki jest... Łemkiem, tylko do tego przez całe lata się nie przyznawał. Podoba była sytuacja ze studiującym w Gdańsku synem pewnego mieszkającego na Ziemi Lubuskiej Ukraińca pochodzącego z Ulucza. Chłopaka wyłowili z listy studiujących ukraińscy działacze Niezależnego

Zrzeszenia Studentów. Jego nazwisko wydało im się „swoje”. I mieli rację. Dziś syn wraz z ojcem jeżdżą na Watrę i na zjazdy byłych ukraińskich mieszkańców podsanockiego Ulucza.

Dwa bratanki?

W badaniach CBOS-u z 2001 r. aż 49 proc. Polaków zadeklarowało niechęć wobec Ukraińców, 26 proc. – obojętność, 19 proc. sympatię, a 6 proc. wybrało odpowiedź „trudno powiedzieć”. Ale jednocześnie aż 64 proc. odpowiedziało, że możliwe jest pojednanie między Polakami a Ukraińcami. Biorąc pod uwagę jakże trudną i krwawą wzajemną historię obu narodów, te 64 proc. to całkiem dużo. Nie udało mi się odnaleźć podobnych badań zrobionych wśród Ukraińców na Ukrainie. A ciekawe byłoby poznanie, jak oni widzą Polaków.

Czy kiedyś będzie można powiedzieć: Polak – Ukrainiec dwa bratanki? Czy to wciąż prowokacyjna teza? W granicach przedwojennej Polski mieszkało, głównie na terenach wiejskich, aż 5 mln Ukraińców. Od wieków w ich oczach byliśmy zaborcami, okupantami, kolonistami. Polacy lekceważyli ukraińskie poczucie krzywdy i zadawnione uprzedzenia. Międzywojenna polska polityka asymilacji ludności ukraińskiej powodowała, że Ukraińcy musieli prowadzić nierówną walkę o własne instytucje kulturalne, oświatowe i gospodarcze. Wystarczy wspomnieć o likwidowaniu ukraińskich szkół czy masowym burzeniu cerkwi pod koniec lat 30. XX w. I znowu, choćby to nie wiem jak przykro brzmiało dla polskiego, wychowanego na sienkiewiczowskiej prozie ucha, warto czasem ucho poświęcić, żeby na sprawy polsko-ukraińskich stosunków spojrzeć z szerszej perspektywy. Po to, żeby więcej zrozumieć. Także straszliwą rzeź wołyńską w 1943 r., której oczywiście nic nie usprawiedliwia, ale która wydarzyła się w pewnym kontekście (historycznych zaszłości, dążeń Ukraińców do niepodległego państwa, grania ich patriotyzmem przez hitlerowskiego okupanta).

Nasza historia pełna jest więc krwi i przemocy. Każda ze stron ma emocjonalny stosunek do własnych krzywd i skłonność do niedostrzegania zła wyrządzonego drugiej stronie. A przecież powinniśmy być sobie bliscy, jak bracia. Jesteśmy w końcu sąsiadami, Słowianami. Aż 14 proc. słów w języku ukraińskim to polonizmy. Jesteśmy w stanie zrozumieć się właściwie bez tłumacza. Pod warunkiem, że tego chcemy.

Duch Czasu

Anna Poniatowska, znawczyni życia polonijnego w Berlinie, pisze, że już najstarsze księgi adresowe i telefoniczne Berlina zawierają na każdej stronie wiele nazwisk polskich. Nie wszyscy posiadacze tych nazwisk czują się Polakami, ale ich dziadowie czy pradziadowie przyjechali tu z terenów Polski. Przybywali tu od XVIII w. i odcisnęli większe lub mniejsze piętno na niemieckiej kulturze, polityce, gospodarce i wojsku. W Berlinie mieszkali polscy arystokraci, politycy, artyści, kolekcjonerzy dzieł sztuki, a w armii pruskiej znajdowały się polskie oddziały wojskowe – ułani, których potem przemianowano na huzarów. Do stolicy zjeżdżała także młodzież polska ze wszystkich zaborów, by studiować na uczelniach cieszących się sławą najlepszych w Europie: w Pruskiej Akademii Sztuki, na Uniwersytecie i Politechnice, w Akademii Medycznej.

Gdy było ich więcej niż kilkanaście osób – zakładali Stowarzyszenia. Taki był Duch Czasu.

W historii stowarzyszeń polskich w Berlinie wyróżnić trzeba co najmniej pięć wyraźnie odmiennych okresów: okres od połowy XIX w. do końca I wojny światowej, kiedy Polska zniknęła z mapy Europy, a Polonię berlińską tworzyli przede wszystkim przybysze z zaboru pruskiego, czyli formalnie rzecz biorąc obywatele królestwa, a potem cesarstwa Prus; okres pomiędzy wojnami światowymi, kiedy Polacy berlińscy niemal w pełni się już zasymilowali, a ci którzy trwali przy polskości, opowiadając się po stronie odrodzonej Polski, stawali się sprzymierzeńcami wrogiego państwa; okres powojenny, charakteryzujący się niemal całkowitym zanikiem

Zeitgeist

Anna Poniatowska, Spezialistin für das Leben der Polen in Berlin, schreibt, dass man schon in den ältesten Telefon- und Adressbüchern Berlins auf jeder Seite polnische Namen findet. Nicht all diese Namensinhaber bekennen sich zum Polentum, ihre Vorfahren aber kamen aus polnischen Gebieten hierher. Sie kamen schon im 18. Jahrhundert und prägten in größerem oder minderelem Grade deutsche Kultur, Politik, Wirtschaft und Militärwesen. Es lebten hier polnische Aristokraten, Politiker, Künstler, Kunstsammler, und in der preußischen Armee gab es sogar polnische Einheiten – Ulanen, später in Husaren umbenannt. In die Hauptstadt kam auch zahlreich die polnische Jugend, und zwar aus allen Gebieten des geteilten Polens, um hier an den Hochschulen zu studieren, die in Europa den besten Ruf genossen: die Preußische Kunstakademie, die Universität, die Technische Universität und die Medizinische Akademie.

Waren sie mehr als zehn – gründeten sie Vereine. So war der Zeitgeist.

Die Geschichte polnischer Vereine in Berlin kann man in fünf Perioden einteilen, die sich stark voneinander unterscheiden. Von der zweiten Hälfte des 19. Jahrhunderts bis zum Ende des 1. Weltkriegs, als Polen von der Karte Europas verschwunden war, kamen die Polen in Berlin, Polonia genannt, meistens aus dem preußischen Teil Polens, dh. formell waren sie preußische Bürger. In der 2. Phase, in der Zeit zwischen den beiden Weltkriegen, haben sich viele Polen schon stark assimiliert, wogegen diejenigen, die weiterhin ihre polnische Identität zu pflegen wussten, stärker als vorher verfolgt wurden, weil sie als Verbündete eines fremden - meist als Feind empfundenen - Staates, des neu entstandenen Polens, behandelt wurden. Die 3. Phase

działalności polonijnej; okres od r. 1980, nazywany krótko, aczkolwiek nie całkiem prawidłowo, okresem emigracji solidarnościowej i wreszcie najkrótszy, bo datujący się od r. 2000 okres działania w zjednoczonej Europie. Mówiąc o Polonii w Berlinie, mamy zwykle na myśli polską emigrację zarobkową, która przyjeżdżała tu od połowy XIX w. Rozbudowa miasta i szybka industrializacja sprawiły, że Berlin potrzebował nieustannie rąk do pracy. Po r. 1742 (pierwsza wojna śląska), a już zwłaszcza po r. 1772 (pierwszy rozbiór Polski) mamy do czynienia nie tyle z emigracją, ile ze zjawiskiem przemieszczania wewnętrznego w ramach wielkiej Rzeszy. 300 000 Polaków, którzy wywędrowali z Wielkopolski, Śląska i Pomorza, kierując się na Zachód, było z punktu widzenia władz obywatelami niemieckimi. Ludzie ci mówili po niemiecku, znali prawo i obyczaje, wiedzieli, czego może od nich żądać biurokracja, bo tam, skąd przybyli, panowały podobne obyczaje i to samo prawo. Mówili jednak również po polsku, byli katolikami i posiadali poczucie własnej odrębności i własnej tożsamości. W r. 1910 osoby polskojęzyczne stanowiły 60% wszystkich cudzoziemskich mieszkańców Berlina. Statystyki podają, że było ich 37 655, ale – podobnie jak dziś – liczono też, że Polaków było nawet 100 tysięcy. Budowali Reichstag i kancelarię Rzeszy, poprowadzili pierwszą linię kolejki miejskiej i wykopali kanał Teltow. Pracowali w fabrykach Borsiga i Siemens, ale też zakładali własne fabryki, kawiarnie, restauracje. W nowym miejscu potrafili się szybko przystosować, ale mimo to pozostawali Polakami. Założyli w Berlinie setki organizacji, które pomagały im być razem i trwać przy polskość. I taka też była pierwsza i przez ponad sto lat podstawowa funkcja polskich stowarzyszeń w Berlinie – funkcja patriotyczna. Politycznie po rozbiorach nie było już takiego kraju jak Polska, a w polityce wewnętrznej Prusy zdecydowane były wyteńczyć wszelkie przejawy polskości. Jednocześnie zaś pruska polityka germanizacyjna w latach 70. XIX w. połączyła się z *Kulturkampf*, walką przeciw katolicyzmowi. Polacy zaś przybywający do Berlina byli z reguły katolikami, a co więcej katolikami o specyficznych potrzebach religijnych. Polska obrzędowość katolicka, zwyczaje, rytuały i świąteczne akcesoria, przedmioty często nietypowe, symboliczne, o archaicznym rodowodzie, przechodząc z pokolenia na pokolenie zraszały się z polską kulturą i obyczajem. W obliczu prześladowań religijnych i germanizacji tworzył się do dziś

umfasst die Zeit von 1945 bis 1980, als die Polonia, obwohl existent, nicht aktiv war. 1980 beginnt die 4. Phase, die nicht ganz richtig Solidarność-Emigration genannt wird und letztlich die 5., kürzeste Phase, die ca. 2000 begann – die Zeit als Polen erst Kandidat und dann Mitglied der EU ist.

Wenn von der Polonia in Berlin die Rede ist, meint man meistens die polnische Brotemigration, die Mitte des 19. Jahrhunderts begann. Schnelles Wachsen und Industrialisierung Berlins trugen dazu, dass man hier stets neue Arbeitskräfte brauchte. Nach 1742 (1. Schlesienkrieg) und besonders ab 1772 (1. Teilung Polens) waren die Angekommenen gar keine Emigranten mehr; ihr Umzug war eher eine Binnenwanderung. 300.000 Polen, die aus Großpolen, Schlesien und Pommern ausgewandert sind, waren formell gesehen preußische Bürger. Sie kannten die Sprache, die Gesetze und die Mentalität des Gastgebers, sie wussten, was die Bürokraten von ihnen verlangen würden, weil es da woher sie stammten, gleiche Verhältnisse und dieselbe Gesetzgebung gab. Sie sprachen jedoch auch Polnisch, waren meistens katholisch und sich ihres Andersseins und ihrer Identität bewusst. 1910 bildeten sie in Berlin 60 % aller Fremdsprachigen. Statistische Erfassungen sprechen dabei von 37.655 Polen, aber genauso wie heute, vermutete man, dass die tatsächliche Zahl viel höher war und gar 100 Tausend umfasste. Die Polen haben den Reichstag gebaut und die Reichskanzlei, die erste S-Bahn-Linie und den Teltow-Kanal. Sie arbeiteten in den großen Fabriken wie Borsig oder Siemens, aber sie gründeten auch eigene Betriebe, Firmen und Wirtschaften. Sie haben sich rasch adaptiert, und nichtsdestotrotz blieben sie Polen. Sie gründeten in Berlin und Umland über hundert Vereine, die ihnen halfen, bei ihrem Polentum zu verharren. Und dies war die erste und wichtigste Funktion polnischer Vereine in Berlin – die Pflege der patriotischen Werte. Politisch gesehen gab es nach den Teilungen ein Land wie Polen überhaupt nicht, und was die Innenpolitik betraf, war Preußen stets bemüht, jedwedes Anzeichen des Polentums auszurotten. Zugleich wandte sich die Innenpolitik in dem sog. Kulturkampf Otto von Bismarcks gegen den Katholizismus. Polen, die nach Berlin kamen, waren meistens Katholiken, mehr noch – sie hegten besondere religiöse Bedürfnisse, die man als „polnisch“ bezeichnen kann. Polnische Religiosität, Bräuche, Sitten, Liturgie, religiöse Gegenstände, oft symbolischen Charakters und mit uralter Vorgeschichte, von Generation zu Generation weitergegeben, wurden in Polen ein untrennbarer Teil der polnischer Kultur und Mentalität. Angesichts der religiösen Verfolgung und Germanisierung wuchsen das

niemal nierozzerwalny związek patriotyzmu i religijności. Polak-katolik rodził się w Berlinie, bo trwanie przy polskości było tu nie tylko aktem patriotyzmu, lecz też – odwagi i poświęcenia. W XIX w. Polacy stworzyli w Berlinie model stowarzyszenia polskiego, które wypełniać miało następujące zadania:

- funkcja religijna – grupy i stowarzyszenia parafialne, które za pomoc przy wznoszeniu kościołów katolickich uzyskiwały pewne koncesje np. polsko-katolicki ołtarz boczny, msze w języku polskim i polskojęzyczną katechizację;
- funkcja oświatowa – nauka języka polskiego oraz elementów historii i geografii Polski, kursy dokształceniowe dla dorosłych, biblioteki i czytelnie;
- funkcja kulturalna i sportowa – stowarzyszenia teatralne i literackie, chóry, kluby sportowe, w tym również harcerstwo;
- funkcja społeczna – pomoc dla najuboższych, pomoc repatriacyjna;
- funkcja wspierania gospodarczego – organizacje rzemieślnicze, stowarzyszenie przemysłowców, banki i spółdzielnie, kasy zapomogowo-pożyczkowe;
- funkcja informacyjna – wydawanie biuletynów, pism okolicznościowych, książek, w tym podręczników, czasopism i dzienników;
- funkcja organizacyjna – stowarzyszenia kobiece, młodzieżowe, studenckie;
- funkcja polityczna – partie i stowarzyszenia przejmujące ich funkcje, dążące m.in. do tego, by w wyborach do władz lokalnych (Landstag) i parlamentu Rzeszy (Reichstag) znaleźli się postawie Polacy bądź przynajmniej reprezentujący politykę sprzyjającą Polakom.

Wszystkie te ugrupowania, niezależnie od liczności i zadań, pełniły jednakże przede wszystkim funkcję patriotyczną. Cokolwiek robiły, było to przejawem patriotyzmu. Czasem bezpośrednio – gdy organizowały obchody rocznic narodowych jak powstanie listopadowe, czy Konstytucja 3 maja oraz jubileuszy sławnych Polaków jak Kościuszko czy Mickiewicz, czasem – pośrednio, były bowiem platformą spotkań towarzyskich, solidarnego krzepienia się w polskości, często w formie zabawy. Jak to zapisał jeden ze sławnych Polaków w Berlinie, Polacy lubili się bawić i lubili do tej zabawy zapraszać innych. Niemal wszystkie organizacje polonijne organizowały bale, zabawy, akademie okolicznościowe, wycieczki,

Polnische und das Katholische fest zusammen und somit auch wurde das Patriotische dem Religiösen gleichgesetzt. Der sprichwörtliche „Pole-Kathole“ (der Begriff, in Deutschland eh ironisch, wird in Polen bis heute sehr ernst genommen) formierte sich also auch in Berlin, weil gerade hier das Verharren bei dem Polnischen nicht nur ein Akt des Patriotismus war, sondern auch ein Zeichen von Mut und Opferbereitschaft. Im 19. Jahrhundert entstand in Berlin ein Muster der polnischen Vereine, deren Aufgabe es war, folgende Funktionen zu erfüllen:

- Religion – Gruppen und Vereine in den Pfarrgemeinden, denen für die Hilfe beim Errichten der Pfarrkirchen gewisse Gefälligkeiten zuerkannt wurden, wie ein Seitenaltar mit polnischen Heiligen (Hl. Kasimir, Hl. Hedwig, Hl. Stanislaus), Gottesdienst in polnischer Sprache, Religionsunterricht auf Polnisch;
- Bildung – Polnischunterricht mit Elementen der polnischen Geschichte und Heimatkunde, Erwachsenenbildung, Bibliotheken und Lesesäle;
- Kultur und Sport – Theater- und Literatur-Vereine, Chöre, Sportvereine, darunter auch Pfadfinder;
- Sozialhilfe – charitative Tätigkeiten, Hilfe bei der Heimatrückkehr;
- Wirtschaftsförderung – Handwerker- und Industrieller-Vereinigungen, Banken und Kooperativen, Leih- und Hilfskassen;
- Information – Herausgabe der Bulletins, Schriften, Bücher, darunter auch Schulbücher, Zeitschriften und Zeitungen;
- Gruppenorganisation – Frauen-, Jugend- und Studenten-Vereine;
- Politik – Parteien und Vereine, die ihre Funktionen übernahmen; Hauptziel dieser Tätigkeit war der Wahlkampf für polnische Landtags- und Reichstags-Abgeordneten sowie für die deutschen Kandidaten, die sich für die Interessen der Polen in Berlin einsetzten.

All diese Gruppierungen, unabhängig von deren Mitgliedschaft und Aufgaben, galten aber vor allem als patriotischer Faktor und dies in vielerlei Hinsicht. Als Tätigkeit direkt patriotisch galten hier feierliche Veranstaltungen zu Jahrestagen wichtiger Ereignisse aus der Geschichte Polens (Mai-Verfassung von 1791, Kościuszko-Aufstand 1794, Novemberaufstand 1830) oder Jubiläumsfeierlichkeiten wichtiger Persönlichkeiten wie die Geburts- oder Todestage des romantischen Dichters Adam Mickiewicz (1798-1855). Aber auch

pikniki, często wynajmowały bądź wspólnie dokonywały zakupu ziemi w jednej z okolicznych wiosek, gdzie można było urządzać wesołe, gromadne pikniki.

Już też w pierwszej fazie swego istnienia organizacje polonijne zdawały sobie sprawę z konieczności podejmowania działań wspólnotowych, jednoczących. W r. 1867 powstało Towarzystwo Przemysłowców Polskich w Berlinie, ale prawdziwa fala zjednoczeniowa przypada na lata 90. XIX w. W r. 1892 powstał Komitet Towarzystw Polsko-Katolickich w Berlinie i Okolicy, w r. 1893 – Polski Komitet Wyborczy, a w r. 1894 – Komitet Polskich Stowarzyszeń, przemianowany później na Związek Towarzystw Polskich w Berlinie. Podobnie od r. 1896 różne instytucje oświatowe połączyły się w Polskie Towarzystwo Szkolne „Oświata”.

Najważniejsza organizacja, której celem było zjednoczenie wszystkich Polaków w Niemczech, powstała jednak dopiero w okresie międzywojennym – był to powołany do życia w r. 1922 Związek Polaków w Niemczech, relegowany w r. 1939 i reaktywowany po zakończeniu II wojny światowej. Była to jedna z kilku zaledwie organizacji polonijnych istniejących w Berlinie w latach 1945-1980.

Po wojnie została w Berlinie stosunkowo liczna grupa osób polskiego pochodzenia. Byli to nie tylko Polacy, mieszkający już przed wojną w Berlinie, ale również robotnicy przemysłowi, więźniowie, wreszcie bezpaństwowcy. Część z nich wróciła potem do Polski, większość została, nie decydując się na powrót do kraju rządzonego przez Sowieców. Ta zasadnicza różnica opcji politycznych znalazła też swe odbicie w podziale Związku Polaków. W roku 1950 ZPN podzielił się na ZPN oraz Związek Polaków „Zgoda”. ZPN odmawiała wszelkich kontaktów z komunistyczną Polską, „Zgoda” natomiast opowiadała się za współpracą, wspomagając również Niemców zainteresowanych kontaktami z Polską i Polakami. Rozdarcie było bardzo głębokie, a kwestia pojednania czy kolaboracja pojawiła się nie tylko w łonie organizacji polonijnej jaką był ZPN. W duchu pojednania działały też dwie organizacje niemieckie – założona w r. 1958 Aktion Sühnezeichen (Akcja Znak Pokuty) i powołane do życia w r. 1973 Deutsch-Polnische Gesellschaft Berlin (Stowarzyszenie Polsko-Niemieckie).

Sytuacja Polaków po zakończeniu II wojny światowej, jeśli chodzi o zatrudnienie, nie różniła się zbytnio od sytuacji w dwudziestolecu międzywojen-

alltägliche Vereinstätigkeit galt der patriotischen Stärkung der polnischen Community, auch oder gerade deshalb, wenn sie mit Vergnügen verbunden war. Wie einer der Berliner Polen es einmal kommentierte, die Polen mögen es, zu feiern und sehen gern, dass andere mitfeiern. Fast alle polnischen Vereine in Berlin organisierten Tanzabende, Theateraufführungen, Ausflüge und Landespartien. Oft kauften oder pachteten sie Grundstücke in Berliner Umland, wo sie gemeinsam sehr gut besuchte Picknicks veranstalteten.

Schon in dieser 1. Phase ihrer Existenz suchten die Vereine Möglichkeiten der gemeinsamen Wirkung, sodass die kleineren Gruppierungen sich vereinen, wie es bei dem 1867 entstandenen Verein der Polnischen Industriellen der Fall war, aber eine Hochzeit der Vereinigungstendenzen notierte man in der letzten Dekade des 19. Jahrhunderts. 1892 wurde Komitet Towarzystw Polsko-Katolickich w Berlinie i Okolicy gegründet, eine Dachorganisation aller Polnisch-Katholischen Vereine, 1893 - Polski Komitet Wyborczy (Polnisches Wahlkampf-Komitee), 1894 - Komitet Polskich Stowarzyszeń (Komitee der Polnischen Vereine), später Związek Towarzystw Polskich (Bund der Polnischen Vereine). 1896 kam es zum Vereinen verschiedener Bildungsvereine, die Polskie Towarzystwo Szkolne „Oświata” (Polnischer Schulverein „Bildung”) gründeten.

Die wichtigste Organisation, deren Ziel es war, alle Polen in Deutschland zu vereinen ist jedoch erst in der 2. Phase, nach dem Ende des 1. Weltkriegs, entstanden. 1922 gründete man Związek Polaków w Niemczech (Bund der Polen in Deutschland), der 1939 illegalisiert und nach dem Ende des 2. Weltkriegs wieder legalisiert wurde. Es war übrigens eine der wenigen polnischen Organisationen, die es in Berlin in der Zeit 1945-1980 gab.

Nach dem 2. Weltkrieg verblieb in Berlin eine sehr zahlreiche Gruppe der Polen und Polnischstämmigen. Es waren natürlich diejenigen, die hier schon vor dem Krieg wohnten, aber auch in Deutschland gebliebene Zwangsarbeiter, ehemalige Gefangene und so genannte Dipis (displaced persons). Viele von ihnen sind im Laufe der Zeit nach Polen ausgewandert, es gab aber eine große Gruppe, die nicht in das von Kommunisten regierte Polen zurückkehren wollte. Es war ein grundlegender politischer Unterschied, der auch die in Berlin gebliebenen Polen gespalten hat. Der Bund der Polen in Deutschland brach 1950 entzwei in den bisherigen Bund und Związek Polaków Zgoda (der Bund der Polen Eintracht). ZPN lehnte jegliche Zusammenarbeit mit dem kommunistischen Regime ab, Eintracht sprach sich für die Kooperation aus und half dabei auch den

nym. Mieszkający w Berlinie Polacy byli w pełni zasymilowani i nie odróżniali się niczym od Niemców, wśród których mieszkali. Nie tworzyli żadnych większych skupisk, nie odczuwali potrzeby organizowania się i nie wywoływali żadnych problemów typu narodowościowego.

Zmieniło się to radykalnie wraz ze strajkami w Gdańsku i w Szczecinie w r. 1980 i wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego. Niemcy w Berlinie Wschodnim, i to nie tylko politycy, ale również tzw. zwykli ludzie nastawieni byli krytycznie a nawet wrogo do zdarzeń politycznych zachodzących w PRL, z kolei Niemcy w Berlinie Zachodnim okazali walczącym Polakom dużo sympatii i zorganizowali wiele form pomocy dla Polaków. Gościnnie przyjmowali też wszystkich uciekinierów politycznych, którzy napływali tu niemal do pierwszych dni strajku w Gdańsku w sierpniu 1980 r.

To gościnne przyjęcie sprawiło, że we wczesnych latach 80. Berlin stał się nagle jednym z najważniejszych miast, do których kierowali się opuszczający swój kraj Polacy. W latach 1980–1990 przybyło do Berlina kilkadziesiąt tysięcy Polaków, głównie młodych i wykształconych lub wykwalifikowanych – przeważała wśród nich tzw. inteligencja techniczna (inżynierowie i technicy), ale byli też nauczyciele, prawnicy, lekarze, teologowie, artyści. Skomplikowane i po części restrykcyjne prawo pobytu i pracy (a raczej w dużej mierze – brak takiego prawa) spowodowało, że przez wiele lat ludzie ci, niezależnie od statusu pobytowego i wykształcenia, zarabiali na życie w jednym z kilku zawodów, gdzie zatrudnienie (legalne bądź nielegalne, częściej nielegalne) było w ogóle możliwe – mężczyźni jako pracownicy budowlani i transportowi, kobiety jako sprzątaczkini w prywatnych domach. Kryminalny lub kryminogeny margines tego zjawiska stanowili wśród mężczyzn złodzieje, w tym złodzieje samochodów, a wśród kobiet – prostytutki i stręczycielki. Przedstawiciele obu płci trudnili się też szmugłem papierosów i, choć w mniejszym stopniu, przetrzudem narkotyków z Azji przez Rosję na Zachód.

Niemcy korzystali z taniej i fachowo wykonanej pracy Polaków, ale jednocześnie myśleli o nich bardzo źle. O dzielnych Polakach szybko zapomniano, a Polak był kojarzony głównie negatywnie. Od czasów Bismarcka Polacy nie mieli tak złej opinii wśród Niemców jak pod koniec XX w. Polak kojarzył się przede wszystkim z przestępstwami, prostytutką,

Deutschen, die Kontakte mit Polen suchten. Diese politische Auseinandersetzung zwischen „Versöhnung“ oder „Kollaboration“ betraf nicht nur die Vereinstätigkeit des Bundes, sie reichte tief in das Leben der polnischen Emigranten in Berlin, was die deutschen Mitbürger nicht immer richtig verstanden. Sicher im Sinne der Versöhnung betätigten sich zwei deutsche Organisationen – seit 1958 Aktion Sühnezeichen, und seit 1973 die Deutsch-Polnische Gesellschaft.

Die Lage der Polen in Berlin nach 1945 ähnelte der vor dem Krieg. Die in Berlin lebenden Polen waren vollkommen assimiliert und unterschieden sich im Nichts von den Deutschen, unter denen sie lebten. Sie trafen sich nirgendwo in größeren Gruppen, organisierten sich nicht, „nationale“ Probleme wurden nicht thematisiert.

Dies hat sich, als in Polen es 1980 zu einer Streikwelle und danach 1981 zum sog. Kriegszustand kam, radikal geändert. Deutsche in Ost-Berlin, und zwar nicht nur die Politiker, sondern auch Otto-Normalverbraucher, betrachteten argwöhnisch die Ereignisse in der polnischen Volksrepublik, dafür zeigten die Deutschen im Westen, auch in Berlin West den kämpfenden Polen viel Sympathie und organisierten zahlreiche Hilfsaktionen. Sie nahmen alle politischen Flüchtlinge aus Polen („die mutigen Polen“) auf, die hierher schon seit ersten Tagen des Streiks in Gdańsk angekommen sind.

Aufgrund dieser gastfreundlichen Aufnahme in den frühen 80er Jahren ist Berlin ziemlich unerwartet eine der wichtigsten polnischen Emigranten-Städten geworden. 1980-1990 kamen ca. 30-40 Tausend Polen nach Berlin, meistens jung und beruflich gut ausgebildet und qualifiziert – es waren vor allem die Vertreter der technischen Berufe, aber es gab unter ihnen auch Ärzte, Künstler, Wissenschaftler, Juristen oder gar Theologen. Das komplizierte und teilweise restriktive Aufenthalts- und Arbeitsrecht (oder eher die Tatsache, dass die neu Angekommenen über dieses Recht nicht verfügten) führte dazu, dass diese Menschen, unabhängig von Ausbildung und Aufenthaltsstatus, sich in einem der wenigen Berufe etabliert hatten, wo legale (oder illegale) Beschäftigung überhaupt möglich war: Männer auf der Baustelle und im Transport, Frauen als Putzfrauen in privaten Haushalten. In den Randgruppen gab es dazu unter den Männern – Diebe, darunter auch Autodiebe, unter den Frauen – Prostituierte und Kupplerinnen. In der kriminellen polnischen Minderheit gab es auch Zigaretten- und (dies aber viel seltener) Drogen-Schmuggel.

Paradoxerweise, betrachteten die Deutschen, die die billig und trotzdem professionell arbeitenden Polen gern beschäftigten, sie zugleich insgeheim sehr kritisch.

szmuglem, zorganizowaną kradzieżą samochodów, pracą na czarno i nielegalnym handlem.

Mało kto zastanawiał się nad tym, że zjawiska te dotyczący zaledwie marginesu polskich mieszkańców Berlina lub analizował przyczyny takiego stanu rzeczy.

W r. 1991 w Berlinie mieszkało oficjalnie 26 500 Polaków, a tylko 3 770 posiadało zezwolenie na pracę. Uważa się więc nie bez racji, że była to świadoma polityka, po to żeby taniej wybudować nowy Berlin jako siedzibę rządu Niemiec.

Choć emigrację lat 80. przyjęło się określać jako „solidarnościową”, była to niewątpliwie emigracja polityczno-ekonomiczna, a jej status w ciągu dekady 1980-1990 uległ kolosalnej zmianie. Po r. 1990 Polska stała się krajem demokratycznym, nie było więc przeszkód politycznych, uniemożliwiających kontakt z krajem. Zmieniła się też sytuacja ekonomiczna Polski. Wielu przybyszom opłaciło się wrócić do kraju, gdzie tempo przemian gospodarczych było w latach 90. znacznie szybsze niż w Berlinie. Grupa emigrantów solidarnościowych funkcjonuje więc w Berlinie na całkiem nowych zasadach. O ile do r. 1990 pielęgnowała ona jeszcze powojenną tradycję aktywności politycznej skierowanej przeciwko „komunizm”, o tyle od prawie 20 lat Polacy nie są właściwie emigrantami, lecz ludźmi, którzy świadomie wybrali miejsce pobytu inne niż ich ojczysty kraj. Wielu z nich zresztą ustawicznie przemieszcza się w pasie transgranicznym, w sprawach pracy, wypoczynku, zakupów, korzystania z oferty kulturalnej po obu stronach granicy.

Od połowy lat 90. sytuacja Polonii berlińskiej zaczęła się powoli stabilizować. Nowi Polacy w Berlinie byli ambitni, chcieli osiągnąć w tym mieście coś więcej niż tylko pieniądze. Szybko się asymilowali, ale jednocześnie świadomie zachowali swą polskość. W odpowiedzi na te zapotrzebowania powstał w Berlinie cały szereg polskich organizacji i instytucji. Początkowo ich zakładanie było wynikiem działania samych emigrantów. Tak powstała Polska Rada Socjalna, Polskie Towarzystwo Szkolne Oświata i liczne stowarzyszenia kulturalne. Ale do „polonizacji” współczesnego Berlina przyczyniły się, realizując postanowienia polsko-niemieckiego traktatu o współpracy sąsiedzkiej, także władze Polski i Niemiec. Powstała Polska Misja Katolicka, duszpasterstwo Polaków podległe wprawdzie kościołowi niemieckiemu, ale kierowane przez polski zakon oo. salezja-

Man hatte die „mutigen Polen” ziemlich schnell vergessen, der Pole wurde eine negative Person, assoziiert mit Kriminalität, Schwarzarbeit, Schmuggel, Autodiebstahl, Prostitution, illegalem Handel und Sozialbetrug.

Nur wenige Deutsche nahmen wahr, dass dies lediglich Randerscheinungen waren, die nicht die ganze polnische Minderheit in Berlin betrafen, noch weniger wussten, wie und weshalb sich die Polen in dieser Lage befanden. Das Image der Polen in Berlin war ausgesprochen schlecht, so schlecht war es vielleicht vorher zuletzt zu Bismarcks Zeiten.

1991 lebten offiziell 26.500 Polen in Berlin und nur 3.770 von ihnen verfügten über eine Arbeitserlaubnis. Manche meinen daher, vielleicht nicht zu Unrecht, dass dieser Zustand bewusst geduldet wurde, um billig das neue Berlin, Hauptstadt und Regierungssitz, zu bauen.

Obwohl man gewöhnlich die polnischen Migranten der 80er als „Solidarność-Emigration” bezeichnet, muss hier gesagt werden, dass hier mehr ein politisch-wirtschaftlicher Hintergrund existierte. In den zehn Jahren, von 1980 bis 1990, hat sich die soziale Stellung dieser Gruppe grundlegend geändert. Nach 1990 ist Polen ein demokratischer und politisch souveräner Staat geworden, es gab daher keine politischen Hemmnisse, die den Kontakt mit der Heimat erschwert hätten. Es änderte sich auch die wirtschaftliche Lage Polens. Viele der Zugekommenen fanden es lohnend, zurück nach Polen zu kehren, wo in den 90er die wirtschaftliche Entwicklung schneller verlief als in Berlin. Die „Solidarność-Emigranten”, soweit sie immer noch in Berlin leben, leben hier mit einem ganz anderem Status. Dementsprechend sehen sie ihre Aufgaben auch anders. Auch im Vereinswesen. Der Zeitgeist ist anders geworden. Bis ca. 1990 pflegten die Polen in Berlin immer noch die traditionelle politische (sprich: antikomunistische) Motivation ihrer Vereinstätigkeit. Seitdem sind sie eigentlich keine Emigranten im buchstäblichen Sinne mehr, sondern Menschen, die autonom ihr Lebenszentrum außerhalb Polens gewählt haben. Viele von ihnen bewegen sich sogar stets in der Grenzzone zwischen Polen und Deutschland – sowohl beruflich als auch aus anderen Gründen. Arbeit, Erholung, Einkaufsmöglichkeiten, Dienstleistungen, kulturelles Angebot – alles kann mal auf der einen mal auf der anderen Seite der Oder interessanter oder lohnender werden.

Seit den späten neunziger Jahren begann sich die Lage der Berliner Polonia allmählich zu stabilisieren. Neue Polen in Berlin waren ehrgeizig, sie wollten in dieser Stadt mehr erreichen als nur das Geld. Sie haben sich schnell und fast reibungslos assimiliert, aber zugle-

nów. Z kolei władze Berlina wprowadziły nauczanie polskiego jako języka obowiązkowego do czterech szkół w Berlinie oraz radio polskojęzyczne w ramach istniejącego (ale już tylko do końca r. 2008) wielojęzycznego radia MultiKulti. Szkoły Ludowe stworzyły najpierw szeroką ofertę nauki niemieckiego dla Polaków, a potem – nauki polskiego dla Niemców.

W ogromnym indywidualnym i zbiorowym wysiłku kilkudziesięciotysięczna grupa zdołała się w ciągu minionych 25 lat wyrwać z odgórnego przyporządkowania i zdobyć miejsca pracy we wszystkich dziedzinach życia w Berlinie – w przemyśle i budownictwie, transporcie i komunikacji, służbie zdrowia, opiece społecznej, szkolnictwie, na wyższych uczelniach, w instytucjach państwowych, muzeach, prasie, wydawnictwach, filmie... W tym czasie Polacy berlińscy stworzyli też swoją własną klasę średnią – pracodawców, którzy mogą dać innym rodakom zatrudnienie, mecenasów sztuki, odbiorców i autorów polonijnej, polskiej a nawet niemieckiej oferty kulturalnej.

Okres ten zmienił też, po raz pierwszy od ponad stu lat, rolę i funkcję organizacji polskich w Berlinie. O ile jeszcze do lat 90. ubiegłego wieku można było mówić o tradycyjnych organizacjach polonijnych – Oświata zajęła się ponownie kształceniem dzieci i młodzieży, Polska Misja Katolicka objęła patronat nad potrzebami religijnymi Polaków, a Polska Rada Społeczna spełniała funkcje opieki społecznej, o tyle od prawie 20 lat coraz częściej pojawiają się organizacje polskie zupełnie nowego typu, które wręcz programowo odcinają się od tradycji polonijnej. Utworzone w r. 1994 Polsko-Niemieckie Towarzystwo Literackie WIR (którego założycielką jest autorka niniejszego artykułu) było jedną z pierwszych (a może pierwszą?) organizacji tego typu, nastawiającą się przede wszystkim na integrację polsko-niemiecką w zakresie kultury. W r. 2001 grupa ewidentnych anarchistów kulturalnych założyła Klub Polskich Nieudaczników, który działalność swą oparł na prowokacji kulturalnej, grze stereotypów i wszechobecnej ironii. W r. 2003 powstała Galeria ZERO, prowadząca wymianę kulturalną młodej sztuki polskiej i międzynarodowej. W ogóle coraz więcej ofert kieruje się do ludzi młodych, co odpowiada kolejnej zmianie strukturalnej berlińskiej Polonii. Już zanim Polska stała się częścią EU, pojawili się w Berlinie nowi Polacy – artyści, studenci, narkomani, punki

ich bewahrten sie bewusst ihr Polentum auf. Dies rief neue Bedürfnisse hervor. Um sie zu befriedigen entstand in Berlin eine Reihe polnischer Einrichtungen und Vereine. Anfangs waren es die Emigranten selber, die diese Institutionen entstehen ließen. So ist der Polnische Sozialrat gegründet worden, der Polnische Schulverein Oświata (Bildung) und zahlreiche Kultur-Vereine. Berlin polonisierte sich zunehmend. Nach Unterschrift des Nachbarschaftsvertrags zwischen Deutschland und Polen 1991, ist es Aufgabe beider Regierungen geworden, für die Bedürfnisse der polnischen Minderheit zu sorgen. In Berlin ist Polska Misja Katolicka (Polnische Katholische Mission) entstanden, die polnische Seelsorge, die zwar dem Bistum Berlin angehört, aber von polnischen Missionaren geführt wird. Berlin führte in vier Oberschulen Polnisch als zweite Pflichtsprache ein. Bis Ende 2008 existierte auch im Rahmen des vielsprachigen Programms MultiKulti eine tägliche Radiosendung auf Polnisch. In den Volkshochschulen erweiterte man zuerst das Angebot „Deutsch als Fremdsprache“, um danach Schritt für Schritt auch „Polnisch für Ausländer“ anzubieten.

Es war eine kolossale Gemeinschaftsleistung, die diese Menschen in den letzten 25 Jahren vollbracht haben. Bürokratisch gesehen wurden sie für immer einer niedrigen sozialen Stellung zugeordnet. Trotzdem schafften sie es, in allen Lebensbereichen tätig zu werden. Man findet Polen, die in Berlin weiterhin am Bau und im Transport arbeiten, aber auch in Industrie und Verkehr, Gesundheit und Schule, beim Arbeitsamt und an der Uni, in Museen, Medien, Verlagen und beim Film... In diesem Vierteljahrhundert entstand auch ein polnischer Mittelstand in Berlin – Arbeitgeber, die eine Arbeitsstelle für ihre Landsleute anbieten können, Kunstmäzene, Abnehmer und Hersteller eines breiten und vielfältigen Kulturangebots.

In dieser Zeit änderten sich auch die Rolle und Aufgaben der polnischen Vereine in Berlin. Seit mehr als 15 Jahren entstehen Vereine, die einen neuen Typus vertreten und die wenig mit der Tradition der Polonia zu tun haben (manche haben sich das gar ins Programm geschrieben). 1994 entstand der Verein WIR zur Förderung der Deutsch-Polnischen Literatur (seine Gründerin war die Autorin dieses Texts), eine der ersten (oder gar erste?) Einrichtung dieser Art. Sein Ziel war die deutsch-polnische Integration durch Kultur, lange bevor man das Wort Integration neu „entdeckte“. 2001 gründete eine Gruppe regelrechter Kultur-anarchisten den Klub der Polnischen Versager, dessen Tätigkeit auf Ironie, Provokation und dem Spiel mit Stereotypen beruht. 2003 gründeten zwei junge Menschen die nicht kommerzielle Galerie ZERO zum Austausch der jungen

i homoseksualiści. Dorosły też dzieci imigrantów z lat 80. Ich stosunek do Polski i patriotyzmu, do własnej polskiej tożsamości jest zupełnie inny, otwarty, tolerancyjny, pozbawiony dogmatów i fanatyzmu. Młodzi ludzie nadają ton polskiemu życiu w tym mieście, a struktury organizacyjne, na których dotychczas Polonia opierała swą działalność, przestały ich interesować. Jeśli nadal w działaniu swym korzystają z pewnych ram prawnych, na przykład powołują stowarzyszenia, to czynią to tylko i wyłącznie... dla pieniędzy, ponieważ znacznie łatwiej jest dostać dofinansowanie, tak lokalne, berlińskie, jak niemieckie czy europejskie, jeśli jest się zarejestrowanym towarzystwem. Pieniądze są potrzebne, bo bez nich nie da się zrealizować pomysłów i projektów. A ważne są tylko pomysły i projekty, a nie ideologia. Pojawiły się zresztą również organizacje, które udowodniły, że w dzisiejszych czasach nawet rejestracja nie jest już potrzebna, by zdobyć pieniądze na projekty. W r. 1999 kilkoro polskich i niemieckich architektów powołało do życia Berliner Architekten Interessengruppe Stettin, która zorganizowała kilka ważnych imprez kulturalnych, po czym z powodzeniem zajęła się nawiązywaniem współpracy instytucjonalnej pomiędzy Berlinem a Szczecinem. I jak się wydaje, w tym właśnie kierunku pójść działania kolejnych grup. Europa się jednoczy. Już zjednoczyła się prawnie, dopracowania wymagają relacje międzyludzkie. To interesujący proces i ciekawie jest w nim uczestniczyć. Wydaje mi się, że obecnie taki właśnie cel wytyczyły sobie różne grupy polskie w Berlinie, i te zarejestrowane, i te wolne jak elektrony. Kłania się Państwu Duch Czasu.

internationalen Kunst, darunter auch polnischer. Überhaupt gibt es in letzten Jahren immer mehr Angebote die an junge Menschen adressiert sind, was auch der letzten strukturellen Änderungen der Gruppe der Polen in Berlin entspricht. Schon bevor Polen ein Teil der EU geworden ist, kamen nach Berlin neue Polen – junge Künstler, Studenten, Junkies, Punks, Homosexuelle. Zugleich sind die Kinder der Emigranten der 80er herangewachsen. Diese jungen Menschen pflegen ganz anders mit dem Patriotismus und mit eigener Identität umzugehen – offen, tolerant, ohne Dogmen und Fanatismus. Die jungen Menschen, die das polnische Leben in Berlin 2000 bestimmen, hegen auch keinen Respekt für bisher bewahrte Formen der organisatorischen Tätigkeit, so charakteristisch für Polonia seit über 100 Jahren. Wenn sie weiterhin einen Verein gründen werden, kann man sicher sein, dass sie es getan haben, um an das Geld für ihre Projekte zu kommen. Die bürokratischen Strukturen entwickeln sich nämlich langsamer als die Gesellschaft, und es ist immer noch (fast) obligatorisch, ein registrierter Verein zu sein, um die Finanzierung aus öffentlicher Hand zu bekommen, sei es Berliner, sei es deutscher, sei es europäischer Hand. Und ohne Finanzierung aus öffentlicher Hand ist es (fast) unmöglich, eigene Ideen zu verwirklichen. Und nur sie zählen. Es sind aber sogar Gruppen entstanden, die auf die Registrierung verzichtet haben und trotzdem imstande waren, Vieles zu realisieren. 1999 rief eine Gruppe der polnischen und deutschen Architekten die Berliner Architekten Interessengruppe Stettin ins Leben, die ein paar bedeutende Events organisierte, um danach die Richtung zu ändern. Jetzt sind sie wieder einzeln tätig, mit einem gemeinsamen Ziel jedoch – institutionelle Zusammenarbeit auf der Strecke Berlin – Stettin zu initiieren. Es scheint, dass überhaupt weitere Aktivitäten der polnischen Organisationen in Berlin in diese Richtung gehen werden. Ost und West Europa einen sich. Gesetzlich ist es schon geschehen, es braucht nun jetzt viele kleinere und größere Schritte auf der gesellschaftlichen, menschlichen Ebene. Es ist ein interessanter Prozess und es ist interessant, daran teilzuhaben. Ich glaube, so werden jetzt polnische Gruppen in Berlin tätig werden, die registrierten und die freien wie die Elektrone. Der neue Zeitgeist winkt ihnen zu.

Übersetzt vom Autor

Nasi Żydzi

Dedykuję mojej siostrze Joannie

Pierwszym moim „żydem” byłem ja sam. Było tak: od końca wojny, po przyjeździe do Łodzi spod Warszawy, gdzie się urodziłem, mieszkaliśmy w czynszowej kamienicy w łódzkiej dzielnicy Polesie. Typowa kamienica z przełomu dwóch ubiegłych wieków, front i dwie oficyny. Lokatorzy społecznie byli przemieszani. Było paru inteligentów, jacyś rzemieślnicy, większość mieszkańców stanowiła klasa robotnicza. Dzieci na podwórku było dużo. Dopóki ojciec był dyrektorem fabryki, czyli do mego dziesiątego roku życia, ja się z nimi nie bawiłem. Ale raz, pamiętam, miałem może pięć-sześć lat, znalazłem się w wianuszk podwórkowej gromady. Matka się chyba przy wchodzeniu do – czy wychodzeniu z – posesji zagadała z którąś z „lepszych” lokatorek i wypuściła mnie z ręki. W porządnym paletku, w białych podkolanówkach stanąłem naprzeciw podwórkowych dzieci. Przerwały zabawę, kilkoro zbliżyło się i jedna dziewczyna, imieniem Baśka („zostaw Baśka!” – krzyknęła za nią koleżanka) podszedłszy całkiem blisko, odezwała się: „Idź stąd, żydzie”.

Owo „żydzie” odebrałem wtedy prawidłowo jako wyzwisko „gnojku”, „głupku”, „lalusiu” czy cokolwiek innego się mówi między dziećmi w obraźliwej intencji. Co to „żyd”? Te inne słówka znałem od naszej służącej, dziewczyny z podłódzkiej wsi, dokąd jeździliśmy „na letnisko”. „Żyd” – dotąd nie słyszałem, nie wiedziałem, co słowo znaczy, że odnosi się do egzemplarza narodowo-wyznaniowego. Jak „Polak” („katolik”) czy „Niemiec” („bezbożny faszysta”) czy „Rusek” („ja ciebie dam”). Zapytałem matki – nie pamiętam, co odpowiedziała w przedmiocie. Zdaje mi się, że pokazała mi jakieś obrazki Kostrzewskiego czy Gierymskiego, typy Żydów warszawskich,

w *Święcie Trąbek* Aleksandra Gierymskiego modlące się z książkami w dłoniach postacie nad Wisłą, czy może tegoż malarza *Cmentarz starozakonnych* z żydem i żydówką wśród płyt nagrobnych z hebrajskimi napisami.

Baśka mieszkała w oficynie „na czwartaku”, my zaś od frontu na piętrze trzecim zajmowaliśmy lokal środkowy. Na prawo mieszkali państwo Świerkoccy z sublokatozem doktorem Calmieri, autentycznym Włochem, który „za Niemca” pracował w szpitalu (późniejszym im. Jonschera) i na po wojnie mu się zostało. Ale wkrótce wyjechał, wrócił do Włoch. Tak jak i doktor Haya, dentysta z pierwszego piętra (frontu), wrócił do Niemiec. „Wrócił” w trzecim pokoleniu, bo jako Lodzermensch był wnukiem tkackiego majstra, ze Szwabii, zdaje się. Nasza służąca mówiła o doktorze Hayi „ten Szwab”.

I oto dwaj cudzoziemcy wyjechali na Zachód, natomiast ze Wschodu przyjechali Żydzi. „Nasi Żydzi” – mówiło się potem u mnie w domu, a i w całej kamienicy. Wprowadzili się po sąsiedzku do wolnego lokalu. Była to żydowska rodzina: ojciec, matka, babka i mały synek imieniem Jerzyk. Młodszy ode mnie był o trzy lata. Pamiętam nazwisko: Brzeziński. Babcia nazywała się Grinsztajn, mówiła polszczyzną potamaną ruszczyzną. Na przykład do Jerzyka: „Pójdź tu, ostaw moje tufli, no prosza, och ty cholernaja dziecko!”. Na to Jerzyk z szyderczym chichotem odpowiadał: „Cholerne t y dziecko? T y jeste cholerne dziecko! Hihih, tak, tak!”. Babcia bezradnie rozkładała ręce.

Z tymi Żydami matka moja w krótkim czasie nawiązała bliskie sąsiedzkie stosunki, a nie wiem, czy i nie ojciec, bo pani Brzezińska była młodą atrakcyjną kobietą, zaś mąż jej przepadł na dłużej w szpitalu.

Wkrótce umarł, a następnie i ona. Dlaczego, nie wiem. Oboje wyglądali na okazy zdrowia. Pamiętam dobrze, gdy Jerzyk płakał na wieść o śmierci matki, że co to będzie, gdy umrze babcia: on zostanie sam.

Ale babcia żyła jeszcze ładnych parę lat i to nie sama z osieroconym Jerzykiem. Gdy ojciec przestał być dyrektorem (służącej już nie mieliśmy), przez jakiś czas babcia Grinsztajn pomagała mojej matce w gospodarstwie. Przypominam sobie jak wzywała Jerzyka i moją siostrę Joasię do kolacji: „Jezik, Iłasza, kuszat!” Jakiś czas po śmierci pani Brzezińskiej do zredukowanej rodziny naszych Żydów wprowadziła się z mężem i małą córeczką bratanica czy siostrzenica babci Grinsztajn. Miała na imię Fryda, jak pani

Brzezińska była silną brunetką, a mąż jej wkrótce poszedł do więzienia za handel dolarami. W tamtych czasach za samo posiadanie dolarów czy innych imperialistycznych walut można było zarobić parę lat. I można było się wko- pać w sprawę o szpiegostwo: „Skąd macie dolary, dostaliście za współpracę z amerykańskim wywiadem, nazwiska, adresy, mówcie!” Ledwo męża Frydy wywiął z mieszkania na trzecim piętrze od frontu naszej kamienicy wiatr historii, to zaraz przywiął następnych Żydów. Ci się nazywali Paluch. Przybyli świeżo z Rosji – było już po słynnym XX Zjeździe, kiedy to Chruszczow ujawnił prawdę o Stalinie. Stalina wyrzucono z mauzoleum. Wkrótce nadszedł polski Październik, o którym mam ostre wspomnienie, bo nastąpiła po nim sroga zima, taka że czas jakiś z powodu mrozów nie chodziło się do szkoły. Koczowaliśmy w jednym pokoju w dżungli zwalonych z całego mieszkania mebli. W kamienicy trwał remont, rozpoczęty wiosną. Wymieniano belki stropowe. W drugim pokoju przy minusowych temperaturach murarze zakładali tynki, rozgrzewając się czystą zwykłą z czerwoną kartką (40 procent, była jeszcze „z niebieską kartką” 45 procent, nieprzebrane



morze wódek gatunkowych rozlało się dopiero po Gomułce, za Gierka). Do kuchni chodziło się jak na Syberię. Z powodu rozbiórki węglowego pieca kuchennego, który zastąpiono gazowym, w kuchni było zimno jak w psiarń. Tamże założyłem sobie z Jerzykiem kanał komunikacyjny, borując dziurę w ścianie.

Można było przez tę dziurę rozmawiać między dwoma mieszkaniami, a nawet uprawiać dziecięce gry zbiorowe. Z tamtej strony Jerzyk, kuzynka jego Lala i maly Aaronek Paluch (chyba, bo może jeszcze wtedy był za mały, za chwilę będzie o nim), z tej ja z Joanną, młodszą moją siostrą. Ciężka ta zima 1956/57 roku stanowiła punkt kulminacyjny między- ludzkiej integracji poniekąd międzynarodowej w kamienicy na Polesiu w Łodzi. Ośrodkiem kontaktów było mieszkanie naszych Żydów, które się w międzyczasie roz- szerzyło terytorialnie o część uprzednio oddzieloną, ma- jącą połączenie z oficyną. Część owej części zajmo- wała ukraińska najwidocznej z pochodzenia rodzina naz- wiskiem Dymitruk. Więc ci Ukraińcy wpływali do na- szych Żydów od oficyny, a my mieliśmy kontakt od frontu. Matka moja odgry- wała w tych międzysąsiedz- kich cyrkulacjach istotną rolę – obok talentów organi- zacyjnych miała dużo do zaoferowania w sferze ma- terii: pracowała w uspoł- ecznionym handlu artykułami żywnościowymi jako in- spektor, nawet przez jakiś czas sama prowadziła sklep czy sklepy. Jak wiadomo, nie mówiło się w tym czasie marnym „kupiłam szynkę i cytryny” lecz „dostałam szynkę i cytryny”. Tak jak i: „Załatwiłem węgiel na zimę”.

Na zewnątrz fronty już się uspokoiły: Węgrzy zostali pobici przez Rosjan, Rosjanie do Polski nie weszli. Na wiosnę poczuliśmy w naszej kamienicy nowe wiatry historii. Wrócił z więzienia mąż Frydy (odsiedział za dolary cztery czy pięć lat) i nasi Żydzi

uzyskali w jego osobie jakby prezesa stowarzyszenia: załatwiał, przewodził. Drugi spośród naszych Żydów męzczyzna, pan Paluch, nie potrafił się wybić ponad kobiety – przybył już spod Workuty czy z Zabajkała przygaszony albo może z natury miał łagodny charakter.

Po trzech-czterech latach okazało się, czemu przewodniczył mąż Frydy. Mianowicie mieszkanie z dnia na dzień stało się puste, wszyscy nasi Żydzi wyjechali do Izraela. To było po roku 1960. Ale na razie, wkrótce po rewolucji październikowej (naszej polskiej, nie rosyjskiej) trwało usuwanie błędów i wypaczeń. Do błędów poprzedniej ekipy partyjno-rządowej (Bierutowej) należało także, jak się

okazało, zakazywanie polskim Żydom, by byli Żydami. Sami Żydzi w kierownictwie, Berman, Minc tego zakazywali. Dotąd wiedziałem o naszych Żydach, że są Żydami, na podstawie nominalnej. Teraz mogłem dowiedzieć się prawdy realnej, co znaczy być Żydem. W mieszkaniu sąsiadów pod przewodnictwem męża Frydy zaczęto prowadzić jawne życie religijne! W soboty obchodzono szabas, pojawiły się przedmioty liturgiczne: tora, księga talmudu, jarmułki, siedmioramienne świeczniki. Dla mnie, dorastającego chłopaka, było to fascynujące doświadczenie inności kulturowej. Dowie-

działem się, że istnieje inny Bóg obok naszego katolickiego, utworzył się przede mną świat innych obyczajów, innych od Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy obchodzonych świąt, odmiennej kuchni, bardzo różnej od polskiej. Poznałem smak macy, która jest pieczywem absolutnie bezmięsnym, nie jest prawdą, że Żydzi zabijają na macę polskie dzieci, jak to rozgłaszali polscy narodowi chrześcijanie. Przypominam sobie wstrząs, gdy usłyszałem kiedyś „nieludzka” jakąś mowę: pani Paluchowa strofowała rozlegle męża za jakieś przewinienie: po niemiecku czy jakoś? A to było w jidis! Nigdy już potem tego języka live nie słyszałem, dziś jest praktycznie

językiem martwym, jak łacina i greka, może jeszcze niektórzy Żydzi amerykańscy nim mówią, w Izraelu jest język hebrajski.

Na Jerzyka wołano teraz w domu Izaak. On sam wołał, by mówić po dawnemu Jerzyk, tak też mówiliśmy, ja i chłopaki na podwórku. Odrodzona tożsamość kulturowa naszych sąsiadów nie zmieniła wiele w sąsiedzkich stosunkach w kamienicy, zwłaszcza z matką moją pozostały serdeczne związki wzajemnej pomocy. Z tego powodu miałem dostęp do fascynujących mnie judaiców. Nasi Żydzi należeli do łódzkiej Gminy Żydowskiej, która prowadziła prężne życie organizacyjne. Natychmiast założono bożnicę w cywilnym budynku – wszystkie łódzkie



synagogi spalili i rozebrali do fundamentów w czasie wojny naziści. Jerzyk vel Izaak opowiadał, jak jest w bożnicy. „Tak jak u was w kościele” – mówił – „nudno”. Żydzi łódzcy wydawali własną prasę, dziwiłem się, że czyta się te hebrajskie haki i precle od prawej ku lewej. Działał Teatr Żydowski, który dzielił scenę ze znanym z działalności Kazimierza Dejmka Teatrem Nowym. Przechodząc z domu ku Piotrkowskiej–arterii Łodzi–miasta oglądałem fotosy w gablotach obu teatrów.

Parę kroków od Teatru Żydzi założyli znane wśród łódzkiej młodzieży Liceum

Ogólnokształcące im. Pereca. Jerzyk vel Izaak nie zdążył już tam kontynuować nauki. Ale miałem u Pereca kilku kolegów. Prawie wszyscy wyjechali z Polski po 1960 roku do Izraela, a ci co pozostali – po Marcu 1968 rozjechali się po Europie zachodniej, Szloma Goldfisz jest profesorem w Kanadzie. Z tej też szkoły z jedną dziewczyną „chodziłem” jakiś czas. Miała na imię Dorota, inaczej Dora, nazwisko bardzo piękne Sonnenberg, adekwatne do tego, co miała z przodu, podwójnie. Rodzina wydostała się ze Związku Radzieckiego późno, tylko po to, by w Polsce załatwić papiery wyjazdowe do Izraela. Ojciec Doroty drżał o córkę, nie pozwalał jej na żadne związki uczu-

ciowe z „gojami”, dziewczyna chodziła na randki ze mną zamiast na angielski. W związku z tym mój przyjaciel Wojtuś R. uczynił następujący żart. Zadzwoił do niej, odbiera ojciec.

- Dzień dobry, czy jest Dorota?
- Nie ma ją. Jestem ociec.
- To proszę powiedzieć córce, że jak się umawia, to niech przychodzi.
- Kochany, powim ją. Obowiązkowo!
- To do widzenia.
- Do widzenia. Życzę, by z ją!

Gdzieś do 1963 r. Dorota-Dora pisała do mnie listy. Że się uczy, trochę pracuje w kibucu, że się kocha w jakimś Żydzie z Rosji. Na moją prośbę szukała też w Izraelu Jerzyka Brzezińskiego z mojej kamienicy. Ale nie natrafiła na ślad.

Gdy tuż przed wyjazdem naszych Żydów do Izraela zmarła babcia Grin-sztajn, miałem okazję zobaczyć żydowski pogrzeb. Zdziwiło mnie, że ze zmarłą można było się pożegnać leżącą na podłodze, nie na żadnym katafalku, obstawioną świecami. Potem zawinięto jej ciało w biały całun i włożono do trumny, innej jakoś niż nasze. I tylko po to dano to opakowanie, by przewieźć ją małym karawanikiem podobnym raczej do ślubnej karetki, tyle że nie białej a czarnej, na słynny łódzki kirkut. Tam

ciało w całunie złożono do grobu, wśród macew i grobowców poprzerastanych gęsto wielkimi drzewami. „Cmentarz w lesie” – pomyślałem – „albo las na cmentarzu”.

Po naszych Żydach najsilniej w pamięci utkwiło mi wspomnienie incydentu z Aaronkiem Paluchem. Pewnie dlatego, że jest to wspomnienie o własnym postępku może podłym, a może tylko głupim. Ludzie najchętniej zapominają takie postęпки. W psychologii nazywa się wyparcie. Zanosilo się już na rychły wyjazd naszych Żydów. Aaronek bawił się na podwórku, zagadnąłem go, kiedy wyjeżdżają, jak to

będzie. Rozpoczęła się głupawa rozmowa silniejszego ze słabszym. Otoczył nas wianuszek starszych chłopaków, moich rówieśników, Aaronek się bał. Cudzy strach wyzwała naszą agresję, twierdzą wytrawni literaci. Zagadując Aaronka zacząłem kręcić mu guzik u płaszczyka. Aż ukrećilem. Po kolei ukrećilem mu wszystkie guziki, podczas gdy on się bał, a koledzy rechotali. Następnego dnia dostałem straszną burę od matki i jeszcze parę słów potem usłyszałem od pani Paluchowej. Raczej słów żalu niż złości. Przeprosiłem szarmancko, kamuflując wstyd i zarazem demonstrując lekceważenie dla faktu. Świadkiem tego był mój kolega Rysiek Martyn z czwartego piętra oficyny. Zaczepił potem Aaronka na podwórku.

– Musiałeś naskarzyć starej? Głupi Żydzie?

Nie wiem, czy powiedział małą czy dużą literą, w cudzysłowie czy bez. Do dziś nie wiem i nigdy się nie dowiem.

W latach 80., w Niemczech, zainteresował mnie Karl Jaspers „sprawą Martina Heideggera”, o której wspomina w swojej autobiografii (I wyd. polskie: Karl Jaspers, *Autobiografia filozoficzna*, wyd. Comer, Toruń 1993). Obiegowo określa się to jako „uwikłania nazistowskie” wybitnego filozofa europejskiego egzystencjalizmu. Grzebałem się w tym trochę, przeczytałem parę

książek do tematu. Sam Heidegger nigdy po wojnie nie komentował wiadomych faktów z okresu, gdy był rektorem uniwersytetu we Fryburgu (od 1933 do końca wojny był członkiem NSDAP), nie tłumaczył się, o swym głównym dziele *Sein und Zeit* powiedział po wojnie tylko tyle, że nie podtrzymuje wszystkich wyrażonych w nim poglądów. Zmarł w 1976 roku. Pomysł na opowiadanie *Nasi Żydzi* przyszedł mi na wspomnienie eseju Jean-Francois Lyotarda, polski tytuł *Heidegger i „żydy”*.

Berlin – Białowice, lipiec 2008

W Polsce zjawiałem się na raty

Rozmowę z prof. Giorgi Melikidze, gruzińskim astrofizykiem, mieszkającym w Zielonej Górze przeprowadziła Grażyna Zwolińska

- **Niełatwo spotkać w Polsce Gruzina...**
- To prawda, bo nie ma nas tutaj zbyt wielu. W ogóle na świecie nie ma dużych emigracyjnych skupisk moich rodaków, w odróżnieniu np. od Ormian, którzy w wielu krajach tworzą liczne diaspory. W Zielonej Górze paru moich ziomków jednak by się znalazło.
- **A ilu jest Gruzinów w Gruzji?**
- Około 3,8 mln. Zartujemy, że jest nas niewiele, ale za to dobrej jakości.
- **Nie wątpię. Bardzo dobrze mówi pan po polsku...**
- Jestem tu już jakiś czas. Zdążyłem więc poznać trochę niuansów polskiego języka.
- **Trudno było się go nauczyć?**
- Dopóki nie był mi on w oczywisty sposób potrzebny, to – przyznam w tajemnicy – trochę się z jego nauką objąłem.
- **Astrofizykowi wystarczy angielski?**
- Zawodowo raczej tak, ale jest jeszcze codzienne życie oraz wykłady. Początkowo robiłem je po angielsku, ale to rozwiązanie miało nie tylko plusy. Zacząłem więc, wraz z innymi cudzoziemskimi wykładowcami i studentami, chodzić na kurs języka polskiego na uczelni. Prowadziła go taka sympatyczna blondynka...
- **Kazała wymawiać „Chrzyszcz brzmi w trzcinie w Szczeszynie”?**
- Zapamiętałem co innego. Przysłowie: „Nie pieprz, Pietrze, wieprza pieprzem...”. Nie mogłem zrozumieć, o co w nim chodzi.
- **To chyba jasne.**
- Nie dla kogoś, kto uczy się polskiego także od lokatorów akademika, gdzie wtedy mieszkałem. Znałem całkiem inne znaczenie słowa na „p”.

Zacząłem więc dopytywać, jak można to robić pieprzem.

- **No, nieźle! W końcu jednak udało się panu opanować nasz język...**
- Na pewno pomogło mi to, że bardzo dobrze mówię po rosyjsku. Czasem tylko mam wątpliwości, czy dana końcówka wyrazu tak brzmi po polsku czy po rosyjsku.
- **Jak znalazł się pan w Polsce?**
- To długa historia, bo zjawiałem się na raty, jeśli można tak powiedzieć. Za czasów Związku Radzieckiego podróżowanie za granicę było mocno utrudnione. Do Polski przyjechałem pierwszy raz latem 1990 r. na konferencję naukową, która odbywała się w Łagowie. Słońce, zieleń, jezioro... Drugi raz przyjechałem w 1996 r. na krótką – jak sądziłem najwyższej paromiesięczną – naukową wizytę. Ale ówczesny rektor Jerzy Baksalary, zamiast zatrudnić mnie na parę miesięcy, zatrudnił mnie na czas nieokreślony. I tak okazało się, że moja przyszłość jest związana z Polską.
- **A rodzina?**
- Została w Tbilisi. Potem dojechał syn, a w końcu żona.
- **Jak znosiliście rozłąkę?**
- Ja odwiedzałem dość często Gruzję, syn i żona Polskę. Zresztą żona śmiała się, że i tak byliśmy więcej ze sobą niż wtedy, kiedy mieszkałem stale w Tbilisi i byłem wicedyrektorem Abastmańskiego Obserwatorium Astronomicznego, jakieś 250 km od stolicy. Bo nawet jak już wróciłem do domu, to i tak ciągle miałem służbowe telefony. Poza tym zatrudnienie na zielonogórskiej uczelni, gdzie astronomia ma dużą renomę, pozwoliło mi wrócić do pracy naukowej, która wyraźnie cierpiała podczas wicedyrektorowania.

- **Czyli same plusy. A minusów nie było? Był pan przeciwieź w Zielonej Górze, jeśli tak można powiedzieć, narodowościowym samotnikiem.**
 - Nie było tak źle. Pojawiło się grono polskich przyjaciół...
 - **Podejmował ich pan gruzińskimi potrawami i winem?**
 - Gruzńska kuchnia jest bardzo smaczna, a ja umiem przyrządzić co najmniej kilka dań. Dziwiło mnie tylko to, że wy, Polacy, tak szybko jecie. I w ogóle ciągle się gdzieś spieszycie. Nawet wtedy, jak naprawdę nie ma powodu.
 - **Zaraz, zaraz, co to znaczy, że tak szybko jemy?**
 - Po prostu. Gdy przyjechała do mnie już na stałe żona Marina, to spotkania z przyjaciółmi zaczynałyśmy, tak jak w Gruzji, od tradycyjnego gruzińskiego placaka chaczapuri i zakąsek. Marina podawała placek, w piekarniku dopiekało się mięso, które miało być podane za pół godziny. W tym czasie Gruzini jedzą chaczapuri i zakąski, popijają winem, rozmawiają, wznoszą toasty. Tymczasem na przyjęciu dla polskich przyjaciół placak już po chwili nie było. Więc żona podawała następny i jeszcze jeden. Nic dziwnego, że kiedy przychodziła pora na mięso i inne dania, goście nie mieli już ich gdzie zmieścić. Teraz więc już na początku mówimy, co będzie podane, żeby mogli to rozplanować. Zresztą wy nie tylko szybko jecie, ale i szybko pijecie.
 - **I dużo.**
 - Gruzini też dużo piją, ale rozkładają to w czasie. Pijemy nie po to, żeby się upić, ale żeby się rozluźnić, żeby się przyjemnie rozmawiało, żeby posmakować trunku.
 - **Pijecie głównie wino, nie mocną wódkę...**
 - To prawda. Ale też nigdy nie pijemy bez jedzenia. Spokojne jedzenie, picie z licznymi toastami i rozmowa. To wszystko trwa, spotkania są naprawdę długie.
 - **Czym jeszcze Polacy różnią się od Gruzinów?**
 - Tym, że nie mają dobrego zdania o Polsce. To dla nas niezrozumiałe. Mówią, że kochają Polskę, a ciągle na nią narzekają.
 - **Wy nie narzekacie na Gruzję?**
 - Narzekamy, ale inaczej. Może nam się nie podobać władza, prezydent itp., ale nigdy nie powiemy nic złego o Gruzji, jako takiej. Odnoszę wrażenie, że Polacy nie są dumni z tego, że są Polakami.
 - **Mamy kompleksy. Tak podskórnie uważamy się za gorszych od mieszkańców Zachodu. Rekom-**
- pensujemy to sobie przekonaniem, że jesteśmy lepsi niż mieszkańcy Wschodu, a zwłaszcza Rosjanie. Wy Rosjan też nie kochacie, zwłaszcza ostatnio...**
 - Nieprawda. Nie Rosjan, lecz konkretnych rosyjskich władz. Ze zwykłymi Rosjanami dogadujemy się całkiem nieźle. Są otwarci, choć prawdę mówiąc, wy, Polacy jesteście otwarci jeszcze bardziej.
 - **Dziękuję. Polacy zawsze mieli szczególny stosunek do Gruzinów. Gruzini do Polaków chyba zresztą też. Nasze historyczne losy są dość podobne.**
 - Właśnie.
 - **Na pewno jednak jeszcze coś pana w nas zadziwiło. System wartości? Obyczaje?**
 - Gruzini są na pewno bardziej tradycyjnym społeczeństwem niż Polacy. Wy przejęliście wiele z obyczajowości Zachodu, my bardziej chronimy własną tradycję, własne narodowe bajki, legendy, tańce ludowe. Widać to choćby na weselach. Nie tańczymy do zachodniej muzyki. Większość tańców jest gruzińskich. Niektórzy przed takimi uroczystościami zapisują się nawet na kursy tańców ludowych. Co innego, jeśli chodzi o dyskoteki czy bary.
 - **Tradycyjne wartości rodzinne, a więc pewnie i mniej swobody seksualnej?**
 - Te sprawy się zmieniają, ale znacznie wolniej niż w Polsce. Kiedyś w Gruzji seks przed ślubem był nie do pomyślenia, przynajmniej oficjalnie. Teraz jest coraz częstszy, ale rodzice młodych ludzi zwykle o tym nie wiedzą. Tymczasem w Polsce akceptują takie związki. Nie mają nic przeciwko temu, że młodzi mieszkają razem bez ślubu. Rozwodów też jest u nas mniej niż u was.
 - **Więc pewnie i szacunek do starszych jest większy?**
 - To prawda. U nas często spotyka się trzypokoleniowe rodziny. To dobre dla dzieci i wnuków. A co do dzieci, to konserwatywny Gruzin najbardziej chce mieć najpierw syna, potem córkę. Córka jest jego oczkiem w głowie.
 - **A stosunki sąsiedzkie? U nas ludzie mogą latami mieszkać w tej samej klatce schodowej i nie znać się. W najlepszym razie kłaniają się sobie.**
 - Dla Gruzina sąsiad to prawie rodzina. Kontakty są na pewno o wiele częstsze i cieplejsze od tych, jakie obserwuje się w Polsce. Przydaje się to w różnych sytuacjach życiowych. Także tych trudnych, jak np. śmierć kogoś z rodziny. Wtedy na

pomoc sąsiadką naprawdę można liczyć. Sąsiedzi wspierają, przynoszą jedzenie dla przybyłych niekiedy z odległych stron licznych bliskich zmarłego. Dwa dni przed pogrzebem jest tzw. panichida. Można wtedy pożegnać się ze zmarłym, wesprzeć jego rodzinę, dzięki czemu ona nigdy nie jest sama i łatwiej jej przeżyć tragedię. Inaczej niż u was, ciało zmarłego przez ten cały czas jest w domu.

– **W naszym kraju panuje strach przed osobą zmarłą. Na pogrzeb czeka ona w kostnicy w lodówce. Spanie z nią pod jednym dachem...**

– U nas takiego strachu nie ma. Jest za to coś takiego, jak nocne czuwanie przy zmarłym. Stosuje się też specjalne balsamowanie zwłok. Po pogrzebie jest stypa. Charakterystyczną cechą gruzińskich pogrzebów jest to, że z reguły uczestniczy w nich znacznie więcej osób niż w Polsce. To samo zresztą dotyczy wesel.

– **W Polsce ostatnio więcej niż kiedyś mówi się o homoseksualnych związkach. A w Gruzji?**

– Homoseksualiści, jako temat, nie istnieją. Parada gejów w Gruzji byłaby nie do pomyślenia. Tajemnicą poliszynela jest to, że ta lub tamta osoba ma inną orientację seksualną. Ale żeby robić z tego sprawę publiczną? Nigdy.

– **A które społeczeństwo, polskie czy gruzińskie, jest – pana zdaniem – tak na co dzień bardziej tolerancyjne?**

– To zależy o jakiej sferze myślimy. Jeśli chodzi o tolerancję religijną, to u nas – jak sądzę – chyba jest trochę większa. W Gruzji dominuje prawosławie. Są jednak też muzułmanie, Żydzi, katolicy. Nigdy jednak nie było konfliktów na tle religijnym czy pogromów. W starym centrum Tbilisi w niewielkiej odległości od siebie stoją i są czynne prawosławna cerkiew, katolicka katedra, synagoga, meczet. Od katedry do synagogi jest może 50 metrów. Są też oczywiście w Gruzji ateści. Kwestie światopoglądowe nie są jednak powodem do waśni.

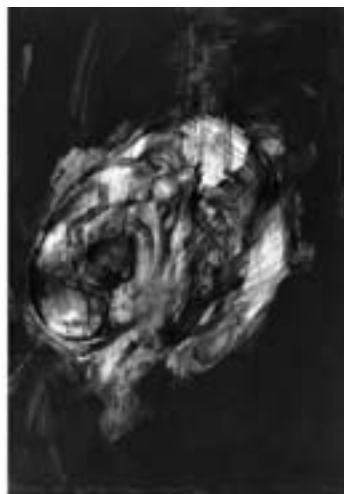
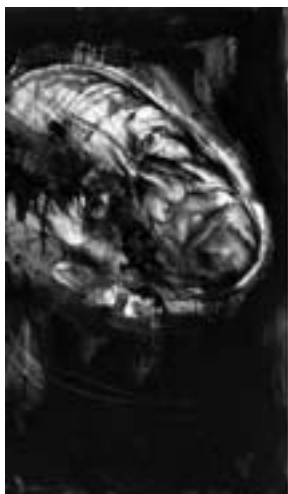
– **Teraz w Gruzji jest bardzo skomplikowana sytuacja. Jak reagowali polscy znajomi, kiedy zaczęła się w pana kraju gruzińsko-rosyjska wojna?**

– Dzwonili, pytali. Niektórzy mówili, że jeśli ktoś z moich gruzińskich przyjaciół zechciałby przyjechać do Polski, to mu pomogą. To było budujące.

– **Trudno być daleko od ojczyzny w takich chwilach...**

– Na pewno. Jak zaczął się konflikt, sami siebie pytaliśmy, czy nie powinniśmy być teraz w Gruzji. Tu byliśmy bezpieczni, ale tam zostali bliscy. Gdy media doniosły o wojnie, nie mogliśmy odejść od telewizora. Śledziliśmy wiadomości w internecie. Dzwoniliśmy do rodziny i znajomych w ojczyźnie. Ta wojna to jednak temat na osobną rozmowę.

– **Dziękuję.**



Próba wypośrodkowania

Na pierwszy rzut oka wygląd zewnętrzny
Mam iście ludzki tylko od wewnątrz wychodzi
Ze mnie niehumanitarne jakieś ja-nie-ja
A to już wygląda znacznie gorzej niż
To jaki wygląd ma we mnie ten i ów
Albo niżbym miał spojrzeć
Na siebie drugim
Kto wie czy nie
Okiem a może i
Trzecim jeśli-
Bym takie posiadał

Wzgórze

Wzgórze jakiegokolwiek jest
Jest tylko jakimś kaprysem górotworu który
Chociaż nie zrzęcił nawet po jakimś geologicznym
Grymasie lądolodu wciąż nachodzi parowem
Namokłą zewsząd nieckę jakimś
Płaskowyżem stąd
To jego ciągle
Wypiętrzenia

Moja prywatność

Moja prywatność wychodzi ze skóry
Jest kompromitowana Szufiadowana Lustrowana
Oraz przekazywana
Z języka
Na język

Przypisano jej nawet dane personalne oraz
Jakieś kamuflaże
I alienacje

Także związki wcześniej
Niebyłe

To nic
Że przez dziurkę od klucza
Zza firanki albo
Z drugiej ręki

Moja prywatność nie od wczoraj
Dzieje się na oczach sąsiadów
I zupełnie obcych mi ludzi

Skądinąd kwestionowana
Inwigilowana
Wytykana

Wbrew pozorom
Miewa jednak więcej zagorzałych zwolenników
Aniżeli zaprzysięgłych przeciwników

Upubliczniana
Nie ma racji bytu

Powszechnieje

Ciążenie wód gruntowych

Nie mam nic przeciwko dzisiejszej pogodzie
Ale czemu zawsze ja muszę czerpać szufelką
Do wiadra podsiąkającą zewsząd wodę, która
I tak zaraz wraca ze zdwojoną wręcz energią
Że ani przejść suchą stopą do zlewu pieca czy też
lodówki
Aby się choć posilić albo wytchnąć nieco przy
stole
W kuchni przed następnym siąkaniem posadzki
Chyba nie tylko ze względu
Na położenie topograficzne

Zwykle ciążenie wód gruntowych, mówisz
Posiłkując zdanie jednym
Z praw fizyki, że
Co się odsączy
To znów
Naciecze

Polak, który nie udaje Greka

Rozmowę z dr. Nikosem Chadzinikolau, wybitnym poetą, tłumaczem i historykiem literatury, przeprowadził Alfred Siatecki

- **Kim pan jest: Grekiem czy Polakiem?**
- Polakiem na pewno z wyboru, a Grekiem z urodzenia.
- **A kim bardziej pan się czuje?**
- To zależy od miejsca, w którym przebywam. Gdy oglądam transmisję z meczu piłki nożnej, to trzymam stronę lepszej drużyny. Wtedy staram się być obiektywny. Polska jest mi bardzo droga. I Grecja też jest mi bardzo droga. To dwa kraje na świecie, które kocham szczerze. Inne podziwiam, ale one się nie liczą, a znam prawie całą Europę i Azję.
- **Gdzie spoczną pańskie kości?**
- W Polsce. Tu jest moja żona, dzieci, wnuki. Dzięki Polsce i Polakom osiągnąłem wszystko, co mam.
- **Urodził się pan w północnej Grecji, zwanej Macedonią Grecką. W oficjalnym życiorysie natknąłem się na informację, że rodzina pana „wywodzi się z Delf”.**
- Taką informację przekazał mi mój ojciec, który znalazł się w północnej Grecji. Staralem się potwierdzić to pochodzenie. I udało mi się odnaleźć bliską rodzinę, która powtórzyła to, czego dowiedziałem się od ojca.
- **W 1951 r. znalazł się pan w Polsce. Dlaczego tu, a nie w innym kraju?**
- Pod koniec lat 40. dwudziestego wieku trwała wojna domowa w Grecji. W jej wyniku wielu Greków musiało emigrować. Pierwszym krajem, który udzielił nam schronienia, była ówczesna Jugosławia. Dopiero stamtąd moi rodacy jechali w nieznaną: do Czech, Rosji, na Węgry, do Polski.
- **Polskę wybrał pan świadomie czy przez przypadek?**
- Stało się to po rozmowie z wybitnym pisarzem serbskim Ivo Andrićem.
- **Jak to było możliwe, że grecki chłopiec rozmawiał z przyszłym noblistą?**
- Duża grupa emigrantów z Grecji przebywała w monasterze. Tam przyjechał Andrić, żeby wyjaśnić, co nas czeka w Europie. Moja mama pogodziła się z tym, że możemy nie wrócić do ojczystego domu, dlatego poprosiła Ivo Andrića o podpowiedź, gdzie najmniej będę cierpieć z powodu utraty rodziny. Moje zdanie na temat przyszłości nie miało większego znaczenia, bo przecież nie znałem żadnego z krajów, które były gotowe dać schronienie emigrantom z Grecji. W wyborze pomógł mi Ivo Andrić, proponując wyjazd do Polski. Znał kraj nad Wisłą, gdyż studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.
- **Najpierw były Police koło Szczecina, liceum i szkoła muzyczna, a potem studia w Poznaniu. Dlaczego wybrał pan polonistykę, a nie na przykład historię sztuki czy filologię grecką?**
- Uważam, że na wybór polonistyki, a nie muzyki czy filologii greckiej, miało wpływ moje zainteresowanie literaturą. Chciałem jak najwięcej wiedzieć o języku polskim, historii literatury, jej związkach z kulturą europejską i światową. Już wtedy zacząłem pisać wiersze. Pierwszy zbiorek poetycki ukazał się w 1961, miałem wtedy 26 lat. Rok wcześniej wyszła drukiem moja praca *Hellenizm w poezji Leopolda Staffa*.
- **Napisał pan rozprawę naukową i otrzymał stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie polonistyki. To chyba rzadkie osiągnięcie w naszym kraju?**
- Tak. Dziś sądzę, że gdybym zaraz po ukończeniu studiów bardziej skupił się na nauce, a mniej na własnej twórczości poetyckiej i prozatorskiej, uzyskałbym dużo więcej. Dopiero niedawno zrozumiałem, że za późno wziąłem się za naukowe rozważania.

- **Chociaż za późno, to chyba nikt nie zrobił tyle w upowszechnianiu literatury greckiej w Polsce i polskiej w Grecji. Krytyk Leszek Żuliński powiedział: „Tak jak my daliśmy Anglii Conrada, jak Anglia dała Grecji Byrona, tak Grecja dała Polsce Nikosa Chadzinikolau”.**
- To miłe, że polski krytyk literacki tak uważa. Jednak jest mi trochę smutno, a to dlatego, że nie ma jeszcze kogoś, z kim mógłbym rywalizować w tym, co pan określił jako upowszechnianie literatury polskiej w Grecji i greckiej w Polsce. Na tym polu jestem samotnikiem. Nie oznacza to, że w Polsce nie ma osób znających język grecki. Takie osoby są, tyle że w niewielkim zakresie zajmują się przekładami literackimi. Niedawno byłem w ambasadzie na spotkaniu, gdzie prezentowali się młodzi tłumacze języka greckiego (może lepiej powiedzieć: kandydaci na tłumaczy). Wróciłem do Poznania zasmucony, bo ci młodzi ludzie mają ochotę na tłumaczenie, ale robią to pobieżnie, ponieważ ani nie mają doświadczenia translatorskiego, ani jeszcze nie nabyli umiejętności językowych. Oni uczyli się języka greckiego na studiach. Teraz powinni przejść praktykę, najlepiej w środowisku greckim. Z drugiej strony jestem im wdzięczny za zainteresowanie kulturą grecką.
- **Literaturę można tłumaczyć dosłownie. Można przekładom nadawać inne znaczenie. Można też je spolszczać. Która metoda jest najlepsza?**
- Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć wprost. Ja staram się przekładać utwory tak, żeby nie straciły one swego znaczenia i były zrozumiałe przez osoby czytające. Ponieważ tłumaczę bez pośrednictwa innego języka: angielskiego czy francuskiego, swoje przekłady tak z języka starogreckiego, jak i nowogreckiego uważam za oddające myśli autorów. Tłumacz powinien być rywalem autora, ale nie poprawiaczem jego utworów.
- **Dzieła autorów starogreckich są obecne w polskich szkołach. Czy Polacy interesują się literaturą nowogrecką?**
- Moje przekłady książek autorów greckich, które ostatnio ukazały się w Polsce, natychmiast zniknęły z półek księgarskich. *Grek Zorba* Nikosa Kazantzakisa miał osiem wydań, sprzedano półtora miliona egzemplarzy tej powieści. Nie jest obcy Polakom Konstantyn Kavafis jako współtwórca poezji nowożytnej. Części Polaków znana jest powieść Emmanuela Roidisa *Papież Joanna*.
- **A czy Grecy interesują się polską literaturą?**
- Do najbardziej znanych polskich autorów w Grecji należą Sienkiewicz, Gombrowicz, oczywiście nobliści Miłosz (więcej) i Szymborska (mniej). W maju jedno z wydawnictw ateńskich zwróciło się do mnie z pytaniem: czy przetłumaczę coś Sapkowskiego o Wiedźminie. Przetłumaczyłem wiersze Staffa i pojedyncze utwory autorów młodszego pokolenia. Grecy mówią, że polska poezja jest interesująca.
- **Ponownie tłumaczy pan utwory starogreckie, które dawno ukazały się po polsku. Czy to ma sens?**
- Dostałem list od nauczycielki z Gorzowa. Polonistka twierdzi, że po raz pierwszy w jej karierze pedagogicznej uczniowie nie tylko przeczytali *Antygonę*, ale i ją zrozumieli. Mowa o *Antygonie* w moim tłumaczeniu. Dotychczas utwory starogreckie ukazywały się w przekładzie na polski za pośrednictwem innych języków. Najczęściej tłumaczyli je naukowcy, którzy znali język grecki ze studiów i książek. Nie byli to poeci. Moim zdaniem najlepszym tłumaczem poezji jest poeta, który zna oba języki, zna kultury obu narodów, zna historię... O tym, jakie jest zainteresowanie nowymi przekładami klasyki greckiej świadczy to, że wspomniana tu *Antygoną* miała już trzy wydania. Po trzy wydania mają moje przekłady *Elektry* i *Króla Edypa*. Tłumacząc *Iliadę* na polski starałem się oddać to, co było cechą języka starogreckiego, czyli jego melodyjność, rytmiczność, na co nie zwrócił uwagi poprzedni tłumacz.
- **Nad czym pan dziś pracuje?**
- Poznańskie wydawnictwo Zysk przygotowuje serię grecką. Jeszcze dokładnie nie wiem, ile ukaze się tomów, na początek wydawnictwo chce wydać 17 książek. Jeśli będzie duże zainteresowanie czytelników, postaram się przygotować tyle tytułów, ile zechce wydać Zysk. Część będzie z moim udziałem, część z udziałem mojego syna Aresa, który jest znakomitym znawcą kultury greckiej.
- **Wybitny znawca kultury starożytnej prof. Aleksander Krawczuk powiedział, że „od Nikosa Chadzinikolau zaczęła się wiosna grecka w Polsce”. A co powiedziała o panu minister kultury Grecji Melina Merkuri?**
- „Szczęśliwe kraje, Polska i Grecja, że mają takiego ambasadora.”
- **Dziękuję za rozmowę.**

Sześćdziesiąt lat greckiej emigracji

Tragiczna wojna domowa trwająca w Grecji w latach 1946-1949 spowodowała znaczne zniszczenia kraju, uwięzienie dziesiątek tysięcy osób oraz sporą emigrację zagrożonych rodzin do ówczesnych krajów demokracji ludowej, w tym do Polski.

Jak pisze dr Mieczysław Wojecki¹, napływ uchodźców zapoczątkował przyjazd 500 dzieci greckich i macedońskich we wrześniu i październiku 1948 r. Pod koniec 1954 r. w Polsce przebywało już 3.600 dzieci z Grecji, w wieku szkolnym, głównie ze stref przyfrontowych. Do 1956 r. znalazło się w naszym kraju ponad 13 tys. osób, z czego prawie 830 w ramach łączenia rodzin.

Największa grupa dotarła do Polski drogą morską z Albanii przez Morze Śródziemne i porty w Gdańsku, Kołobrzegu, Szczecinie oraz Świnoujściu. Stamtąd kierowano przybyszów do ośrodków uzdrowiskowych (Duszniki Zdrój, Międzygórze), a potem dalej do Zgorzelca i innych miejscowości.

Uruchamiano tzw. Państwowe Ośrodki Wychowawcze. Przebywały w nich najpierw dzieci, potem grupowano tam też ich rodziców, ludzi starych, inwalidów.

We wrześniu 1949 r. władze postanowiły utworzyć w kompleksach koszarowych Zgorzelca centralny ośrodek wychowawczy składający się z 14 domów dziecka i 5 tzw. rejonów. W ośrodku zlokalizowano też szkołę podstawową, zawodową, liceum pedagogiczne, przedszkole, szpital i różne warsztaty oraz zakłady usługowe.

Ośrodki te nie funkcjonowały jednak zbyt długo, bo już latem 1951 r. przejęło je wojsko. Po wakacjach

tego roku większość pomieszczeń uruchomiono w nowo zorganizowanym POW w Policach, przygotowano także 10 ośrodków i domów dziecka na Dolnym Śląsku. Z czasem, gdy rodzice osiągnęli pewien poziom stabilizacji życiowej, stopniowo kierowano do nich dzieci, doprowadzając do łączenia rodzin. Część wyjechała za granicę, inni w miarę upływu czasu stabilizowali swoją sytuację.

W województwie zielonogórskim uchodźców zatrudniono w gospodarstwach rolnych, w powiatach: żarskim, żagańskim, szprotawskim, kożuchowskim. Później podjęto próbę zorganizowania w okolicach Ustrzyk Dolnych, w Krościenku spółdzielni rolniczej „Nowe Życie”. Jej członkami byli przesiedleńcy z Dolnego Śląska. Teren był wolny po wymianie z ZSRR, ok. 480 km² powierzchni przygranicznej. Bez wchodzenia w przyczyny, można powiedzieć, że eksperyment ten się nie udał. Takiego też zdania był mój przyjaciel Grek Christos Andoniadis. W biuletynie nr 11 Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej opublikowane zostały jego wspomnienia związane z pierwszymi latami pobytu na Ziemi Lubuskiej. Pisał, że Greków ze Zgorzelca kierowano także do pracy w hutach szkła w Kunicach i Wymiarkach oraz państwowych gospodarstwach rolnych w Lasocinie, Drwalewicach i Sokołowie. On sam rozpoczął pracę w LZAE „Mera-Lumel”. Próbował skupić Greków w Związku Uchodźców Politycznych im. Nikosa Belojanisa. Pierwsze zebranie zorganizował w roku 1954, a 3 maja 1960 r. Oddział został zarejestrowany pod nr. 56 w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zielonej Górze.

¹ Wybitny znawca problematyki greckiej w regionie lubuskim i w kraju; autor pracy *Uchodźcy polityczni z Grecji w Polsce w latach 1948-1975*. Pracownik naukowy PWSZ w Sulechowie.

Andoniadis przez 12 lat prowadził naukę greki² dla dzieci greckich, ale i dorosłych mieszkańców naszego miasta. Wspominał też, że oddział lubuski należał do najaktywniejszych w kraju. Wraz z innymi, osiemnastoma osobami, uczestniczył w pierwszym zebraniu organizacyjnym Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej 6 marca 1981 r.

W roku 1984, w nowej sytuacji politycznej wraz z Janisem Siderisem przekształcił Związek Uchodźców Politycznych w Towarzystwo Greków w Polsce.

Wielokrotnie się z nim spotykałem. Dużo rozmawialiśmy. Mówiliśmy o jego dwóch ojczyznach. Ta pierwsza – Grecja – była daleka od jego wyobrażeń, walczył, by ją zmienić. Druga – Polska – przyjęła go ze względów humanitarnych i ideowych. Okazało się, że marzenia odbiegają od realiów. Po 1974 r. w wyniku obalenia rządów pułkowników, nowi przywódcy Grecji (K. Karamanlis, a potem A. Papandreu) umożliwili powrót do kraju dawnym przeciwnikom. Andoniadis załadował swój skromny dobytek do pociągu. Gdy dotarł do Hellady, okazało się, że na prowincji jest wciąż prześladowany. Nie wytrzymał tamtej atmosfery. Wrócił przybity, a tu była już inna Polska. Wkrótce zmarł (30.11.1997 r.). Jakże bolesna jest tęsknota za porzuconą ojczyzną, ale jeszcze większy jest ból, gdy okazuje się, że ta ojczyzna, nijak nie przystaje do marzeń. Nie ma wówczas ani powrotu, ani pozostania.

Z czasem następowało rozproszenie młodego pokolenia emigrantów. Decydowało o tym np. podjęcie nauki i studiów, zawarcie związków małżeńskich, możliwość uzyskania pracy, awansu i mieszkania. Po przeprowadzeniu nowego podziału administracyjnego w roku 1975 okazało się, że ludność grecka i macedońska mieszka w 23 województwach. Migracja wewnętrzna i podniesienie się poziomu wykształcenia spowodowały, że w 1975 r. na 7.700 emigrantów ponad 64% było zatrudnionych w przemyśle.

Po upływie lat perspektywa powrotu do ojczyzny nie przybliżała się. Znaczna część emigrantów rozumiała, że należy nauczyć się współżyć z Polakami, zadbać o wykształcenie młodzieży i poprawę warunków życiowych. Wyraźne podniesienie poziomu edukacji stało się możliwe zarówno dzięki zorganizowanemu systemowi państwowemu, jak i rosnącemu zrozumieniu przez młode pokolenie potrzeby kształcenia się.

Stopniowo wielu Greków (mniej Macedończyków, bo ci częściej wracali do Grecji lub Jugosławii) zawiązką „zrekompensowało” koszty administracyjne, finansowe i humanitarne poniesione przez Polskę. Mamy na to wiele przykładów. Oto Nikos Chadzinikolau absolwent Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, poeta, nauczyciel języka polskiego, tłumacz powieści autorów greckich wraz z synem organizował w Zielonej Górze wieczory poezji i muzyki greckiej. Jest autorem m.in. dzieła *Literatura nowogrecka 1453–1983*. Powszechnie znana piosenkarka, Dzoka Eleni, przez wiele lat związana z zespołem „Prometeusz” nagrała w Polsce wiele płyt. Wśród zasłużonych Greków znajduje się także słynny tenor, Paulos Raptis, absolwent PWSM w Poznaniu, laureat konkursów międzynarodowych. Są i inni: Michalis Vios – inżynier mechanik, wynalazca syreny ultradźwiękowej, Nikos Sarafakis – wybitny konstruktor statków, Telemach Pilitsidis – absolwent PWSSP w Krakowie, artysta malarz zamieszkały w Głogowie, Kostas Dzokos – absolwent Politechniki Szczecińskiej, kierownik zespołu muzycznego „Prometeusz”, Antonias Zogas – ongiś główny konstruktor Fabryki Maszyn Budowlanych w Jasieniu, Jannis Sideris – inżynier, elektronik, pracownik dziś nieistniejącej Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego, właściciel firmy elektronicznej, Kole Simiczijew – wybitny językoznawca, Tasios Kiriazopoulos – artysta plastyk, specjalizujący się w szkłe artystycznym. Dimitrios Gargolis był znanym lekarzem weterynarii w Brodach. Jakże nie wymienić Stathisa Jeropoulusa – malarza twórcy z zakresu wzornictwa i mody, Iliasa Wrazasa – piosenkarza, muzyka i naukowca, wykładowcy zielonogórskiej WSP, później uczelni wrocławskich. W tej samej, muzycznej branży do dziś prezentuje się Nikos Rusketos, który pełnił do niedawna funkcję radnego Zgorzelca. Znaczny dorobek artystyczny na skalę krajową osiągnęły zespoły „Orfeusz”, „Meltemi” (Szczecin), „Kwiat Akropolu”, „Hellen” „Prometeusz” (Zgorzelec). Powszechnie znany jest motyw muzyczny i taniec z filmu *Greki Zorba* czy piosenki *Dzieci Pireusu i Akropolis*. W Zgorzelcu od r. 1998 organizowany jest coroczny Ogólnopolski Festiwal Piosenki Greckiej, natomiast w Zielonej Górze, w latach 1997-2001, odbywały się w Filharmonii, Bibliotece im. C. Norwida, Palmiarni, tawernie Akropol koncerty muzyki greckiej.

2 Od 1976 r. nowoczesna odmiana języka greckiego (dimotiki).



III Zjazd sprawozdawczo-wyborczy TPPG, 8.06.1991

Mijają lata. Dziś znacznie zmniejszyła się liczebność emigrantów z południa Europy do Polski i Zielonej Góry. Na zorganizowanej 13 maja 1999 r. w WiMBP w Zielonej Górze konferencji poświęconej mniejszościom narodowym w Lubuskiem dr Mieczysław Wojecki podał, że jeszcze w r. 1988 Grecy mieszkali w 7 wsiach i 11 miastach. W końcu 1999 r. pozostało 38 rodzin greckich, w tym 35 małżeństw mieszanych. Rodziny te liczyły ok. 120 osób. Osobiście znam już tylko czterech Greków.

Oto rezultat wieloletniej integracji, wyjazdów do Grecji i Jugosławii i kojarzenia małżeństw grecko-polskich. Wkrótce problem będzie miał wymiar zaszczości historycznej.

Tymczasem, głównie w latach 80., Grecja stała się czasowym lub stałym miejscem zamieszkania dziesiątek tysięcy Polaków. Dziś, jak ocenia dr Wojecki, polonia grecka liczy ok. 40 tys. osób. Cóż za niespodzianki historii!

Jaka też sposobność do wzajemnego poznania i czerpania z najprzedniejszych wzorców!

TOWARZYSTWO PRZYJAŹNI POLSKO-GRECKIEJ

Grecy zawsze cieszyli się sympatią Polaków. Ich obecność w naszym kraju spotkała się ze zrozumieniem; interesowała nas ich historia, obyczajowość, literatura. Nic dziwnego zatem, że w Warszawie, Szczecinie, Poznaniu, Wrocławiu i Krakowie próbowano sformalizować więzi łączące Polaków z greckimi gośćmi w struktury organizacyjne. Najpełniej taka inicjatywa rozkwitła w Zielonej Górze.

6 listopada 1981 r. zarejestrowane zostało Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Greckiej. Rejestracja stowarzyszenia z siedzibą Zarządu Głównego w naszym mieście była ewenementem. W ciągu 27 lat nie brakło prób usytuowania kierownictwa

Towarzystwa w innych, centralnie położonych miastach. Ostatecznie pozostało jak na początku.

W pierwszych latach istnienia, praktycznemu działaniu, towarzyszyło dużo emocji. Świadczyły o tym np. przebiegi I i II Zjazdu Sprawozdawczo-Wyborczego. Emocje związane z programem demokracji wewnątrzstowarzyszeniowej, składu władz sięgały wysokich temperatur. W latach 80. Towarzystwo otrzymywało znaczne dotacje ze Związku Towarzystw Przyjaźni z Narodami. Sięgano po środki miejskie i wojewódzkie, kasy sponsorów i członkowskie składki.

Te ostatnie nie były małe, wzięwszy pod uwagę, że w połowie lat 80. funkcjonowało 12 oddziałów z liczbą ok. 5.000 członków.

Pierwszym prezesem został Mieczysław Wojecki, wówczas nauczyciel historii w Lubsku. Wraz z nim pracowali: Michał Horowicz, Ryszard Kuczer, Ryszard Stawiński, Alfred Chwastyk. W dwa lata później na I Zjeździe, który odbył się w WiMBP, przewodnictwo objął wybitny lubuszanin Henryk Stawski ówczesny członek Rady Państwa, poseł, przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej. Z sympatią wspominał Donatę Wolską, Andrzeja Lewalskiego, Stefana Michałowskiego, Alicję Walugę, Józefa Grabowego, Marię Serwik, Teresę Jasiunas. Mieczysław Wojecki i Alfred Chwastyk wspierali Stawskiego, pełniąc funkcje wiceprzewodniczących. Sekretarzem generalnym został Michał Horowicz, publicysta. Pełnił tę funkcję z prawdziwą pasją. Po nim przez szereg lat funkcję tę sprawował Józef Głodek, nauczyciel, a potem Edward Siedlecki, przedsiębiorca i działacz kulturalny. Wojecki powtórnie został prezesem, wybrany na II Zjeździe. Po 1988 r. z powodzeniem zastąpił go wielki humanista – Alfred Chwastyk. Rola obu prezesów była bardzo duża, nie do przecenienia.

W zielonogórskim oddziale wysokie noty mogły wystawić prezesowi Longinowi Wojciechowi, nauczycielowi i działaczowi oświatowemu. Jest on niezrównanym pilotem wycieczek do Grecji.

Po śmierci A. Chwastyka przyszło mi pełnić funkcję prezesa, co też czynię od 17 listopada 1997 r. Był i jest to bardzo trudny okres dla działań stowarzyszenia. Dotacje ustały niemal całkowicie, liczba członków zdecydowanie spadła, sponsorzy (poza PUO „TESE”, PSB „ELADO”, „Grek Company”) znaleźli inne, ważniejsze dla nich cele. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna przez wiele lat wspierająca w różnych formach naszą działalność nie jest

w stanie dźwigać coraz poważniejszych obciążeń. Z oczywistych względów zmalała rola Towarzystwa w organizacji wyjazdów. Wciąż natomiast wdziercznym obszarem naszego działania są szkoły. Tworzone są w nich „kluby Europejczyka”, które często organizują dni poświęcone Grecji (pieśni, tańce, mity, kuchnia). Dzięki osobistemu udziałowi w tych imprezach przekonałem się o wysokim poziomie wiedzy uczestników o starożytnej i współczesnej Helladzie. Wyższa Szkoła Administracji w Sulechowie zorganizowała w latach 2002 i 2008 wystawy o tym kraju.

Największe przedsięwzięcia podejmowane przez stowarzyszenie to przede wszystkim Dni Kultury Greckiej – imprezy o charakterze ogólnopolskim zorganizowane w naszym mieście w latach 1984, 1999 i 2000, w Łodzi od 1986 szesnaście razy, Kielcach (1988), Szczecinie (1987), Wrocławiu (1989). Wymienić tu należy centralne i regionalne obchody święta odzyskania niepodległości Grecji (25.03). Odbłyły się one w Krakowie (1986), Warszawie (1987), Poznaniu (1988), Słupsku (1989) i Zielonej Górze (1997–2001). Warto także wspomnieć wieczornice, sesje popularno-naukowe, koncerty i recitale muzyki greckiej, wieczory poezji. Zanim rozpoczęła się turystyka bezwizyjowa organizowaliśmy wiele wycieczek do Hellady.

WCZORAJ I JUTRO

Chciałbym zakończyć powyższe rozważania kilkoma uwagami

Z tego, co zdarzyło się w ciągu 60 lat powinniśmy wyciągać wnioski do budowania dzisiejszego ładu, powszechnej wzajemnej współpracy gospodarczej i kulturalnej. Tak też postrzega swoją rolę działające od ponad 26 lat Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Greckiej. Nie może ono być upatrywane jako grecki koń trojański, chyba że mamy na myśli kulinaria. Dziś w Zielonej Górze w Akropolu można posmakować pytagyros, zjeść suvlaki, podlane sosem tzatziki. Kuchnia grecka pachnie czosnkiem, oregano i majerankiem. Jej kucharze są mistrzami w przyrządzaniu potraw z owoców morza. Uwieńczeniem uczt greckiej może być baklava, czyli polewane syropem ciasteczka z miodem i orzechami oraz zaparzana w specjalnym tygielku mocna i słodka kawa po grecku. Warto też wiedzieć, że pod Akroplem nie podaje się ryby po grecku według receptury stosowanej w Polsce, ale za to grecka sałatka jest



Władze wybrane na VI Zjeździe TPPG, Zielona Góra 26.04.2003

autentyczna. Tak przynajmniej twierdzi Mieczysław Wojecki. Wtórują mu inni, jak Longin Wojciech i Krzysztof Wesołowski, Danuta Wolska (tłumaczka poezji greckiej), Andrzej Lewalski (muzyk, znawca problemów cypryjskich).

Dziś Grecja dała się wyprzedzić wielu innym dynamicznym narodom. Jednakże każda moja wizyta u nich potwierdza, że w zunifikowanej Europie jest miejsce na pamięć o własnym wkładzie w rozwój cywilizacji. Grekom sprzyja nie tylko wyjątkowa historia, wspaniała przyroda, ale i cechy charakteru zjednujące innych ludzi. Miałem okazję tego zaznać również dzięki poznaniu Greków i Macedończyków – mieszkańców północnej Grecji, którzy swoje losy związali z Polską. Niech im sprzyjają wszystkie znaki Zodiaku.

Literatura

- Bednarski M., *Język nowogrecki*, Wyd. Uniwersytet Jagielloński, Kraków 1985.
- Biuletyny i sprawozdania, ZG TPPG.
- Chadzinikolau N., *Aforyzmy Greków*. Wyd. ABOS Poznań 1991.
- Chadzinikolau N., *Literatura nowogrecka 1453-1983*, PWN Warszawa-Poznań 1985.
- *Mniejszości narodowe na Ziemi Lubuskiej po 1945 r.*, pod red. M. Fic i M. Wojeckiego, WSP Zielona Góra 1999.
- Strasburger J., *Poeci Nowej Grecji*, Wyd. Czytelnik – Warszawa 1987.
- Strasburger J., *Słownik pisarzy nowogreckich*. Wiedza Powszechna, Warszawa 1995.
- Szewczyk J., *Dwadzieścia lat*. Wyd. Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej, Zielona Góra 2001.
- Szewczyk J., *Piętnaście lat*. Wyd. Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej, Zielona Góra 1997.
- Wojecki M., *Grecja kolebką europejskiej cywilizacji*, ZG TPPPG, Zielona Góra 2004.
- Wojecki M., *Polacy i Grecy: związki serdeczne*. Dziennikarska Oficyna Wydawnicza „Przymat”, Wolsztyn 1999.
- Wojecki M., *Uchodźcy polityczni z Grecji w Polsce 1948-1975*. Wyd. Karkonoskie Towarzystwo Naukowe, Jelenia Góra 1989.
- *Współczesna grafika grecka* [katalog], oprac. E. Hounta, D. Folga-Januszewska, Wyd. Muzeum Narodowe, Warszawa 1988.

Wiersze poetów greckich

Jorgos Seferis

Dźwięki

Ten dom zapełnił się dźwiękami,
które jak zadyszane zegary uderzają
arytmicznie. I te lata,
w których żyjemy, gdy one biją
i gdy milczą,
bo nie mają nic do powiedzenia.

Coś niecoś usłyszałem w P i l i o,
gdy pośród nocy
upadła z krzykiem wskazówka.
Lecz ten liść
przeznaczenia, kiedy go znaleźliśmy
nas poznał i was poznał
tych z północy

i tych śniadych z południa,
którzy mają ciała bez mądrości
i którzy krzyczą tak, jak cierpią

I ja cierpię i wy cierpicie
nikt nas nie zawoła, przędą
w milczeniu, dlaczego

mechanizm jest przyspieszony
w szczęściu i w pogardzie
w życiu i śmierci?

Ten dom zapełnił się dźwiękami.

Żal

Piszę do ciebie z okna
na samym wstępie morza
maczam pióro w falach,
dlatego słowa są tak błękitne
morze mi podpowiedziało
więc posypałem list piaskiem
wtedy papier nasycił się słowami,
lecz sól jest taka gorzka, dlatego
zasłoniłem okno niebieskimi powiekami
uśmiech odwrócił się ode mnie
nie cierpiał mojej melancholii

Mój mały przyjacielu
tylko morskie ptaki jeszcze tańczą
skały naokoło poszarpały niebo,
Słońce, jak tylko opatrzyło nasze ręce
zamarło w geście pożegnania,
lecz plaża jest jeszcze ciepła od serc
gdzieniegdzie pozostawionych, śladów stóp
jak motyle, muszli, jeszcze lśni
uroda brzegu morza
jak drogocenny naszyjnik na twojej szyi.

Mój mały przyjacielu
piszę do ciebie z niebieskiego okna
gdzieś w A g i o, podsluchując
o czym szepcze morze i wiatr.

Śpiew syreny

Słucham, jak śpiewają syreny na morzu,
płaczą nad przemijaniem i kresem miłości,
marząc o lądzie, na którym będą wolne

Ich jedynym towarzystwem są szczątki
marynarskich żądź i lęków
zamkniętych na wieki w dłoni horyzontu

Zmierzch wystrojony w zamglone światła
senne skały opadają na oczy
nadchodzi noc i zatrzymuje wszelkie prace

W świecie Neptuna o twarzy szatana
ciemność brata się z bezgwiezdnym niebem
i hula do brzasku dnia

Słyszę ten płacz stamtąd
gdzie nikt nie żyje bez grzechu
bezlitośnie okradając nasze dusze

Buty

Kto usunął ludzi
z tych ulic

Pozostały tylko ślady butów
które odcisnęły niezatarte piętno
na ruchliwych chodnikach
Prowadzą do przejścia dla pieszych
tam zatrzymują się na światłach
a potem kierują w stronę miasta stuk – stuk
stuk – stuk
i niepostrzeżenie znikają w tłumie
poplątanych języków

Szkoda, że nikt nic nie powiedział zawczasu

Pociągi pod specjalnym nadzorem

1. Czechy. Słowacja

Z czterech dni listopadowego wyjazdu do krajów wyszehradzkich ze słynnym na cały świat zespołem The Atelier Klezmer Company zapamiętałam pojedyncze słowa. Były to: Złoty Bażant, Pilsner, Staropramen, Kozel, próba, odsłuch, umowa, faktura, granie, dzob. Socjolekt polskich muzyków jazzowych. Bekstejdż. Zapamiętałam tylko pojedyncze



dźwięki skrzypiec, na których temat mogę powiedzieć tyle, że są fajne albo nefajne, przez co czułam się wykluczona ze społeczności i gryzłam paznokcie w kącie knajpy, zerkałam nerwowo na zegarek i macałam książkę w torbie, podczas gdy reszta analizowała aspekty wpływu zmiany tonacji na percepcję koncertu wśród słuchaczy oraz jakość kabli do odsłuchów.

Zapamiętałam także pojedyncze obrazy, różowo-żółte kurtki dziecięce przy słowackiej Billi, które znam z fotografii, na których nie mam żadnych atrybutów płci, a na świecie kruszą się resztki dawnego systemu; polscy chłopcy z Cieszyna w knajpianej dzielnicy Ostrawy w apogeum nocy; słowackie

chatki schowane w dolinach jak w odwróconych do góry nogami brzuchach; maleńkie czeskie znaki drogowe, urocze jak tamtejszy język; pani z noclegowni Pod Mostem analfabetycznym pismem wpisująca moje dane do rachunku i psiocząca: „byliście nieprzyjemni, nie dostaniecie zwrotu kaucji za klucz, jak małe dzieci, jak dzieci”.

W ponurej hotelowej scenografii, wśród soczystych landszaftów, przybrudzonych, grubo dzierganych firanek i masywnych kryształowych lamp, w słowackim mieście Koszyce Hibern powiedział: czy to nie jest jak z filmu? I właśnie z okazji filmu *Import /Eksport* przypominam sobie to wszystko. Jego bohaterowie wędrują między innymi po Koszycach, w krajobrazach wyszarpanych ze złęgo snu. Pojawiają się falangi cygańskich dzieci szturmujące samochód pełen cukierków – to też widziałam kiedyś na żywo, pamiętam je z Jassów, wykluwały się w rumuńskim słońcu z kurzu ulicy pod czterogwiazdkowym hotelem, gdzie co trzy godziny zmieniano mi ręcznik, a brzuchaci biznesmeni rzucali oplute serwetki na nietknięte tłuste kielbaski śniadaniowe, które wzięli sobie tylko dla utrzymania równowagi kolorystycznej talerza. Jeden mały, śniady chłopiec krzyczał na mnie „euro, euro”, po czym wręczył uroczyście obrazek Jezusa. Do dziś mam go w portfelu.

Nie wiem, czy warto właściwie pisać o tym filmie cokolwiek, bo wszystko jest tam wyłożone, wszystko zapętla się i odbija jak w lustrze. Z ukraińskiego dziecięcego oddziału szpitala główna bohaterka przechodzi do austriackiego domu starców, gdzie nikogo nie wolno dotykać, a udzielnieni pacjenci odmawiają modlitwy, wzywają swoje matki i recytują wiersze. Z kilku scen wychodzi się jak z lektury

Dziennika Niżyńskiego – nie wiadomo, czego się zapać, oto prawdziwy strach, oto z czego zrobiony jest człowiek. Ruscy i Jugole, łuszczące się przestrzenie, chorobliwy błękit szpitalnego korytarza. W swoim zбочeniu zrobiłam w kinie mnóstwo notatek, zanalizowałam i policzyłam, ile razy pojawia się motyw tańca i czy aby na pewno w przemyślanych momentach, ale myślę sobie, że nie ma co szukać w tym obrazie pretekstu do pisania. Boję się tylko, że czegoś z niego zapomnę. Nie pomoże nawet joga, na której – odziana w czerwone spodnie z pustym miejscem po guziku i przytrzymujący konstrukcję elegancki pas skórzany – prawie dziś pękłam. Prawie rozwarstwiłam się i urodziłam mięśnie brzucha. Narastająca fizyczność. Chór pękających włókien nerwowych, piano łamanych palców, forte kruszącego się kręgosłupa. Molowa gama zgrzytających zębów. Na końcu pulsująca cisza wnętrza własnej głowy. Gorąco polecam.

2. Kraków. Oświęcim

A wczoraj w minibusie do Oświęcimia chłopcy włoscy zaczynają zapraszać mnie do Florencji. Dużo klubów, wiele dyskotek, raj. Czy ty też jedziesz na ten grób? My jedziemy, bo mamy akurat wolny dzień, bilet dwa euro, chodźmy, chłopaki – powiedziałam rano.

Język włoski sypie się jak tanie koraliki dookoła nas. Smutna baba wiejska nie rozumie nic i patrzy w tylko sobie znaną dal. Wysiada na dworcu Oświęcim. Miasto to po wykonanym na szybko rekonesansie wprowadziło mnie w nastrój niebezpieczny. „Paluszki piwosza” zakupione w okolicznym sklepie ogólnospożywczym wśród czternastoletnich dupodajek nabywających papierosy. W drodze powrotnej prorockie spojrzenie kasjera PKP, który trzy minuty świdrował mnie wzrokiem, żebym wreszcie przestała oglądać szcztątkową tablicę odjazdów i zapytała go o zdanie, on przecież wszystko wie! Miasteczko puste i czyste jak z chorego snu, w którym wszyscy stojący po naszej stronie są zabici i zostali tylko nieliczni, kryjący się tu i ówdzie wrogowie. Wielkie fabryczne przestrzenie zmagające agrofobię, wykwit obwieszczających radosne informacje szyldów: artykuły metalowe hurt-detel, rajstopy ze srebrną nitką 4 zł, kebab, hamburger. Blond dyżurna ruchu PKP w klatce nad torami. Czas ma tutaj inną gęstość. Na spacerach z psami chodzi się pod obóz.

Dwaj ośmioletni chłopcy na trawie przy bramce wejściowej, zjadając batona („daj lajona” „ljoną się mówi, ty głąbie”) mówią: ojezuu, ale fajne słońce. Rzeczywiście było piękne, nad nagą, wygoloną z budynków, ogromną przestrzenią. Zrobiłam mu zdjęcie.

A w muzeum bardzo mało myśli, maksymalnie jedna na minutę, i to niezbyt ciekawa. Kto to w ogóle wymyślił, jak można było na to wpaść, różne takie naiwne refleksje. Wielowiekowe zmagania narodu polskiego z ekspansją germańską. Kaleka składnia oficerów SS w surrealistycznych obwieszczaniach. Stać, bez ostrzeżenia będzie zastrzelony! Majdanek, Treblinka – co za śliczne zdrobnienia, jak nazwy dziecięcego pokoju. Gross Rosen jak nazwa perfum. Japończyk robiący swojemu minidziecku w czapce udającej głowę misia zdjęcie pod blokiem śmierci. Nagłe zagubienie w ekspozycji włoskiej, w oplatającej mnie serpentynie z wyptowiałymi zdjęciami i dreszcz, że stąd nie wyjdę. Zachwyty nad pięknem butów zabieranych z transportów. Inne niż wszystkie zdjęcie Marii Petrickiej z tyżką trzymaną w dłoni. Różne takie smaczki. Na parkingu pan ochroniarz gani mnie: ale



proszę przestać ziewać, tu się przecież nie ziewa.

Powrót do Krakowa. Galeria stoi, tramwaj jedzie, ludzie łażą, jak chcą, chowają się w tych wszystkich piwnicach, obwarzanki zapewne piękną się już w jakichś tylko im wiadomych miejscach. Podejrzany mężczyzna dotykając moich pleców szepcze „chodź na drinka”.

Świat istnieje.

3. Czechy. Katowice, Kraków, Wrocław, Gdańsk

Warszawa Ostrawa, Ostrawa Katowice, Katowice Kraków, Kraków Wrocław, Wrocław Gdańsk.

Piwo, wino, teatr, książka Stasiuka. Po Ostrawie mam tylko cztery brzydkie zdjęcia wykonane telefonem komórkowym, które przedstawiają kolejno: zamknięty sklep spożywczy, pusty i jakby nietknięty przystanek autobusowy, postępującą entropię fabryki czegoś, co kiedyś było opłacalne produkować i pusty dom z wybitymi szybami, pełen mebli i przegniłych dywanów. Właściwie wyszłam z ostrawskiego mieszkania tylko po to, żeby wypić kawę i doczytać tego Stasiuka, ale była sobota i miasto pogrążyło się w martwocie ostatecznej, były tylko dzwony w kościele naprzeciwko moich okien. Szłam więc przed siebie i nie mogłam uwierzyć, że istnieje tyle odcieni szarości i pochodnych jej kolorów, zbliżających się czasem do brązu, czasem do wyblakłej żółci. Albo w to, że idzie się nagle, wśród bloków albo kamienic



pojawia się pustka, wielkie powietrzne przestrzenie, dal i ruiny. I stworzył Bóg niebo i ziemię, i były one dobre. Szłam tak sobie i czułam się jak królowa przedmieścia z czerwoną torbą za 20 złotych i pomarańczowymi kolczykami za 10. Bo ludzie też byli wyblakli, wyblakłe, wyprane i wymyte włosy, wypłowiałe kurtki, pomadki cieliste i delikatnie różowe. Przystosowanie do środowiska. Przypomniała mi się serbsko-chorwacka dziewczyna poznana w pociągu eurocity, w różowej bluzce i z milionem bransoletek i nikt mnie już nie przekona, że ludzie są wszędzie tacy sami. „Wszystko tu jest dobre, tylko za zimno” – powiedziała o mojej ojczyźnie. W tymże samym pociągu, tylko w drugą stronę, wietnamska, mała jak wisienka matka szeptała dalekie modlitwy na ucho swojego drobnego jak pestka dziecka. Czułam się wielka i zobowiązana do rodzenia dużych, jasnych ludzi.

Potem dworzec w Katowicach jako antyteza pełnego zapiekank dworca Warszawa Centralna. Chorobliwe kamienice wśród których we łzach

podróżniczych popijałam czeski adwokat i wszyscy ludzie z psami patrzyli na mnie z ciekawością, bo miałam te wszystkie atrybuty i stygmaty, plecak, torbę, szalik i czapkę, ale też ze zrozumieniem, bo mentalność śląska jest inna niż północna – jak mądrze stwierdziła Marta Roszkopf. W pociągu do Krakowa młodzież katowicka snuje marzenia i domysły na temat knajp krakowskich. Jedziemy więc razem do lepszego świata, ja po premierze mojego zdolnego szefa, któremu tego nie powiedziałam, oni po dwóch piwach. Bilet kosztował mnie tyle, co kieliszek wina białego w kawiarni przy Teatrze Dramatycznym w stolicy. Działanie jego jest jednak dużo lepsze, mogłabym tak jechać i jechać. I jeszcze ten Stasiuk gdzieś na lotnisku w Stuttgartarcie. To za wiele. Trzeba było zostać w domu.

4. Niemcy

Od 24 godzin jestem w Polsce. Przez dwanaście jechałam pociągami na trasie Poczdam–Warszawa. Esesmani od początku uśmiechali się do mnie na granicach, których nie ma. Jechałam jak zwykle, żeby żyć sobie w trybie stand by, żeby widzieć wszystko w zbliżeniu milion pikseli, na przestrzał. Z nadzieją, że może kiedyś dokonam czegoś, przez co moje życie będzie wyglądało inaczej. Że jak pojedę gdzieś indziej, być może odkryję lepszy świat.

Wszystko więc jest na chwilę, przelotne. Kruche. W niczym nie uczestniczę. Nikt mnie nie potrzebuje i nic ode mnie nie chce. Moja relacja ze światem jest luźna. Odbywa się rytuał przekraczania i zdobywania, a czasownik POKONYWAĆ przestrzeń ma namacalne znaczenie. To jedyna forma walki o przetrwanie, kiedy nie ma właściwie o co i z kim się bić, bo wszystkiego jest nadmiar. Psy i wieśniacy gdzieś za Kustrin Kietz stoją na polu i patrzą hipnotycznie w pociągi widma, z szacunkiem i lekką obawą. Po co to, gdzie jedzie i dlaczego, czy tu na miejscu nie ma wszystkiego, co potrzeba?

Przemieszczam się ze Wschodu na Zachód i jest to dla mnie ogromna skala przeżycia. Do kraju, gdzie trawa jest zieleńsza, a biedronki mają więcej kropek, wybieram się robić stereotypy. Jak mały przemytnik. Jak złośliwa mucha. Johanna daje mi musli i wyjadam tylko rodzynki, daje Nutellę i jem, jakbym była z dżungli i widziała świat po raz pierwszy. Nie mogę się nadziwić prostym chodnikom. Zostawianiu roweru na ulicy bez fañcucha. Wszystko, co w moim

wyobrażeniu powinno być brudne, jest tu takie wystylizowane, a nie organicznie nieczyste, to jest jakaś zasada rządząca tym krajem – wszystko można zjeść bez mycia. Brud jest czysty. Wszędzie jestem mile widziana. Wszyscy chcą mi pomóc. Nikt na mnie nie krzyczy. Chce mi się wszystko.

O Niemczech wiedziałam tyle, co z relacji jakichś zasuszonych wspomnień rodziny, że za Odrą rozciąga się dobrobyt i szeroko pojęta zagranica. Dla mnie był to raczej film *Niebo nad Berlinem* zmieszany z *Dziećmi z Dworca Zoo* i nugatowe czekolady sprzedawane za ciężkie pieniądze na rynku na gdańskim Przymorzu. A teraz mam wrażenie, że to po prostu ciche, ładnie urządzone mieszkanie. Wszyscy chłopcy wydają się śliczni. Mówię tu wszystkimi językami świata, ludzi i aniołów. Potomkowie Krzyżaków śmieją się przy winie za 99 centów, że polski to chiński. W schnick schnack laden cały kosmos niepotrzebnych rzeczy, ale ani trochę nie budzi to mojego obrzydzenia. Słowa przyklejają mi się do mózgu, robię sobie układanki z wyrazów, układam puzzle i plotę warkocze. Tłumaczę Johannie słowo „bzykać”, choć jest ono nieprzekładalne, jak doświadczenie przestrzeni na placu przed katedrą, jak uświadomienie sobie, że mur berliński naprawdę istniał. Myślę, czy nie napisać książki pod tytułem *Rhododendron w Saint-Soussi* albo *Łzy w Wansee*. Henriette patrzy na mnie lukrowanymi, opalizującymi, zalanymi cukrem pudrem oczami i mówi: „wszystko będzie nie ma” i nie poprawiam jej, to dla mnie jak Beckett. Fryderyk Wielki śpi cicho ze swoimi jedenastoma psami. Przez cztery dni widzę tyle, że w gdzieś w Lichtenbergu pękają mi oczy.

I oto pojawia się Polska krzywa i pokraczna, niedokończona jakby i w ustawicznym remoncie, lewa, sfingowana, z papier mache, zakurzona, spłowiata, zardzewiała, w nienazwanym kolorze. Makieta państwa z humbugiem torów, zrobiona przed laty, prowizoryczna i zapomniana. Starsza pani na dworcu mówi mi prosto w oczy „zabiję, zabiję”, papierosy rosną na trawie. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko nie popękało, nie pokruszyło się i nadal uparcie istnieje, jak kikut, niedobity pies, jak obrastająca wszystko trawa. Mordercy witają – czytam na ścianie dworca w Nakle nad Notecią. Niestety, rozumiem wszystko.

Łza dynda wewnątrz oka.

Trzysta gramów Haribo krąży mi w żyłach i tylko to mnie ratuje.

5. Gdańsk, Warszawa

W pociągu do stolicy międzywagonowe migracje pasażerów, dla których nie wystarczyło miejscówek. Mam przyjemność siedzieć koło klozetu. Spotyka się tu sekta palących, która zawarła pakt i informuje się na migi o miejscu pobytu węszącego konduktora. A ten, kiedy przychodzi, ogląda uważnie moją legitymację i mówi: pani, 20 lat? Pani, ja mam dzisiaj 24. rocznicę pracy na kolei!

Próbuję wyobrazić sobie ten czas i nie umiem.

W domu kontynuacja wielowiekowych zmagañ narodu polskiego z ekspansją germańską. Nie ma już szczebiotania bytej współlokatorce Johanny, wielkiej, jasnej Niemki, która – dam sobie obciąć głowę – pasła kiedyś owce na zboczach Alp i naprawdę ma na



imię Helga. Nie ma więc jej gwizdu, nucenia, rozrzuconych butów, wsuwek na podłozie, truskawkowych szamponów. Jest Paul twardy i cichy, z jedną szczoteczką do zębów, łykowany, zamrożony, zasupłany w sobie.

Dziś wybuchła tu nagle wiosna, koło południa przestałam więc czytać mądre i gorzkie zapiski Maraiego i poszłam urosnąć trochę na słońcu ulicy. Spacer jest tu czymś podejrzanym, w tym mieście powinno się pracować, nie łązić, czułam się trochę nie na miejscu.

Warszawa stoi jak stała, bułka nadal kosztuje dwa złote, melisa w kerfurze tyleż samo, słońce lata, ptaki świecą. Codziennie spaceruję sobie po getcie. Drzewa, wróble, samochody, ludzkie szczątki. Jakoś nie mogę tego przeżyć, że mieszkam na cmentarzu. Budowana w głowie mapa staje się coraz bardziej precyzyjna, wiem już, w którą stronę jest Praga, w którą Wola, wiatr rozwiewa mi włosy w metrze między Kabatami i Młocinami. Park praski nocą. Kamienica na Targowej z zamkniętymi na wieczność

ceglanymi oknami. Osobny świat stadionu dziesięciolecia, gdzie idzie się jak do teatru, podsłuchiwać wschodnie różańce Tajwańczyków wyszeptywane wśród wyżyn skarpet za dwa złote, wśród móż zmultiplikowanych szminek, w tajemnych zakątkach na końcu tylko im znanych szlaków w tej krainie. Na jednym ze stoisk, jako tło dla rajstop wyglądających jak kłębowisko żmij, gra *Śmierć i dziewczyna*. Małeńkie skośnookie kobiety. Dalej kamienica na Próżnej, gdzie iść jedząc to tak, jakby jeść w kościele. I wszędzie te ślady, mała kropelka krwi tu i ówdzie, pomniczek, świeczuszka. Tu się bili i strzelali, tu Niemcy schowali się przed Polakami, tu wyszli z kanału, tutaj była słynna kładka. Getto dzisiejsze, pełne banków, którym widać przełyki szybów windowych, getto z bloków mirowskich. Nie wiem, co jest straszniejsze



– to, że to wszystko jest jedną wielką atrapą, domkami wybudowanymi na kształt i podobieństwo, ale mającymi w sobie jakiś fałsz, czy jednak świadomość powszechnego cmentarza, na którym trwa pulsująca dyskoteka.

Znów nie pojawiły się żadne nowe pomysły na życie początkującego kulturoznawcy, który nie umie nic poza analizą wiersza. Napisałam „Rzym” przez „Z”, co zwiastuje chyba jakiś upadek. Znalazłam ponuro brzmiące ogłoszenie o treści „Berlin młoda kobieta” plus numer telefonu, zadzwoniłam także do telewizji w sprawie bycia publicznością w programie rozrywkowym *Jaka to melodia?* Lukratywne warunki finansowe, będzie Doda i będzie trzeba potaćnić – poinformował mnie pan, zapytawszy uprzednio, czy dość młodo wyglądam.

A wyglądam coraz starzej, wargi niedługo zrosną mi się od niemówienia. Tak to tutaj jest.

6. Kraków

Pani melduje, że dotarła do terytorium własnego mieszkania.

O godzinie 23.30 ukloniły się różowe policzki Krystiana L i armia wyznawców poczęła klaskać obłąkańczo. Pani przypomniała sobie wtedy jednodniowe spotkanie z Lupa, które było najlepszą rzeczą daną jej z okazji bycia stypendystką funduszu na rzecz dzieci wybitnie pokiereszowanych mentalnie, i że pierwszy raz zobaczyła wtedy filozofa na żywo, i że jego monolog był elektryzujący, i że poczuła się mała jak weszka, i że otworzyło jej to kilka okien w głowie i zrobiło przeciąg. Wczoraj jednak nie mogła się zdecydować, czy reżyserowi troszeczkę odbiło, czy pogrążył się w sobie ostatecznie, zapadł się do wewnątrz i zamiast przedstawiać się „Lupa” mówi „Artysta”, czy może w hipnotycznym, transowym rytmie przedstawienia jest jakiś przebłysk genialności. Panią trochę rzeczy wkurzało, a trochę olśniło, ale pani nie jest krytykiem i nie musi o tym, na szczęście, pisać.

Gdyż ważniejsze jest to, że najpierw jakaś artystyczna młodzież ze wszystkimi atrybutami swojej artystyczności, czyli szalikiem, papierosem i kwiatkiem przypiętym do swetra, popychała panią przy szatni, z triumfem mówiąc po krótkiej walce, dywersji na tyłach wroga i zwycięskim uzyskaniu kurtek „a jednak!”, na co pani gwałtownie posmutniała, bo wszystkie nieszczęścia świata biorą się z zaprzestania mówienia „dzień dobry”, jak mówi jakiś bohater jakiegoś filmu. Potem pani udała się na umarły dworzec i wśród oparów ludzkiego smrodu organicznego dowiedziała się, że może przyjść za dwie godziny i pojechać sobie do Katowic. Tak więc pooglądała chwiejące się z przesytu hordy zachodnich młodzieńców na rynku, poczytała *Malowanego ptaka* w restauracji McDonalds, po czym wsiadła do pospiesznego i w niebieskawej poświacie przedziału dla palących zachwycała się kuriozalnym chłopcem obok niej siedzącym. Chłopiec miał metr dwadzieścia i twarz niebezpiecznego korsarza, zaciągał się dymem aż do jelit, a z jego słuchawek płynęły dźwięki prasowanej blachy, rwących się tkanin, metali trących o siebie nawzajem, tłuczonego szkła, deptanych zwierząt, gruchotanych kości, kawałkowanego styro-

pianu. Pani zastanawiała się, co musi dziać się w jego mózgu, czy tkanki rozpekają się, czy istota biała i szara jest już rozwarstwiona, czy neurony są nabrzmięte, a synapsy świecą na fioletowo? Czy myśli się po czymś takim łatwiej i przejrzysiej, metodą zerorejdykową? Czy po tym zapada cisza i absolutna biel w głowie?

Na dworcu Katowice pani chodziła tym paraliżującym poczekalniowym tempem, a żeby się rozbudzić czytała pisma użyteczności publicznej: zabrania się zakłócania krzykiem, odrażającym wyglądem i wonią lub innym wybrykiem spokoju osób uprawnionych do korzystania z poczekalni. Pobyt w lokalu nie wymaga konsumpcji. Pociągi mogą doznać kilkuminutowych opóźnień. Jak pociąg doznaje, ciągnęła wążek myślowy pani, czy go to boli i czy miewa nerwicę?

Gdy już uznała, że osiągnie spokój ducha na fotelu TLK, okazało się, że wszystko ma strukturę cykliczną, a nie linearną, i zamykający swoje koło czas umilił jej Ryszard z Salzburga. Jechał z pracy do domu w Działdowie, używał obficie wyrażań „poszłem”, „bo to jest zysk, to są pieniądze”, „mnie wszyscy znają, wszędzie mam znajomości, mój kolega jest posłem, mogę brać na krechę papierosy i nikt o nic nie pyta”. Idiolekt ten zarejestrowała na taśmie. Świtało, wagon był ciężki od ludzkiego snu, i pani jak zwykle była uchem do słuchania, a nie ustami do mówienia, została uznana za zeszłą od Boga i obiecała wspólne saksy w grudniu w Salzburskiej restauracji.

Czemu przyciągasz wszystkich odrzutek – zapytał ostatnio szef i choć pewnie tak nie jest, to z miłym poczuciem swojej nadzwyczajności zasnęła o odwrotnej porze niż cywilizowany świat.

7. Gdańsk

Przyjeżdżam do domu. Siedzę z babcią w kuchni. Kuchnia jest nowa i dziadek powiedział mi konfidencjonalnie: babcia staje czasem w progu i patrzy na to wszystko, kiedy myśli, że nikt jej nie widzi. Babcia kroi mi drożdżówkę, gotuje obiad, tańczy tylko sobie znane passodoble na parkiecie sześciometrowej kuchni, mówi o skurczach łydek. Pyta, czy mam kawalera i czy nie boję się jeździć sama pociągami. Jak zwykle mimo walki wewnętrznej rozczuła mnie to i ponownie mam ochotę opisać jakoś plastycznie to ich mieszkanie, do gruntu porządne, czyste, z niczym zbędnym, wielokrotnie łatanie, naprawiane, gładzone, zszywane, z częściami amputowanymi i ponownie

przytwierdzonymi; plastikowe pojemniki na przyprawę, stojące w tym samym miejscu od 25 lat; szafa z płaszczem na niedzielę; kosmetyczka, z której babcia wyciąga różową szminkę i oddaje mi ją, bo za jasna; zmienione od nadmiernego dotykania kształty klamek; wypłowiałe od patrzenia zastony; oddychające głęboko kwiaty na parapecie. Cała armia budzących czułość rzeczy. Żeby nie tracić czasu i posiedzieć ze mną, emigrantką, babcia wydaje dyspozycję nagrania *Plebanii*. Wtedy czuję się bardzo ważna.

Potem u Gosi, żony muzyka, kopie mnie lekko prąd przy próbie wyłączenia lampek choinkowych. Myślę o kolejnym przykładzie na prześladowujące mnie szczęście i o śmierci, ale nieznacznie, śladowo, jak się myśli o poważnych rzeczach po piwie – niby bardziej dokładnie, ale trochę jak we śnie. Tutaj jeszcze mały



szkic pochwalny na temat Gosi. Jest to jedna z niewielu osób z kręgu mojego miejsca pracy, która jest postacią z książek Olgi Tokarczuk. Jest to Kłoska, Erna Eltzner i Paraskewia razem wzięte. Jest to matka ziemia i pradawna mądrość zakłeta w brązowookiej matce dwuletniego Wiktora, która jeździ z nim autobusem po pieluchy. Trochę skulona w sobie, a przy tym tak promieniująca jakąś najtwardszą i najgłębszą prawdą, której nie zrozumie i nie uświadczy żaden artysta muzyk onanizujący się niebawem solówką na saksofonie oglądana z nabożeństwem na kanale mezzo w dalekim rumuńskim hotelu. W ogóle Gosia to jest taka muzyka, w której jest dużo ciszy i to jest właśnie jej najważniejszy składnik, bo pozwala wybrzmieć reszcie dokładnie, zauważyć ją i w pełni wysłuchać. Nie zapycha bulimicznie pustki nadmia-

rem improwizowanych dźwięków, nie szarżuje i nie ma obsesji udowodnienia, że jest i skomponowana, i wykonana, i zinterpretowana na najwyższym poziomie. Tego w sztuce nie ma i nie będzie, to może być tylko w człowieku. A mały Wiktor budząc nas rano mówi w tylko sobie znanym dialekcie, posługując się biblijną stylistyką: jest małpka, jest misio, jest kołderka, wszystko jest. Jest misio, jest małpka, jest kołderka, wszystko jest. Jest kołderka, jest małpka, jest misio, wszystko jest.

I ja się z nim zgadzam.

Z Resiaczkiem spotykam się w jej wielkim domowym domu. Resiaczek vel Asia zawsze przyniesie mi coś ładnego, pocztówkę sprzed lat z przykle-



jonym zdjęciem kota, film *Tajemniczy Ogród* do płakania, a dzisiaj dostałam kartuszkę popielniczkę z napisem Shalom. Siedzimy i oglądamy *Modę na Sukces*, Brook żyje, ale Stephenie umarła i Asia płacze. W czarnej rozpaczki idziemy do kina na *To nie jest kraj dla starych ludzi*, w którym w skrócie chodzi o to, żeby nie zanościć pragnącemu wody i że tylko największy psychopata ma zasady moralne, a także o klimat westernu, kowbojki i napis „free HBO” na motelu. Dużo perełek w rodzaju nienachalnych stryczków wiszących nad kasjerem grającym o życie

z seryjnym zabójcą. Bardzo piękny film, na którym należałoby uczyć adeptów filmoznawstwa zasad dramaturgii i sztuce dobierania aktorów do roli. Następnie w okolicznej spelunie opowiadamy sobie sekrety, kłamstwa, fanaberie, psioczyrmy na strony rodzinne i wychodzimy na burzę śnieżną, która rozpętała się w tym północnym mieście z największym gotyckim kościołem Europy. Biegając obiecując Asi rychłe odwiedziny we Wrocławiu, bo mam już ochotę pojeździć pociągami, zgubić się na obcych dworcach, chodzić po ulicach ze słodkim poczuciem obcości.

8. Warszawa, ale też jakby podróz

Poszłam wczoraj nieświadoma tego, co mnie spotka, na *Tartuffa* do Narodowego. Były wejściówki i była młodzież gimnazjalna („Ojezaa, jakie cykii!”). Była też Małgorzata, która przy kasie stała się moją koleżanką. Było to dla mnie pierwsze spotkanie z Warszawą. Było to, jakbym przyjechała z miejscowości Krasnosielc na wschód od Przasnysza Chociwle i pierwszy raz zobaczyła umytego człowieka. Jakbym z innego świata była.

Małgorzata przejawiała marketingową, strategiczną otwartość na potencjalnego kontrahenta, którym chyba się wydałam, co mnie dziwi, gdyż byłam w prujących się dzinsach za 12 złotych i czerwonych przeciekających kozakach. Zdecydowany uścisk dłoni przy przedstawieniu się zwiastował dobrze rozpoczynającą się inwestycję. Promienny uśmiech słany był mi gratisowo cały czas, kiedy Małgorzata opowiadała o pracy w General Electric na całym świecie. Zamknięta w szklanym biurze pisze ona projekty programów. Jak to dokładnie wygląda, nie powiem, ponieważ były tam używane anglicyzmy takiego stopnia skomplikowania, że nie potrafię ich przytoczyć. Żeby dokonać sycącego aktu autokreacji, nie omieszkłam wspomnieć, że ja jestem z nadmorskiej tancbudy, dotykałam Ewę Błaszczyk za świętą sukienkę i zamiętałam podłogę po Stanisławie Celińskiej. I tu chyba miał miejsce mój błąd, zapaliła się czerwona lampka z napisem error i tliła się potem przez cały wieczór.

Małgorzata reagowała na żarty Moliera entuzjastycznie, co chwila klepiąc mnie po kolanie i wysyłając niewerbalne komunikaty za pomocą kciuka – jest ok. Perły świeciły się jej w uszach, pierścienie błyszcząły na palcach, chmurka dalekich perfum

zdradzała wyższość nad moją podróbką Bossa, tajemnicze materie ubrania szeleściły zwodniczo. W przerwie po raz pierwszy w życiu poszłam do bufetu i po raz pierwszy kupiłam kieliszek wina za 25 złotych. Cichy brzęk szkła i toast za miły wieczór zwińczył opowieść o służbowych mieszkaniach M. w Sztokholmie, Moskwie, Londynie, Paryżu i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Delikatny akcent amerykański splątał się w warkocz z wieloma wykrzyknikami polskimi. „That`s fine, naprawdę świetne przedstawienie, I liky, zajebiste, fantastyczne”. „O! Gasz, co za wieczór. A co ty teraz robisz? Może masz ochotę na drinka? Moi znajomi zabierają mnie tylko do kasyna. So? Let`s go!”.

So we went. Szczytem szczęścia dla M. była wódka na parterze Hotelu Europejskiego, w lokalu okolicznych mętów i wyrażających głęboką melancholię mężczyzn owiniętych szalikami. Dwóch smętnych barmanów podaje tam śledzika, sałateczkę, ogórka i tosta, a także keczup z żelatyny. M. cieszyła się, jakbym obdarowała ją nową zabawką w postaci kieliszka żołądkowej za 4 złote i wspominała z rozrzewnieniem normalność, w której „no wiesz, w tej restauracji kupuję sobie dobrą rybę za 70 złotych, coś do picia, z napiwkiem nie wychodzi więcej niż stowa za lunch, to chyba nie jest najgorzej. Zawsze mówię matce – po co gotujesz, po co robisz coś, co można kupić?”. Absolwentka marketingu i zarządzania opowiadała mi o swoim „byłym niedoszłym”, szóstym pod względem wielkości dealerów Toyoty w Polsce i właścicielu przetwórci rybnej w Gdyni. M. z torby nieznaney mi marki wyjęła książki *Success* i *Leadership*, które nabyła na lotnisku za 60 euro. Ja miałam Borisa Viana i nie pokazałam. Opowiadała o balu z vipami, na którym upiła się cholernie-dobrym-szampanem. O Rosjance, która zaprosiła ją do domu „25 metrów plus łazienka, wyobrażasz sobie, pewnie całość mniejsza niż twój salon”. O zblazowanych kolegach prawnikach, którzy w Żółtych Tarasach kupują z nudów białe adidasy. O kursie robienia suszy. O wannie z hydromasażem. Słuchałam tego wszystkiego uważnie i nie mogłam uwierzyć, że jednak dzieje się to w życiu ludzi, a nie tylko w filmie *Samotność w sieci*. Pierwszy bolesny kontakt z yuppie. Czułam się podle mając w głowie myśl, że francuscy arystokraci osiemnastowieczni z okazji wszechogarniającej nudy wyjeżdżali za miasto i bawili się tam w pastuszków, doili krowy, strzygli umyte owce i grali na fujarkach. Wyświetlił mi się

obraz Watteau, gdzie dworzanie odwróceni są plecami i niby jest to rokoko, igraszka, flirt i tony koronek, ale czuje się jakiś schyłek i pęknięcie. Pustka w centrum. Zbyt głośna samotność.

Karykaturalność tej sytuacji, nagłe zmateriowanie pojęcia „warszawka” i „sukces” sprawiło, że tania kredka rozmazała mi się na oczach, tusz z promocji kruszył się z hukiem na stolik i czułam się że wsi, czułam się jak baba w chustce łowickiej na głowie. Wymieniłyśmy się telefonami i M. na koniec wygłosiła zdanie: „A co robisz jutro? Mam wine, mam dinner, może wpadnij”. Trochę się boję, że nabrudzę samym oddechem, ale chęć przeprowadzenia badań terenowych jest niezwykle silna.



*Strzeż się, jeżeli możesz, czcić zapach udany,
Lecz nie krzywdź posądzeniem cnoty nieskalanej.
A gdybyś już przesadą musiał grzeszyć stale,
Lepiej zbyt wierzyć w ludzi, niż nie wierzyć wcale –
mówi cicho Kleant.*

(I nagroda w IX Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej ph. Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów)

W centrum

Pamięci poety i prozaika Zdzisława Morawskiego

Ile pociągnąć dłutem, oswajania materii dębiny
Ile spojrzeń ze stron wielu, z daleka i z bliska
podług zamysłu, lotu wyobraźni
gier światłocienia, zręczności, mozołu
– podejść, przymiarek by nic nie wypaczyć
Ile motywów zawrzeć w artystyczny wyraz
bez przypadku by mogły zaświadczyć
misternie spleść poemat w drewnie niby w skale
stworzyć arcydzieło
jedyne w swym rodzaju i niepowtarzalne

Musiał to być mistrz tęgi – fachman w swoim fachu

Tak rozmyślaliśmy w zaciszu pokoju
między wierszami, my ludzie pióra
trzy piętra nad ziemią
w samym centrum Gorzowa
patrząc na Szafę Gdańską
z podziwem dla rzemiosła
doceniając talent, wysiłek i kunszt

Dookoła pulsowało miasto
jego nerw główny w skrzyżowaniu ulic
jak w słonecznym splocie
w cieniu Katedry
wieków ponad siedem

Z rozmowy

Nie byłem nad strumieniem
co zbiera potoków wiele
Jego śpiew we mnie
jak pierwszy smak powietrza
i niebo które ujrzałem
w tamtej dolinie
ku której zmierzam po światło
ono drogę wyznacza
by każdy mógł tam dotrzeć
i prochy przodków odnaleźć

Nam chłopskim synom
Czesławie
z ziemi ojców i dziadów
nam zwyczajnym poetom

Zostało tyle
co w garści

Do Marii... (2)

Marii Morawskiej

Mario... tu w lasach przyszły pierwsze mrozy
dmuchnęło srogo aż znad Skandynawii
przywiało stadka pięknych jemiółuszek
już w jarzębinach uczują do woli

W kominie huczy bo dobry jest cug
światło płomieni skacze po pokoju
siedzę i piszę wiersz
co za mną chodził od wielu miesięcy
po krętych ścieżkach i bezdrożach
wśród drzew, pagórków i otwartych poręb

Widzę w poświacie (księżyc w całej krasie)
jak sarny idą na pole ozimin
w dolinie zaraz za ogrodem
(w suknie zimowe dawno już ubrane)
niosą w oczach głód i lęk

Ja jeszcze czuwam chociaż leśny lud
dniem utrudzony zasypia w najlepsze

Mario... z północy, chmury niosą śnieg
czuję to w kościach; przed wieczorem
słyszałem gile, jak leciały z pieśnią
(a one wiedzą)

Zrobi się białe, przyjdzie lekka odwilż
dni przeminą, pozostanie wiersz
który układam przy lampie naftowej
(jak skryba który czasem widzi więcej)

Czas spocząć Mario... dobrej nocy życzę
Tobie nad Wartą i sobie nad Drawą
Drewna dokładam do kominka
Za oknem płatki... Prószy... Sen

Wiatr

Znam wiatr
który kłosa pochyla ku kłosom
wtedy łany falują jak zielone jeziora
w słońcu szepczą i lśnią

Znam wiatr
który gniazda kołysze w gałęziach drzew
śpiew ptaków niesie po horyzont
łagodny, miękki
wiatr

Znam też wiatr granatowy
co wróży deszcz i grad
pnie z korzeniami wrywa
pokotem kładzie las
ludzi jak liście rozrzuca po świecie
znam taki wiatr
który ludzi jak liście rozrzuca po świecie
nieobliczalny
Wiatr

Inwazja

Tak naprawdę, to chyba nikt nie może podać dokładnej daty rozpoczęcia inwazji. Inna sprawa, że nie był to zmasowany atak. To była powolna infiltracja. Nie była poprzedzona żadnymi plotkami – że podobno któregoś widziano, że podobno ich statek naruszył naszą strefę powietrzną i tym podobnymi bredniami, którymi karmi się masowa paranoja.

Pojawili się w lutym, jakoś tuż po walentynkach. Tak po prostu – wczoraj ich nie było, dzisiaj są. Zaczęto widywać ich w sklepach, na ulicy, w barach. Dla mnie osobiście szokiem nie było samo ich pojawienie się. Szokująca była dla mnie reakcja mieszkańców naszego małego miasteczka. Nie było masowej hysterii, sprzedawania dobytku, opuszczania domów czy pijanych kaznodziej, którzy bełkotali o końcu znanego nam świata i żebrali o drobne na kawę. Ja, Momo i Kajetan też specjalnie nie panikowaliśmy. „Kosmici też ludzie” – mawialiśmy i dalej oddawaliśmy się naszym ulubionym rozrywkom.

Oczywiście zaraz po ich pojawieniu się cała masa mediów zvaliła się do naszego miasteczka. Największe telewizje, najpoczytniejsze brukowce, najpopularniejsze stacje radiowe. Kosmici udzielili kilku wywiadów, trochę pozwali do zdjęć, rozdali mnóstwo autografów głupawym małolatom i mniej więcej po miesiącu skończyła się na nich moda. Głupawe małolaty wyjechały zbierać autografy członków nowej grupy pseudorockowej, a kosmici zostali. I wszystko wskazywało na to, że dobrze im u nas.

Ja pierwszy raz zobaczyłem jednego w całej okazałości na basenie. Wszedł na salę z ręcznikiem jak gdyby nigdy nic i już chciał wskakiwać do wody, ale ratownik go powstrzymał. Pokłócili się chwilkę i zaraz potem obcy sobie poszedł, ale wcześniej zdążyłem mu się dobrze przyjrzeć. Wyglądał stereotypowo: wielki łeb, wielkie oczy, usta cieniutkie jak ślad od ołówka, chudy i niski jak niedożywione dziecko, palce długie jak u pianisty, skóra ciemnoszara, narządów rodnych brak. Jak gadał z ratownikiem, to słyszałem tylko jakieś prychanie. Dopiero później się dowiedziałem, że ich mowa składa się z kombinacji dwóch dźwięków, które odpowiadają naszym zgłoskom „p” i „r”. Swoją drogą, po tym incydencie żaden z nich się już na basenie nie pokazał. Odmawiali wkładania kąpielówek, a wiadomo – nie ma kąpielówek, nie ma basenu.

Po kilku miesiącach każdy w miasteczku przyzwyczał się do ich widoku. Wpasowali się w naszą społeczność bezszelestnie i bezboleśnie. Dwóch nawet grało w naszej drużynie piłkarskiej. Prawoskrzydłowy był całkiem szybki, dość dobrze kiwał i naprawdę mieliśmy z niego pożytek. Po kilku latach dostał nawet powołanie do reprezentacji i prezydent musiał mu w trybie ekspresowym nadać obywatelstwo. Obrońca natomiast częściej niż w piłkę trafiał w nogi przeciwników i po pewnym czasie kibole zaczęli na niego gwizdać. Grał u nas krótko, potem dał sobie spokój z piłką i otworzył sklep sportowy na Zarzeczcu.

Czy były zgrzyty? Oczywiście, że były. Ale były to głównie drobnostki, pierdoły nie warte nawet wzmianki. A to któryś z nich dostał w swój wielki łeb na baletach, bo obmacywał czyjąś panienkę, a to któryś zaparkował latającym spodkiem na czterech miejscach dla inwalidów naraz, a to kilku wyproszone z kościoła, bo za głośno gadali i siadali w nieodpowiednich momentach, a to któryś zwymiotował pod restauracją „Królewska”..., naprawdę nic poważnego. Mnie osobiście zraził do nich jeden incydent, który wydarzył się pod koniec sierpnia.

Otóż pewnej niedzieli pod koniec wakacji moja starsza siostra miała przyprowadzić swojego nowego narzeczonego na obiad. Atmosfera podniosła, bo to nowy naręczony, a więc od razu dobre żarcie, odświętne stroje i takie tam. A ta przychodzi pod rękę z kosmitą i od progu pitoli, że to jest jej naręczony, że bardzo go kocha i że wychodzi za niego za mąż. Matka zbladła, ojciec poczerwieniał, no ale nic, siadamy. Ojciec się pyta, jak się naręczony nazywa, a siostra, że Prrr Prrrr. No i że to jest wielka miłość, że ślub i tak dalej. A kosmita,

skurkowany żarł za czterech. Ledwie mu matka nadażała nakładać. Siostra nic tylko paplała, że Prrr taki fajny, taki zaradny, że taka wielka miłość, ojciec jadł w milczeniu, ale bez apetytu, matka się cały czas uśmiechała i grzecznie dopytywała, ale w oczach miała panikę, a Prrr szuflował aż się kurzyło.

Po obiedzie dorwałem siostrę w kuchni.

– Siostra, nie wygłupiaj się – powiedziałem – Nie możesz z kimś innym się hajtnąć?

– Prrr to moja wielka miłość, jak wam się nie podoba to wasza sprawa...

– Dobra, dobra, rozumiem – przerwałem jej – ale nie możesz się zakochać w kimś stąd? Kajetan cię bardzo lubi...

– Kajetan to gówniarz, a Prrr to prawdziwy mężczyzna – powiedziała, odwróciła się i poszła.

Starym też się ten Prrr nie spodobał. Ojciec burczał, że bezrobotny, że wypić z nim nie chciał, że goły lata. Matka biadoliła, że je jak świnią, że smarka bez chusteczki, no i że goły lata. Ja prawdziwe powody do biadolenia miałem tydzień później, a wszystko przez moją stukniętą siostrę. Wymyśliła sobie idiotka, że powinienem się umówić z siostrą Prrr. Nie wiem, co za cholera mnie podkusiła, ale poszedłem. Spotkałem się z nimi pod ratuszem. Zrobiło się na początku trochę niezręcznie, bo pocałowałem mojego przyszłego szwagra w rękę, a jego siostrze uściśnąłem grabę. Ale moja niezawodna siostrzyczka obróciła wszystko w żart i poszliśmy do knajpy.

– Nie mogła się chociaż umalować? – spytałem szeptem siostrę, gdy wchodziliśmy do baru.

– Daj spokój, nie lubisz tego, że jest taka naturalna?

– Wolałbym odróżnić ją od brata.

– Ona jest niższa i ma jaśniejszą skórę – powiedziała. I faktycznie, Prrr Prpr była trochę jaśniejsza i niższa, ale na tym różnice się kończyły. Jeśli chodzi o narządy rodne niestety też.

Przez cały wieczór czułem się nieswojo. Zresztą chyba każdy by się tak czuł na randce z kobietą, która mówi językiem, którego nie znasz i pomimo tego, że jest naga, w ogóle cię nie podnieca. Na sam koniec powiedziałem jej, że było miło, ona coś odpyrkotała w odpowiedzi i rozeszliśmy się do domów. Na drugi dzień zadzwoniła moja głupia siostra.

– Umówisz się z nią jeszcze raz? – zapytała na wstępie.

– Nie... ona jest zbyt podobna do Prrr, jeśli wiesz o co mi chodzi... – odpowiedziałem.

– Oczywiście idioto – oburzyła się – Przecież są rodzeństwem.

Tymczasem nasi goście z kosmosu poczynali sobie w naszym mieście coraz śmielej. Mój ojciec wrócił raz wkurzony z pracy, bo jakiś obcy dostał awans szybciej od niego, chociaż pracował w firmie o wiele krócej. Ojciec Momo miał stłuczkę z jednym z nich, a co gorsza, ubezpieczyciel stwierdził, że to nie była wina kosmity, bo przecież nadlatywał z prawej strony. Coraz więcej ich wstępowało do policji, a jeden nawet chciał kandydować na burmistrza. Nic więc dziwnego, że pod koniec października stało się to, co się stało.

Pogrom rozpoczęliśmy my – ja, Momo i Kajetan. Siedzieliśmy tego deszczowego dnia u Kajetana, a nastroje mieliśmy naprawdę paskudne.

– Jakiś ufok teraz pieprzy moją siostrę – odezwał się nagle łamiącym głosem. – A ja nawet nie wiem czym i jak.

– Jeden z nich stał wczoraj przede mną w kolejce w McDonaldzie – powiedział Momo. – Skurwysyn przez piętnaście minut nie mógł się zdecydować, jaki zestaw wziąć. Prawie umarłem z głodu – dokończył ze łzami w oczach. Momo jest bardzo wrażliwy na punkcie jedzenia, zresztą chyba jak każdy ważący sto sześćdziesiąt kilogramów osiemnastolatek.

– Wkurwia mnie ten deszcz – rzekł Kajetan. I nagle jak na komendę zerwaliśmy się z foteli i wybiegliśmy w ponure, mokre miasto.

Pierwsi byli sąsiedzi Kajetana, których spotkaliśmy na skrzyżowaniu Olchowej z Bukową. Poszło łatwo, bo wazyli niewiele i nie stawiali oporu. To tylko rozjuszyło nas jeszcze bardziej; zostawiliśmy ich w kałuży zielonej krwi i pobiegliśmy dalej. Szkoły, sklepy, supermarkety, rynek – wszystko spłynęło zieloną krwią imigrantów z innej galaktyki. Nie wiadomo, kiedy przyłączyło się do nas chyba z pół miasta! Nie omieszkaliśmy również wpaść do mojego niedoszętego szwagra; zastaliśmy go leżącego na kanapie, pijącego piwko i oglądającego telewizję. Wyleciał razem z tą kanapą przez okno, a ponieważ jakimś cudem przeżył upadek z piątego piętra, Momo rzucił w niego telewizorem.

Nie oszczędzaliśmy nikogo; całe miasto wpadło w jakiś amok. Bo tolerancja tolerancją, ale ile kurwa można?

* * *

Kwiaty akacji mleczno-białe jadłem zachłannie
Słodkie ich wnętrza cukrowe
Szczególnie zajmowały miejsce w moim wiosennym menu
(Kto był wiejskim dzieckiem wie w czym rzecz)
Żdźbła trawy w polu na rowie urywane
Smakowałem niczym zielone sny
Kwaśne liście szczawiu próbowałem rozgryzać
I nie mogłem się nie wykrzywić
Niekiedy młode miękkie ziarna żyta
Żywiły mnie właściwie po królewsku
Ze słomki giętkiej seledynowej
Robiłem trąbkę i grałem wysoko i nisko
Muzykę tak długo jak się dało
Co wygrać na świecie się uda nie wiedziałem
Kwiat koniczyny w ustach się rozpląwał
A zwłaszcza kwiat lipy
Jadłem kwaśne jabłka gdy nie było innych
I twarde śliwki by ugasić pragnienie
Próbowałem igielki żywiczne wysysać
Że nieco cierpkie sprawdziłem
I byłbym zapomniiał próbowałem także kamyki

Wierzba

Edkowi Sikucińskiemu

Wierzba jest tylko wierzbą choć niezupełnie
Bywa czasem posiwiiała jak włosy kobiety
Jednak każda jej gałąź wiecznie młoda
W swojej pokorze całkiem nie współczesna
Szare bez niej byłoby dzieciństwo
Które tylko przez chwilę jest odporne na czas
Wierzba niekiedy jak okręt wśród traw się chwieje
I spomiędzy gałęzi dolatują chłopięce rozmowy
Gdy targują się czyje kamyki i szkiełka są okazalsze
Wiele ma w sobie dobroci bo wiejskim dzieciom
Pozwala wtajemniczać się w muzykę
I wszystko wtedy okazuje się prawdziwe
Każde miejsce dla niej odpowiednie żeby rosnąć
I urosnąć tym samym dając przykład
I swojskim wyglądem umacniać krajobraz
Który się pamięta nawet w późnych wierszach
Potrafi gałęziami tak sięgać do ziemi
By płaczu niczyjego nie zostawić
W rozpaczliwej samotności i obojętności
To się nazywa być w środku życia
Cenić zwyczajność i o niej przypominać
I gdyby nawet długo trzeba było czekać
Ma w sobie coś takiego
Że nie ominie jej blask
Wierzba która zna ludzkie wędrowania
W trudnym czasie nie zaniecha poezji
Z nią zawsze tkliwa rozmowa
Choć po latach już tylko w języku
Chropawym ale zgodnym z doświadczeniem

Liść

Liść upada jak człowiek i upada jak liść
Kiedyś byłem ślepy a dzisiaj wyraźnie widzę
Że pod nogami przechodniów
Nieprzypadkowo wszystko się rozstrzygnie

I okaże się wygrana żadną wygraną
Gdy do końca z obrazu zetrą się znaczenia
Nic co dałoby się ze sobą zabrać żeby chociaż
Pod ręką można było mieć ołówek

Jaka to zabawa przejść życie i zniknąć
Z pola widzenia czyichkolwiek oczu
Liśćmi zaledwie wiatr się wysypie
A wilgoć w butwieniu dopełni dzieła

Byleby jeszcze o właściwym czasie
Poznać rzeczy nie do poznania
Choć każdy jest właściwy i potrzebny
By współczuć zdeptanym liściom

Piołun

Przypomniał mi się piołun
Niepospolity pustelnik ceniący odosobnienie
Ze wszystkich roślin nagle on jeden
Ze swoją szlachetną goryczą
Co potrafi do ciała przyłgnąć
Jak nic innego w świecie
Z dokładnością którą tylko podziwiać
Drobne popielate listki wręcz subtelne
Zbierały go w porze kwitnienia kobiety
Jakby to był dar z nieba
Występował już w dzieciństwie
Rósł bezpiecznie na nieużytkach i pustkowiach
Nie było mi potrzebne o nim myśleć
Ani tym bardziej próbować smaku
Zasłyszany w wieczornych opowieściach
Zaledwie budził tajemniczy respekt
Niektórzy piołun pili dla ozdrowienia
Sięgali wtedy do starych ksiąg i zeszytów
I wyczytywali lekarstwo
Nigdy nie chciałem piołunu poznać
I miałem złudzenie że da się uniknąć spotkania
A teraz wstyd powiedzieć
Podaje mi po bratersku rękę
Jakby zgadywał moje myśli

O smoku Wiku filozofie

Wiktorkowi Piotrowskiemu

Był sobie raz smok Wik. Choć wielki, nie był tak groźny, jak to sobie wyobrażali żyjący w okolicy ludzie, którzy widywali go czasem przelatującego ponad górami, gdzie z pewnością miał swoją smoczą jaskinię pełną skarbów. Smok nie naprzykrzał się ludziom. Zdawało się wręcz, że ich nawet nie dostrzegał z wysokości, jakie zamieszkiwał.

Smok wylegiwał się często na skalnej półce, wygrzewając się w słońcu. Podziwiał jego wschody i zachody. Przyglądał się wędrownikom księżycy i gwiazd po nocnym niebie. Kochał mleczną drogę, która mu coś bardzo przypominała, ale nie wiedział co.

Dziwował się stadom kozic wspinających się wysoko w górę, którym wystarczyło za pożywienie ledwo widoczne na kamieniach trawki. Dziwował się ptakom, które unikały go, a przecież mogłyby być jego krewnymi, sądząc po tym, jak wspaniale zataczały kręgi w powietrzu.

Smok często rozmyślał o tym, jak znalazł się właśnie tutaj. Wielkie jajo, z którego się wykluł, spoczywało na kupce kolorowych, błyszczących kamieni. Czyjeś ciepłe ciało ogrzewało go z początku i karmiło, ale obrazy tamtych dni niewyraźne były, jakby kryły się we mgle, która często opadała na góry, ukazując jedynie zamazane kontury skał.

Ludzie w dolinach opowiadali sobie o smoku w górach i o jego bajecznych skarbach. Każdy przecież lubił historie opowiedane wieczorami przy ogniu huczącym w kominie. Nikt nie wybierał się zresztą na poszukiwanie skarbów, bo cieszone się łagodnością smoka, który im nigdy nie szkodził. Jednak opowieści krążące od domu do domu wpadają nieraz w ucho niewłaściwym osobom. I oto, pewnego wieczora, po wyjątkowo krwawym zachodzie słońca, kiedy wiatr wzmógł się i skowyczał po okolicy, chłoszcząc domy i drzewa, aż jęczały, przybył rycerz z dalekiego świata. Zakwaterował się w gospodzie, gdzie przy piwie opowiadał o swoich zwycięstwach w wojnach i w walkach z potworami. A teraz przybył do nich, by zabić groźnego smoka, a ofiarom jego nikczemnych postępów podarować smocze skarby, ukryte w jego jaskini w górach.

Ludzie słuchali i dziwowali się. Jedni przytakiwali mu rozochoceni piwem i przechwałkami, inni pukali się w czoło i odchodzili do domów złorzecząc, że to się nie może dobrze skończyć.

Ludzie mylili się myśląc, że smok nie wie o ich istnieniu w dolinach. To, że nigdy ich nie niepokoił, miało przyczynę w jego osobowości. Wik nie burzył niczego. Skoro istniało, był ku temu jakiś ukryty sens. Wik nie zabijał, jeśli nie był głodny. Tu w górze jedzenia było pod dostatkiem, po co więc miał odwiedzać doliny? Poza tym Wik podświadomie przeczuwał, że ludzie to kłopoty i koniec jego spokoju na podniebnej półce. Unikał więc ich osiedli, zastygał na kształt kamienia, kiedy przechodzili obok. Tak samo i teraz, kiedy ujrzał błyszczącego w słońcu jeźdźcę, zbliżającego się do jego pieczary, nawet się nie poruszył. Głowę wsparł na łokciach, owinięty ogonem jak kot, leżał i spokojnie, trochę z zaciekawieniem nawet, patrzył, co się będzie działo.

Rycerz zsiadł z konia, wyjął miecz i wszedł do smoczej jaskini. Wyniósł nieco skarbów, napełnił nimi torby po obu bokach konia, który pod ciężarem, aż stęknął, jeden wór zarzucił sobie na plecy i ruszył na powrót w doliny. Smok patrzył. Gdzieś w jego głowie obudził się i popłynął żyłami gniew. Mógłby strącić jeźdźcę ze skały wraz z jego koniem jednym palcem, ot, od niechcenia. Mógłby buchnąć ogniem, pożreć albo zatruc

jednym oddechem. Gdzieś w jego krwi była pamięć takich czynów i Wik dziwował się napywającym obrazom walk, pożarów, krzyku i krwi. Ale nie zrobił nic, nawet nie ryknął, co przegnałoby intruza na oślep, choćby i w przepaść.

Smok siedział z głową podpartą łokciami, owinięty ogonem jak kot i nawet nie drgnął, zadziwony kruchością i chciwością mieszkańców dolin, których życie było krótkie, jak jeden dzień. Rycerz nawet nie szukał smoka, tchórzem podszyty, umykał ciesząc się, że łup łatwo przyszedł. Ale niedaleko. Już czekali na niego chciwi towarzysze od piwa, napadli i z łatwością odebrali i konia, i skarb. Cud, że z życiem uszedł, bo żaden z nich w doliny nie wrócił. Pobili się zaraz w drodze i runęli w przepaść, a za nimi, z rozprutych toreb, sypały się brzęcząc klejnoty i złoto. Jeździec dosiadł konia i spojrzał w górę na usiane gwiazdami niebo. Smok podniósł się ze skały powoli i dostojnie. Przypomniatł sobie i zrozumiał wszystko. Rozpostarł wspaniałe skrzydła, zatoczył krąg i poszybował lekko młeczną drogą w dal, hen, w inne, lepsze światy. Rycerz odjechał zawstydzony i smutny. On też zrozumiał.

listopad/grudzień 2007





POLEMIKI

Wojciech Mielczarek

Bóg się śmieje, patrzając na to z wysoka

Po lekturze tekstu ks. dr. Andrzeja Draguły *Każdemu jego własny patchwork?* odnoszącym się do mojej polemiki z jego artykułem *Kościół w Polsce: przyszłość przeszłości* mam, delikatnie mówiąc, mieszane odczucia. Odnoszę wrażenie, że autor pomija milczeniem to, co było sednem artykułu, czyli

ocenę roli polskiego Kościoła w systemie społecznym, jego doktrynę i praktykę – w kontekście odzyskanej przed 18 laty wolności. Pisząc o wolności nie miałem na myśli jej wymiaru państwowego, tylko wymiar ludzki, a tym samym egzystencjalny. Przypomnę, że tematem tekstu *Z perspektywy wyz-*

nawcy religii – patchwork był stosunek Kościoła do państwa oraz jego rola jako stabilizatora emocji, chroniącego skrajnie liberalny system produkcji przed ciśnieniem i buntem społecznym. Pisząc o emocjach, miałem na myśli głównie lęk przed zmianami, lęk powstały na podłożu socjalnym, którego doświadczała (doświadcza) część społeczeństwa polskiego na skutek bolesnej modernizacji kraju. Pisałem również o skutkach tego lęku, czyli pragnieniu tzw. ucieczki od wolności pod skrzydła autorytarnego państwa i jego ideologii – w świat nakazów, zakazów i samoograniczeń. Jasno sformułowałem tezę, że polski Kościół katolicki pielęgnował ten społeczny, depresyjny stan emocjonalny, nie potrafiąc wartościami duchowymi wypełnić pustki i beznadziejności, której doświadczali (nadal doświadczają) ludzie nie radzący sobie z własną wolnością. Pisałem też, że stało się tak, ponieważ jasny przekaz Ewangelii nadającej sens ludzkiemu życiu zastąpiono celebracją, płytką obrzędowością, swoistym duchowym marketingiem, a przede wszystkim polityką.

Ksiądz dr Andrzej Draguła w, często utrzymanej w protekcyjnym tonie, polemice nie odnosi się do tych kwestii. Ale nie tyle dotyka mnie jego protekcyjność – żyjąc w katolickim kraju, zdążyłem się już do takiego tonu przyzwyczaić – co zastanawia milczenie wobec sedna mojego wywodu. Być może temat wolności w jej egzystencjalnym wymiarze uznawany jest w konserwatywno-katolickiej Polsce za nie wart uwagi? Na pewno kraj dzięki potencjałowi zawartemu właśnie w ludzkiej wolności otwiera się na świat i modernizuje. Ale z drugiej strony przecież nadal tkwi korzeniami w przebrzmiałych, autorytarnych ideologiach, które posługują się pojęciami bytów zbiorowych – rodzin, klanów, plemion, wyznawców, narodów i ras. Jeśli patrzy się na społeczeństwo z tej ograniczającej perspektywy, to jawić się ono może jak społeczność mrówek, termitów lub może raczej szerzeni. W takiej optyce trudną do zrozumienia jest wolność mrówki idącej własną, niezależną od praw rządzących mrowiskiem, drogą. Wolność mrówki oznaczać może tylko dezorganizację mrowiska, jego niszczącą anarchizację i zburzenie danego od natury porządku. Stąd chyba bierze się głęboki dystans Kościoła do problematyki wolności ludzkiej i tolerancji wobec niej. Może dlatego ks. dr Andrzej Draguła albo unika tego tematu – nawet w zakresie indywidualnych duchowych przeżyć – albo go bagatelizuje lub gromi jak jakieś dziwactwo zagrażające trwałości wspólnot.

Innym wy tłumaczeniem dla powściągliwości polemicznej autora jest zapewne jego pozycja wewnątrz struktury Kościoła katolickiego. Jestem w stanie zrozumieć to ograniczenie, bowiem nie jest łatwo będąc księdzem pisać krytycznie o tej instytucji. Czasem chyba wygodniej jest zmilczeć niż powiedzieć za dużo. Szczególnie w odniesieniu do ideowych pryncypiów – np. kultu Jana Pawła II wraz z konsekwencjami polegającymi głównie na bezkrytycznym stosunku do jego nauczania.

Mogę jeszcze w jeden sposób wytłumaczyć sobie nasze wzajemne niezrozumienie. Może stało się tak, że podział mentalny Polski pogłębiający się przez ostatnie 18 lat dotknął również języka i możliwości wzajemnego komunikowania? Może wciąż rosnące granice, narastający konflikt światopoglądowy uniemożliwiają już dyskusję za pomocą jednoznacznych pojęć? Może te same słowa mają dla nas już zupełnie odmienne znaczenia?

Choć ksiądz Andrzej Draguła nie dyskutuje o meritum mojego tekstu, to z zapałem polemizuje z zawartymi w nim sformułowaniami, przenośniami, określeniami, a często dygresjami. Niektóre z nich wzbudzają w nim żywą reakcję, co dowodzi, że dotknąłem miejsc wrażliwych. Mając to na uwadze, postaram się odnieść do, moim zdaniem, najważniejszych tez artykułu *Każdemu jego własny patchwork?* Mam nadzieję, że choć w taki sposób będę mógł nawiązać do istoty mych zastrzeżeń wobec Kościoła – instytucji rozpychającej się ponad miarę w przestrzeni publicznej kosztem troski o jakość życia wewnętrznego wierzących.

Na wstępie ks. dr Andrzej Draguła kwestionuje moje intelektualne kwalifikacje do dyskusji o Kościele następującą oceną: „By jednak z zewnątrz móc widzieć obiektywnie, trzeba rozumieć obiekt obserwacji. Mielczarek Kościoła – niestety – ani nie zna, ani nie rozumie. Ocenia go jako instytucję, ale ostatecznie odrzuca go nie z powodów instytucjonalnych, ale jako niewystarczającą jego zdaniem płaszczyznę duchowego doświadczenia, której nie znajduje w (polskim) Kościele katolickim, ale w duchowości skrojonej na własną miarę i potrzeby”. To mocna ocena, a zarazem prowokująca pytanie – po co w takim razie ksiądz Draguła zadaje sobie trud i polemizuje dalej na kilku bitych stronach z moim artykułem? Po co marnuje swój cenny czas na dyskusję? Odpowiedź jest banalna – wygodniej prowadzić dyskusję z tym, który „nie rozumie” niż

z tym, który rozumie, lecz nie akceptuje. Sformułowanie „nie zna, nie rozumie” leży u źródeł właściwego duchownym poczucia wyższości, dzięki któremu z paternalistyczną perswazją zwracają się do swych krytyków jak do niemądrych dzieci. Na marginesie – nie wiem, dlaczego miałbym szukać duchowości skrojonej na inne niż moje własne potrzeby. Czemu właściwie moja duchowość ma być skrojona na miarę Kościoła? Skoro Kościół jako instytucja nie potrafi dać mi potrzebnych doświadczeń duchowych, to szukam ich gdzie indziej. Nietrafne jest emocjonalne sformułowanie księdza, że „odrzućcam”. Po prostu wybieram i idę swoją drogą.

W części zatytułowanej *Jasność Pisma* ks. dr Andrzej Draguła zżyma się na „majsterkowiczów” doktryny, etyki lub kultu pisząc, że owo „majsterkowanie” jest „de facto zgodą danej wspólnoty na rozmycie jej tożsamości i rozpląnięcie się w świecie religii i duchowości”. Abstrahując już od tego, że historia chrześcijaństwa jest niekończącym się procesem „majsterkowania” przy Piśmie, to zasadne jest zadanie pytania – z czym złym wiąże się owo „rozpląnięcie w świecie religii i duchowości”? Co jest pierwotne i ważniejsze – duchowy wymiar człowieka czy tożsamość i trwałość wspólnoty? Czy żyjemy w czasach wspólnot pierwotnych, bez których wsparcia skazani jesteśmy na poniewierkę i śmierć? Życie się co nieco ucywilizowało. Mamy w końcu szansę nie wegetować w ciągłym zagrożeniu, nie musimy zbijać się w trawione łękiem stada. Jest możliwość wyboru jak, gdzie i z kim żyć oraz jaki system wartości wyznawać. Może warto czasem wyjść z teologicznej twierdzy i zauważyć, że świat zmienia się na lepsze.

Dalej ksiądz Draguła zarzuca mi naiwność w ocenie jasności przekazu Pisma Świętego. Pozostają przy swoim zdaniu – Pismo jest jasne. Spory o tłumaczenia i interpretacje prowadzone od wieków przez teologów, były najczęściej próbami uzasadnienia interesów i konfliktów, w których uwikłany był Kościół. Ale w tej chwili niewielkie ma już znaczenie pozornie niewinne słowo „imprimatur” wskazujące, co należy czytać. Po prostu można wybierać i samodzielnie interpretować. Z tego też powodu – jak pisze ks. dr Andrzej Draguła – traktuję Pismo „jako swoistą księgę duchową, z której można czerpać jak się chce...” Nie zgadzam się natomiast z drugą częścią jego myśli: „... i wykoncypować Boga, jakiego się chce, wyzwolonego od instytucjonalnej, ograniczającej interpretacji”. Mój polemistą chyba się zapędził i najwyraźniej zapomniał

o potędzie Boga. To nie my wykoncypowujemy sobie własnego Boga, ale to on czasem się do nas zbliża i doświadcza, pomagając w egzystencji. Oczywiście zbliża się do nas, jeśli go szczerze szukamy. Tylko nie wiem, co do tych szczerych poszukiwań mają „instytucjonalne i ograniczające interpretacje”. Teza, iż droga do Boga wiedzie przez intelektualne zniewolenie, jest co najmniej dyskusyjna.

W części *Przynależność bez wiary* ks. Draguła stara się wytłumaczyć pustkę duchową wiernych ukrytą za fasadą celebracji i rytuałów. Zgadzam się z jego refleksją, iż w okresie tzw. realnego socjalizmu Kościół poza wypełnianiem swej misji religijnej w sposób naturalny musiał stać się depozytariuszem wartości wolnościowych. Mówiąc wprost, obok roli religijnej wypełniał również rolę polityczną. Nie mogę się natomiast zgodzić z tezą, że współcześnie „następuje daleko idące oczyszczenie [...] form działalności Kościoła. Ludzie poszukują w nim przestrzeni wiary, a nie azylu społeczno-narodowego”. Nie wątpię, że ludzie poszukują w Kościele doznań duchowych. Wątpię natomiast, czy je tam znajdują. Kościół polski nadal – w warunkach wolności – przesiąknięty jest do głębi polityką i często usiłuje nadawać sakralny wymiar obrzydliwej w naszych standardach walce o władzę. Kościół polski jest, mówiąc brutalnie, zainfekowany polityką. Co prawda ks. Draguła dystansuje się do „modelu polsko-katolickiego w wersji toruńskiej”, ale jego dystans ma niewielkie znaczenie dla mojego postrzegania Kościoła. Dużo prawdziwszy jest widok Jasnej Góry, na tle której były Premier RP w asyście hierarchów, „charyzmatycznego” redemptorysty i ojców paulinów krzyczy do tłumu sfanatyzowanych ludzi – *Tu jest Polska!* Dodam, że premier składał tę na poły sakralną deklarację w towarzystwie swych uparanych skandalami wicepremierów – od tygodni zresztą inwigilowanych na jego życzenie przez policję polityczną. Gdzie w tym brudzie można znaleźć wartości duchowe? Jak mogli się poczuć Polacy, którzy nie chcieli tam być? Gdzie mają szukać wartości ci, którzy w świetle tej jasnogórskiej deklaracji nie są Polską. Ręce można załamać patrząc na to „daleko idące oczyszczenie form działalności Kościoła”. Bóg śmieje się, patrząc na to z wysoka. Jeszcze raz podkreślam, że rozumiem dystans ks. Draguły do płytkich form obrzędowości oraz spektakli religijno-politycznych inscenizowanych przez polityków i duchowieństwo. Miejscem dla poli-

tyki jest tzw. scena polityczna, a nie Kościół. Jeśli Kościół staje się ową sceną, opuszcza go Bóg. Więc nie ma tam dla mnie miejsca. Wolę wiarę bez przynależności.

Następna część tekstu nosząca tytuł *Antyklerykalizm polski* pomyślana została jako przeciwstawienie skrajności postawy Polaka-katolika, o którym pisał autor w artykule *Kościół w Polsce...*, innej skrajności – postawie antyklerykalnej. Ponieważ pod tym tytułem kryje się polemika ze mną sądzę, że w oczach ks. dr Andrzeja Draguły właśnie ja jestem owym zajadłym antyklerykałem polskim. Czytając tekst, zastanawiałem się, co w nim właściwie przemawia za moją antyklerykalną postawą. Zarówno ks. dr Andrzej

Draguła, jak i ja zgadzamy się, że Kościół polski nie potrafił pomóc ludziom odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Obaj zgadzamy się również, że brak bezpieczeństwa w okresie transformacji skłonił zarówno wiernych, jak i duchowieństwo (w tym biskupów) do poszukiwań autorytarnego modelu władzy i prób stworzenia represyjnego tworu politycznego (IV RP). Jedy- nym argumentem użytym w tekście i uzasadniającym etykietowanie mnie określe-

niem „antyklerykał” są moje poglądy na temat konkordatu. To zaskakujące ponieważ w artykule *Z perspektywy wyznawcy...* dość niewinnie napisałem iż „Za wypełnianie tej niewdzięcznej misji (ochrona systemu drapieżnej gospodarki wolno-rynkowej przed społecznym wybuchem) Kościół został sownie wynagrodzony przez państwo. Konkordat wzmocnił go prawnie...” Książd Andrzej Draguła, co zrozumiałe, pominął inne, podane przeze mnie formy sowitej nagrody i skupił się na konkordacie, który w sposób oczywisty wzmocnił Kościół prawnie i organizacyjnie. Tłumaczenie, jakie korzyści dla Kościoła płyną z tej przez 5 lat w bólach uchwalanej umowy, nie ma sensu, bowiem zdaję sobie sprawę, jaką wartość mają uprawnienia np. w zakresie własności, nauczania religii, ważności małżeństw sakramentalnych i wpływu na obsadę stolic biskupich. Innym zagadnieniem jest, czy konkordat



rzeczywiście gwarantuje Kościołowi autonomię. Przeczy temu np. historia abp. Stanisława Wielgusa – dwudniowego metropolity warszawskiego. Pamiętam ingres, na którym mianowany przez Benedykta XVI metropolita składał upokarzającą rezygnację przed radośnie klaszczącym Prezydentem RP. Pamiętam, bo po ludzku żal mi było publicznego pohańbienia tego starego człowieka. U źródeł jego życiowej klęski stały związki z państwem. Przed laty były rozmowy – jak pisze ks. dr Andrzej Draguła – często w atmosferze filmów o Don Camillo. Niestety pozostały po nich notatki zamknięte w policyjnych sejfach. Państwo, z którym współcześnie tak bardzo identyfikuje się Kościół, skwapliwie przyjęło jako schedę poźółkłe

papiery od będącej w agonii komunii. Przyjęło i wykorzystowało, wpływając na obsadę stolicy biskupiej. Wniosek z tej historii jest taki, że istnieją polityczne instrumenty nacisku na Kościół i zapisy konkordatu niewiele w tej materii zmieniają. Może więc skórka nie warta była wyprawki? Może na dłuższą metą bardziej opłacalny byłby dystans wobec państwa, a nie wzajemne zobowiązania i korzyści wynikające z konkordatu? Na pewno byłoby trudniej i biedniej, ale może

bliżej ludzi często doświadczanych boleśnie przez władzę.

Znęcając się nad moim „antyklerykalizmem” ks. dr Andrzej Draguła brnie tak daleko, iż usiłuje wiązać moją postawę z praktykami blokowania awansów naukowców – księży na państwowych uczelniach. Pozostaje mi zapewnić księdza, że na szczęście nie decyduję o czyichkolwiek awansach. Nie wiem też, czy prestiż Nagrody Templetona przyznanej ks. prof. Hellerowi wspomocze awanse zawodowe księży-naukowców. Nie oceniam tej wybitnej osobowości z takiej perspektywy. Wiem tylko jedno – nie mogłem oderwać się od radia słuchając wywiadu z ks. profesorem. Od lat nie słyszałem, by ktoś tak frapująco mówił o Bogu i doznaniach religijnych. Niestety czas medialnej popularności ks. prof. Hellera minął i już nikt nie przeprowadza z nim rozmów. Życie wróciło więc do

„normy”, a religijne rozmowy zamieniły się w zwykłe medialne kaznodziejskie pouczanie.

W rozdziale *Sobór jako zasłona dymna* ks. dr Andrzej Draguła kolejny raz zarzuca mi antyklerykalizm, tym razem sugerując, iż wynika on z jakiś bliżej nieokreślonych zranień. Więc kolejny raz przypominam, że na własne życzenie Kościół jest instytucją publiczną (w tym polityczną) i pełniąc taką rolę podlega również krytycznej ocenie. Nazywanie tej krytyki antyklerykalizmem jest semantycznym nadużyciem. Sugerowanie emocjonalnego podłoża owej krytyce jest spłycające i polemicznie niebezpieczne. Równie dobrze można by zarzucić propagatorom surowych norm obyczajowych Kościoła zastarzałe emocjonalne zranienia. Sądzę, że nie ma sensu sprowadzanie dyskusji do psychoanalitycznego wymiaru.

Książd dr Andrzej Draguła czuje się urażony porównaniem ideologiczno-prawnej presji na wzmacnianie rozrodczości przez państwo stalinowskie i współczesny Kościół polski. Pisze, że porównanie to jest głęboko uwłaczające dla wielodzietnych rodzin „podejmujących trud wychowania następnych pokoleń, także w perspektywie przyszłej emerytury kolegi Mielczarka”. Chciałbym zwrócić uwagę, że wyraźnie pisalem o państwie, Kościele i presji prawno-ideologicznej, a nie o wielodzietnych rodzinach, więc wniosek jest nieuprawniony. Nie mam zwyczaju oceniać ludzkich intymnych decyzji – w tym dotyczących posiadania dzieci. Dodam, że nie jestem aż takim egoistą, bym patrząc na beznadziejną sytuację socjalną większości rodzin wielodzietnych, przeliczał ich nędzę na wzrost mej przyszłej emerytury. Kontynuując tematykę demograficzną, ks. dr Andrzej Draguła grzmi: „Czy Mielczarek słyszał o »zastępowalności pokoleń« i o niepokojącym przyroście naturalnym w Polsce? Dbanie o dzieciństwo społeczeństwa leży w interesie jego samego. [...] Dbanie o dzieciństwo rodzin jest troską o byt narodu”. Tak, słyszałem i nawet o tym napisałem w tekście, z którym książd doktor polemizuje. Jasno napisałem, że od kilkunastu lat utrzymuje się ujemny przyrost naturalny, co dowodzi iż „troska o byt narodu” Kościoła katolickiego wzmocniona pronatalistycznym prawodawstwem nie przynosi, poza krzykliwym spektaklem propagandowym, żadnych realnych efektów. Nie przynosi i nie może przynieść, bo archaiczne nauczanie Kościoła przegrywa z realiami współczesności pozwalającymi kobietom dokonywać wyboru za

pomocą skutecznej antykoncepcji. Nikła dzieciność rodzin polskich nie spędza mi zresztą snu z powiek, bo nie uważam, by za jej przyczyną naród nieubłagane odpływał w niebyt. Badania wskazują, że Polki doświadczając stabilizacji socjalnej np. w związkach emigracyjnych, rodzą dzieci. Również wyż demograficzny z okresu „nocy generałów”, tj. pierwszej połowy lat 80. z powodzeniem „zastępuje pokolenia” leniwych rozrodczo Niemców, Anglików, Szkotów i innych nacji. Biorąc to pod uwagę, jeśli osiągniemy przyzwoity poziom życia, zastępować nas mogą młode pokolenia emigrujących do nas za chlebem obcokrajowców. Zaznaczam, że w niczym nie przeszkadza mi fakt przyszłego rozmywania przez nich naszej narodowo-religijnej wspólnoty. Stanie się tak oczywiście, jeśli osiągniemy ów przyzwoity poziom życia, co jak na razie wydaje się wątpliwe, gdyż dyskusja o przyszłości prowadzona jest za pomocą aparatu pojęciowego sprzed kilkudziesięciu lat. Sądzę więc, że lepszą aniżeli ideologiczne rozważania o „bycie narodu” podstawą do tej dyskusji są wskaźniki statystyczne i płynące z nich wnioski. Radzę mojemu polemście zerknąć np. do co roku opracowywanych przez GUS i Polskie Stowarzyszenie Statystyczne badań *Diagnoza społeczna*. Można znaleźć tam szczegółowe dane dotyczące tragicznej dochodowości wielodzietnych gospodarstw domowych, ich zadłużenia, nikłych kwot przeznaczanych np. na edukację, profilaktykę zdrowotną i odżywianie dzieci. Badania wskazują również zatrważający poziom bezpieczeństwa socjalnego rodzin wielodzietnych, niski stopień zaufania tych ludzi do instytucji publicznych i do siebie nawzajem. Analiza danych pozwala zrozumieć podstawową przyczynę niżu demograficznego, jaką jest brak bezpieczeństwa egzystencjalnego wyrażony głównie w lęku o przyszłość. I tu wracamy do punktu wyjścia, czyli emocji społecznych, z którymi nie potrafił sobie przez 18 lat bolesnej transformacji poradzić Kościół polski. Potwierdza to zresztą sam ks. dr Andrzej Draguła, pisząc: „To prawda, że nie potrafiliśmy pomóc ludziom w odnalezieniu się w nowej sytuacji. Trudno tu zresztą o wyjście optymalne. To właśnie z tej nieumiejętności odnalezienia się w nowej sytuacji pojawiały się w niektórych środowiskach kościelnych tęskne wołania »komuno, wróć!«”. No cóż, państwo à la „realny socjalizm” zapewne nie wróci, za to lęk egzystencjalny zubożałych wiernych niewątpliwie pozostanie.

Oberwało mi się za „autorską interpretację” Soboru Watykańskiego II. Mój interlokutor zarzuca mi, że nie dostrzegam soborowej „próby nowego spojrzenia na obecność Kościoła w świecie, nie opartej już na sojuszu ołtarza z tronem”. W świecie dostrzegam tę próbę, ale nie zauważam jej w Polsce. Sądzę, że od osiemnastu lat sojusz ten kwitnie w najlepsze. Myślę, że w moich wcześniejszych rozważaniach dostatecznie to uzasadniłem. Dalej ks. dr Draguła pisze: „[...] dla Mielczarka Kościół to instytucja opresywna, która podjęła reformę samej siebie nie dlatego, że rozwija się w samorozumieniu siebie, lecz dlatego, że jej się nie udało”. Współczesny Kościół polski sam w sobie nie jest wobec mnie instytucją opresywną, ponieważ jestem poza nim. Represyjne wobec mnie może być tylko państwo realizujące jego doktrynę. Nie interesuje mnie, czy wobec wiernych Kościół stosuje formy opresji czy miłości, bowiem przynależność do wspólnoty wyznaniowej ma charakter dobrowolny, więc wiąże się z wyborem. Natomiast próby klerikalizacji państwa tworzącego powszechnie obowiązujące prawo budzą mój niepokój, bo wybór sprowadza się do trzech możliwości – podporządkowania, doświadczenia represji lub emigrowania. Podtrzymuję więc swoją myśl: „To nie ustalenia Soboru ograniczają zapędy ewangelizacyjne polskich katolików, ale słabość i płytkość współczesnej doktryny kościelnej”. Gdyby doktryna potrafiła nadać sens ludzkiemu życiu i wypełnić je duchową treścią przełamującą lęki, to nie występowała by sytuacja w której – jak pisze sam ks. dr Andrzej Draguła – „...coraz więcej ludzi odchodzi od Kościoła, by szukać duchowości gdzie indziej”. Tym samym polski Kościół nie musiałby trwać w sojuszu z państwem i wprzęgać je w proces ewangelizacji. Co zaś się tyczy pobudek, którymi kierował się Kościół powszechny podejmując próby reform, to bezdyskusyjne jest, że każda organizacja dokonuje zmian w mniej lub bardziej wymuszony sposób. Gdyby nie refleksja nad hekatombą II wojny światowej oraz polityczne, obyczajowe i gospodarcze



przemiany w latach 50. i 60. XX wieku reform Kościoła by nie było. Kościół po prostu w swoim interesie podjął próbę przeciwdziałania swej alienacji, dostosowania się do nowych czasów i nie nadałbym tej próbie wymiaru heroicznego. Reforma to tylko reforma i przesadą jest nazywanie jej „wysiłkiem podejmowanym tak długo dopóki będzie trwał (Kościół) poszukując kształtu swej wierności wobec Założyciela”.

W części *Autoreforma Kościoła* ks. dr Andrzej Draguła skupia się na analizie duchowości wskazując, że może ona mieć różny wymiar – niekoniecznie odnoszący się do Boga. Pisze: „Duchowość to nie to samo, co wiara, i to w dodatku w jej kształcie zinstytucjonalizowanym, kościelnym. Dzisiaj o duchowości

mówią wszyscy. By mieć jakąś duchowość, nie trzeba ani wierzyć w Boga, ani akceptować jakiejś doktryny, ani należeć do instytucji Kościoła. Co więcej, można żyć przekonaniem o niezwyklej głębokości własnej duchowości”. Chciałbym zwrócić uwagę polemście, iż oba moje teksty dotyczą duchowości religijnej, czyli odnoszącej się do Boga. Ksiądz Andrzej Draguła sugeruje równocześnie, że moje życie wewnętrzne (duchowe) ma charakter

infantylnego egzaltacji. Nie wiem, skąd ta opinia, ponieważ w artykule *Z perspektywy wyznawcy...* kilka uwag krytycznych poświęciłem przesadnemu zapałowi w wyrażaniu uczuć przez uczestników różnego rodzaju celebracji organizowanych właśnie przez Kościół. Widocznie egzaltacja dla księdza i dla mnie co innego znaczy – o czym pisałem we wstępie. Dodam, że mam już swoje lata i doprawdy nie jestem łasy na „chwilowe pocieszenie, czy duchowe dobre samopoczucie, wszechogarniające wrażenie, że »jest cudnie«”. Za Paulem Coelho nie przepadam, a *Pielgrzym* nie czytałem. Uważam za protekcyjne i krzywdzące dla państwów uogólnienie, iż tylko egzaltowani czytelnicy tego pisarza zdzierają podszwy, idąc do Santiago. *Barkę* zaś się nie brzydzę, jak pisze mój polemista, a nawet momentami rozczuła mnie jej infantylny sentymentalizm.

Natomiast nie uważam za stosowne, by nadawać temu banalnemu utworowi rangę narodowej pieśni religijnej. Ale z drugiej strony również nic mi do tego, co ludzie śpiewają np. na mszach i pogrzebach. Tu ks. dr Andrzej Draguła ma rację konstatując, że „żyjemy w wolnym świecie wolnych ludzi”.

W podsumowaniu mój interlokutor pisze z goryczą: „łatwiej jest jednak Kościół skrytykować i opuścić niż go od wewnątrz oczyszczać i reformować”. Przypomnę więc jego sformułowanie zawarte w artykule *Kościół w Polsce: przyszłość przeszłości*, które skłoniło mnie do podjęcia polemiki: „O wiele częściej mamy do czynienia z praktycznym porzuceniem Kościoła w jego oficjalnej wersji, bez wyrzekania się jednak wiary, religii, czy też Boga rozumianych wszakże à la propre manière. W ten sposób rodzi się religia-patchwork, religia-bricolage, wiara będąca efektem dowolnego majsterkowania w sferze nadprzyrodzonej. Tak rodzi się niestety także duchowość plastikowa, uproszczona, duchowość w wersji soft...” To właśnie ta płytka i ośmieszająca ocena tych, którzy szukają Boga na swój sposób, była źródłem

mojej krytyki. I miałem do niej prawo, ponieważ nie jest tak, że tylko duchowni mają swoisty monopol do oceniania życia wewnętrznego ludzi. Doprawdy nie jest tak, że tylko Kościół ma prawo oceniać, co jest duchowo głębokie a co płytkie, co jest w człowieku *soft* a co *hard*, co jest żywe a co plastikowe.

Ksiądz doktor Andrzej Draguła daje do zrozumienia, że identyfikuje się z liberalnym skrzydłem polskiego duchowieństwa podejmującym próby reform i oczyszczenia. Szczerze mu życzę powodzenia w tym dziele. Mam tylko nadzieję, że ewentualne reformy przejawiać się będą choćby w próbach zrozumienia ludzi inaczej myślących. Również tych, którzy korzystają z „modelu duchowości” pielęgowanego na hiszpańskim szlaku do Santiago de Compostella. To na pewno ułatwiłoby nasze wzajemne relacje. Dziękuję księdzu za wymianę myśli. Ze swojej strony zamykam jednak dyskusję o wolności, duchowości i Kościele w Polsce. Po przeczytaniu *Każdemu jego własny patchwork?* czuję, że powinienem iść dalej własną drogą.

Wojciech Mielczarek

Gott schaut nach unten und lacht

(Zusammenfassung)

Nachdem ich den Text von Priester Dr. Andrzej Draguła „Jedem sein Patchwork?” gelesen habe, hatte ich den Eindruck, dass er darüber schweigt, was den Kern des Artikels ausmachen sollte, nämlich über die Rolle der polnischen Kirche in Bezug auf die vor 18 Jahren zurückgewonnene Freiheit.

In seiner Polemik äußert sich Priester Andrzej Draguła nicht zu den existentiellen Fragen, die ich in meinem Artikel berührt hatte. Sein Schweigen macht da nachdenklich. Vielleicht hält man die Freiheit in dieser Dimension im konservativ-katholischen Polen für der Aufmerksamkeit nicht würdig? Vielleicht eben

daher kommt die Distanz der Kirche zur Frage der menschlichen Freiheit.

Eine andere Erklärung für die Zurückhaltung des Autors könnte seine Position innerhalb der katholischen Kirche sein. Es ist klar, dass es schwierig ist, als Priester kritisch über diese Institution zu schreiben. Es ist manchmal wohl bequemer zu schweigen, als ein Wort zu viel zu sagen. Insbesondere in Bezug auf bestimmte ideologische Prinzipien - wie den Kult Johann Paul II.

Ich vermag mir sonst unser gegenseitiges Missverstehen auf nur noch eine andere Weise zu erklären. Vielleicht hat sich die mentale Teilung, die sich in Polen in den letzten 18 Jahren immer vertieft, auch auf die Sprache und die Möglichkeiten, miteinander zu kommunizieren, niedergeschlagen?

Gleich am Anfang stellt Dr. Andrzej Draguła meine intellektuellen Fähigkeiten in Frage, über die Kirche zu diskutieren, indem er behauptet: *Mielczarek kennt die Kirche leider nicht, noch versteht er sie.* Nach dieser Behauptung drängt sich schier die Frage - warum gibt sich Priester Draguła dann überhaupt die Mühe, mehrere geschlagene Seiten mit meinem Artikel zu polemisieren? Die Antwort ist einfach - es ist bequemer mit jemandem zu diskutieren, der „nicht versteht“, als mit jenem, der versteht, aber nicht akzeptiert. Die Formulierung „du kennst nicht, du verstehst nicht“ liegt der für die Geistigen typischen von oben herablassenden Behandlung ihrer Kritiker zugrunde; so können sie diesen paternalistisch zureden, wie zu unklugen Kindern.

Im Abschnitt „Klarheit der Schrift“ entrüstet sich Priester Dr. Andrzej Draguła über das „Basteln“ an der Doktrin, indem er schreibt, dieses „Basteln“ sei *de facto Zustimmung der jeweiligen Gemeinschaft, dass ihre Identität untergraben wird, dass sie sich in der Welt der Religionen und geistiger Strömungen auflöst.* Abgesehen davon, dass die Geschichte des Christentums ein unaufhörliches „Basteln“ an der Schrift ist, scheint eine Frage begründet: Was ist schon schlimm daran, dass man sich in der „Welt der

Religionen und geistiger Strömungen“ auflöst? Was ist primär und wichtiger - die geistige Dimension des Menschen oder die Identität und Beständigkeit der Gemeinschaft? Wir leben doch wohl nicht mehr in den Zeiten der Urgemeinschaften, ohne die wir zum Umherirren und Tod verurteilt sind? Wir haben die Möglichkeit, nicht in ständiger Angst zu vegetieren, wir brauchen uns doch nicht in verängstigte Herden zusammenzudrängen.

Weiter wirft mir Priester Draguła vor, ich würde die Klarheit der Heiligen Schrift nur allzu naiv beurteilen. Ich bleibe bei meiner Meinung - die Schrift ist klar. Die Streitigkeiten um deren Deutung, geführt von Theologen, waren meistens nichts mehr, als Versuche, Interessen zu verteidigen, in die die



Kirche verwickelt war. Deswegen sehe ich die Schrift als *ein einzigartiges geistiges Buch, von dem man nach Belieben schöpfen kann...* Ich bin aber mit dem zweiten Teil von Dragułas Satz nicht einverstanden: *...und einen Gott konzipieren, den man sich wünscht, frei von einer institutionellen, einschränkenden Interpretation...* Mein Gegenpart unterschätzt offensichtlich Gottes Macht. Nicht wir konzipieren sich unseren eigenen Gott, sondern

er nähert sich uns, je nach seinem Willen.

Im Abschnitt „Angehörigkeit ohne Glauben“ versucht Priester Draguła die geistige Leere der Gläubigen zu erklären, die sich hinter der Fassade der „patriotischen“ Feierlichkeiten verbirgt. Ich kann mit der These nicht übereinstimmen, dass es heute eine *weitgehende Reinigung [...] der Formen der kirchlichen Tätigkeit erfolgt. Die Menschen suchen nach einem Raum für den Glauben, nicht nach einem sozialen und nationalen Asyl.* Die polnische Kirche ist mit Politik infiziert. Priester Draguła distanziert sich zwar vom „polnischen Modell des Katholizismus im Sinne von Thorn“, in Wirklichkeit sehen wir aber das Bild von Jasna Góra, vor dessen Hintergrund der polnische Premierminister in Begleitung der kirchlichen Würdenträger, des „charismatischen“ Redemptoristen und der Paulaner der fanatisierten Menge zuruft: *Wir*

sind Polen! Die Politik hat ihren Platz auf der sog. politischen Bühne, nicht in der Kirche. Wenn die Kirche zu einer solchen Bühne wird, wird sie von Gott verlassen. So bleibe ich lieber beim Glauben, ohne anzugehören.

Dem Abschnitt unter dem Titel „Der polnische Antiklerikalismus“ liegt der Gegensatz zugrunde zwischen der extremen Haltung eines polnischen Katholiken und dem anderen Extrem – dem Antiklerikalismus, der sich durch Kritik des Konkordats äußert. Ich weiß, wie wichtig sind für die Kirche ihre Berechtigungen z. B. im Bereich des Eigentums, des Religionsunterrichts, der Gültigkeit von kirchlichen Ehen und des Einflusses auf die Besetzung der Bischofsstühle. Wird aber dadurch die Autonomie der Kirche garantiert? Dem widerspricht z. B. das Schicksal von Erzbischof Stanisław Wielgus, dem Warschauer Metropoliten, der nur zwei Tage im Amt verblieb. Ich erinnere mich noch an seinen Ingress, wo dieser vom Benedikt XVI. ernannte Metropolit seinen demütigenden Rücktritt vor dem voller Freude klatschenden Präsidenten der Republik Polen verkündete. Die Schlussfolgerung aus dieser Geschichte ist folgend: Es gibt politische Instrumente, mit denen Druck auf die Kirche geübt werden kann, und die Bestimmungen des Konkordats ändern nur wenig daran. Vielleicht würde es sich dann mehr lohnen, sich in Distanz gegeneinander zu üben, anstatt ein System gegenseitiger Verpflichtungen und Nutzen aufgrund des Konkordats zu schaffen?

Im Abschnitt „Konzil als Nebelwand“ zeigt sich Priester Draguła gekränkt durch den Vergleich zwischen dem ideologisch-rechtlichen Druck des stalinistischen Staates zur Erhöhung der Geburtsrate und der katholischen Kirche heute. Er schreibt, dieser Vergleich sei beleidigend für Familien, *die die Mühe der Erziehung weiterer Generationen auf sich nehmen, auch aus der Perspektive der künftigen Rente von Kollege Mielczarek*. Dann donnert Priester Draguła: *Hat Mielczarek je von „Geburtenbilanz“ gehört und über die beunruhigend niedrige Geburtenrate in Polen? Es liegt im Interesse der Gesellschaft selbst, sich um deren Geburtenzahl zu kümmern*. Ja, ich habe davon gehört, und habe das sogar in dem Text geschrieben, mit dem Dr. Draguła polemisiert. Die negative Geburtenrate hält sich seit über zehn Jahren, was beweist, dass der Kirche „Sorge um das Sein der Nation“, gestärkt durch die entsprechende Gesetzgebung keine realen Ergebnisse bringt. Und zwar, weil die archaische Lehre der

Kirche gegen die Wirklichkeit der Gegenwart verliert, in der die Frauen eine Wahl haben – dank der Schwangerschaftsverhütung. Ich glaube, mein Gegenpart wäre gut beraten, einen Blick auf die Ergebnisse der Jahr für Jahr durchgeführten Untersuchungen „Soziale Diagnose“ zu werfen. Dort findet er detaillierte Angaben zu der dramatischen Situation kinderreicher Haushalte, deren Verschuldung, dazu, wie niedrig sind die Summen, die sie für Ausbildung oder Ernährung ihrer Kinder ausgeben. Diese Untersuchungen zeigen auch auf das erschreckend niedrige Niveau der sozialen Sicherheit von kinderreichen Familien und ihres Vertrauens zu den öffentlichen Institutionen. Durch eine Analyse dieser Angaben kann er besser die Ursache für die niedrige Geburtenrate in Polen begreifen, d. h. die fehlende soziale Sicherheit und Angst um die Zukunft.

Ich wurde auch für die „eigene Interpretation“ des Konzils gescholten. Mein Gegenpart schreibt, das ich den *Versuch, der Kirche eine neue Rolle in der Welt zuzuschreiben* nicht sehe, *die keine Allianz mehr zwischen dem Altar und dem Thron vorsieht*. Doch, ich sehe ihn – in der Welt, aber nicht in Polen. Diese Allianz blüht geradezu, seit 18 Jahren. Dr. Draguła schreibt: *... für Mielczarek ist die Kirche ein Bedränger, der sich Reformen unterzieht, nicht weil er sich als eine sich selbst verstehende Institution entwickelt, sondern weil er gescheitert sei*. Die heutige Kirche ist für mich kein Bedränger an sich, weil ich ihr nicht angehöre. Ein Bedränger ist für mich nur der Staat, der ihre Doktrin realisiert.

Priester Andrzej Draguła deutet an, dass er sich mit dem liberalen Flügel des polnischen Klerus identifiziere, der versucht, Reformen vorzunehmen. Ich wünsche ihm Erfolg dabei. Ich hoffe nur, dass diese eventuellen Reformen sich wenigstens in Versuchen niederschlagen werden, die Andersdenkenden zu verstehen. Auch diejenigen, die ihr „Modell des geistigen Lebens“ in Spanien, auf der Wanderung nach Santiago de Compostella pflegen. Dies würde das gegenseitige Verhältnis bestimmt erleichtern. Ich bedanke mich sehr bei Ihnen für diesen Gedankenaustausch. Meinerseits schließe ich aber die Diskussion über die Freiheit, das geistige Leben und die Kirche in Polen. Nachdem ich „Jedem sein Patchwork?“ gelesen habe, habe ich das Gefühl, ich soll weiter meinen eigenen Weg gehen.

Übersetzt vom Grzegorz Kowalski

Duchowość na polanie

Przychodzi taki moment w polemice, gdy strony nie spierają się już o sedno sprawy, tylko o intencje. Jeden drugiemu wmawia, co autor chciał przez to powiedzieć i co tak naprawdę myślał, gdy pisał. Owocem takiego stanu rzeczy są albo wzajemne oskarżenia o fałszywe zamiary, albo obrona poszczególnych słów i twierdzeń poprzez przytaczanie własnej wykładni. Chyba doszliśmy już do tego momentu. I Mielczarek, i ja dziwimy się nawzajem czytając odnośne teksty i szukając tego, co znalazł polemista. Ja na przykład szukam w swoich tekstach tonu pretensjonalnego. I nie znajduję. Pewno inaczej pojmujemy protekcyjność. Ale do rzeczy. Spróbujmy dojść do jakiejś konkluzji.

Religia jako napięcie

Najpierw kwestia relacji Kościoła do wolności i społeczeństwa. Powiem rzeczy banalne, ale chyba konieczne, by je przypomnieć. Nie ulega wątpliwości, iż utożsamienie się z jakąś religią, systemem etycznym czy Kościołem jest w konsekwencji rezygnacją z przynajmniej części osobistej wolności. Przyjmując określony system religijny, przyjmuje się wynikającą z niego etykę. Ocena tego zjawiska będzie różna w zależności od przyjętej perspektywy. Zwolennicy skrajnego liberalizmu będą widzieć w tym ograniczenie, zniewolenie, kaganiec. Zwolennicy skrajnego konserwatyzmu religijnego będą w tym widzieć uwolnienie od ponowoczesnego dylematu wyboru. Pisał o tym choćby Z. Baumann w swojej książce *Ponowoczesność jako źródło cierpień*. Dla wielu konieczność dokonywania wyboru jest cierpieniem, dlatego uciekają w systemy, które dokonują wyboru za jednostkę. W skrajnych przypadkach będzie to

kult systemów totalitarnych, które nie pozwalają człowiekowi na żaden wybór. Religia jest sytuacją napięcia pomiędzy prawem jednostki do wyboru a systemem etycznym, który ten wybór narzuca. Inaczej mówiąc, religia jest stanem napięcia między osobistym wyborem dokonującym się w sumieniu a normą, która wynika z przyjętego systemu. To napięcie może rozkładać się bardzo różnie. Religie totalne, jak islam, chcą zorganizować całość życia człowieka, zarówno w jego wymiarze indywidualnym, jak i społecznym. I robią to bardzo rygorystycznie. Są też religie skrajnie liberalne, także tradycji chrześcijańskiej, gdzie katalog norm moralnych ograniczono do minimum, pozostawiając jednostce szerokie spectrum wyboru. Z kwestią tą boryka się teraz choćby anglikanizm, który nie wie, czy się liberalizować, czy konserwatywować.

Katolicyzm – jak sądzę – wybrał coś, co można nazwać *via media*, czyli drogą pośrednią. Wpływ na wybory moralne powinien dokonywać się bardziej przez inspirację niż bezpośredni nakaz. Czy tak się jednak dzieje? Chyba nie do końca. I to z wielu powodów. Najpierw jest to pokusa pewnej nadopiekuńczości, która ma u źródła przekonanie, że ludzie sami nie potrafią wybrać, więc trzeba wybrać za nich. Myślę też, że bardzo ważną rolę odgrywa dziedzictwo historyczne, jakim była epoka konstantyńska, która w umysłach wielu ludzi Kościoła odchodzi w przeszłość bardzo powoli. Wielu też chce, by nie odchodziła wcale. Chrześcijaństwo w tej epoce dążyło do totalizacji życia człowieka, objęcia wszelkich jego aspektów, zorganizowania całej ludzkiej egzystencji. Z tej perspektywy trudno niektórym przejść do kategorii praw jednostki czy rozdziału Kościoła od państwa i autonomii rzeczywistości

ziemskich. Ta pokusa jest obecna także i w Kościele polskim. Jak już pisałem wcześniej, polski komunizm był dodatkowym katalizatorem takiego podejścia do społeczno-kościelnej rzeczywistości. Trudno dzisiaj odmówić sobie prawa do bezpośredniego rządu dusz, wyzbycia się wielowiekowego *status quo*.

Mielczarek zdaje się przeciwstawiać wolność jednostki wolności zbiorowej, by nie powiedzieć – moralności kolektywistycznej. Hm, jednostka nie żyje w izolacji. Żyje w – jak pisze Mielczarek – bytach zbiorowych: rodzinach, klanach, plemionach, wyznawcach, narodach i rasach. W konsekwencji – w napięciu pomiędzy wolnością własną a wolnością drugiej osoby oraz w napięciu pomiędzy wolnością własną a dobrem zbiorowym, celem zbiorowym, zbiorową korzyścią, która każe czasami choć z części własnej wolności zrezygnować. Ludzkość nie jest mrowiskiem, ale – trzymając się tej analogii – gdyby każda mrówka szła w swoją stronę, nigdy ta społeczność nie zbudowałaby kopca. „Wolność mrówki oznaczać może tylko dezorganizację mrowiska, jego niszczącą anarchizację i zburzenie danego od natury porządku”. Święta prawda. Dlatego właśnie człowiek łączy się w narody i państwa, które są formą zbiorowego konsensusu i kompromisu, formą rezygnacji czy ograniczenia własnej wolności na rzecz innych. Oczywiście są tutaj nieprzekraczalne granice, gdy system instrumentalizuje człowieka, pozbawia go wolności, odmawia mu praw. Gdy struktura jest ważniejsza niż człowiek, idea dominuje nad życiem. W takim przypadku także religia przestaje być sobą, a staje się ideologią, czego najdrastyczniejsze przypadki mieliśmy choćby w średniowieczu, gdy formą zbawienia człowieka na siłę, nie licząc się z ludzką wolnością, był miecz, stos, wyprawa krzyżowa. To między innymi z tego „spowiadał” się publicznie Jan Paweł II w Roku Wielkiego Jubileuszu.

Z Kościołem albo obok niego

Mielczarek pisze o mnie: „Sformułowanie „nie zna, nie rozumie” leży u źródeł właściwego duchownym poczucia wyższości, dzięki któremu z paternalistyczną perswazją zwracają się do swych krytyków jak do niemądrych dzieci”. Przykro mi, jeśli mój polemista tak się poczuł. Nie chodzi mi o żaden paternalizm, raz jeszcze podkreślam. Chodzi i posiadaną perspektywę. Obawiam się, niestety, iż bardzo

wielu krytyków Kościoła go nie rozumie i nie zna, czego dowodem są stosowane do jego oceny kategorie. To tak trochę, jakbym się podjął krytyki islamu. Nie znam go, nie rozumiem, nie wypowiadam się.

Kościół jest trudną rzeczywistością. Im dłużej w nim jestem, tym bardziej jestem o tym przekonany. Weźmy pierwszy lepszy przykład z tekstu Mielczarka. „Nie wiem, dlaczego” – pisze Mielczarek – „miałbym szukać duchowości skrojonej na inne niż moje własne potrzeby. Czemu właściwie moja duchowość ma być skrojona na miarę Kościoła? Skoro Kościół jako instytucja nie potrafi dać mi potrzebnych doświadczeń duchowych, to szukam ich gdzie indziej”. I właściwie trzeba by tutaj zrobić skrócony wykład z teologii wszystkiego bez mała. Kościół naprawdę jest czymś innym, niż pisze o tym Mielczarek. Po pierwsze, jego zadaniem nie jest oferowanie duchowości, lecz zbawienia, a to zupełnie inne perspektywy. Teologia chrześcijańska (bo nie tylko katolicka) opiera się na podstawowym fakcie, że Kościół jest instrumentem pozostawionym przez Jezusa Chrystusa, którego zadaniem jest kontynuowanie Jego dzieła zbawienia człowieka. Uff! Kościół jest czymś danym, zostawionym, objawionym. Ekskluzywistyczna teologia mówi o jego jedyności i niepowtarzalności. Owszem, musi on być ostatecznie przedmiotem ludzkiego wyboru, ale nie pomiędzy mnóstwem równorzędnych propozycji, bo jak naucza Kościół – *extra Ecclesiam nulla salus*. Nie znaczy to, iż człowiek nie może się zbawić w innych strukturach, religiach czy poza religią jako taką, ale – jak wierzymy – owo zbawienie (czyli perspektywa wieczności) dociera do nas jedynie przez Jezusa i Jego Kościół.

A co ma do tego duchowość? Może nie mieć nic. Duchowość może mieć deista, ateista i chrześcijanin, ale źródła tej duchowości będą bardzo różnicowane. Może to być jakaś idea Boga albo tantra, albo Jezus Chrystus. Przepraszam, jeśli zabrzmi to boleśnie. Mielczarek pisze o duchowości „na własne potrzeby”. Ok. Jestem za, ale bądźmy konsekwentni. Niech cała reszta pozostanie w takim przypadku „na własne potrzeby”. Kwestia zaczyna się komplikować, gdy „duchowość na własne potrzeby” nagle przychodzi do instytucji Kościoła i tam formułuje swoje roszczenia. Ostatnio ktoś mi opowiadał anegdotę o wizycie w kancelarii parafialnej. Kandydat na chrześnego przyszedł po zaświadczenie o swojej wierze. Kapłan odmówił, argumentując tym, że go nie zna, nie przyjął nigdy księdza po koleędzie i ma

nieuormowane życie sakramentalne, a w kościele też się nie pokazuje. Tenże „wierny” odpowiedział wówczas, że on się najchętniej modli w lesie na polanie. „To proszę iść do leśniczego” – miał odpowiedzieć proboszcz. Anegdota drastyczna, ale chyba dobrze ilustrującą problem. Albo się ma własną duchowość, albo duchowość Kościoła; albo patchwork, albo Jezus Chrystus. Chodzi o wybór zasadniczy, opcję fundamentalną. Reszta to tylko konsekwencje. I jeszcze jedno. Ja tego nie wartościuję. Na świecie ma prawo żyć wierzący i ateista, szanując się i nie odmawiając sobie wzajemnie prawa do prawdy. Jeden na drugiego nie będzie jednak patrzył inaczej jak według własnych kryteriów.

Ramię duchowe i świeckie

I tutaj przechodzimy do kwestii Biblii i tożsamości. Trudno się oprzeć wrażeniu, że jesteśmy na antypodach. Tak, historia chrześcijaństwa to dzieje „majsterkowania” przy Biblii, ale wcale nie dlatego, by się rozmyć w świecie religii i duchowości, ale dlatego, żeby znaleźć tę najprawdziwszą. Gdyby w religii wszystko było *ganz egal*, to nie byłoby odrębnych tradycji religijnych, Kościołów, nawróceń czy misjonarzy. Dodajmy, ateizm też jest misyjny, bo ateistycznym dewotom zależy ni mniej ni, więcej jak na tym, by ateistów było jak najwięcej. Każda formacja religijna (w tym ateizm) jest mniej lub bardziej ekskluzywistyczna. Każda broni swej własnej tożsamości, co więcej, wychodzi z założenia, że jej tożsamość jest bliższa prawdy niż sąsiada. Na tym zasadza się wyłączość i jedyność każdej religii. Muzułmaninowi nie jest obojętne to, że nim jest. Trudno, by wyznawca prawosławia jutro wyznawał protestantyzm, a pojutrze uznał się za katolika. To nie jest to samo. Dla żadnego z Kościołów Biblia nie jest księgą

duchową, z której można korzystać jak się chce. Dla każdego to księga objawiona, w interpretacji której trzeba dążyć do jak największej autentyczności i doszukać się w niej prawdy. Dramatem chrześcijaństwa jest to właśnie, iż każdy tę biblijną prawdę w swojej tradycji odczytuje inaczej, co przekłada się na wszystko: inne struktury kościelne, inną etykę, nieco inne rozumienie zbawienia. Każdy wierzy, że Bóg się objawił tak, a nie inaczej. A co do potęgi Boga, to tego nikt nie ma zamiaru ograniczać. Pan Bóg – jak wierzymy – działa jak chce – tak jak się objawił i pewno jeszcze inaczej. Każdego szuka i każdemu pozwala do siebie dojść. Najpewniej robi to w Kościele katolickim. Tak wierzę i dlatego w nim trwam. Stąd moja wiara z przynależnością.



I jeszcze kilka słów odnośnie Kościoła. Pisałem już o tym po wielokroć. Kościoła nie można zamknąć do jego społeczno-politycznej i publiczno-medialnej epifanii. Nie zgadzam się z tym, że Kościół to tam, gdzie biskup spotyka się z ministrem. To tylko jego minimalna część. Kościół jest zupełnie gdzie indziej, o wiele niżej. Kościół jest w ludzkich wspólnotach, w modlącym się człowieku, w innym, który czyni dobro, w tym, co stoi w kolejce do konfesjonatu i odwiedza chorych sąsiadów. Szkoda, że o takim Kościele nie mówimy, o tym najprostszym. Tak czy inaczej Kościół (szerzej – religia) zawsze będzie obecny w życiu publicznym. Chrześcijaństwo nie jest mniej lub bardziej bezkształtną duchowością na polanie, to sposób istnienia, który – chcemy czy nie chcemy – dotyka większości sfer naszego życia. Ludzie wierzący są jednocześnie członkami społeczeństwa. I mają prawo do tego, by w tym społeczeństwie zaspokajać swoje potrzeby. Każda struktura religijna będzie stała na straży realizacji tych potrzeb, stąd ustawy regulujące stosunek

państwa do poszczególnych Kościołów, stąd konkordat. Te modele są bardzo różne: od arabsko-islamskiego, przez francusko-ateistyczny po kanadyjsko-wielokulturowy. Gdzieś pomiędzy jest model polsko-katolicki. On też ewoluuje. I nie jest wcale tak, że w tym modelu tylko Kościół szuka swego miejsca. Swego miejsca szuka także społeczeństwo i polityka.

To nie tylko Kościół ma pokusę posługiwania się świeckim ramieniem państwa, ale także państwo ma pokusę posługiwania się duchowym ramieniem Kościoła. Niestety jednak, to nie państwo i polityka płaci frycowe, lecz Kościół i jego wierni. I jedni, i drudzy muszą się wciąż uczyć właściwego rozumienia autonomii.

Priester Andrzej Draguła

Geistigkeit auf der Wiese

(Zusammenfassung)

In der Polemik kann es zu einem Zeitpunkt kommen, wenn sich die Gegner nicht mehr um den Kern der Sache streiten, sondern um ihre Intentionen. Mielczarek und ich sind erstaunt, wenn wir die Texte des Anderen lesen und in den unseren danach suchen, was der Andere dort gefunden hat. Versuchen wir, zu einer Schlussfolgerung zu kommen.

Wer sich mit einer Religion, einem ethischen System oder einer Kirche identifiziert, der verliert infolgedessen wenigstens einen Teil seiner persönlichen Freiheit. Für viele ist selbst der Akt des Wählens eine Qual, deswegen flüchten sie sich oft in Systeme, die die Wahl für den Einzelnen treffen. Religion ist eine Art Spannung zwischen dem Recht des Einzelnen, eine Wahl selbst zu treffen, und einem ethischen System, das ihm eine Entscheidung aufzwingt. In den einzelnen Religionen kann diese Spannung unterschiedlich groß sein. Der Katholizismus hat einen Mittelweg gewählt. Die moralischen Entscheidungen sollen mehr infolge

einer Inspiration zustande kommen, weniger durch ein direktes Gebot, auch wenn es nicht immer so ist. Eine wichtige Rolle spielt dabei das historische Erbe der „Konstantinischen Ära“. Von dieser Perspektive her gehen manche ohne Mühe zu den Fragen der Rechte der Einzelnen über, der Trennung von Kirche und Staat sowie zur Autonomie der irdischen Realität. Diese Versuchung ist auch in der polnischen Kirche durchaus vorhanden.

Mielczarek scheint die Freiheit des Einzelnen einer kollektiven Freiheit entgegenzustellen, wobei der Einzelne nicht isoliert lebt, sondern in Gruppen. Und daher – in Spannung zwischen der eigenen Freiheit und der Freiheit des Anderen, sowie zwischen der eigenen Freiheit und dem Wohlergehen der Gruppe. Die Menschen vereinen sich in Völkern und Staaten, die eine Art Konsens und Kompromiss zwischen ihnen ist, sie sind bereit, ihre Freiheit aufzugeben oder einzuschränken – für die Anderen.

Mein Gegenpart sieht eine paternalistische Einstellung bei den Geistigen. Mir geht es um keinen

Paternalismus, sondern um die Perspektive. Viele Kritiker verstehen die Kirche nicht, sie kennen sie gar nicht, was sich in den Kategorien niederschlägt, die bei ihrer Beurteilung angewendet werden.

Die Kirche ist eine komplexe Realität. Mielczarek meint, diese Institution sei nicht im Stande, die geistigen Bedürfnisse jedes Einzelnen zu erfüllen. Doch die Kirche ist wirklich etwas Anderes, als er schreibt. Ihre Aufgabe besteht nicht darin, den Menschen Geistigkeit anzubieten, sondern die Erlösung. Wir glauben, dass diese Erlösung nur durch Jesus und Seine Kirche möglich ist.

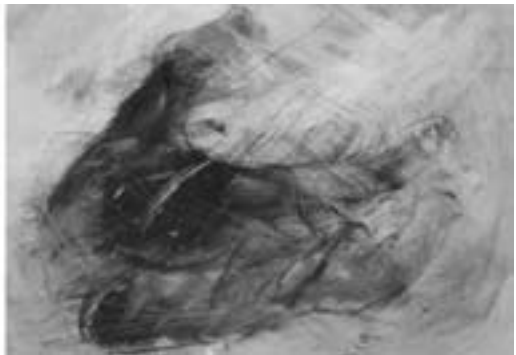
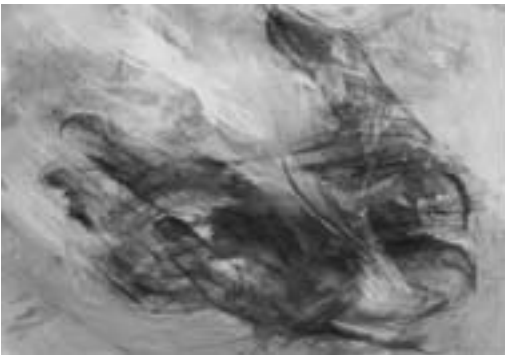
Eine Geistigkeit kann ein Deist, ein Atheist oder ein Christ gleichermaßen haben, sie wird aber bei jedem unterschiedlich sein. Mielczarek schreibt über eine „Geistigkeit für eigene Bedürfnisse“. Die Frage wird aber komplizierter, wenn eine so verstandene Geistigkeit zur Kirche kommt und anfängt, ihre Forderungen zu stellen. Man hat entweder eine eigene Geistigkeit, oder eine der Kirche. Es ist eine grundlegende Entscheidung. Der Rest ist nur eine Folge. Ich will das nicht bewerten. Jeder hat das Recht, in der Welt zu leben, ein Gläubiger und ein Atheist, und sie können einander und die Überzeugung des Anderen, in Wahrheit zu leben, respektieren, beide werden aber einander aus nach den eigenen Kriterien betrachten.

Bei den Fragen der Bibel und der Identität stehen wir auf entgegengesetzten Positionen. Jede Konfession (und auch der Atheismus) sind mehr oder weniger exklusiv. Jede verteidigt ihre Identität, weil jede glaubt, der Wahrheit am nächsten zu sein. Darauf beruht die Ausschließlichkeit und Einzigartigkeit jeder Religion. Es ist eine Tragödie des Christentums, dass jeder die Wahrheit der Bibel nach

seiner eigenen Tradition, und unterschiedlich deutet. Jeder glaubt, Gott habe sich so, nicht anders offenbart. Gott lässt jeden zu Ihm kommen. Am sichersten tut Er das in der katholischen Kirche. Das ist mein Glaube, und deswegen bleibe ich in der Kirche. Deswegen kann ich glauben und angehören.

Die Kirche kann nicht in ihrer gesellschaftlich-politischen und öffentlichen Erscheinung geschlossen werden. Sie ist in menschlichen Gemeinschaften anwesend, in einem betenden Menschen, in einem, der zum Wohle Anderer handelt, in jenem, der vor dem Beichtstuhl auf seine Reihe wartet und in diesem, der einen kranken Nachbarn besucht. Es ist schade, dass wir nicht über diese Kirche sprechen. Die Kirche (oder im weiteren Sinne – die Religion) wird im öffentlichen Leben immer da sein. Das Christentum ist eine Art zu leben, die sich auf die meisten Sphären unseres Daseins niederschlägt. Menschen, die glauben, sind gleichzeitig Mitglieder ihrer Gesellschaften und haben das Recht, ihre Bedürfnisse zu befriedigen. Jede institutionalisierte Religion hütet das Recht ihrer Gläubigen auf die Befriedigung dieser Bedürfnisse – und deswegen gibt es das Gesetz über das Verhältnis zwischen Staat und den Kirchen, deswegen gibt es das Konkordat. Die Kirche sucht nach ihrem Platz, so wie die Gesellschaft selbst, so wie die Politik. Sie steht vor der Versuchung, sich des weltlichen Armes des Staates zu bedienen, aber auch der Staat steht vor der Versuchung, sich des geistigen Armes der Kirche zu bedienen. Verlierer sind dabei die Kirche und ihre Gläubigen. Der Staat und die Kirche müssen immer wieder lernen, die Autonomie richtig zu verstehen.

Übersetzt vom Grzegorz Kowalski



Wokół dyskusji o wartościach (religijnych)

Relacja z promocji „Pro Libris” nr 2(23)2008

Ostatnie dwa numery „Pro Libris” poświęcone były rozważaniom o wartościach, stąd dyskusja na promocji 23. numeru dotyczyła tychże kwestii. W polskim społeczeństwie wartości utożsamiane są z Kościołem katolickim. To zagadnienie oraz sama zasadność jego poruszania na łamach pisma literacko-kulturalnego stały się przedmiotem polemiki. Obszerne fragmenty debaty prezentujemy poniżej.

Grzegorz Gorzechowski:

Drugi w tym roku nr „Pro Libris” kontynuuje i rozwija tematy poprzedniego numeru. Na łamach pisma udało nam się zapoczątkować dyskusję, która w zasadzie jest efektem wielu rozmów redakcyjnych. Debata dotyczy – uogólniając – kształtu i podstaw otaczającej nas kultury. W numerze pojawiły się teksty z „obu stron barykady” – mam tu na myśli m.in. polemikę księdza Andrzeja Draguły z Wojciechem Mielczarkiem.

Liczmy na pojawienie się głosów, które zastaną zainspirowane przez teksty zamieszczone w „Pro Libris”. Na początek proszę o wypowiedź księdza Draguły.

ks. dr Andrzej Draguła:

W wielu zielonogórskich gremiach czuję się poniekąd jak dyżurny duchowny. (...) Nie miałem nawet czasu, by przeczytać cały drugi numer „Pro Libris”, aczkolwiek polemikę własną tudzież mojego adwersarza oczywiście znam.

Padło tutaj pytanie, czy jest sens dyskutować o wartościach. Rzeczywiście rzuciło mi się w oczy pierwsze zdanie tekstu Czesława Sobkowiaka, który mówi o tym, że błędem w sztuce jest, by w piśmie literacko-kulturalnym podejmować kwestię religii: „Po pierwsze, wprowadzenie dyskusji o Kościele do

»Pro Libris« uważam za niezbyt fortunne, dlatego że zniekształceniu ulega profil pisma, zagadnienie dalece wykracza poza najbardziej żywotne problemy »literacko-kulturalne« naszego, ale nie tylko, regionu. A pismo zostało powołane, by służyć właśnie regionowi na polsko-niemieckim pograniczu”. Pozwolę nie zgodzić się z tą tezą, nie dlatego że napisałem dwa teksty w „Pro Libris” poruszające kwestie wartości.

Zapewne truizmem jest twierdzenie, że od rzeczywistości religii jako takiej nie da się uciec z oczywistych powodów – m.in. z racji jej istnienia, by nie powiedzieć wszechistnienia. Jakkolwiek byśmy tę religię pojmowali, czy to w odniesieniu do wiary osobistej i przeżywanej, czy też identyfikacji z Kościołem lub braku takiej identyfikacji, pozostaje ona jednak zjawiskiem o dominującej roli w polskim społeczeństwie. Jej obecność w kulturze rodzimej i w całej w kulturze europejskiej można by określić francuskim słowem *viscéral*, to znaczy „od wnętrzości”. Idąc ulicą natykamy się na nią i czasem wręcz potykamy się o nią, więc jest obecna nie tylko w sferze kulturowej i symbolicznej, ale również w naszej codzienności, w mediach, w polskiej polityce. Żyjemy w kraju o bardzo silnej tradycji religijnej, właściwie należałoby powiedzieć chrześcijańskiej, obecnie nawet bardziej katolickiej niż chrześcijańskiej, ponieważ innych tradycji konfesyjnych mamy niewiele (a przynajmniej na naszym terenie). Poza tym w naszym państwie istnieje bardzo silny związek nie tylko pomiędzy religią a sferą kulturową i społeczną, ale w ogóle między religią a tym, co możemy nazwać dyskursem publicznym i politycznym. Te zjawiska w pewnym sensie dotyczą również ateistów. To tak jakbyśmy, będąc w Arabii Saudyjskiej,

próbowali nie zauważać, że istnieje islam – po prostu nie da się, choć oczywiście nie są to zupełnie analogiczne sytuacje, mówię o pewnej dominacji kulturowej, a nie o modelu obecności, bo te modele będą zupełnie inne.

Dlaczego trzeba rozmawiać? Wydaje mi się (...), że w wielu krajach o silniejszej tradycji demokratycznej religijność i Kościół są przedmiotem dyskursu publicznego bez pewnych „przednastawień”. (...) Dyskusja o religii i Kościele w Polsce jest bardzo obciążona nastawieniami dyskutantów. Nie debatuje się o tych kwestiach jak o jakimś przedmiocie obiektywnym, o którym mogą rozmawiać wszyscy wierzący i niewierzący, lecz traktuje się je jako przedmiot bardzo specyficznego dyskursu, do którego mają prawo tylko niektórzy (...). Według mnie bardzo brakuje w Polsce dyskusji o Kościele, o religii, o wierze bez owych obciążonych historycznie i kulturowo „nadęć”, które niekiedy pojawiają się na początku takiej debaty. Religia i Kościół są postrzegane jako przedmiot szczególny, a w związku z tym nie można o nich w sposób normalny rozmawiać.

Podczas półrocznego pobytu w Montrealu, miałem sposobność przysłuchiwania się bardzo ciekawej dyskusji (o której zresztą pisałem na łamach „Tygodnika Powszechnego”), na temat miejsca symboli religijnych w kulturze codziennej. Chodziło m.in. o chustę islamską, o namioty wystawiane na tarasach i balkonach przez żydów na Święto Kuczek i sztylet, będący nie tyle elementem kultu, co życia codziennego sikhów. Ton tej debaty był bardzo rzeczowy. Dyskusja oparła się aż o najwyższą instancję sądową, która musiała wydać decyzję w sprawie, czy 14-letni młodzieniec może chodzić do szkoły z tymże sztyletem. Zdecydowano, że może, ponieważ jest to element jego przynależności religijnej, będącej elementem tożsamości. Wydaje mi się niezwykle interesujące, że religia jest tam postrzegana jako jeden z elementów tożsamości człowieka (...).

W modelu kanadyjskim wychodzi się z założenia, że religia jest fenomenem społecznym, którym trzeba zająć się z punktu widzenia jego miejsca w strukturze społecznej. Jeżeli więc obywatel Kanady jest człowiekiem religijnym, to państwo (Dominium Kanady), ma obowiązek mu zabezpieczyć możliwość realizacji jego potrzeb religijnych, które są niemniej istotne, co potrzeba odpoczynku, pracy, jedzenia itd. Sytuacja, gdy nie kwestionuje się potrzeb religijnych, jest – moim zdaniem – absolutnie naturalna. Myślę,

że z taką normalnością nie mamy do czynienia w Polsce i nie wiem, czy kiedykolwiek będziemy mieć.

W skrajnym modelu katolicko-polskim wszystko co niereligijne jest podejrzane, inaczej dzieje się np. we francuskim modelu państwa świeckiego, w którym to religia jest podejrzana. Modelem „do kupienia” wydaje mi się kanadyjski, gdyż istnieje w nim daleko idąca koegzystencja, posługując się francuskim określeniem – *accommodation raisonnable* (akomodacja rozumna).

Jeżeli „Pro Libris” podejmuje debatę, to myślę, że należy widzieć ją właśnie w tym nurcie, nie w laicko-francuskim, ani nie w modelu katolicko-polskim, gdyż obie te skrajności są niewłaściwe. Zasada zło tego środka powinna nas pouczać, by o religii mówić jako fenomenie, który istnieje i którego nie da się nie zauważyć, gdyż dotyczy olbrzymiej ilości osób (...).

Grzegorz Gorzechowski:

Książd Draguła jest niemal „dyżurnym” człowiekiem Kościoła, który wypowiada się w różnych mediach na tematy związane z wiarą i faktycznie w Redakcji mieliśmy problem, by znaleźć inną osobę, skłoną do podjęcia tych kwestii. Jest wielu chętnych, którzy chcieliby skrytykować Kościół, wierę czy napisać „przeciwko”, a stosunkowo nieliczni są gotowi zając swoje stanowisko z drugiej strony. Musieliśmy dość zdecydowanie przekonywać pana Czesława Sobkowiaka, żeby również przygotował tak swój tekst. (...)

Książd uważa, że normalna jest sytuacja, gdy człowiek przyznaje się do religijności, żeby nie powiedzieć obnosi się z nią? Jak nazwać stan, w jakim znalazła się Europa Zachodnia, gdzie religijność przestała być elementem kultury, a stała się pewnego rodzaju hobby?

ks. dr Andrzej Draguła:

Myślę, że ta teza jest daleko posunięta i skrajna. (...) Przywołam pewien przykład, który pokazuje radykalność obecności religii. Państwo na pewno słyszeli ostatnio w mediach o liście papieża Benedykta XVI do dyrektora czy Rady Muzeum w Bolzano, w którym to wystawiono ukrzyżowaną żabę jednego z niemieckich „sztukmistrzów”. Ten przejaw twórczej aktywności jest formą obecności odwróconej, obecności *à rebours* (na opak), ale nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z ekspresją religijną. Zbyt często utożsamiamy religijność z odniesieniem pozy-

tywnym, podczas gdy może mieć także odniesienia negatywne. Tak jest w przywołanym przykładzie.

Uważam, że jak może być dewocja katolicka, to może być także dewocja ateistyczna. Dewocja ateistyczna jest formą wiary. Paradoksalnie, jeśli ktoś twierdzi, że nie wierzy w Boga, to znaczy, że zakłada jego istnienie. (...)

Z wiarą dzieje się trochę analogicznie jak z miłością. Można powiedzieć, że nienawiść jest formą miłości, ale z przeciwnym wektorem, czyli jest negatywną miłością.

Trudno mi zgodzić się z koncepcją pani Doroty Nieznalskiej, która – jak sama stwierdziła – użyła krzyża jako elementu zupełnie neutralnego. Po dwóch tysiącleciach chrześcijaństwa nie można wmawiać ludziom, że symbol krzyża jest identyfikowalny neutralnie. Myślę, że uczciwiej byłoby, gdyby powiedziała: „Tak, wzięłam, bo uważałam, że mam prawo się wyrazić” i wtedy możemy dyskutować, nie robiąc (głupich) uników. Podobnie rzecz się ma z autorem, który czuł potrzebę wyrażenia się poprzez ukrzyżowanie żaby, niewątpliwie wyzyskując religijne: symbole, przestrzeń, narrację i pojęcia typu krzyż, pasja, ukrzyżowanie. Jest to wypowiedź religijna i inaczej zinterpretować jej nie można.

Kolejny przykład religijnego paradoksu. Amerykański profesor prosił, żeby przysyłać do niego konsekrowane hostie, które chciał profanować plując, paląc, niszcząc. Żeby sprofanować coś, najpierw trzeba w to uwierzyć, nie da się inaczej. Błuznierstwo zakłada wiarę. Błuznić może jedynie człowiek wierzący, nie ateista. Zastanawiam się, jak ten profesor, któremu wysłemy w liście opłatek, zidentyfikuje czy jest on konsekrowany, czy nie. Przecież mamy tu do czynienia z logiczną aberracją, której poddaje się naukowiec amerykańskiego uniwersytetu, wmawiając nam rzeczy śmieszne, ale objawiając równocześnie nie obojętność wobec religii, tylko bardzo silną relację wobec niej. (...)

Sposób funkcjonowania religii w społeczeństwie zmienia się. W Europie Zachodniej wydaje się coraz mniej obecna w dyskursie politycznym. W dyskursie publicznym istnieje w inny sposób. Religia jest tam o wiele bardziej zinterioryzowana, tzn. schodzi to obszaru ludzkiej intymności, nie ograniczając się do zewnętrznych oznak i rytualizmu.

Badania wybitnych religioznawców, jak chociażby José Casanovy, profesora Uniwersytetu w Georgetown, pokazują, że nie mamy do czynienia z odejściem od

religijności, lecz z pewnymi przekształceniami w jej łonie, polegającymi przede wszystkim na odkościelnieniu i odinstytucjonalizacji.

Współczynnika religijności w człowieku pewnie nie da się zbadać, ale wysuwa się tezę, że jest on *constants*. Religijność przyjmuje formy mniej lub bardziej publiczne, intymne, ortodoksyjne itd. Może się to przejawiać w tym, o czym pisał Wojciech Mielczarek, mój polemista, czyli duchowości, która może być w różnym stopniu zinstytucjonalizowana. Duchowość bywa obecnie pewną alternatywą dla religii. Na przykład twórczość Paulo Coelho jest dla niektórych sposobem na zrealizowanie (niekoniecznie w kościele) swoich potrzeb religijnych, być może duchowych. Proszę nie podejrzewać, że ja to krytykuję. Tylko stwierdzam.

(...)

Grzegorz Gorzechowski:

Czy to nie jest tak, że religijność jest właściwie jedyną wartością, która została polskiej kulturze?

dr Anita Kucharska-Dziedzic:

Zwykło się u nas mówić o wartościach w kontekście religijnym. Myślę, że wynika to z doświadczeń ostatnich kilkudziesięciu lat. Polacy przez wszystkie lata PRL-u żyli w dualistycznej rzeczywistości: albo posiadali świat wartości, który został zaanektowany przez Kościół, albo mieli do czynienia ze światem komunizmu, któremu mentalnie, ostro się przeciwstawiano i który był właściwie na tyle zracjonalizowany, że w pewnym momencie trudno w ogóle było szukać w nim jakiegokolwiek wartości. Tak naprawdę Polacy byli impregnowani przez 50 lat na jakiegokolwiek inne systemy filozoficzne czy jakiegokolwiek inne systemy wartości. Można było odnaleźć się w komunizmie w sensie duchowym i ideowym (bo komunizm to też jakiś rodzaj religii) lub też w Kościele i w pobliżu Boga. Innej alternatywy nie było, a potem nadeszły jakieś nie do końca przeżyte czy prze-myślane przez Polaków idee, odpryski dawniej toczących się dyskusji i mieliśmy krótkie zainteresowanie ruchem New Age, który w Polsce sprowadził się do fascynacji *feng shui* dzwonekami wiszącymi u drzwi. Polacy nie mogli do niczego ustosunkować się w tak dużej mierze, więc jeżeli poruszamy problem wartości, to mówimy o jakichś wąskich elitach, które ze względu na swoje zainteresowania, wykształcenie, pracę zawodową stykały się z ogólnoswiatowymi czy ogól-

noeuropejskimi dyskusjami. Ogół Polaków zastanawiając się nad wartościami, ma na myśli wartości religijne.

W naszym kraju obserwuję też pewien rodzaj paternalizmu wśród ludzi wierzących wobec ateistów, postrzeganych jako takie „biedne istoty”, które nie dostały łaski wiary i w tym momencie to jest próba ustawienia przeciwnika w dyskusji, ponieważ trudno debatować o swoim systemie wartości z kimś, kto patrzy na nas jak na biedną, bo niewierzącą w Boga, istotę. Zauważyłam to również w wypowiedzi księdza Draguły, kiedy mówił o tym, że bluźnierstwo jest swego rodzaju aktem wiary. Rozumiem, że bluźnierstwo jest wyrazem buntu i jakiegoś poczucia krzywdy ze strony Boga. Bluźnimy czy wyzywamy Boga na swoisty pojedynek, gdy chcemy mu odpłacić za to, co nam zrobił. Ale jak można mówić, że ten, kto twierdzi: „Ja nie wierzę w Boga”, tak naprawdę w Boga wierzy, bo się do niego odnosi? Osoba głosząca: „Ja w Boga nie wierzę” nie stawia się w opozycji do Boga, ale w kontekście tych, którzy mówią: „Ja wierzę”, więc nie mówi o kwestiach boskich, tylko o kwestiach ludzkich.

ks. dr Andrzej Draguła:

Nie, jeżeli człowiek chce zdefiniować się nie wobec Boga lecz wobec relacji człowiek wierzący-Bóg, to ma prawo, tylko niech on to inaczej sformułuje.

dr Anita Kucharska-Dziedzic:

Jeżeli mówię: „Nie wierzę w krasnoludki”, to nie znaczy, że wierzę w krasnoludki i stawiam się w opozycji do nich. Gdy mówię, że nie wierzę w UFO, to nie zakładam, że tam coś jest. (...) Prosiłabym o zejście z epistemologii i teologii do poziomu tego stolika i niemówienie, że gdzieś we mnie tkwi jakiś rodzaj wiary w krasnoludki czy w ufoludki, kiedy tego nie ma. (...) Nie mam świadomości kształtu Buddy, nie mam zielonego pojęcia o zen, o islamie, a nie wierzę w Allaha. (...) Nie, wiara to nie jest wiedza, bo możemy wiedzieć, jaki jest Bóg, co też jest jakimś rodzajem nadinterpretacji czy w ogóle zakładania, że Bóg jest jakiś, bo skąd my wiemy, jaki Bóg jest? Wiemy to, co nam powiedział, a powiedział za pośrednictwem ludzi, którzy mogli ten przekaz zafalszować, ale jest wiara i wiedza. Wiara to coś zupełnie odmiennego od wiedzy, bo może istnieć poza nią. Na przykład nie wiemy, jak wyglądał Chrystus, ale zakładamy istnienie kogoś, kto w jakiś sposób funkcjonował w świecie i miał coś do przekazania.

Może ludzie nie wierzą w zaświaty i sądzą, że jesteśmy kwestią przypadku: najpierw była wielka bitwa, później wielki wybuch i to wszystko jest złudzeniem. A może siedzimy w jaskini platońskiej i nic tak naprawdę nie wiemy? Dlaczego zakładamy, że ktoś, kto nie wierzy w Boga, jest taką biedną istotą, która czegoś nie wie, dlatego nie wierzy, co czyni ją pewnego rodzaju kaleką? To jest właśnie paternalizm ludzi wierzących.

ks. dr Andrzej Draguła:

Sprzeciwiam się temu straszliwie. To jest nie do przyjęcia. Nie mogę zgodzić się z Pani poglądem, że w stwierdzeniu: „Nie wierzę w Boga” nie ma logicznego sensu.

Jak twierdził już Ferdinand de Saussure, „fundamentalista” językoznawczy, jest jakiś znaczący i znaczone, jest jakiś znak i jego referent, jest jakiś symbol i jego odniesienie. Jeśli więc mówię „Bóg”, to coś myślę, cokolwiek, ale jakiś przedmiot tego pojęcia Bóg istnieje. Sądzę, że jeśli tu są językoznawcy czy logicy, to chyba się ze mną zgodzą.

dr Anita Kucharska-Dziedzic:

Nie zgadzam się z Księdzem. To jest tak samo, jak głosili komuniści: jeśli wam powiemy, czym jest komunizm, to uwierzycie, że to jest najlepszy system. Z niewierzącymi należy rozmawiać o wartościach, niekoniecznie w kontekście istnienia Boga, gdyż jest jeszcze dobro, piękno i prawda.

ks. dr Andrzej Draguła:

Chciałbym powiedzieć o „nieszczęśliwym ateście”. Nie do przyjęcia jest dla mnie patrzenie na ateistę z pobłażaniem czy uważanie go za kogoś kalekiego emocjonalnie bądź duchowo. Jednym z ludzi, wobec których mam największy szacunek, jest nieżyjący już Stanisław Lem. Deklarował się jako niewierzący, ale pisał do tygodnika katolickiego. Uważał, że po śmierci nic nie ma. Był lekarzem i takie rozwiązanie podpowiadała mu jego wiedza.

Ateista jest dla mnie – być może to będzie zaskakujące – czasami bardziej godzien podziwu niż człowiek wierzący. Dzieje się tak dlatego, że wiara daje człowiekowi różnego rodzaju podpórkowe mechanizmy pocieszenia: oferuje projekt owej odpłaty pośmiertnej, daje nadzieję kontynuacji życia, mówi o niebie, spełnieniu, zbawieniu i o piękniejszym i cudowniejszym życiu, które nastąpi po śmierci.

Ateizm tego nie obiecuje i wydaje mi się czasami, że życie ateistyczne może być życiem o wiele bardziej heroicznym niż życie człowieka wierzącego. Taka jest moja teza.

dr Anita Kucharska-Dziedzic:

To jest teza, którą podnieśli już Albert Camus i egzystencjaliści, o której pięknie dyskutował Gustaw Herling-Grudziński z księdzem profesorem Józefem Życińskim – świętość laicka w opozycji do świętości katolickiej.

ks. dr Andrzej Draguła:

Nie wiem czy w opozycji. Dlaczego szukamy zaraz opozycjonowania? Zapewniam Państwa, że nie ma we mnie potrzeby przeciwstawiania. Dlaczego mają być to moralności wobec siebie opozycyjne? Być może są one moralnościami równoległymi? Ateista niech nie odmawia prawa do istnienia człowiekowi wierzącemu i niech go nie ma za głupiego, naiwnego i karmiącego się religią, a znowuz człowiek wierzący, mający w sobie potrzebę nawracania, niech zaakceptuje ateistę. (...)

Rzuciłem okiem na tekst pani Grażyny Zwolińskiej. Nie ulega wątpliwości, że ateista może czuć się źle w państwie, które jest zdominowane przez katolików i katolicyzm jeszcze w jego formie bardzo ostentacyjno-publicznej.

Janusz Koniusz:

Chciałem przede wszystkim Księdzu serdecznie podziękować za pochwałę ateizmu. Nie mam wątpliwości, że za parę lat Ksiądz, człowiek spolegliwy, porządny, pracowity będzie ateistą po to, by nie mieć żadnych podpórek. Zgadzam się, że ateście bardzo trudno jest żyć z przeświadczeniem, iż wszystko się tu kończy i po śmierci nie ma ani piekła, ani nieba, ani czyśćca. Ateizm dla mnie jest także religią, wiarą *à rebours*. Immanuel Kant w *Krytyce czystego rozumu* powiedział, że rozumowo nie można udowodnić ani istnienia Boga, ani jego nieistnienia. Pozostaje nam tylko i wyłącznie wiara. Ktoś ma łaskę wiary, a ktoś inny tej łaski nie ma i dlatego uważam, że Redakcja wkroczyła na bardzo złą drogę, która do niczego nie doprowadzi. „Pro Libris” to lubuskie pismo literacko-kulturalne i powinno zająć się sprawami związanymi z regionem. Natomiast ogromny i ważny temat religii jest nieskończony, nie do rozstrzygnięcia. (...) Tymi sprawami zajmują się

miesięczniki katolickie, zakonne, religijne i niech one to robią, a nie pismo świeckie.

Grzegorz Gorzechowski:

Proszę mi powiedzieć, czy pojawiające się w niektórych tekstach hasło „Mniej religii w kulturze”, jest walką z tradycją czy bluźnierstwem, i czy są to tematy, o których naprawdę nie powinniśmy pisać?

Janusz Koniusz:

Nie, mamy inne tematy do podjęcia, np. humanistyka w naszym regionie, walka z zalewającą nas technicyzacją, spadek czytelnictwa wśród młodzieży. To są problemy, którymi należy się zająć. Czasopismo nazywa się „Pro Libris”, więc powinno walczyć o rangę książki, literatury, kultury. Problemy związane z religią i Kościołem zostawmy teologom i innym naukowcom.

Czesław Sobkowiak:

Nie twierdziłem, że nie należy dyskutować z tradycją (w moim tekście nie ma takich sformułowań). Jeśli adwersarze chcą rozmawiać o zagadnieniach Kościoła w sposób negatywny, to nie jest to właściwie dyskusja o zagadnieniach teologicznych, ale przyjęcie bardzo wygodnej postawy, która nie wymaga tak naprawdę większego wkładu intelektualnego ani odpowiedzialności za drugą stronę (...).

Przeszkadza mi taka łatwość ataku na wartości chrześcijańskie. Włączenie Kościoła w tę dezawuującą jest dla mnie nie do przyjęcia. Kwestią do przemyślenia pozostaje natomiast sens dyskusowania o roli i znaczeniu Kościoła w historii państwa i narodu polskiego. (...) Upowszechniającym się obecnie trendem jest atakowanie formacji religijnej, która jednak stworzyła jakąś spójną wizję świata, wspólną kulturę europejską. Zachowujemy się dosyć dziwacznie, jak takie dzieci, którym daje się zabawkę w piaskownicy i się ją niszczy po to, żeby przyszli inni i tę zabawkę nam zabrali. Powinniśmy myśleć odpowiedzialnie o naszym położeniu na tym skrawku Europy. Przeciwnicy chrześcijaństwa bardzo łatwo atakują i robią to frontalnie, a my mówimy im, że nas to właściwie bardzo bawi.

Edward Mincer:

Nawoływanie do tego, by nie pisać w „Pro Libris” o sprawach – nazwijmy to – religijnych, bo od tego są pisma katolickie, to odsyłanie religii do getta. Jest to

taka propozycja: kochani, bądźmy razem i żyjmy razem od poniedziałku do soboty, a ponieważ w niedzielę jedni idą do kościoła, drudzy nie idą, wykreślmy niedzielę z kalendarza. Protestuję! Chcę mieć niedzielę. Niech jedni idą do kościoła, a drudzy idą na ryby, ale niedziela będzie dla nas, dla wszystkich i trzeba o niej pisać.

Konrad Stangiewicz:

Paradoksalnie, temat, który tutaj został przez niektórych rozmówców zanegowany (rzadko to się zdarza na takich spotkaniach promocyjnych), wywołał bardzo ostrą i ciekawą polemikę, nie grzesząc, tylko właśnie ze skrajnymi stanowiskami. Udowodnia to więc, że nie mają panowie racji – ten temat jest żywy i nurtuje ludzi, dlatego tak skrajnie polaryzują się stanowiska.

ks. dr Andrzej Draguła:

Zgadzam się ze słowami klasyka, że „warto rozmawiać”. Jak zauważył mój przedmówca, poruszone tu kwestie dotyczą nas wszystkich, więc mówmy o nich, nie zakładając z góry, że taka wymiana zdań musi być agresywna.

Dla wielu ludzi nie ma ważniejszego problemu niż relacja do Pana Boga i jej ewentualne przeżalenie na życie wieczne. (...) Poświęcona tym kwestiom dyskusja nie powinna służyć „paleniu czarownic”, tylko być próbą zdejmowania masek z wzajemnych stanowisk i dekonstrukcji pewnych klisz, które mamy o sobie wzajemnie. Podstawą każdego dialogu jest poznanie protagonisty. (...) Ignorancja z kolei może prowadzić do zabobonu. (...) Gdy zaczniemy debatować o różnych wyznaniach, odłamach i postawach religijnych, ujawni się, jakie stereotypy funkcjonują o islamie, żydach, jezuitach czy ateistach, ale także jakie klisze mają ludzie niewierzący o wierzących. Na przykład w Polsce człowiek wierzący bywa kojarzony z radiem o wdzięcznej nazwie i pewnym, charakterystycznym nakryciem głowy, a przecież fenomenowi religii, wiary i Kościoła nie można sprowadzić do jednego, dosyć dynamicznego medialnie wycinka rzeczywistości. Analogicznie, jednostkowy przypadek człowieka niewierzącego nie powinien stać się podstawą do uogólnień na temat wizji niewiary.

Myślę, że tego typu dyskusje odbywają się zbyt rzadko. Nie zgadzam się z poglądem Czesława Sobkowiaka, by miały się one toczyć na łamach przede wszystkim pism katolickich. (...) Oczywiście

jestem przeciwny, by ta problematyka miała zdominować „Pro Libris” i zrobić z niego pismo religijne, ale moim zdaniem bardzo dobrze, że ktoś zauważył inne palące kwestie w Zielonej Górze, oprócz żużlu czy Palmiarnii. (...)

W miesięczniku „Puls” często jest poruszany temat Kościoła i religii, ale przede wszystkim w kontekście ich obecności w sferze publicznej. Należy rozmawiać o tym także w szerszej perspektywie.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony:

Niemcy podziwiają w Polakach duchowość, która – mam nadzieję – nie bierze się znikąd. Dało mi do myślenia, kiedy przed piętnastoma laty, podczas kontaktów szkoły polskiej z niemiecką, ważna pani z ministerstwa landu Brandenburgii powiedziała, że my mamy religię, a oni niestety nawet etyki nie są w stanie wprowadzić do szkół, bo nie ma po prostu komu uczyć. Chodziło oczywiście o byłe NRD. Tak to nadal wygląda. Niemcy mogą się od nas naprawdę dużo nauczyć w tej materii i o tym należałoby pisać. Powodzenia panie Redaktorze Naczelny!

Grzegorz Gorzechowski

Spotkaliśmy się z zarzutami, że będziemy tylko i wyłącznie „maglować” Kościół. Niewątpliwie temat budzi emocje. W związku z tym chciałbym zapytać, czy jest możliwe, by Polska w najbliższym czasie stała się mentalnie i kulturowo gotową do funkcjonowania obok siebie ludzi o skrajnych poglądach: zaciekrzewionych antyklerykałów obok osób z kręgu Radia Maryja bez wzajemnej agresji słownej?

Maria Wasik:

Zaczynając w „Pro Libris” dyskusję na temat wartości, liczyliśmy na polemiki. Spełniliśmy zresztą wygłaszane na każdym spotkaniu uwagi, by pismo uwzględniało również problematykę społeczną.

Wracając natomiast do wartości i religii, to chciałabym widzieć Kościół takim, jakim go pamiętam z dzieciństwa. Z rozrzewnieniem wspominam niepowtarzalny klimat w moim rodzinnym miasteczku, obchody świąt, procesję Bożego Ciała, kolędy.

Pamiętam ówczesnych księży – skromnych, mądrych i równie biednych jak pozostali mieszkańcy. Kościół i duchowość, jaka go otaczała, wszystkich spajała. We współczesnym Kościele takiego poczucia więzi społecznej nie ma. Ludzie przychodzą w niedzielę na mszę, a po nabożeństwie wychodzą,

nie nawiązując ze sobą kontaktu. Rozumiem, że w dużej Wspólnocie te więzi są raczej niemożliwe, ale wiem, że w innych społecznościach bywa inaczej. Na Zachodzie na przykład obok kościoła znajduje się dom socjalny, gdzie po mszy idzie się do kawiarni czy na występy. U nas takich zwyczajów nie ma. Z drugiej strony może cieszyć, że w Polsce buduje się kolejne kościoły, podczas gdy u naszych zachodnich sąsiadów pustoszeją. Zważywszy na tę prognozę, czy nie sądzi Ksiądz, że budownictwo kościelne jest zbyt przesadzone? Gdy rozważam, w jakim kierunku powinna iść biblioteka, korzystam z doświadczeń zachodnich albo czytam na ten temat. A czy Kościół bierze pod uwagę te uwarunkowania?

ks. dr Andrzej Draguła:

Jest to bardzo skomplikowana kwestia pewnej futurologii kościelnej. W najbliższym wydaniu miesięcznika „Więź” (9/2008) znajdzie się mój tekst na temat, jak wyobrażam sobie przyszłość Kościoła. Warto wyjść od przeszłości: od czasów Konstantynopola mieliśmy do czynienia z Kościołem, którego obecność w sferze publicznej była coraz bardziej dominująca. Swoje apogeum osiągnęła w średniowieczu, gdy *christianitas* ogarnęła wszystkie dziedziny życia. Ten model przetrwał bardzo długo.

Można jeszcze spojrzeć na przykład Quebecu, gdzie w latach 60., podczas tzw. cichej rewolucji, Kościół przeżył kryzys. W Montrealu było wówczas wiele pustoszejących kościołów. Złośliwi twierdzili, że gdy rzuci się kamieniem w witraż jednego z nich, to odbije się o witraż drugiego. Obecnie te obiekty zamienia się w kondominia, przebudowuje na biblioteki, domy starców, hale sportowe.

Czy my potrafimy uczyć się od innych? Wydaje się, że niewystarczająco.

Jedni twierdzą, że przyjdzie na nas model sekularyzacji Europy Zachodniej, kanadyjski, quebecki albo hiszpański. Inni zaś sądzą (wśród nich José Casanova), że Polska jest *sui generis* i że się ostanie.

Niepokojącym sygnałem są chociażby ostatnie statystyki, mówiące o spadającej liczbie kandydatów do seminarium.

Kościół przyzwyczał się do bardzo silnej obecności w dyskursie społecznym i politycznym – w tych dziedzinach również pojawiają się pewne rysy. Niektórzy teologowie uważają, że „sojusz ołtarza z tronem” jest przeciwko naturze Kościoła, który więcej na tym traci niż zyskuje. Moim zdaniem tak się

stało w przypadku sojuszu z PiS-em. (...) Myślę, że Kościołowi, nie tylko w Polsce, jest trudno zrezygnować z określonego, wypracowanego przez wieki *status quo*, do którego się przyzwyczał. Trudność sprawia mu dostosowanie się do nowych okoliczności, nie potrafi funkcjonować w zmieniającym się świecie, ponieważ przywykł do zupełnie innego modelu. (...)

Poproszono mnie o wypowiedź w ankiecie, na temat naszych oczekiwań względem biskupów. (W Polsce nawet o takie rzeczy już się pyta, więc nie jest tak tragicznie). Wysnułem tezę, która wydaje mi się zupełnie oczywista: biskupów mamy takich, jakich mamy księży, a księży mamy takich, jakie mam społeczeństwo. Żeby biskupi i księża byli inni, Kościół musi się zmienić i być wspólnotą ludzi wzajemnie potrzebujących się – to jest moja teza na dzisiaj.

Polski Kościół jest Kościołem oczywistości. Polega to na tym, że dla ludzi „oczywistą oczywistością” jest, że idą do kościoła i jest tam ksiądz; dla księdza „oczywistą oczywistością” jest, że są ludzie i jest biskup. Myślę, że takie spojrzenie jest bardzo niedobre, gdyż oczywistość usypia, niszczy Kościół. Jeżeli coś jest jasne, to nie prowadzi człowieka do mechanizmu troski. Po co zabiegać o coś, co spada z nieba codziennie? (...)

Podczas pobytu we Francji, byłem na święceniach jednego księdza w Reims (wielkie, królewskie miasto). Okazała katedra wypełniła się wiernymi. Ludzie przyjechali z całej diecezji, dlatego że dla nich wyświęcenie jednego księdza było świętem. Wydaje mi się, że ku temu będziemy zmierzać.

W Austrii wymyślono jodlowanie, by ludzie porozumiewali się z sobą w trudnych sytuacjach i myślę, że jeżeli dojdziemy do takiego stanu Kościoła rozproszonego po górach, to będziemy bardziej siebie potrzebowali i zaczniemy jodlować. (...)

dr Anita Kucharska-Dziedzic:

Wyłożył nam Ksiądz tezę o kryzysie Kościoła w Polsce. (...) Z mojego punktu widzenia, Ksiądz nam tutaj, przed chwileczką, mówił bardzo słuszne rzeczy. Zdaje się, że w zeszłym roku liczba kandydatów do seminarium zmalała o połowę. Czy to, że chętnych jest coraz mniej, zaowocuje lepszą „jakością” księży?

ks. dr Andrzej Draguła:

Oczywiście jestem przeciwny marksowskiej tezie, że ilość przechodzi w jakość. Nie wiem, jak to będzie w tym wypadku. Wolałbym mieć – przepraszam, że

tak powiem *pro domo sua* – dużo księży dobrych niż kilku dobrych. Zobaczymy, jak to się przełoży. Trudno przewidzieć, jakich rozmiarów nabierze kryzys Kościoła w Polsce.

dr Anita Kucharska-Dziedzic:

Czy tego kryzysu nie widać chociażby w zachowaniu polskiego episkopatu?

ks. dr Andrzej Draguła:

Mamy do czynienia z trudnym do zdiagnozowania „kryzysem pełzającym”. To bardzo trafne stwierdzenie padło w „Dzienniku”.

dr Anita Kucharska-Dziedzic:

Nie dostrzega się w ogóle tego „pełzającego kryzysu”. Obudzimy się pewnie w momencie, kiedy będą już tylko jodlujący gdzieś po jakichś niesamowitych wioskach.

Jeżeli mówimy o jakości polskich biskupów, to miałam to szczęście, że trafiłam najpierw pod opiekę biskupa Alfonsa Nosola, potem biskupa Józefa Żyćńskiego. Pozostaje pytanie: jak wielu mamy takich świątłych biskupów, którzy są autorytetami moralnymi i intelektualnymi?
(...)

Grzegorz Gorzechowski:

Stwarzając w „Pro Libris” dział *Polemiki*, zadawałiśmy sobie pytanie, czy jest możliwy dialog dwóch tak skrajnie różnych stron. Niewątpliwie bywa on trudny, gdyż niektóre kwestie i tematy (jak np. zagadnienie wartości) wydają się zbyt złożone i obszerne, jednak warto o nich dyskutować.

(Spotkanie miało miejsce 4 września br. w klubie Pro Libris WiMBP w Zielonej Górze.)

Opracowanie Joanna Wawryk





NA GRANICY

Jacek Wesółowski

Fotka z vipem, część I

(Ugady po-Graniczne II)

Na wernisażu w Muzeum Ziemi Obiecanej dostał Józek ode mnie album mój *Grenze/Granica*. Na drugi dzień się spotykamy na piwie w łódzkiej Manufakturze (słynna fabryka Poznańskiego przerebiona przez Francuzów na centrum handlowo-kulturalne), Józio mówi: „Dobry pomysł miałeś, żeś dał

Jacek Wesółowski

Foto mit dem VIP, Teil 1.

(Die nachgrenzartigen Un-Reden 2.)

Josef wurde von mir auf der Ausstellungseröffnung im Museum des gelobten Landes mit meinem Album *Grenze/Granica* beschert. Am nächsten Tag sehe ich Sepp in der Lodzer Manufaktur (die berühmte Poznański-Fabrik, jetzt ins Kauf-und-Kultur-Zentrum umgewandelt), wir trinken das

tych zdjęć czarnobiałych... ile? Szesnaście. Z życia twego obrazów własnych w przeciwieństwie do tej sztuki twojej w kolorach, tu widzę aż czterech fotografów pracowało, między innymi kolega Jaworski. Pamiętasz wieczory na Kilińskiego? Coś jak kawiarnia prywatna mu się z kwatery zrobiło, masę ludzi tam się przewijało. No, teraz on w brodę sobie chyba pluje, że nie strzymał i po stłumionej rewolucji w Radomiu i Ursusie do Holandii drapnął. W latach siedemdziesiątych w Peerelu szczęście za operatora robił w reżyserii Marka Koterskiego i jakby wytrzymał, to by razem z tym drabem (jako osoby nie lubię, bo agresywny chłop, brutal i obscenista, ale artysta dobry, z własnym konceptem i stylistyką, jego idea ogólna jest, że wojna jest każdego z każdym wszędzie-zawsze – o siebie, przy tym ten jego specjalny humor nieodparty), więc by przy Koterze laury, nagrody na festiwalach teraz zbierał z nim razem. Ale przynajmniej dobrze bawił się w lunaparku, gdy myśmy tu w smrodzie kiblowali..." „Józio, dość, chciałeś coś o mojej *Granicy* powiedzieć, trzymaj się granic tematu" – przerwałem mu tok. „Ano tak, więc dobre te zdjęcia z życia, ale za co chcę cię zganić, to że żadnego vipa tu nie widzę. Vipa, V.I.P-a, Very Important Person, Ważnej Osoby".

„Popatrz, mam tu książkę akurat dla ciebie, chciałem ci dać na drogę." Józio pokazuje okładkę: *Czesław Miłosz autoportret przekorny. Rozmowy przeprowadził Aleksander Fiut*. Logo Wydawnictwa Literackiego, Kraków. Aleksander Fiut, owszem znany mi krytyk i historyk literatury. Miałem tę jego książkę kiedyś w rękę, ale nie na regale. „Masz?" – pyta Józio. „Nie mam". „Zobacz" – mówi Józio – „Tu jest spory materiał zdjęciowy, od dworu w Szetejniach, patrz, rodzice tuż przed urodzeniem tego dziecka cudownego, aż do fotki Miłosza z 1993 roku, nad Niewiażą, gdy strony rodzinne odwiedził. A tu, popatrz, Miłosz z Fiutem, hahaha... Miłosz okazały, na zachodniej paszy, sexy jeszcze mężczyzna był wtedy, w Paryżu w 1979 roku zdjęcie zrobione, a Fiut niepozorny, łysawy, w okularkach, w kurteczce z Cedetu młody-stary obok stoi. Nie omieszkał się sfotografować i popatrz, dwa lata nie minęły i Poeta Polski na nie w smak komunistom w Warszawie Nobla dostał. A tu masz jeszcze jedno zdjęcie tego Fiuta już nie tylko z bohaterem jego książki, lecz jeszcze do tego z polskim bohaterem narodowym i naprawdę sławnym w świecie szeroko, z Lechem Wałęsą mianowicie, też Noblistą, in spe wtedy, w lecie 1981 roku zdjęcie zrobione.

„Tyskie"-Bier; er sagt: „Eine gute Idee hattest du mit den schwarz-weißen Fotos... wie viele sind das? Sechzehn. Unfarbige Bilder deines Lebens im Gegensatz zu deiner kolorierten Kunst, bei der, wie ich sehe, sich mehrere Profi-Fotografen beschäftigt haben, u.a. der Kollege Jaworski. Erinnerst du dich an die Abende in der Kiliński-Straße? Seine Wohnung wurde zu einer Art Privat-Café, dort konnte man immer eine Menge Leute treffen. Na, später musste er wohl bedauern, dass er den Kommunismus nicht mehr ausstehen konnte und nach der gescheiterten Revolution in Radom und Ursus 1976 nach Holland abgehauen ist. In der 70-er arbeitete er glücklich als Kameramann unter Regie von Marek Koterski (ich mag den Kerl als Person nicht, weil er brutal und obszön ist, aber ein guter Künstler ist er ungestritten, hat eigenes Konzept und Still; seine Idee ist, dass jeder gegen jeden immer und überall Krieg um sich selbst führt; dazu kommt sein eigenartiger Humor) also zusammen mit dem Koter wäre er möglicherweise auf den Filmfestivals gepriesen worden. Na, aber mindestens amüsierte er sich gut auf dem Rummelplatz, während wir hier in der Scheiße steckten..." „Sepp..." – unterbrach ich – „du wolltest doch etwas zu meiner *Grenze* offenbaren, setzt eine Grenze bei deinen Gedanken, ich bitte dich..." „Na gut, also diese Bilder deines Lebens sind richtig, aber ich muss dich tadeln: Warum gibt es kein Foto mit einem VIP, Vau I Pe, Very Important Person, ich sehe keine wichtige Person hier.

Gucke mal, ich habe ein Buch für dich mitgebracht, will ich es dir auf die Reise, in den Zug geben. Sepp zeigt mir den Buchumschlag: *Ein trotziges Selbstbildnis von Czesław Miłosz. Die Gespräche führt Aleksander Fiut*. Literarischer Verlag Kraków. Aleksander Fiut, ja, ich kenne den Kritiker und Literaturwissenschaftler. Ich hatte dieses sein Buch einst in der Hand, aber nicht auf dem Regal. „Hast du es?" – fragt Sepp. „Nein" – antworte ich. „Gucke mal" – sagt Sepp. „Es gibt ziemlich viel Fotos, von dem Gutshof in Szetejnie, sieh´ mal, hier sind die Eltern kurz vor dem Geburt des Wunderkindes – bis zum Foto des Poeten aus dem Jahr 1993, als er seine Heimat an der Fluss Niewiaza besuchte. Und hier, gucke mal, da ist Miłosz mit dem Fiut, hahaha... Miłosz, ein prächtiger 60-Jähriger, das Foto wurde in Paris 1979 gemacht, er war noch sexy, ein stattlicher Mann, im Westen gut gefüttert, und Fiut neben ihn als jung-oder-alt, unscheinbares Kerlchen, mit

Ja daję ci tu przykład za przykład i wzór do naśladowania. Jak tam ludzie widzą, że w jednej księdze z Polańskim, z Wajdą jesteś, z panią córką Artura Rubinsteina w pięknym albumie *Łódzkie sentymenty*, albo żeś brał udział w wystawie tam jakiejś światowej z Timmem Ulrichsem, z A. R. Penckiem, z Abakanowicz...” „Z Abakanowicz nie brałem” – mówię. „No tak, aleś napomykał, że tam z paroma sławnymi byłeś w rozmowie... z Miłoszem właśnie – pamiętam, Rollingstonsów swoim VW-transporterem wiozłeś w Holandii, z Jackiem Kaczmarskim nad Jeziorem Bodeńskim wódkę piłeś... To mogłeś zdjęcie sobie pstryknąć. Ludziska to takie rzeczy cenią, widzą. Ach i och powiedzą. To, co tam skleczisz mądrego czy pięknego, własnego, to nie dochodzi. Za trudne. Głowy i czasu nie mają, a i nie bardzo wiedzą, co jest co, jakie, dobre-niedobre. Profesory, moderatory im muszą powiedzieć. To, że nagrodę dostał taką a taką, zwłaszcza zagraniczną, a tam Madonnę zna osobiście, o tu są razem na fotografii w uścisku, o, to jest coś, to robi wrażenie, cię podnosi w oczach. Taka fotka z vipem – słuszna rzecz!” I walnął mnie Józio jowialnie po plecach, aż ciarki mnie przeszły po kręgosłupie, naruszonym w ponad miarę aktywnym od lat 80. dźwiganiem głów betonowych i innych ważkich wyrobów moich artystycznych w Republice Federalnej i gdzie indziej w Wolnym Świecie.

Minęło od tej głupawej rozmówki dwa lata bez mała, siedzę, myślę, co by tu napisać rajcownego do moich *Ugadów* i tako mi wpada: opisać spotkania moje ze sławami, z ludźmi znanymi z telewizji, z prasy, z prominentami życia światowego kulturalnego. Niektóre już postacie historyczne. Jak

Czesław Miłosz

Było wiosną roku 2000. Z Literaturrenhaus w Berlinie-Wannsee przysłali mi zaproszenie: spotkanie z Czesławem Miłoszem. W poezji mniej gustuję w ogólności, natomiast eseistyka Poety, *Umysł zniewolony*, *Rodzinną Europą*, esej o Lwie Szestowie, najsmaczniejsza *Ziemia Ulro* to były dla mnie przed 30 laty, w wydaniach paryskiej „Kultury” nielegalnie czytane, intelektualne rewelacje. Nie „polityczne”, lecz intelektualne rewelacje właśnie. Dla głowy marksistowsko ograniczanej w szkołach Peerelu. Coś o Miłoszu powiem osobistego. W trudnych latach 80., gdy nad Zatoką Kilońską nad butelką Jeama

Brillchen, in ein Jäckchen aus polnischen HO-Laden in Warschau gekleidet. Das Foto wurde gemacht und guck´, es waren kaum zwei Jahre vergangen und der polnische Dichter bekam den literarischen Nobel-Preis den Kommunisten in Warschau zum Trotz. Und hier, sieh´ mal, hast du noch ein Foto von dem Fiut nicht nur mit seinem Helden, sondern auch mit dem Helden der polnischen Nation, in aller Welt bekannten Lech Wałęsa, auch ein Nobelpreisträger, damals in spe – das Foto wurde im Sommer 1981 geknipst.

Ich gebe dir hier ein Beispiel als Vorbild zum Nachmachen, mein Lieber. Wenn die Leute sehen, dass du in einem Buch zusammen mit Polanski, mit Andrzej Wajda, mit der Tochter von Artur Rubinstein bist – ich meine das schöne Album *Lodzer Erinnerungen* – oder wenn sie wissen, dass du mit Timm Ulrichs, A.R.Penck, Magdalena Abakanowicz an die Ausstellungen in der Welt teilgenommen hast...” „Mit Abakanowicz habe ich nicht teilgenommen” – unterbrach ich Josef. „Na gut, dann nicht, aber du hast ein paar Berühmtheiten erwähnt, mit denen du gesprochen hattest... mit Milosz eben – ich erinnere mich gut, dann hast du die Rolling Stones mit deinem VW-Transporter in Holland gefahren, mit Jacek Kaczmarski hast du Vodka an der Bodensee getrunken... Also konntest du dabei ein Foto knipsen, oder? Die Leutchen schätzen so was. Aha – sagen sie. Deine Kunst, deine Arbeit können sie nicht bewerten, die Aufgabe ist zu schwer und sie haben auch keine Zeit für dich. Sie wissen auch nicht, ob dein Werk gut ist oder nicht, es muss ihnen von den Professoren, von den Moderatoren gesagt werden. Du kannst sie beeindrucken, in dem du zeigst, dass du einen Preis gekriegt hast, Madonna persönlich kennst, hier küsst sie dich an die Wange, das ist ein Ding, das macht dich groß. So ein Foto mit dem VIP – das ist etwas!”

Nach dem oben beschriebenen blöden Gespräch mit Sepp vergingen fast zwei Jahre, ich sitze und denke, was Reizendes ich zu meinen Un-Reden schreiben könnte und es fällt mir ein: Ich erzähle von meinen Begegnungen mit berühmten Leuten, mit Promis der Kulturwelten, die allem aus Fernsehen bekannt sein sollen. Wie

Czesław Miłosz

Es war Frühling 2000. Aus dem Literaturrenhaus in Berlin-Wannsee bekam ich eine Einladung: Lesung von Czesław Miłosz. Die Poesie mag ich in allge-

Beama wspominałem Emigrantów: Wieniawa-Długoszowski, Lechoń, Hłasko, Ryś Ostafowski, innych, co im nie wyszło na zdrowie, moja ówczesna towarzyska życia ogłaszała triumfalnie: „A Miłosz?!” Obojgu za tę pociechę dziś z serca dziękuję.

Z Weißensee do Wannsee ze 30 kilometrów na drugi koniec miasta, spóźniłem się na spotkanie z Poetą z pół godziny może. Willenka nieduża, zadbana, nabita do ostatniego miejsca kulturalną publiką zachodniobrzezią, dobrze ubraną. Nie chciałem naruszać ciasta, więc stanęliśmy z osobą towarzyszącą na ławce pod oknem, otwartym. Już tam paru maruderów stało. Świetnie było widać i słycać cały obraz w ramie – okiennej. Już było po mowach wstępnych, w których wybił się zapewne „Nobel-Nobel”. Miłosz kończył czytać swoje, mały kawałeczek po polsku, dalej lektor odczytał rozdziałek, już nie pamiętam z czego, po niemiecku. Następnie padały inteligentne pytania. Dwa czy trzy razy stało się, że zanim tłumacz zaczął tłumaczyć Miłoszowi pytanie na polski, pan Czesław odpowiadał – po angielsku! W roku 2000 roku Miłosz miał 89 lat. Mechanizm tego językowego fenomenu jest chyba taki, że rozumiał, co się mówi po niemiecku, w języku niepolskim, obcym wszakże i jemu osobiście dalekim, więc automatycznie odpowiadał w niepolskim a obcym języku – sobie najbliższym: angielskim. Sala się konsternowała, zwłaszcza obecni starszych pokoleń Polacy, którzy w szkole uczyli się rosyjskiego. Po paru zdaniach angielszczyzny tłumacz wrzucał wszakże jakieś zdanie po polsku i Miłosz automatycznie przechodził na ojczysty swój język. Mechanizm ten wielokrotnie miałem okazję podziwiać u moich dzieci, równie dobrze władających polskim co niemieckim, a zwłaszcza u dzieci znajomego małżeństwa polsko-szwajcarskiego: tam aż trzy języki, francuski ojca, polski matki i niemiecki szkoły i ulicy berlińskiej. A jeszcze angielski dochodzi, w którym matka z ojcem wyjątkowo się porozumiewają, tak dobrze, że czworo dzieci mają.

Spotkanie się skończyło, Poeta zasiadł w przedśionku willi do książek podpisywania. Wziąłem trochę z moich półek z kwatery, parę niemieckich wydań też dla znajomych na fanty. Przychodzi moja kolejka, podsuwam knigi, Miłosz podpisuje automatycznie, ja na koniec daję mu moją książkę. Mówię: „To jest moja książka dla Pana z wyrazami mojego szacunku i podziwu. O polsko-niemieckich kwestiach bolesnych, ale z odrobiną uśmiechu,

meinem mäßig, aber die Essays des Poeten, *Das verführtes Denken, Die west- und östliche Gelände* (im Original *Rodzinna Europa = Heimat Europa*), das Essay über den russischen Philosophen Lew Schestov, das prächtigste *Land Ulro*, die Bücher waren für mich, illegal vor 30 Jahren in der Pariser „Kultura“ gelesen, intellektuelle Großlebnisse. Eben intellektuelle, nicht „politische“. Für den marxistisch in VRP-Schulen gestalteten Kopf. Ich sage über Miłosz etwas Persönliches. Als ich in der schweren 80-ger Jahren an der Kieler Förde beim Jim Beam an die Emigranten dachte: an Wieniawa-Długoszowski, an Lechoń, an Marek Hłasko, an Richi Ostafowski, an den anderen, den es nicht gut ausgegangen war, rief meine damalige Lebensgefährtin mit Triumph in der Stimme: „Und Miłosz?!“ Ich bedanke mich bei den beiden für den damaligen Trost sehr herzlich.

Von Weißensee nach Wannsee gibt es 30 Kilometer langer Weg durch den ganzen Stadt, ich kam eine halbe Stunde zu spät. Die kleine Villa aus der Gründerzeit war mit dem schicken westberlinischen Publikum voll gestopft. Ich wollte nicht stören, stellte mich also mit meiner Begleitung auf eine Bank am offenen Fenster, wo schon einige Marodeure standen. Es war schon nach Lobreden für den Nobel-Dichter, er selbst las ein kleines Stück aus seinem letzten Essayband auf Polnisch, dann der Lektor einen Kapitel auf Deutsch. Dann folgten die klugen Fragen an Autor. Einige Male ist es passiert, dass Miłosz gleich antwortete, eher der Übersetzer die Frage ins Polnische übertrug, er antwortete auf Englisch! Im Jahr 2000 war Czesław Miłosz 89. Ich erkläre mir dieses Phänomen damit, dass er die fremdsprachige Frage (auf Deutsch) einigermaßen verstand, antwortete also auch fremdsprachig: auf English. Das Publikum war konsterniert, der Übersetzer schoss kurz einen polnischen Satz und Miłosz sprach wieder seine Muttersprache. Das Phänomen der vertauschten Sprachen kenne ich von meinen Kindern, die ebenso gut Polnisch wie Deutsch sprechen; noch besser geht das in der Mischehe meiner Bekannten, wo es mehrere sprachen im Gebrauch gibt: die Kinder kennen Polnisch von der Mutter (also Muttersprache), mit Vater reden sie Französisch, in der Schule und auf der Straße Deutsch. Und dazu gibt es noch English, in dem sich die Eltern verständigen und zwar so gut, dass sie vier Kinder haben.

Die Lesung ging zum Ende, der Dichter begann am Schreibtisch seine Bücher zu unterschreiben. Ich

w literaturach polskiej oraz obu republik niemieckich po wojnie. Dla zwykłych ludzi tu w Niemczech napisałem na zamówienie za dobre wynagrodzenie. Dużo tam jest materiału z pism Pana. Proszę." Miłosz popatrzył na mnie ciekawie i, zdało mi się, z sympatią, i mówi: „To jak, też mam podpisać panu?” „Nie, to jest dla Pana ode mnie, prezent." Stojący za plecami Poety niemiecki asystent pochwyił moją książkę i wsunął ją do szuflady. Tamże być może do dziś spoczywa.

Czesław Niemen

był owszem w Polsce postacią już za życia, od jego śmierci rozwija się kult Niemena. W tym procesie kanonizacji kulturalnej uczestniczy także „Pro Libris” (artykuły Z. Musiałowskiego, po części odpisane od kolegi). Moje z Artystą przeżycie pokazuje go w innej perspektywie niż dwa filmy na DVD, które pożyczyłem sobie z Instytutu Polskiego w Berlinie. Duża celebra, na tle której najbardziej mi się podobał kawałek z Laskowikiem. Jakis duży koncert pod koniec lat 70., Laskowik zagaduje artystę: „Panie Czesławie, hahaha, pan to sobie dobrze wybrał pseudonim artystyczny: Niemen. Bo to się płynie dłuugo... i ostatnio z prądem!” Niemen był spięty, uśmiechał się obronnie, odpowiedział półśłówkiem, najwyraźniej nie umiał, nie chciał się znaleźć w kabaretowej konwencji. Przypomniał mi się talkshow sprzed lat, wtedy się to jeszcze tak nie nazywało, z Niemenem w studiu warszawskiej telewizji: któryś z krytyków muzycznych (Dariusz Michalski?) napadł na niego. „Dlaczego pan nie chce być kolegą Czerwono-Czarnych, tylko chce pan być kolegą Beethovena?!”

Kilonia, który to mógł być rok? 1985, 86? Koncert Czesława Niemena w Centrum Kultury „Wędzarnia”, Kulturzentrum Raucherei, w dzielnicy Gaarden, zamieszkałej w dużym stopniu przez Turków, pracowników pobliskiej stoczni HDW, wraz z hamburską największą w Europie, z których powodu tanie mieszkania, więc i dużo studentów, co 10 mieszkańiec stolicy Szlezewika-Holsztynu jest studentem. Niemena widzieć gratka dla mnie niebywała, mieszkalem wtedy na wsi pod Preetz, w Szwajcarii Holsztyńskiej, przyjechałem 20 km na rowerze. Wstęp 5 marek (bilet do opery kosztował od 40 do 100).

Sala mroczna, ściany zabudowane szczerkami szufladami do wędzenia ryb, półświatło. Niemen ze

habe einige aus meinem Quartier mitgebracht, auch ein paar auf Deutsch, für die Berliner Freunde und Bekannte. Ich bin dran, schiebe ich die Bücher vor, Miłosz unterschreibt automatisch, zum Schluss reiche ich ihm mein eigenes Buch hin. Ich sage: „Das ist für Sie mit Hochachtung und Bewunderung von mir. Das Thema hier sind die deutsch-polnische Fragen in der polnischen und in der deutschen Nachkriegsliteratur, die schmerzhaft sind aber von mir mit etwas Humor behandelt werden. Ich habe es für die einfachen Leute in Deutschland verfasst, es war eine Auftragsarbeit, gut bezahlt. Es gibt hier viel Material aus Ihrem Werk. Bitte sehr”. Miłosz guckte mich mit Interesse und, es schien mir, mit Sympathie, und sagte: „Und wie, soll ich es Ihnen auch unterschreiben?” „Nein, dass ist von mir für Sie”. Hinter dem Dichter stand ein deutscher Assistent, er riss mir mein Buch aus der Hand und steckte es in die Schublade. Dort liegt sie wohl bis heute.

Czesław Niemen

War schon zur seiner Lebzeit Jemand vom Maß, seit er tot ist, entwickelt sich in Polen ein Kult um ihn. „Pro Libris” nimmt auch daran teil (die Texte von Z. Musiałowski, teilweise von einem Kollegen abgeschrieben). Mein Erlebnis mit dem Künstler zeigt ihn in eine andere Perspektive als die zwei Filme auf DVD, die ich mir vom Polnischen Institut Berlin geliehen habe. Ein Gottesdienst, in dem mir speziell ein Stück mit dem Kabarettisten Laskowik gefiel. Ein feierliche Konzert Ende der 70-ger. Laskowik spricht Niemen an: „Herr Czesław, Sie haben sich einen prächtiges Pseudonym ausgewählt. Weil man mit dem Fluss laaange fahren kann... und in den letzten Zeiten mit dem Strom!” Niemen reagierte angespannt, die kabarettartige Konvention passte ihm nicht, er fühlte sich in so was nicht gut. Ich erinnerte mich an eine Talkshow mit Czesław Niemen, die ich vor Jahren im polnischen Fernsehen gesehen hatte: ein bekannter Musikkritiker griff Niemen stark an: „Warum wollen Sie, anstatt ein Kollege von dem Band „Die Schwarz-Rote” (ein polnischer Rockband mit dem heutigen deutschen „Tokio Hotel” vergleichbar – Bemerk. von mir, J.W.) zu bleiben, unbedingt ein Kollege von Beethoven werden?!”

Es war in Kiel, in welchem Jahr? 1985, 86? Ein Konzert von Czesław Niemen im Kulturzentrum „Raucherei” in Gaarden, dem Stadtteil, wo viele

swoją elektroniczną aparaturą, komputerami, synchronizatorami Mooga, sam prowadzi swój koncert – po angielsku. Gra, śpiewa, kwili, grzmi. Pomiedzy jednym a drugim kawałkiem – zaczął od fragmentów swojej muzyki filmowej, teatralnej – Artysta tokuje coś swoim cienkim a chropawym głosem (śpiewał pięknie, lecz głos mówiony miał słaby, pipowaty), po angielsku, nagle z galeryjki na górze w pięknym języku Adama Mickiewicza pada: „Czesiu, a *Mimozami* będzie?!”

Czesiu się zająknął, spojrzął w górę, twarz mu lekko ściemniała, odrzekł: „Będzie”. I grał dalej. Ale za parę minut znowu, z parteru gdzieś z tyłu: „Czesiu, a *Dziwny jest ten świat*?! Bęęędzie???!!!!”

Niemen przerwał duszenie Mooga, wstał od warsztatu i mówi: „Będzie. Będzie. Bo dziwny jest ten świat”. I do publiczności: „Sorry. I must talk with my people... A small speech”. Speech był taki: „Moi drodzy, ja nie wiem, kto wy jesteście, skądżeście się tu wzięli. Ale proszę was nie przeszkadzać. Nie jesteśmy u cici na imieninach tylko na koncercie. Który ja tu daję dla niemieckiej publiczności. To jest moja praca, za to jestem zapłacony. Rozumiemy się, okay?”. Na to których wrzasnął: „Jasne, Czesiu, my cię kochamy, przepraszamy!” Do końca już nie było ekscesów.

Po koncercie podchodzę do Niemena, mówię: „Dobry wieczór, cieszę się niemożliwie, że tu pana widzę, nie byłem w kraju od 1981. Można pana zaprosić na lampkę wina do kawiarenki tutaj?”. „Na wino to nie” – mówi Niemen – „ale na herbatę”. Usiedliśmy, Niemen jakby trochę zdezorientowany, trochę wobec mnie czujny, ale i przyjazny rodakowi, co go zagadnął był na obczyźnie. Pyta mnie: „Proszę pana, co to byli za ludzie, ci Polacy? Dużo ich było na sali, skąd oni się wzięli? Ja byłem zaskoczony, byłem przygotowany, że występuję dla Niemców...” Wytłumaczyłem Czesławowi Niemenowi, że to byli aussiedlerzy, polscy Niemcy w cudzysłowie lub i bez cudzysłowu, którzy się tu jako Niemcy ujawniają – masowo zwłaszcza po 13 grudnia 1981 roku. Jest to ludek prosty, wesoły, nastawiony zabawowo, bawią się dobrze za nieduże pieniądze, jakie wypłaca im Republika Federalna na życie i na naukę niemieckiego, na życie dla nich starczy. Bawią się jak u cici na imieninach.

Niemen posiedział chwilę, opowiedziałem mu krótko o sobie, porozmawialiśmy o Warszawie, o życiu w Polsce wczoraj i dziś – raczej był wstrzemięźliwy,

Türken leben, Arbeiter der HDW-Werft, zu der Zeit meistens arbeitslos; deswegen sind dort billige Wohnungen wo auch viele Studenten leben, jeder 10 Kieler ist ein Student. Niemen vor Gesicht zu bekommen, war für mich eine unglaubliche Freude, ich wohnte damals bei Preetz, Holsteinische Schweiz, von wo ich 20 km mit dem Fahrrad kam. Eintritt: 5 DM (eine Karte für das Operhaus Kiel kostete damals 40 bis 100 DM).

Ein finsterer Saal, die Wände aus den Schubladen schwarzen vom Rauch, in denen einst man die Fische räucherte. Niemen steht auf der Bühne mit seiner Elektronik, mit der gewaltigen Moog-Apparatur, er moderiert sein Konzert selbst – auf English. Er begann mit seiner Film- und Theatermusik, kommentiert die Stücke mit seiner schwachen und klanglosen Stimme (er sang enorm stark, aber redete sehr leise, mit einem flachen Fallset) auf English. Er spielt, singt, jammert, donnert. Plötzlich hört man von hinten aus dem Saals eine mit Energie geladene Frage in der schönen Adam-Mickiewicz-Sprache: „Czesie, aber *Mit der Mimose* singst du auch?!”

Czesie stolperte über den unerwarteten Aufruf gewaltig, guckte in die Tiefe des Raumes, sein Gesicht wurde rot. Er antwortete: „Ja, das singe ich auch”. Und spielte weiter. Aber nach kurzer Zeit kommt wieder, von einem anderen Platz: „Czesie, und *Die unsere komische Welt*? (ein Superhit von Niemen aus den 70-ger Jahren, J.W.) Singst du den Song für uns???!!!!”

Niemen unterbrach die Beschäftigung mit dem Moog, entfernte sich von der Apparatur in Richtung Zuschauerraum und sagte: „Ja, das singe ich auch. Gewiss. Weil diese Welt komisch ist, ja und wie”. Und zum Publikum: „Sorry. I must talk with my people... A small speech”. Diese Speech auf Polnisch war: “Meine Lieben, ich kenne euch nicht, weiß nicht, wer ihr seid. Aber bitte nicht stören. Hier ist nicht ein Tantchengeburtstag, sondern ein Musikkonzert. Ich wurde bestellt, um für das deutsche Publikum zu singen. Dafür werde ich bezahlt. Verstehen wir uns, OK?” Darauf folgte ein polnischer Schrei aus voller Kehle: „Aber klaaar, Czesie, wir lieben dich, Verzeihung!” Es gab keine Ausfälle mehr.

Nach dem Konzert komme ich auf Niemen zu, spreche ihn an: „Guten Abend, ich freue mich außerordentlich Sie hier sehen zu können, ich bin seit 1981 in Polen abwesend. Darf ich Sie hier ins Café

nie wiem, czy z nieufności wobec nieznanego, czy z przyrodzonej mu powściągliwości. Przyszedł ktoś po niego, by go odwieźć do hotelu. Zapomniałem poprosić go o wizytówkę. Ale może nie miał.

Timm Ulrichs

Timm Ulrichs nie każdy wie, kto jest. Bywał na łamach pism artystycznych, w książkach, na ważnych wystawach „nowej sztuki” od końca lat 60., ale telewizja raczej rzadko go pokazywała. Nie był taki ekspansywny jak jego starsi trochę koleczy „junge Wilden”: Lüpertz, Baselitz, Immendorf (w zeszłym roku sporo o nim stacje nadawały, bo właśnie był umarł). Ulrichs nie miał tak obrotnych menagerów jak Werner, Castelli, wielcy galeryści, macherzy-animatoryzy międzynarodowej sceny sztuki współczesnej, którzy inwestują w nowe nazwiska setki tysięcy dolarów, by wyciągnąć miliony. Dzieło Timma Ulrichsa opiera się na pomysły, w żadnym wypadku nie na materii, która pchnęła np. Wenera do wylansowania na *Documenta* w Kassel w 1988 roku nikomu nieznaną Czeszką Magdaleną Jetelovej (inwestycja w rzeźbiarkę kosztowała pono galerystę 500 tysięcy dolarów – podawał miesięcznik „Art”) – z jej rzeźbami w drewnie, przypominającymi rozsypane zapałki, tylko że rozmiarów ogromnych belek okrętowych z czasów Kolumba i Vasco da Gamy. (O Jetelovej wybuchło i uciхло, przed Kassel robiła w Pradze tradycyjne dość rzeźby. Pewnie jest gdzieś profesorem, trzeba sprawdzić w internecie. Co się stało z tymi klocami?) Ulrichs, mimo jego poniekąd „sztuki zaangażowanej” nie jest aż Staeckiem – ten opiera się nie na możliwych galerystach czy dyrektorach ważnych muzeów lecz na przemożnych politykach; znam Klauza Staeca bliżej, poświęcę mu osobną *Fotkę* w tych *Ugadach*, w części drugiej.

Kto nie wie, niech się ode mnie dowie: Timm Ulrichs jest naczelnym nazwiskiem sztuki konceptualnej (jako zjawiska już historycznego – nie mylić z dzisiejszą „sztuką konceptu”) w Niemczech, jak Ian Hamilton Finlay w Anglii czy Roman Opałka w Polsce (nie mieszka). Jak Joseph Kossuth w USA i dzięki temu w całej sztuce światowej, bo do sztuki światowej droga prowadzi przez Nowy Jork, jak do połowy zeszłego wieku prowadziła przez Paryż, a w XIX w. przez Monachium, jeszcze wcześniej przez Rzym.

zum Lämpchen Wein einladen?” „Zum Wein lieber nicht, aber zum Tee” – erwiderte der Künstler. Wir setzten uns, Niemen ein bisschen verwirrt, etwas misstrauisch, aber auch freundlich zu mir, zu einem Landsmann, der ihn in der Fremde ansprach. Er fragte mich: „Sagen Sie, was für Leute waren das, diese Polen? Gab es sie viele, woher? Ich wurde überrascht, dachte doch, ich trete vor dem deutschen Publikum auf...” Ich erklärte Czesław Niemen, dass diese Leute Aussiedler sind, polnische Deutsche mit Gänsefüßchen oder auch ohne, die sich in der Bundesrepublik als Deutsche aus Polen bekennen – in großer Zahl besonders nach dem 13. Dezember 1981. In der Masse sind sie ein lustiges, einfaches Volk, sie amüsieren sich gut für das nicht große Geld, das ihnen der Staat auszahlt, fürs Leben und fürs Deutschlernen. Fürs Leben ist es ihnen genug, sie amüsieren sich gut, wie auf einem Tantchen-namenstag.

Niemen blieb eine Weile, ich erzählte ihm ein wenig von mir, wir unterhielten uns über Warschau, über das Leben in Polen gestern und heute – er zeigte sich eher zurückhaltend, ich weiß es nicht, war das Misstrauen zu einem Fremden oder einfach seine natürliche Zurückhaltung. Es kam jemand, um ihn abzuholen und ins Hotel zu fahren. Ich habe vergessen, ihm um eine Visitenkarte zu bitten. Aber vielleicht hatte er keine.

Timm Ulrichs

Nicht jeder weißt, wer er ist. Seit Ende des 60-er Jahre zeigte er sich immer wieder in der Kunstzeitschriften und –bücher, war auf den wichtigen Ausstellungen der „neuen Kunst” präsent; im Fernsehen nicht so oft. Er war nicht so dranggängerisch wie seine etwas älteren Kollegen die „junge Wilden”: Lüpertz, Baselitz, Immendorf (im letzten Jahr hat sich das Fernsehen ziemlich mit ihm beschäftigt, weil er starb). Ulrichs hatte nicht so tüchtige und geschickte Manager wie Werner, Castelli, große Galeristen, Regisseure der Szene der internationalen Gegenwartskunst, die in neue Namen Hunderttausende Dollars investieren, um Millionen zu gewinnen. Das Wesen des Ulrichsches Werks ist die reine Idee, nicht die bearbeitete Materie – das zweite verkauft sich besser, aus dieser Grund z.B. hat Werner auf der *Documenta* 1988 die früher unbekannte Tschechin Magdalena Jetelová lanciert;

O sztuce konceptualnej, concept art, konceptuelle Kunst, konceptualnoje iskusstwo (było w Rosji, było, tylko w podziemi, wyszło na jaw po przełomie, widziałem w Berlinie arcywystawę) wygłosiłem był jako „młody badacz” w zamierzonych czasach (1972) referat w Łódzkim Towarzystwie Naukowym. Referat nazywał się *Zjawiska awangardowe współczesne: konceptualizm, poezja konkretna*. Prace Ulrichsa, które m.in. wówczas prezentowałem gremium uczonych łódzkich humanistów, zostały z politowaniem obśmiane przez starszych profesorów, jak i w całości obu „zjawisk awangardowych”, serwowanych wówczas przez „młodego badacza”. Jeden starszy profesor polonista powiedział do mnie po posiedzeniu: „Panie, już ten Białoszewski to nie jest dla mnie żadna poezja, to są głupstwa, a te pańskie przykłady to są »fraszki maszynopisaszki«, rozumie pan?”

Przypomnę jedną taką „fraszkę” Timma Ulrichsa z mojego referatu:

PRAKTYKA ARTYSTYCZNA

Godziny przyjęć
do uzgodnienia

Nie potrzeba tej pracy koniecznie fotografować, jak nakazuje konwencja obowiązująca w nauce o sztukach plastycznych. To dziełko Ulrichsa jest wypowiedzeniem językowym, nie obrazowym, dlatego przetłumaczyłem na polski, jak utwór literatury (tekst oryginalny: KUNSTPRAXIS. Sprechstunden nach Vereinbarung). Ważne jest natomiast w tej wypowiedzi, by nie pominąć jej aspektu „przedmiotu” pisarskiego, drukarskiego. Jest ona „szyldelem”, „wywieszka” – jest to niby-tabliczka na drzwiach gabinetu lekarskiego mianowicie. Sens tego dziełka Tima Ulrichsa jest taki, że jesteśmy chorzy i musimy pójść do lekarza. Kto? My, odbiorcy sztuki, jej niby adoratorzy, miłośnicy sztuki, w gruncie rzeczy ślepi i głusi na jej istność, krowy i woły wygapiające się na malowane wrota. Podziwiając, bo „trzeba podziwiać”, zachwycający się, bo „należy się zachwycać”. „Wszyscy się zachwycają”. „Słowacki wielkim poetą był, mówię wam, wbijcie to sobie dobrze do głowy. Podziwiamy, zachwycaamy się, bo wielkim poetą był!” – agituje profesor Bładaczka

sie machte bis dahin ganz durchschnittliche figurative Holzskulpturen (der Galerist „entdeckte” sie in Prag und sollte in sie 500 000 Dollars in sie investiert haben – ich habe das in der Monatsschrift “Art” gelesen), in Kassel zeigte die Bildhauerin eine abstrakte Installation aus enormen schlichten Holzbalken (über Jetelová ist heute so gut wie nichts zu hören, wahrscheinlich ist sie irgendwo Kunstprofessorin, muss ich im Internet nachsehen; was ist mit dem Balken passiert?). Ulrichs, obwohl man seine Arbeiten als „engagierte Kunst” sehen kann, ist aber kein Staeck – der Letzte macht seinen Weg nicht mit den großen Galeristen oder Museenleiter, sondern mit den mächtigen Politikern; ich kenne Klaus Staeck näher, widme ihm ein gesonderte „Foto” in diesen *Un-Reden*.

Wer es nicht weiß, soll es von mir hören: Tim Ulrichs ist der wichtigste Name der konzeptuellen Kunst (ich meine hier „konzeptuelle Kunst” als Phänomen in der Kunstgeschichte und nicht die heutige Konzeptkunst) in Deutschland, wie Ian Hamilton Finlay in England oder Roman Opalka in Polen (er lebt seit Jahrzehnten im Westen). Wie Joseph Kossuth in der USA und Dank dessen in der Welt, weil in die Weltkunst den Weg über New York führt, wie es bis zur Hälfte des 20.Jh. über Paris führte, hundert Jahre früher über München, noch früher Rom.

Über die konzeptuelle Kunst, concept art, konceptualnoje iskusstwo (es gab sie in Russland, ja, aber in Untergrund, es zeigte sich nach Perestroika, ich habe eine Superausstellung in Berlin gesehen) hielt ich in den Urzeiten (1972) als „junge Forscher” einen Vortrag auf einer Sitzung des Lodzer Wissenschaftsvereins (Łódzkie Towarzystwo Naukowe). Der Vortrag hieß: *Die avantgardistischen Phänomene: konzeptuelle Kunst und konkrete Poesie*. Die Arbeiten von Ulrichs, die ich damals vor dem Gremium der Lodzer Gelehrten vorgetragen habe, wurden von den älteren Professoren unbarmherzlich ausgelacht, wie auch die von dem „jungen Forscher” präsentierte „avantgardistische Kunst” in Ganzem. Ein ältere Professor sagte mir nach der Sitzung: „Wissen Sie, schon die so genannte „linguistische Poesie” ist für mich keine Kunst, das ist Quatsch, und die Beispiele von Ihnen sind auch Quatsch, verstehen Sie?”

An so einen „Quatsch” von Tim Ulrichs aus meinem damaligen Vortrag erinnere ich mich:

w *Ferdydurke*, cały wykład z estetyki na ten temat daje Gombrowicz w *Przedmowie do Filidora dzieckiem podszytego*.

Profesor Stefan Morawski pisze w książce *Na zakręcie: Od sztuki do po-sztuki* (1985), że intencją konceptualistów było uderzenie w zastygłe instytucje sztuki: w skostniałe szkolnictwo, w zrutyinizowane muzealnictwo i wystawiennictwo artystyczne, w skomercjonalizowany rynek sztuki, w ple-ple i ble-ble krytyki artystycznej, w drętwe doktoraty na nudne tematy, niby o sztuce, a w gruncie rzeczy o niby-nauce o niej („a Lévi-Strauss to, a Barthés tamto, a Gremais owo, a Porębski...”).

W istocie „nowa sztuka” była częścią rewolwy majowej 1968 roku. W aspekcie społeczno-politycznym. W aspekcie estetycznym natomiast trzon jej stanowiła metasztuka – sztuka o sztuce. Co jest sztuką, czym jeszcze może być sztuka – oto pytania konceptualistów. Odpowiadać na nie lepiej potrafi słowo niż obraz. Teoretyzowanie o sztuce zastąpiło warsztatową praktykę artystyczną. Timm Ulrichs także teoretyzował, nie było to jednak teoretyzowanie jałowe – jak u znakomitej większości artystów konceptualnych. Przy użyciu prostych środków wyrazu Ulrichs uderzał w tradycyjne przyzwyczajenia w rozumieniu sztuki, jej funkcji – nie tylko czysto estetycznej, także społecznej. I zawsze bez zadęcia, z humorem, z reguły czarnym. Znana jest fotografia artysty z białą laseczką i opaską ślepeca. Temat lekcji: Sztuka.

Porzucając od 1981 roku teorię w Polsce Ludowej dla praktyki artystycznej w Republice Federalnej straciłem z oczu tak poezję konkretną, jak sztukę konceptualną, a więc i Timma Ulrichsa. Gdzieś pod koniec lat 80. wpadł mi w ręce reportaż o nim w dodatku niedzielnym do tygodnika „Der Stern”. Dobry adres, wprawdzie nie telewizja, ale „Sterna” czytają tysiące ludzi. Tekst był o tym, jak Ulrichs wydaje swoją profesorską pensję (był profesorem sztuki w Monastyrze, od 1987 Staatliche Kunstakademie Münster) na pomysły artystyczne – już w zamierzeniu niedochodowe, lub w mizernym stopniu bilansujące wydatki na sztukę. Urząd skarbowy kwestionował zatem jego status zawodowego artysty, groził, że uzna go za amatora i koniec z odpisami od podatków wydatków na głupstwa. Profesor Morawski zauważa słusznie, jak prędko opierzyli się konceptualiści-rewolucyjniści, jak ochoczo dali się wchłonać zwalczanym przez siebie insty-

KUNSTPRAXIS

Sprechstunden
nach Vereinbarung

Diese Arbeit muss nicht unbedingt fotografiert werden, was die kunstwissenschaftliche Konvention verlangen könnte. Das kleine Werk von Ulrichs ist eine sprachliche Aussage, keine bildnerische, deswegen kann ich sie „abschreiben” und, wie man in meinem polnischen Text daneben sehen kann, auch übersetzen – wie ein Gedicht, wie ein literarisches Werk. In dieser sprachlichen Aussage ist ihr Aspekt des „Gegenstandes” der Schrift- und Druckkultur von großer Bedeutung. Das ist ein quasi-Schild – wie auf den Türen von einer Arztpraxis. Der Sinn dieses kleinen Werkes von Tim Ulrichs ist, dass wir krank sind und zum Arzt gehen müssen. Wer? Na wir, das kulturelle Publikum, die Scheinliebhaber der Kunst, in Wirklichkeit blöde Ochsen und Kühe, die wenig oder nichts davon verstehen, nichts spüren. Wir zeigen uns begeistert von der Kunst, weil wir begeistert sein sollen. Das hat doch meisterhaft Witold Gombrowicz in seinem weltbekannten Roman *Ferdydurke* bewiesen; er kriegte den Nobelpreis für die Literatur nur aus dem Grund nicht, weil er bevor starb.

Professor Stefan Morawski schreibt in dem Buch *Auf der Kurve. Von Kunst bis Nach-Kunst (Na zakręcie sztuki. Od sztuki do po-sztuki, 1985)*, dass die konzeptuellen Künstler einen totalen Angriff auf die erstarrten Institutionen der Kunst bezweckten: anachronistische Kunstschulen, tote Museen, Routine und Bürokratie im Ausstellungswesen, Kommerzherrschaft im Kunstbetrieb, Bla-Bla und Pi-Pa-Po in der Kunstkritik, langweilige „Kunstwissenschaft über Kunstwissenschaft” – nicht über Kunst („Lévi-Strauss sagte das, aber Barthés das andere und Gremais ähnliches, aber Porębski...”).

Allerdings war „die neue Kunst” ein Teil der Mairevolte 1968. In dem politisch-sozialen Aspekt. In dem ästhetischen Aspekt ihr Kern war die „Kunst an sich” – die Kunst über die Kunst. Was ist die Kunst, was kann noch die Kunst werden – das waren die Hauptfragen dieser Revolte-Künstler. Man kann die Fragen besser mit dem Wort als mit dem Bild beantworten, die Künstler begannen also über die Kunst zu theoretisieren. Die Theorie wurde zur künst-

tucjom sztuki. Nie Ulrichs – pomyślałem sobie przy lekturze „Sterna”. Gdzieś na początku nowego tysiąclecia znów natknąłem się na Ulrichsa, tym razem w „Kunstforum”, naczelnym niemieckim piśmie o sztuce. Ciągle wiernego sobie. Wygrał mianowicie konkurs na fontannę miejską, jeśli się nie mylę, w Bayreuth. Wygrał u profesjonalnego jury. Projekt natomiast nie przeszedł w Radzie Miejskiej, bo mieszczanie uznali go za podejrzanego. Artysta zaprojektował źródło w centrum miasta z nadnaturalnej wielkości fajansowymi filizankami, talerzykami. „Co to my tu niby w Bayreuth mamy brudne naczynia do mycia?” – pytał jeden ze wzburzonych radnych przewodniczącą jury konkursu, historyka sztuki z Berlina. Radni anulowali wyrok profesjonalnego jury i wybrali do realizacji inny projekt: „solidny, tradycyjny” – dodajmy: „przeciętny, nudny”, nie wadzi nikomu...

Cieszyłem się niebywale na Timma Ulrichsa, gdy dowiedziałem się, że kolegujemy w dużym międzynarodowym projekcie *Goetzen – Ich und die Anderen*, rozpostartym nad Odrą na Frankfurt i Słubice z okazji rozszerzenia Unii Europejskiej w 2004 roku (pisałem o nim w „Odrze” i także w „Pro Libris”). Chciałem się Artyście zwierzyć z mojej wieloletniej adoracji jego sztuki i zaprosić go do mojego własnego projektu, który wówczas miałem w zamyśle w polsko-niemieckiej kooperacji. Otwarcie Projektu *Goetzen* odbyło się we Friedenskirche, najstarszym kościele frankfurckim, odrestaurowanym świeżo na cele kulturalne, nie religijne. Tam też było zainstalowane moje dzieło, Ulrichs miał własny tzw. domek sztuki. Po mowach polityków podchodzę do Timma Ulrichsa – zrobił się chudziutki, siwiutki, piętnastoletni chłopiec przez Merlina zamieniony w starca – mówię: „Timm, jestem Jacek Wesołowski, strasznie się cieszę, że mogę cię poznać live...” Na to Ulrichs uśmiechnął się jakoś krzywo, umknął mi wzrokiem i powiada: „Może później...” Później był bufet, z dwoma kufłami piwa robię drugie podejście, a ten znów: „Później...” I umyka. Ki diabeł? Może poczuł się dotknięty owym „ty” – ale przecież jest zwyczajem na świecie, że artyści mówią sobie z punktu po imieniu. A może chodziło o to, że nazwisko Timm Ulrichs jest w encyklopediach i słownikach o sztuce, w internetowej Wikipedii, a Jacek Wesołowski nie jest? No nie, chyba niemożliwe... W każdym razie pomyślałem sobie: „Trzeci raz ja już cię indagować nie będę...” I poczułem, że tak mi się robi z Timmem Ulrichsem,

lerischen Praxis, eigentlich anstatt. Timm Ulrichs theoretisierte auch, seine Beiträge waren aber nicht unbedingt nur unfruchtbare Theorien, wie bei den meisten konzeptuellen Künstler. Mit sehr einfachen, allgemein verständlichen Mittel versetzte Ulrichs dem traditionellen Denken über die Kunst und ihre Funktion – nicht nur die ästhetische, vor allem die gesellschaftliche. Und immer unpräzise, mit Humor, aus der Regel mit dem schwarzen – Schläge. Bekannt ist das Foto des Künstlers mit weißem Stock und Armbinde eines Blinden. Thema der Lektion: Die Kunst.

1981 hörte ich mit der Literatur- und Kunstwissenschaft in Volkspolen auf, ich wandte mich in der Bundesrepublik zur eigenen Kunstpraxis. Damit verlor ich von den Augen sowohl die konkrete Poesie als auch die konzeptuelle Kunst, also ebenso Timm Ulrichs. Etwa um 1990 fiel mir ein Artikel über ihn in dem Wochenschrift „Der Stern” in die Hände. Eine gute Adresse, natürlich nicht wie das Fernsehen, aber der „Stern” wird von Tausenden gelesen. Im Artikel stand, dass Ulrichs sein Kunstprofessorgehalt (er war Professor in der Kunstschule Münster, seit 1987 die Staatliche Kunstakademie Münster), für seine künstlerischen Konzepte ausgibt – die schon in Voraussetzung kein Gewinn bringen können und deswegen wir er vom Finanzamt bei der Einkommensteuerabrechnung nicht als Profi- sondern als Hobby-Künstler betrachtet. Ende mit der Steuerabsetzung für den Quatsch. Der Professor Morawski schreibt mit Recht, wie schnell die konzeptuellen Künstler die revolutionäre Ideen abgegeben und sich in den von sich gehassten Kunstinstitutionen etabliert haben. Nicht mein Ulrichs – dachte ich bei der Sternlektüre. Am Anfang des neuen Jahrtausends begegnete ich ihn wieder – diesmal in „Kunstforum”, das der Haupttitel unter den deutschen Kunstzeitschriften ist. Ulrichs bleibt sich immer treu – dachte ich. Er hat einen Wettbewerb für ein Stadtbrunnenprojekt gewonnen, wenn ich mich ich irre, in Bayreuth. Gewonnen hat er bei einer professionellen Jury. Das Projekt wurde aber von dem Stadtrat abgelehnt, weil es den Bürger verdächtig schien. Der Künstler hat einen Brunnen mit unnatürlich großen Tassen und Tellern entworfen. „Haben wir etwa hier in Bayreuth dreckiges Geschirr zum Spülen?” – fragte mit Empörung ein Stadtrat die Juryvorsitzende, eine Kunsthistorikerin aus Berlin. Die Bürger haben das Urteil

jak Józiovi jest z Markiem Koterskim mniej wiecej. I tym razem kamerę na podorzędziu miałem i też fotki nie zrobiłem.

Berlin, 2008 r.

Część II w następnym numerze



der professionellen Jury zunichte gemacht und ein anderes Projekt gewählt: „ein solides, traditionelles“ – das heißt: „durchschnittliches, langweiliges“, stört niemanden.

Ich freute mich sehr auf Timm Ulrichs, als ich erfuhr, dass wir bei dem großen internationalen Projekt *Goetzen – Ich und die Anderen* in Frankfurt/Oder und Stubice aus dem Anlass der EU-Erweiterung 2004 (ich berichtete darüber in „Odra“ und auch in „Pro Libris“) Künstlerkollegen werden. Ich wollte dem Künstler meine langjährige Bewunderung seiner Kunst aussprechen und ihn zu einem eigenen Projekt, das ich gerade in der deutsch-polnischen Zusammenarbeit vorbereiten wollte, einladen. Die Eröffnung des Projektes *Goetzen* fand in der Friedenskirche statt; sie ist die älteste Frankfurter Kirche, gerade wurde sie frisch für kulturelle und nicht liturgische Zwecke renoviert. Dort war mein Werk installiert, Ulrichs hatte ein eigenes „Kunsthäuschen“. Nach den Reden von Politikern komme ich zu Timm Ulrichs zu – er wurde grau und zierlich, sah wie ein von Merlin in Greis verwandelter 15jähriger Junge. Ich sage zu ihm: „Timm, ich bin Jacek Wesołowski, freue mich außerordentlich, dich live kennen zu lernen...“ Ulrichs sah mich irgendwie schief und unsicher an und murmelte vor sich hin: „Vielleicht später...“ Später war ein üppiger Imbiss, mit zwei Bierkrügen in den Händen mache ich den zweiten Versuch, und er wieder: „Später...“ Und läuft weg. Was ist, zum Teufel? Vielleicht ist er mit dem meinen „du“ nicht zufrieden, aber es ist doch üblich unter den Künstler in aller Welt, dass sie sich duzen. Oder geht es darum, das den Namen Timm Ulrichs in Kunstlexika, in der Internet-Wikipedia zu lesen gibt und Jacek Wesołowski nicht? Nein, dass kann doch nicht sein... Schließlich aber dachte ich: „Zum dritten Mal spreche ich dich nicht an...“ Und ich spürte, dass es mir mit Timm Ulrichs so ergeht, wie ungefähr dem Sepp mit Marek Koterski. Und diesmal hatte ich meine Kamera bei mir und ein Foto machte ich doch nicht.

Berlin, 2008

Teil 2. im nächsten Heft

Übertragung ins Deutsche vom Autor



Trumna papieska

„Berlin jest biedny, ale sexy” – twierdzi nadburmistrz niemieckiej stolicy Klaus Wowereit. W okolicach Ludwigkirchstrasse w dzielnicy Wilmersdorf zdobione sztukateriami kamienice skupione wokół katolickiego (rzadkość w tym mieście) kościoła Sankt Ludwig poświadczają, jakby na przekór burmistrzowi, zamożność mieszkańców. Rozłożyste drzewa oceniają szerokie chodniki. W pogodne dni nawet późną jesienią personel licznych tu kawiarni, barów, restauracji ustawia pod drzewami stoliki. Zasiadają przy nich panie i panowie, którzy przed wyjazdem na kolejne spotkanie w dzielnicy rządowej bądź w okolicach filharmonii i Neue Nationalgalerie zechcą wzmocnić się na świeżym powietrzu francuskim rogalkiem albo włoską kawą. Później ich miejsca zajmą turyści. Nie ma tu wprawdzie zabytków ani muzeów, ale mniej okazałe kamienice mieszczą pensjonaty, z których chętnie korzystają turyści ze „starych” niemieckich krajów. W zachodniej części miasta – wydaje im się – można spać spokojniej i wygodniej, jak dawniej. Nim wyruszą w kierunku wyspy muzeów w drodze do przystanku autobusowego czy kolei miejskiej chętnie odwiedzą kilka z tutejszych starannie urządzonych sklepów. Jeśli wcześniej nie natknęli się w ulicznej kawiarni na sączącego ze szklaneczki wydawcę i byłego niemieckiego ministra kultury Michaela Naumanna, to może dostrzegą jedwabną muchę Petera Raue smakującego południową sałatę. Zapewne nie każdy z turystów wie, że adwokat Peter Raue był do niedawna przewodniczącym stowarzyszenia przyjaciół Neue Nationalgalerie i że on właśnie zorganizował słynną, odwiedzaną tłumnie wystawę dzieł ze zbiorów MoMA w Nowym Jorku. W księgarni Shakespeare & Company można natknąć się na

Rabecę Horn. Aktorka Katharina Thalbach na pewno łatwiej wpadnie w oko pijącym cappuccino w Manzinim. Wszyscy ci znani berlińczycy tu w okolicy mieszkają. Idąc od Manziniego w kierunku katolickiej szkoły i kościoła pod wezwaniem francuskiego króla mijam elegancki zakład fryzjerski, popularną restaurację Weyersa, antykwariat z chińszczyzną i biedermeierowskimi krzesłami, Men’s Art Gallery z książkami i gadżetami dla kochających inaczej. Za rogiem znajduje się mała *boulangerie*. Po drugiej stronie ulicy drzemie pusta przed południem *enoteca*, tuż za nią śpi twardo o tej porze nocny bar Zur weissen Maus, czyli pod białą myszką. Za absydą Sankt Ludwig, parę metrów od baru na placu zabaw jakieś dziecko drze się wniebogłosy. Matka oddała się z nim w kierunku Kurfürstendamm. Odwracam wzrok. Tuż obok umieszczonych na czarnym tle napisów reklamujących instytut zaawansowanego picia pod białą myszką widnieje złoto-czarny szyld zakładu pogrzebowego. O krok dalej za szerokim oknem wystawowym umieszczono tylko jedną, jakże przecież uroczą sukienkę dla pierwszoklasistki. Inne dziecięce ubranka wiszą dyskretnie w głębi sklepu. Szybko jednak kieruję wzrok na powrót ku wystawie zakładu pogrzebowego. Za szybą stoi trumna. „Trumna papieska” – głosi napis obok. I rzeczywiście. Widzę dokładną kopię trumny oglądanej na tyłu ruchomych i nieruchomych obrazach po Wielkanocy 2005. W wieku wyżłobiono znany herb z dużym M. Z drzew opadają liście. Wracają obrazy z wiosny tamtego roku. Odczytuję umieszczoną przy trumnie informację i dowiaduję się, że za prostą z pozoru formą trumny kryje się model wymagający najwyższych umiejętności rzemieślniczych. Detale takie jak wpuszczane na zakładkę łączenia brzegów,

niewidoczne zamknięcia wieka trumny, jak również żeglarskie uchwyty (drewno w połączeniu z grubym konopnym sznurem), które przy wystawieniu zwłok dają się przez wzgląd na estetykę dyskretnie umieścić pod dnem trumny – wszystkie te szczegóły nadają temu produktowi specjalny charakter – podaje z dumą właściciel zakładu pogrzebowego. *Nota bene* w Lubuskim można się często spotkać z określeniem „salon pogrzebowy”. Tu ta nazwa też byłaby na miejscu. Pokrywę trumny można zamówić w kilku wariantach: całkiem gładką albo też z krzyżem, tak jak ta wystawiona w oknie. W końcu trumna stoi vis-à-vis katolickiej, choć po prusku surowej, świątyni. Dalej czytam, że do produkcji trumny papieskiej używa się drewna świerkowego albo cyprysowego, a jej powierzchnię bejcuje w kolorze miodowym. Zakład zapewnia jedwabną pościel trumienną. Serwis można uzupełnić mową nad trumną bądź śpiewem podczas uroczystości pogrzebowych, bądź też listą kondolencyjną. Zapisałem numer telefonu, aby zadzwonić i zapytać o cenę trumny. W końcu nie zrobiłem tego. Chowam ołówki do kieszeni i zostawiam trumnę papieską za sobą. Spacerem mijam znajdujący się nieopodal dom, w którym mieszkał Günter Rexrodt, niegdyś minister gospodarki w rządzie kanclerza Kohla. Umarł niespodzianie w 2004 roku. Nawet gdyby rodzina wpadła na wątpliwy pomysł pochowania ministra w trumnie papieskiej, nie miałyby na to szans. „Produkt” jest na rynku dopiero od niedawna. Idę obok siedziby wydawnictwa Klausa Wagenbacha

specjalizującego się we „włoszczyźnie” i nieopodal ambasady słowackiej znajdującej się w tym samym domu, co sklep z wielkiej urody dywanami azjatyckimi. Klaus Wagenbach wydaje piękne książki, a zachęca do kupowania własnych „produktów” hasłem „niezależne wydawnictwo dla niesfornych czytelników”. Kultura włoska ma w nim dobrego mecenasa na berlińskim bruku. Może kiedyś znajdzie się tu ktoś rozmakowany w kulturze polskiej? Skręcam w moją ulicę. Tu też rosną drzewa, choć nie tak bujne jak za rogiem, ale liście opadają tak samo.

Wieczorem siedzę ze znajomymi w knajpcie w pobliżu Savignyplatz znanego w odległych przedwojennych czasach jako miejsce spotkań osób szukających niezwykłego seksu. Opowiadam o „nowym produkcie ostaniej postugi”. Wszyscy solennie obiecują pójść nazajutrz obejrzeć trumnę papieską. Sąsiadowi z naprzeciwka nie podoba się trumienna pościel z jedwabiu. Bardziej odpowiednia byłaby lniana. Ma rację. To czyniłoby ten „produkt” doskonałym. Dobrze po północy kierując się ku domowi znów przecinamy Savignyplatz. Gołym okiem widać, że nie jest tak sexy jak przed laty, ale zamożność i tu, podobnie jak wokół Sankt Ludwig, ma się dobrze. Czyżby najwyższy berliński urzędnik nie miał racji? Ma ją. Ta okolica zalicza się do rozsianych po Berlinie wysp elegancji i dostatku. Choć leży tylko o trzy przystanki autobusowe od dworca Zoo. Tu nowe produkty mają znacznie większe szanse przebicia się na rynek niż wśród przybyłych z Azji Mniejszej mieszkańców dzielnicy Kreuzberg, co się tłumaczy – „góra krzyżowa”.





PREZENTACJE

Piotr Szurek

urodził się w 1958 r. w Stęszewie. W latach 1982–1987 studiował na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby w PWSSP (obecnie ASP) w Poznaniu. Dyplom z wyróżnieniem uzyskał w zakresie grafiki warsztatowej w 1987 r. Od 1987 r. pracownik Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu, a od 2001 r. wykładowca w Instytucie Sztuk Pięknych na Wydziale Artystycznym UZ. W 1997 r. uzyskał kwalifikacje I stopnia, a w 2002 r. kwalifikacje II stopnia w zakresie dyscypliny artystycznej – grafika. 31 października 2007 r. Prezydent RP nadał mu tytuł profesora sztuk plastycznych. Obecnie w Instytucie Sztuk Pięknych pełni funkcję kierownika Zakładu Grafiki i prowadzi Pracownię Druku Wklęsłego. Prowadzi również Pracownię Rysunku z Elementami Anatomii i Perspektywy. Jest członkiem Rady Programowej Galerii Grafiki przy Bibliotece Sztuki UZ. Na kadencję 2008–2012 został wybrany Dziekanem Wydziału Artystycznego UZ. W poznańskiej Akademii Sztuk Pięknych jest kierownikiem Pracowni Wklęsłodruku.

W swojej twórczości zajmuje się grafiką, rysunkiem i malarstwem. Zorganizował 33 wystawy indywidualne w Polsce, Belgii, Luksemburgu, Francji, Niemczech i Szwecji. Na stałe związany z paryską Galerie Koralewski. Uczestnik około 200. wystaw zbiorowych i międzynarodowych przeglądów grafiki i rysunku. Za swoją twórczość otrzymał liczne nagrody i wyróżnienia. Najważniejsze to: w 1994 r. Grand Prix na Triennale Grafiki Polskiej w Katowicach, w 1999 r. Grand Prix na Międzynarodowym Biennale Grafiki „Dry Point” w Uzicach, w 2000 r. Nagroda Specjalna na Międzynarodowym Triennale Grafiki w Krakowie i w 2003 r. Grand Prix na Międzynarodowym Konkursie Rysunku we Wrocławiu. Jest dwukrotnym stypendystą Ministra Kultury i Sztuki (1988, 2003). Za osiągnięcia artystyczne w 2005 r. otrzymał Nagrodę II stopnia Rektora Uniwersytetu Zielonogórskiego.

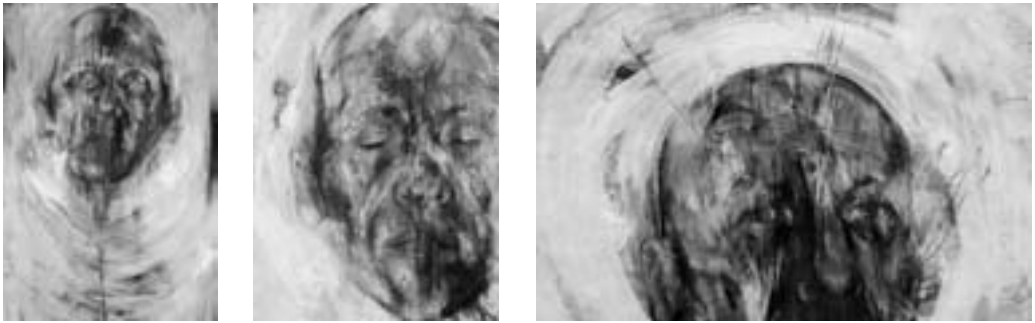
Prace w wielu kolekcjach prywatnych i państwowych m.in.: Biblioteque Nationale w Paryżu, Cremona Civic Museum we Włoszech, Kaliningrad State Art Gallery. W Polsce w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie, Szczecinie, Państwowym Muzeum na Majdanku i w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze.



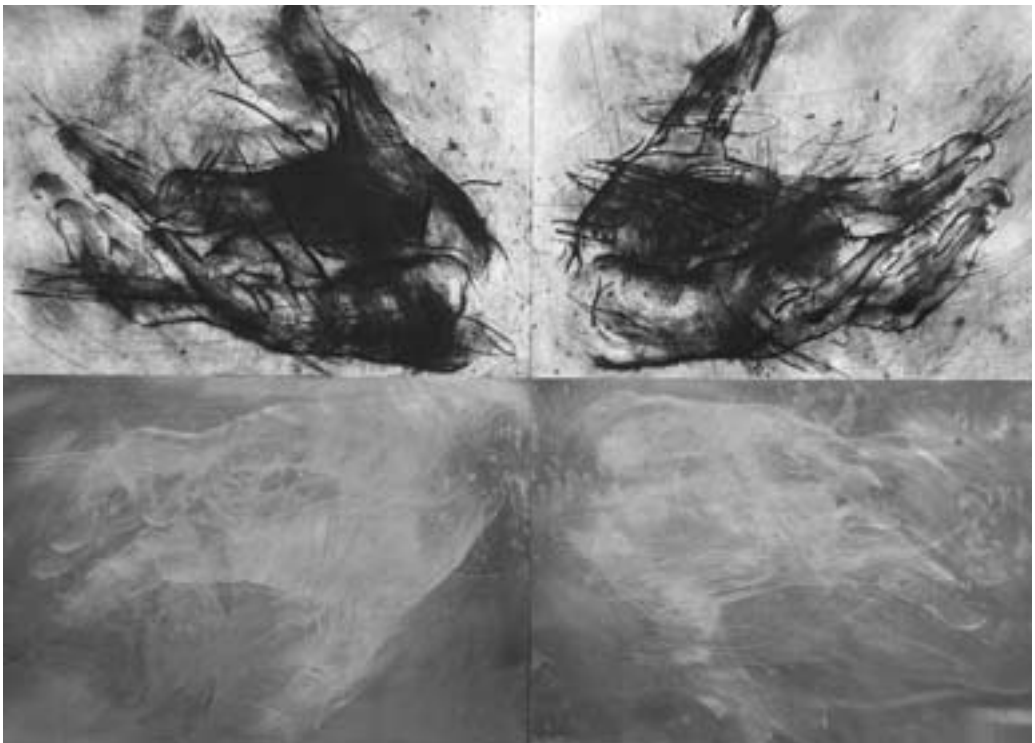
Autoportret, 1998, technika mieszana na papierze, 130 x 90 x 2



Autoportret, 2002, technika mieszana na papierze, 74 x 130



Autoportret, 2004, technika mieszana na papierze, 134 x 89, 30 x 23, 70 x 100



Autoportret, 2007, sucha igła, 140 x 200



Autoportret, 1987, akwatinta, sucha igla, 100 x 65



Autoportret, 1999, technika mieszana na papierze, 100 x 110



Autoportret, 2001, technika mieszana na papierze, 65 x 150

Nadzieja powrotu

Janusz Marciniak w swoim komentarzu do wystawy Piotra Szurka w konińskiej Wieży Ciśnień pisze, iż artysta „oddaje grafice nie tylko swoją twarz, ale i melancholijną duszę”. Mówiąc o jego zapatrzeniu w siebie, które nie jest megalomanią, lecz samopoznaniem, zauważa iż „to, co żywiołowe, organiczne i przypadkowe, zderza się w Piotrze z tym, co skupione, zamierzone, doskonale wystudiowane”.

Autoportrety Szurka są nie tylko „daleką podróżą” w głąb własnej duszy. Są trudną, ryzykowną wyprawą w głąb własnej jaźni, pamięci i wyobraźni. Są nie tylko poszukiwaniem równowagi, są drogą prowadzącą dalej niż linia, cień czy – ostatnio – barwna plama. Są nade wszystko wyjściem poza własny wizerunek.

Autoportrety Piotra nie mówią wyłącznie o jednostkowym, pojedynczym losie. Nie są też żadnym manifestem, ideowym przestaniem. W nich, jak w zwierciadle, odbijają się: cierpienie, samotność, upływające życie, niewypowiedziane myśli, wątplenie, lęk, a nawet śmierć.

Ktokolwiek zetknął się z Piotrem Szurkiem i jego otoczeniem, może się zdziwić, zaprotestować, a nawet zbuntować przeciwko takiemu patrzeniu, a jednak jest w jego autoportretach coś, co czyni go nie tylko mistrzem Wyrazu, prawdziwym arystokratą ducha, wyrazicielem najskrzypszych i najbardziej wysublimowanych pragnień. Jest w nich – jak powiedziałby Cioran – upadek w czas, jest rozdarte ciało i niespokojny duch, jest walka, jest męka trwania, zbiorowe doświadczenie i samotnicze wadzenie się z losem, jest ziemi proch i niebo, jest człowiek i Bóg... albo tylko my, z całym swoim skomplikowaniem, mrokiem i pragnieniem światła, oczekiwaniem i nadzieją powrotu!





VARIA BIBLIOTECZNE

Rafał Werszler

Architektura wnętrza biblioteki kanoników regularnych św. Augustyna w Żaganiu na tle wydarzeń historycznych

Klerycki Zakon Kanoników Regularnych św. Augustyna miał znaczny wpływ na rozwój i obecny wizerunek Żagania. Jedną z miejscowych pozostałości po zakonnikach jest wyjątkowa biblioteka

z barokową architekturą wnętrza. W dziejach lokalizacji księgozbioru, wyróżniają się: biblioteka zakryta, biblioteka nad kaplicą św. Anny oraz przestrzeń „nadzakryta”. By w pełni zrozumieć problema-

tykę zagadnienia, trzeba prześledzić losy konwentu od momentu jego przybycia do Żagania, poprzez czasy rozkwitu u schyłku średniowiecza, nieszczęścia wielkich pożarów, trudny okres husycki, prawie upadek w czasie reformacji, kontrreformację i odrodzenie, barokową odbudowę w wyścigu kulturalnym z jezuitami oraz ostatnie lata uciążliwych rządów pruskich, aż do konfiskaty mienia klasztornego w 1810 roku. Należy więc spojrzeć na historię konwentu augustianów na tle dziejów księstwa żagańskiego.

Zakon kleryczny był jednym z pierwszych przybyłych na Śląsk. Zakonnicy początkowo osiedlili się w osadzie Wino na Ślęży na zaproszenie księcia Henryka Brodatego w I poł. XII w. Około 1150 roku otrzymali wrocławską Wyspę Piasek (*Arena*). W ciągu kilkusetletniej obecności na ziemiach Dolnego Śląska prowadzili dzieło misyjne, duszpasterskie, charytatywne, społeczne i kulturalne, tworząc dzięki rozwiniętej aktywności skrytoriów i bibliotek klasztornych znaczną ilość ksiąg i kodeksów. Obecnie kanonicy regularni pracują w Polsce na ziemiach zachodnich i północnych; w Gietrzwałdzie, Ełku i Dreźnie.

Biblioteka zakrystiałna

Pierwsza biblioteka w opactwie żagańskim powstała wraz z założeniem klasztoru w 1284 roku przy kościele parafialnym pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Przybywając do Żagania, zakonnicy przywieźli ze sobą kilka manuskryptów, które stały się zalążkiem przyszłej księżnicy. Książę żagański Konrad II Garbaty (1290-1304) podarował zakonnikom w 1299 roku zamek, wzniesiony przez swojego poprzednika Przemka. W połowie XIV wieku kanonicy rozbudowali obiekt, zmieniając go w pałac opacki. W następnych wiekach klasztor poddawano licznym przebudowom. Kanonicy regularni trwali w Żaganiu przez setki lat, mimo iż miasto wielokrotnie zmieniali książęcy właściciele.

Pierwsze biblioteki tworzone były w zakrystiach kościołów. We wczesnym średniowieczu najcenniejsze precjoza kościelne, w tym kodeksy, trzymano w szafach typu Armaria. Rozwój bibliotek zakrystiałnych następował najczęściej poprzez budowanie kolejnych sąsiednich szaf, coraz bardziej uszczuplających przestrzeń zakrystii.

W 1339 roku papież Benedykt XII zobowiązał bullą *Ad decorem ecclesiae* Zakon Kanoników



- A. Madonna przy pulpicie skrzyniowym, Poliptyk z Gościńszowic (rewers). Ołtarz z k. św. Bartłomieja w Koninie Żagańskim. (1506-1507). Pracownia śląska. Muzeum Narodowe we Wrocławiu
- B. Ceny ukazujące szafkę pulpitową (biskup Augustyn) i szafkę z dobudowanym otwartym regalem na księgozbiór (biskup Ambroży). Pentyptyk Matki Boskiej, św. Marcina i św. Wawrzyńca. Z powiatu lubińskiego. Dolna podstawa ołtarza – predella (57x236x38 cm). Pracownia śląska. 1505 r. Muzeum Narodowe we Wrocławiu
- D. Kaseton z przedstawieniem Maryi przy szafce pulpitowej, z nastawy ołtarzowej w miejscowości Rusko, k. św. Piotra i Pawła. Pracownia śląska 1420-1430. Muzeum Narodowe we Wrocławiu

Regularnych do zakładania klasztornych skrytoriów, archiwów i bibliotek. Z tego też okresu pochodzą pierwsze wzmianki o pracy skrytorium w opactwie żagańskim. Pracę pisarską prowadził tu sam opat Herman I (1347-1351), przepisując życie i cuda św. Hieronima. Będąc jeszcze bratem, w 1342 roku stworzył pierwszą na Śląsku fundację wspomagającą zakup książek do biblioteki konwentu. Księgozbiór powiększały również darowizny, nabytki od członków i legaty testamentowe. Za rządów Hermana I opactwo weszło w kontakty z uniwersytetem w Bolonii, a za czasów opata Mikołaja I Weintruda (1369-1376) egzystowała w Żaganiu grupa intelektualistów, absolwentów uniwersytetów: praskiego i erfurckiego. Kolejni opaci kontynuowali ten naukowy kierunek dążeń. Bardzo duży wpływ na poziom wykształcenia kanoników miały przepisy reguły zakonnej. Najlepszym świadectwem wierności regule jest zawartość ówczesnej biblioteki, której liczne średniowieczne kodeksy rękopiśmienne zachowały się do dzisiaj w Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego na Piasku.

Zakonnicy kładli duży nacisk na obowiązkowe czytanie i przepisywanie ksiąg. Z powodu dynamicznego rozwoju księgozbioru i braku miejsca w Armariach zakrystiałnych, w wielu kościołach Dolnego

Śląska zdecydowano się na budowę nowych pomieszczeń z przeznaczeniem wyłącznie bibliotecznym.

Biblioteka „nadzakrystialna” początku XV w.

Bardzo korzystne dla rozwoju skryptorium i biblioteki klasztornej były czasy rządów opata Ludolpha Oppila (1394-1422), który stworzył pierwszy spis katalogowy *Catalogus abbatum Saganensium* za lata 1284-1398.

Zaangażowani w piśmiennictwo bracia zakonni posiadali w swoim klasztorze wzorcowo działające skryptorium (średniowieczne skryptoria zazwyczaj pełniły też funkcję biblioteki).

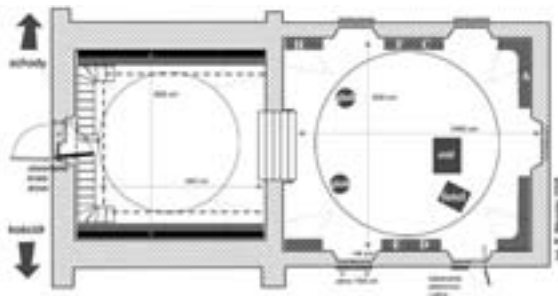
Na początku XV wieku przebudowano wschodnie skrzydło klasztoru, poszerzając je o kaplicę św. Anny i nadbudówkę nad zakrystią kościoła Maryjnego. Najprawdopodobniej to właśnie wewnątrz nad zakrystią kościoła augustianów powstało, by pełnić funkcję biblioteki, skryptorium i kapitułarza. Pomieszczenie, dziś Muzeum Opactwa, składa się z dwóch sal przylegających do wschodniego skrzydła klasztoru. Jedna (wcześniejsza, średniowieczna) pod bibliotekę, jest emporą nawy bocznej i prezbiterium kościoła Wniebowzięcia N.M.P., druga (późniejsza, barokowa) powstała w funkcji kapitułnej. O lokalizacji księżnicy nad zakrystią przemawia także wiele cech typowych dla ówczesnych aranżacji bibliotecznymi, takich jak: wąskie schodki z poziomu parteru, łączenie sali bibliotecznej z wnętrzem kościoła otwartą przestrzenią okienną, system sklepień żebrowo-krzyżowych, oświetlenie światłem dziennym z okien, umożliwiające pracę na swobodnie rozmieszczonych meblach pulpitowych.

Dokumenty klasztorne wspominają o bogatym umeblowaniu nowo powstałej biblioteki. Niestety liczne pożary (w latach: 1472, 1677, 1730) zniszczyły wyposażenie z tamtych lat.

W 1429 roku oddziały husyckie zajęły Żagań i zdewastowały klasztorną księżnicę. Do dziś na niektórych kodeksach rękopiśmiennych z biblioteki klasztornej widnieją cięcia mieczem pochodzące z tamtego okresu.

W połowie XV wieku na dolnośląski prężny rozwój bibliotek wpłynęły: stabilizacja gospodarcza regionu pod rządami Korony Czech, rozkwit epoki późnego gotyku, wynalazek czcionki typograficznej, a co za tym idzie rozkwit drukarstwa dolnośląskiego. I tak od XV wieku coraz większą powszechnością cieszyły się książki drukowane. Ich entuzjastą był żagański opat Marcin Rinkenberga. Zakupił dla klasztoru 50 woluminów, co wytknął mu przyklasztorny kronikarz Piotr Weyknecht – świadczy to o poważaniu, jakim wówczas cieszyły się rękopisy. Bracia zakonni, przepisyując książki, prowadzili również działalność iluminatorską, tworząc miniatury w wielu kodeksach. Także pracownia introligatorni żagańskiego klasztoru, zajmująca się zdobieniem opraw wspaniałymi inicjałami, stała na bardzo wysokim poziomie.

Kolejne nieszczęście napotkało klasztor augustianów w 1472 roku. W wyniku bratobójczej wojny o miasto, książę Jana II spalił cały Żagań, w tym mienie augustiańskiego klasztoru, po czym sprzedał spalone księstwo żagańskie Ernestowi i Albrechtowi z saskońskiej dynastii Wettynów. Nastąpiła odbudowa miasta, a na przełomie XV i XVI na południe od kościoła powstał budynek szkoły nowicjatu, dla potrzeb której księżnica klasztorna znów prężnie



Żagań. Plan barokowej biblioteki kanoników regularnych św. Augustyna parafii kościoła rzymskokatolickiego pw. Wniebowzięcia NMP.



Widok na obecną bibliotekę augustianów w ryzalicy budynku klasztoru.

funkcjonowała. Pod koniec XV wieku biblioteka klasztoru w Żaganiu była jedną z największych na Śląsku. Posiadała wówczas 742 kodeksy. Ze względu na kryterium tematyczne, można wśród nich wyróżnić prace z zakresu teologii moralnej (280), teologii spekulatywnej (140), ascetyki (200), liturgiki (43), kaznodziejstwa (20), biblistyki (57), a także z filozofii, prawa, historii, astrologii, medycyny, muzyki, matematyki, rolnictwa i nawet poetyki.

Trudno określić, jak długo wnętrze nad zakrytą mogło pełnić funkcje biblioteki. Zapewne było wielokrotnie wykorzystywane i później, m.in. podczas akcji ewakuacyjnych i przenoszenia ksiąg z klasztornych miejsc zagrożonych częstymi pożarami.

W początku XVI wieku prężnie funkcjonujący pod rządami Sasów katolicki Żagań, wnet poruszyła wstrzymująca działania opactwa fala protestantyzmu.

Zanik funkcjonowania biblioteki w czasach reformacji (1522-1540)

Na całym Śląsku reformacja przebiegała w sposób bardzo łagodny, niestety niechlubnym wyjątkiem

było tu księstwo żagańskie. Udział Kościoła katolickiego w sprawy miasta okazał się na tyle silny, że niełatwo było wdrożyć nowe reformacyjne poglądy, jednak coraz więcej mieszkańców stopniowo im ulegało. Sytuacja ta doprowadziła do otwartego konfliktu, który przerodził się w długotrwałe i niszczycielskie działania.

Reformacja luteraska trafiła do Żagania za sprawą Paula Lemberga, wybranego na opata w 1522 roku. Udało mu się doprowadzić do wielkiego spustoszenia religijnego w zakonie i w całym mieście. Sprzedano wówczas wiele cennych dzieł sztuki i precjozów klasztornych. Pozamykano kościoły, a nieliczna garstka pozostałych katolickich braci przez ponad 10 lat przypatrywała się upadkowi dziedzictwa opactwa. Ciągłe konflikty spowodowały zastój kulturalny, a i biblioteka nie spełniała już tak ważnej funkcji.

Od 1540 roku Żagań stał się areną zmian reformacyjnych, kościoły opustoszały z bogatego zdobnictwa, a powywożone dzieła sztuki sprzedawano na jarmarkach. Wrogie manifestacje były na porządku dziennym. Zakonnicy, bojąc się o swoją przyszłość, zaopatrzyli się w 1559 roku w list od cesarza



Sklepienie i sala dolna w Bibliotece, z oknem astronomicznym.

Sklepienie i sala górna w Bibliotece.

Ferdynanda I Habsburga potwierdzający ich prawa własności. Pewna stabilizacja w stosunkach katolicko-protestanckich została osiągnięta w 1549 roku, gdy księstwo żagańskie przeszło pod panowanie katolickiego cesarza Karola V Habsburga. Odczuwalna odmowa dla Kościoła katolickiego zaowocowała procesem renowacji klasztoru przeprowadzonym w stylu renesansowym. Z tego okresu zachował się arkadowy krużganek poprzedzający wejście do kościoła od strony zachodniej i łączący go pierwotnie również z zachodnim skrzydłem klasztoru.

Wojna 30-letnia i rozwój biblioteki w czasach kontrreformacji

Wojna 30-letnia właściwie ominęła ziemie żagańskie, które jednak uległy spustoszeniu w 1618 roku podczas przemarszu wojsk. Księstwo ostatecznie zostało sprzedane w 1628 roku przez cesarza Fryderyka II Habsburga dowódcy habsburskich wojsk cesarskich Albrechtowi von Wallensteinowi. Wydarzenia polityczne drugiej połowy XVII wieku przywróciły znaczenie Kościoła katolickiego, wymuszając równocześnie wprowadzenie reform wewnętrznych i stworzenie mecenatu artystycznego. Reformy trydenckie zwłaszcza w strukturach zakonnych zaowocowały tym, że Kościół ponownie stał się propagatorem nauk i sztuk pięknych. Na zaproszenie Księcia Albrechta do miasta przeprowadził się Jan Kepler. Ten

wybitny fizyk i astronom zainicjował w Żaganiu powstanie drukarni, która wydała pośmiertnie jego dzieła.

Kanonicy regularni byli mocno zainteresowani naukami Keplera. Ziarno wiedzy astronomicznej rzucone przez naukowca szybko zaowocowało. W klasztorze wnet powstały dwa obserwatoria astronomiczne – jedno w wieży, a drugie w bibliotece. Wnętrze księżnicy klasztornej zostało tak przearanżowane, aby mogło wygodnie służyć także prowadzeniu badań. Świadectwem tego są zachowane w bibliotece dwa globusy Nieba i Ziemi z 1640 roku.

We wnętrzu nadzakrystialnym, przebudowanym w epoce baroku, później wyłącznie pełniącym rolę kapitulnicy, a dziś Muzeum Opackiego, w części zachodniej (pobibliotecznej) znajdują się dwie szafy z połowy XVII wieku, zaś w części wschodniej (kapitulnej) piękne barokowe stalle. Jedna z szaf (z wieszakami) była przeznaczona na szaty liturgiczne, druga – z półkami mogła służyć do przechowywania zarówno precjozów kościelnych, jak i księgozbioru. Sala nadzakrystialna gromadzi portrety opatów, relikwie i liczne przykłady rzeźby sakralnej.

W 1646 roku cesarz Ferdynanda III sprzedał księstwo żagańskie księciu czeskiemu Wacławowi Lobkowitz, który sprowadził do Żagania włoskiego architekta Antonio Porta w celu budowy pałacu, później jednego z najcenniejszych obiektów architektury barokowej, w którym powstała także księżnica majoracka. Niestety wszystkie te wielkie przedsię-



Biblioteka w Żaganiu.

wzięcia budowlane wnet pochłoneły jeszcze większe pożary miasta w 1677, 1688 i w 1730 roku.

Barokowa aranżacja wnętrza bibliotecznego nad kaplicą św. Anny (1730–1736)

Żagań swój obecny wizerunek zawdzięcza odbudowie, która nastąpiła po pożarze w 1730 roku.

W mieście zostało wówczas czasowo zatrudnionych wielu artystów, rzeźbiarzy, rzemieślników, stolarzy. Nad przebudową kompleksu kościelno-klasztornego augustianów w 1732 roku czuwał opat Simon Rihl (1732–1747), który zatrudnił znanego śląskiego mistrza architektury Martina Frantza Młodszego do przeprojektowania aranżacji augustiańskich wnętrz w stylu baroku. Część obiektów klasztornych rozebrano i na nowo dobudowano, inne poszerzono. Jedynie część pomieszczeń klasztornych w skrzydle wschodnim zachowała charakter gotycki. Dwukondygnacyjna budowla jest murowana z cegły. Poza pierwotnymi celami braci i kapitularem (byłą biblioteką) mieści kaplicę św. Anny z gotyckimi sklepieniami oraz usytuowaną nad nią barokową biblioteką klasztorną. Książnicy nadano również barokowy wystrój, nad którym prace trwały do 1736 roku.

Przed wejściem do biblioteki, po prawej stronie korytarza znajduje się epitafium w formie malowidła ściennego. W obrazie tym wymieniono opatów, którzy wnieśli największy wkład w dzieło istnienia biblioteki, są to: Ludolf, Johann II, Heinrich III, Szymon I Arnoldi, Martin Rinkenber, Andreas II, Andreas Thiel, Krzysztof II, Julian Senftlenen i Szymon III Rihl.

Nad drzwiami do biblioteki widnieje łaciński dwuwiersz, wryty w 1732 roku: *Hac patet ingressus doctrinas nosse volenti. Hic vitae functi voce silente docent* („Tu stoi otworem wejście dla spragnionych wiedzy, tu żyjących uczą milczącym głosem ci, którzy zeszli z tego świata”). W napisie wyróżnione są litery będące równocześnie cyframi rzymskimi, które po zsumowaniu dają zapis daty: 1732 (CIVDCIVLIIICVIV-CIVCILDC). Misternie zdobiona ażurowa krata poprzedza potężne, okute, żelazne drzwi. Ornamentyka zdobnictwa drzwi nawiązuje do stylistyki wnętrza, jest to symetryczna kompozycja wstęg cęgowych przeplatanych z układem roślin i liści. W partii szczytowej znajduje się emblemat Maryjny.

Biblioteka składa się z dwóch pomieszczeń położonych na różnych poziomach i połączonych schodami. Sala dolna (zachodnia) z drewnianą galerią, umożliwia dostęp do wyżej ulokowanego na regałach księgozbioru i okna astronomicznego, górna (wschodnia) zaś znajduje się w ryzalicy budynku, w niej pomiędzy pięcioma oknami ustawione są barokowe regały. Sklepienia obydwu sal to kopuły ozdobione iluzjonistycznymi freskami znanego śląskiego artysty Georga Wilhelma Neunhertza (1689-1749).

Malarstwo w sali dolnej (zachodniej) przedstawia alegorię Kościoła. Personifikacja Kościoła – Ecclesii to postać kobieca siedząca na tronie w otoczeniu Mojżesza i Aarona, a także ówczesnego papieża Klemensa XII i opata augustianów Simona Rihla. Po prawicy Ecclesii widnieją mężczyźni, kobiety i putta z atrybutami nauk i sztuk. Po lewicy – Apollo oraz jego muzy: Klio, Kaliope oraz Polihymnia. Towarzyszą im postacie mężczyzn z atrybutami muzyki i handlu. Niektóre z namalowanych postaci mogą personifikować konkretne osoby, np. Klaudiusza Ptolemeusza lub Michała Anioła Buonarrotiego rzeźbiącego popiersie Mojżesza. Przedstawione we fresku postacie odnoszą się do tematyki dzieł zgromadzonych w opackiej bibliotece, która przejawia się dobrobytem rozkwitu nauki i sztuki pod opieką Ecclesii.

W kopule sali górnej (wschodniej) iluzjonistyczny fresk Neunhertza wyraża apoteozę zgromadzenia,



Gotycka część sali nad zakrystią kościoła Maryjnego w Żaganiu.

które za cel postawiło sobie walkę z herezją. Augustianie składają hołd Trójcy Świętej: Bogu, Chrystusowi zmartwychwstałemu i Duchowi Świętemu w postaci gołębic. Przedstawionej na malowidle grupie zakonników studiujących grube foliały i zagłębianych w lekturze, patronuje Madonna Maryja Panna wśród kwiatów lillii, święty Piotr z kluczem i święty Paweł z mieczem, u których stóp kłębią się potworne cielska (heretycy). Alegoryczna grupa trzech niewiast symbolizuje teologiczne cnoty: Wiarę, Nadzieję i Miłość. W tle widać Adama i Ewę pod drzewem dobrego i złego, świętego Augustyna i świętego Hieronima. Poniżej fresków obu kopuł znajdują się żagielki z namalowanymi scenami wychwalającymi mądrość.

Przy malarstwie ściennym należy jeszcze wspomnieć o wnękach okiennych, które zdobi symetryczna ornamentyka roślinno-wstęgowo-cęgowa, będąca jednolitym akcentem całej aranżacji wnętrza oraz namalowane iluzjonistyczne okno sąsiadujące na ścianie z rzeczywistym oknem astrologiczno-meteorologicznym, które zostało przystosowane w bibliotece do badań z zakresu nauk ścisłych. Warto zwrócić uwagę na okna. Tafle szklane to oryginalne szyby, dziś już rzadko spotykane, bezbarwne i przezroczyste, choć technologicznie wciąż zanieczyszczone. Delikatne okna zabezpieczono od zewnątrz okiennicami, zamykanymi na żelazny hak. Takie zabezpieczenie chroniło i chroni nadal przed wiatrami,

deszczem, zimową aurą, a także przed zbytnim nasłonecznieniem cennego księgozbioru.

Podłoga wnętrza to kwadratowe kasetony z piaskowca rozdzielone drewnianymi klockami z czarnego buku.

Umeblowanie biblioteki stanowi przykład wspólniejszej snycerki i płaskorzeźby stolarskiej z początku XVIII wieku. Alfabetyczny opis na szyldach jest typowy dla epoki baroku. Papier z opisem przyklejono do symetrycznych tablic, rzeźbionych we wzór zawiązanego ornamentu roślinnego, przy niektórych wyrzeźbiono litery alfabetu. Większość księgozbioru była tematycznie związana z zadaniami podejmowanymi w ciągu wieków przez kanoników regularnych. Barokowe regały konstrukcji skrzyniowej tak zostały wykonane, by idealnie wpasować się w aranżację wnętrza. Wszystkie zestawy regałów składają się z dwu części: dolnej wspartej na ozdobnych nogach wolno stojących i górnej zwieńczonej płaskim profilowanym naczółkiem gzymsowym typu wklęsłok (cavetto). Na te regały, otaczające wszystkie wolne ściany obydwu pomieszczeń, zostały nastawione regałowe konstrukcje skrzyniowe. W konstrukcji mebli całej biblioteki nie użyto ani jednego gwoźdź metalowego; każde wzmocnienie wykonano za pomocą kołków struganych. Wszystkie licowo-ramowe konstrukcje regałów zasłonięto ozdobną płaskorzeźbą o tematyce roślinno-wstęgowo-cęgowej. Pilastry te są symetryczne, a w części górnej



Fotel opaki i globus Nieba - wyposażenie ruchome Biblioteki w Żaganiu.

Wojny śląskie, kasata opactwa i stan obecny

zwieńczone pięciolistną formą rzeźbiarską (wzór muszli), która nadaje jednolitości i harmonii całemu wnętrzu. Ażurowy kartusz regałów, zasłaniający konstrukcję gzymsową, to bogata przestrzenna płaskorzeźba przeplatających się form liści i wstęg wpływająca na lekkość i wyjątkową subtelność aranżacji całej tej barokowej ksiąźnicy.

Z ruchomego wyposażenia wnętrza biblioteki należy zwrócić uwagę na dwa (wspomniane wcześniej) globusy Nieba i Ziemi z poprzedniej biblioteki, barokowy rozkładany stół na toczonych nogach oraz fotel, który swoim zdobnictwem ewidentnie nawiązuje do wzorów ornamentyki wnętrza. Wstęgowo-roślinne płaskorzeźby w częściach konstrukcyjnych poręczy i nóg, a w zwieńczeniu oparcia złota muszla stylistyką korespondują z pięciolistną płaskorzeźbą znad pilastrów regałów. W górnych częściach ramiaków oparcia pomalowane na złoto głowy aniołków spoglądają na siedzącego w fotelu.

Biblioteka z pięknym barokowym wystrojem wnętrza, wstęgowo-cęgową ornamentyką, gdzie wstęgi załamują się pod różnymi kątami, tworząc motywy podobne do rozwartych nożyc lub cęgów, w połączeniu z motywami roślinno-kwiatowymi nawiązuje do nowatorskich wówczas wzorców z południowej Europy. Opisana ornamentyka była charakterystyczna dla późnobarokowego francuskiego stylu regencji okresu Filipa Orleańskiego (1715-1723). W Żaganiu zastosowano naśladownictwo tego rozpowszechnionego w całej Europie wzoru zdobnictwa w 1732 roku, w połączeniu z kunsztownym barokowym zdobnictwem roślinnym oraz iluzjonistycznym malarstwem tematycznym. Tak wyglądająca ksiąźnica przetrwała do naszych czasów, mimo wielu kolejnych wojen i ostatecznej kasaty konwentu.

Wyraźne osłabienie ruchu budowlanego augustianów i jezuitów obserwuje się podczas wojen śląskich (1740-1763). Były to kolejne, jedne z najkrwawszych wojen na tle religijnym i o dominację na ziemiach śląskich. Ostatecznie zwycięski ród Hohenzollernów ponownie wprowadził protestantyzm na Śląsku, pieczętując swoje poczynania całkowitą kasatą wszystkich katolickich konwentów śląskich.

Zanim to nastąpiło, jeszcze z inicjatywy opata Johanna Ignaza von Felbigera (1758-1778), w augustiańskim klasztorze powstały dwa obserwatoria astronomiczne: na wieży konwiktu oraz w bibliotece. Wówczas też w 1769 roku na wieży kościelnej zainstalowano pierwszy na Śląsku piorunochron. W latach 1783-1795 pod patronatem zakonu augustianów działał punkt obserwacyjny pierwszej na świecie sieci meteorologicznej pod nazwą *Societas Meteorologica Palatina*, z którym związana jest postać żagańskiego kanonika i optyka Preußa. W latach 1795-1797 skatalogowano księgozbiór biblioteczny. Książnica liczyła wówczas 8000 tomów 3500 autorów, głównie z dziedziny teologii, prawa i medycyny.

Czeski ród Lobkowitzów w 1786 roku sprzedał księstwo żagańskie kurlandzkiemu księciu Piotrowi Bironowi (1724-1800), który przywiózł ze sobą wiele rodzinnych cennych dzieł sztuki. W połowie XIX wieku, za czasów panowania księżnej Doroty de Talleyrand-Périgord (1793-1862) w pałacu rozwinęła się zaprojektowana na piętrze biblioteka majoracka. Księżna Dino zgromadziła w niej bezcenną kolekcję manuskryptów, ksiąg, obrazów, mebli, porcelany. Rezydencja kwitła do czasów ostatniego księcia żagańskiego Howarda de Talleyrand-Périgord, który w latach



Widokówka: Pałac Książęcy od strony północno-zachodniej (1910).



Widokówka: Pałac Książęcy. Biblioteka francuska (1930).

20. XX wieku sprzedał znaczną część pałacowych mebli, zaś księgozbiór i malarskie dzieła sztuki wywiózł do francuskiej rezydencji Talleyrandów w Valençay. W 1935 roku władze Rzeszy Niemieckiej skonfiskowały opustoszały pałac, zmieniając go w muzeum. W czasie wojny był tam szpital, a w 1945 roku magazyn przesyłowy do Rosji zgrabionych przez Związek Radziecki dzieł sztuki. Obecnie kompleks pałacowy, wpisany jako obiekt szczególnej wartości kulturalnej, służy jako Żagański Pałac Kultury (na jego parterze ulokowana jest miejska biblioteka publiczna).

W 1810 roku rząd pruski skasował w Żaganiu zakony: augustianów i jezuitów. W byłym seminarium jezuitskim w 1838 roku utworzono zakład karny dla kobiet, funkcjonujący tam do 1928 roku. Po kasacji kanoników regularnych część zbiorów bibliotecznych oraz urządzenia optyczne wykorzystywane do obserwacji astronomicznych, wywieziono do Wrocławia. Jednak biblioteka nie uległa całkowitej kasacji, jak to miało miejsce w innych konwentach np. cystersów czy joannitów.

Święty Augustyn przez wielu ewangelików uważany był i jest za duchowego przodka protestantyzmu, jako że jego pisma miały duży wpływ na nauki Lutera i Kalwina. Dlatego nie jest też przypadkowe, że w latach sekularyzacji bibliotek (1810-1815) i mienia katolickich konwentów klasztornych przeprowadzonej na Śląsku, właśnie klasztor kanoników regularnych „Na Piasku” we Wrocławiu został wybrany na Centralną Bibliotekę zbiorczą księgozbiorów Śląska. Warto przy tym zwrócić uwagę, że wnętrza augustiańskich księżnic Wrocławia i Żagania nie zostały zniszczone i przetrwały w niezmięionej formie – żagańska do dziś, a wrocławska do 1945 roku, kiedy to wnętrza biblioteki uległy całkowitemu spaleni, podczas nalotów na „Festung Breslau”.

W XIX wieku w dawnych budynkach klasztornych opactwa żagańskiego oprócz plebani, umieszczono szkołę elementarną, Sąd Ziemski, Królewski Urząd Podatkowy i więzienie. Niestety na terenie klasztoru prowadzono jedynie niezbędne, prowizoryczne prace remontowe. W 1945 roku parafia wraz z całym Dolnym Śląskiem znalazła się w granicach państwa polskiego. Jednak dopiero w latach 1970-1974 zrealizowano odbudowę zdewastowanego konwiku żagańskiego, połączoną z adaptacją obiektu na hotel turystyczny. W latach 80. zabezpieczono XVIII-wieczne polichromie

w bibliotece, natomiast w 1999 roku rozpoczęto prace konserwatorskie w południowej części wschodniego korytarza klasztoru prowadzącego do dziś ponownie pięknie prezentującej się barokowej biblioteki.

Literatura:

- Adamek K., Świątek M. R., *Żagań znany i nieznan. Przewodnik historyczny po mieście i okolicy*, Żagań 2002.
- Bein W., *Sagan und Spottau in der schlesischen Geschichte*, Würzburg 1992.
- Drabina J., *Historia miast śląskich w średniowieczu*, Kraków 2000.
- *Dziedzictwo artystyczne Żagania*, pod red. B. Czechowicza i M. Konopnickiej, Wrocław 2006.
- Grundmann G., *Die Baumeisterfamilie Franz*, Breslau 1937.
- Hoffmann H., *Die Saganer Jesuiten und ihr Gymnasium, Festschrift zur 300 Jahrfeier des staat. Gymnasium in Sagan*, Sagan 1928.
- Kowalski S., *Żagańskie zabytki*, Żagań 1988.
- Leipelt A., *Geschichte der Stadt und des Herzogtums Sagan*, Sagan 1853.
- Pobóg-Lenartowicz A., *A czyni ich były liczne i godne pamięci*, Opole 2007.
- Pobóg-Lenartowicz A., *Kanonicy regularni na Śląsku*, Opole 1999.
- Roślan J., *Sanktuarium Matki Bożej w Gietrzwałdzie*, Gietrzwałd 1994.
- Stenzel G. A., *Scriptores rerum silesiacarum oder Sammlung schlesischer Geschichtschreiber*, Wrocław 1835-1847.
- Stenzel J., *Geschichte der Stadt Sagan* (ok. 1804)
- Świerk A., *Średniowieczna biblioteka kanoników regularnych św. Augustyna w Żaganiu*, Wrocław 1965.
- Werszler R., *Dzieje architektury i wyposażenia wnętrz Bibliotek Dolnego Śląska w wybranych przykładach do 1945 roku*, [skrypt badawczej pracy naukowej], Wrocław 2008.
- Worbs J. G., *Geschichte des Herzogtums Sagan (1795)*. Neu hrsg. mit Bildern, Berichtigungen u. Erläuterungen versehen von Georg Feilhauer u. Max Krüger, Sagan 1930.
- *Żagań w historii Śląska*, pod red. W. Beina i H. Szczegóły, Żagań 1997.
- <http://www.um.zagan.pl/virtualtour/vrtzagan/vrtbiblio.htm> – wirtualny spacer po bibliotece.

Kolekcjonerska pasja

Od przeszło pięćdziesięciu lat gromadzę zbiory dotyczące Wołynia, próbując w ten sposób ocalić i przekazać potomnym pamięć o mojej małej kresowej ojczyźnie. Moja kolekcjonerska pasja zaczęła się od książek, które bardzo lubiłem czytać od dziecka. Urodziłem się w Łucku. Mój ojciec Jan Marcinkowski był urzędnikiem i działał w Związku Strzeleckim. Był także gorącym patriotą. Szczególnym szacunkiem i podziwem darzył Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tę fascynację przekazał i mnie. Często zabierał mnie na zbiórki oddziału strzeleckiego, którego był komendantem. W czasie jednej z takich wizyt od bibliotekarza w świetlicy otrzymałem do wyboru dwie książki, z których tylko jedną mogłem dostać. Pierwsza była o Marszałku Piłsudskim, druga o Tadeuszu Kościuszcze. Byłem w rozterce. Wychowywany przez ojca w kulcie Marszałka chwyciłem najpierw książkę o nim, ale po chwili wziąłem również tę drugą – o Kościuszcze, którego byłem przecież imiennikiem i chyba to imię nadał mi ojciec na jego cześć. Uśmiano się serdecznie z mojej zrozpaczonej miny i w końcu pozwolono na zabranie obydwu książek. Miałem je do chwili zesłania na Syberię.

Jako chłopiec byłem miłośnikiem książek podróżniczo-przygodowych i historycznych. Do najcenniejszych pozycji w moim zbiorze należały powieści *Orli Szpon* i *Wodna Lilia*, napisane przez Bolesława Zielińskiego, który w latach 1923-1926 był prezydentem Łucka. W trakcie wywózki na Syberię w maju 1941 r. zabrałem ze sobą właśnie opowieść o Indianach Zielińskiego i jeden tom *Potopu*. Na zesłaniu były to jedyne książki, które mogłem czytać w języku polskim. W końcu znałem je już prawie na pamięć. Gdy poszedłem do szkoły, poduczyłem się języka rosyjskiego. Zacząłem więc pożyczać powieści

z miejscowej biblioteki i – bez przesady – byłem jednym z najlepszych czytelników. Czytałem dosłownie wszystko: sporo książek w języku rosyjskim, ale też tłumaczenia obcych pisarzy, a także gazety. Szczególnie lubiłem przeglądać egzemplarze pisma „Ogoniok”, które zawierały reportaże z wojny i czarno-białe zdjęcia. Dobrze było uciec w świat wyobraźni od surowej syberyjskiej codzienności.

W 1944 r. po długiej i męczącej podróży udało nam się wrócić na tak zwany wyzow do Łucka. W trakcie drogi powrotnej utraciłem moją ulubioną książkę *Orli Szpon*, wraz z innymi rzeczami ukradzionymi przez złodziei. W Łucku przebywaliśmy jeszcze przez pół roku. Od nowa zacząłem gromadzić mój księgozbiór. Nie było tego dużo – zaledwie dziesięć książek. Najważniejszą moją zdobycz stanowił jeden z numerów czasopisma „Świat” z 1925 r., w którym znajdował się artykuł o Łucku, a w nim zdjęcie zamku Lubarta z naszym domem na pierwszym planie. Pismo to wraz z dziewięcioma zdjęciami Łucka podarowała mi przed wyjazdem do Polski, mieszkająca obok nas, znajoma mojej mamy – pani Wdziękońska. Ten skromny zbiór zabrałem ze sobą, gdy na zawsze opuściliśmy rodzinne miasto.

Po przyjeździe na Ziemię Odzyskane zatrzymaliśmy się najpierw w Torzymiu – wówczas nazywanym Gwiazdowcem. Po przejściu frontu w mieście stacjonowali sowieci. Na poddaszu niemieckiej szkoły artylerii odkryliśmy wraz z kolegą wspañiałą księgozbiór. Rzucone w beładne stopy leżały na podłodze pisane ręcznie foliały, inkunabuły o skórzanych oprawkach i pergaminowych kartkach, olbrzymie księgi z mapami rysowanymi i drukowanymi, piękne albumy z ilustracjami przedstawiającymi żołnierzy francuskich w różnych uniformach. Niektóre książki



Powiatowa Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze przy ul. Jedności Robotniczej 45.

były bardzo stare – prawdopodobnie nawet z XVI w., inne z kolei ślicznie wydane i ilustrowane. Z zainteresowaniem przeglądaliśmy je tylko, gdyż były w języku francuskim. Przymyślnie pochodziły z jakiejś francuskiej akademii wojskowej. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z wartości i znaczenia naszego niezwyklego odkrycia. Nie wiem, jakie były dalsze losy tych zbiorów i kto zabrał cenny księgozbiór. Z kolei w szpitalu, który znajdował się w lesie, w salach i na strychu pełno było książek w języku niemieckim.

Po trzech miesiącach pobytu w Torzymiu przyjechaliśmy do Zielonej Góry. Pierwszymi książkami, które kupiłem, były podręczniki, w większości jeszcze przedwojenne. Bardzo ważnym nabytkiem było dla mnie czterotomowe wydanie Mickiewicza z 1950 r. Stanowiło ono 36. pozycję w moim prywatnym księgozbiorze. Kupowałem przeważnie książki historyczne oraz tłumaczenia pisarzy francuskich. Moje pierwsze książki pochodziły od pana Wiktora Rodowicza (ojca znanej piosenkarki Maryli Rodowicz), który miał księgarnię przy ulicy Pocztowej (obecnie Pod Filarami). Prowadził on nie tylko księgarnię, ale również wypożyczalnię, z której zasobów chętnie korzystałem. Wspominam go bardzo miło. Gdy dowiedział się, że byłem na Syberii, widząc moje zainteresowanie książkami, podarował mi wypożyczoną powieść. Bardzo lubiłem odwiedzać jego wypożyczalnię. Książki wypożyczałem także u pani Fedorowicz przy ulicy Pionierów (obecnie Kupiecka). Mogłem tu dostać powieści moich ulubionych autorów. Pani Fedorowicz miała aż 14 tomów Karola Maya, a także Coopera i Kraszewskiego. Zbiory te pochodziły ze Lwowa. Dobrze pamiętam też wypo-

życzalnię prowadzoną przez Władysława Borowczaka przy ulicy Jedności Robotniczej. Chętnie korzystałem z bibliotecznych zasobów, a kierownik biblioteki wspominał po latach, że byłem jednym z jego najwierniejszych czytelników. Uczestniczyłem również w organizowanych przez bibliotekę spotkaniach z pisarzami. Mam w swoich zbiorach kilka książek z dedykacjami – to pamiętki z tych spotkań autorskich. Mój prywatny księgozbiór dotyczył wówczas przede wszystkim historii Polski, a szczególnie I i II wojny światowej oraz postaci Marszałka Piłsudskiego. Był także bogaty w literaturę polską i obcą, zwłaszcza francuską, amerykańską i angielską.

W miarę upływu czasu z coraz większą tęsknotą myślałem o mojej małej kresowej ojczyźnie. O ludziach, których musiałem pozegnać i od których na skutek różnych historycznych zawirowań dzieliły mnie teraz setki kilometrów. O bliskich sercu miejscach, których wspomnienie przywoziłem ze sobą na Ziemię Odzyskaną. O klimacie tamtych utraconych na zawsze stron, gdzie w tak dziwny sposób spletała się ze sobą historia wielu narodów, tworząc ów niezwykle tygiel kulturowy, kolebkę talentów tej miary co Juliusz Słowacki. Gdy po latach wracałem pamięcią do dzieciństwa, mój Wołyń jawił mi się niczym utracona Arkadia. Zacząłem więc gromadzić pamiętki, które ocalały – ten odchodzący powoli w zapomnienie świat. Dwie bardzo cenne publikacje pomogła mi zdobyć pani Danuta Bagińska, Wołynianka, która prowadziła pierwszy w Zielonej Górze antykwariat przy ulicy Świerczewskiego (obecnie Kupiecka). Dzięki jej życzliwości mam komplet „Rocznika Wołyńskiego” wydawanego przez Jakuba Hoffmana w Równem oraz *Przewodnik po Wołyniu* Mieczysława Orłowicza. W okresie PRL-u pracowałem w różnych przedsiębiorstwach handlowych. Wyjeżdżałem na targi i giełdy handlowe do wielu miast. Po pracy zawsze odwiedzałem wszystkie antykwariaty, szczególnie te w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Gdańsku, Wrocławiu i Poznaniu. Kupowałem książki na aukcjach, a widokówki na spotkaniach filokartystów. Wyjeżdżałem na targi staroci. Dzięki tym podróżom poznawałem innych kolekcjonerów. W krakowskim antykwariacie, widząc moje zainteresowanie Wołyniem, podszedł do mnie pan Stanisław Dustanowski, lwowianin z zamiłowaniem kolekcjonujący pamiętki związane z rodzinnym miastem. Wkrótce zawiązała się między nami serdeczna przyjaźń. To właśnie dzięki niemu poznałem twórcę

Instytutu Lwowskiego, redaktora i pomysłodawcę „Rocznika Lwowskiego”, autora szeregu książek dotyczących Lwowa, pana Janusza Wasylkowskiego. Nigdy nie zapomnę naszego serdecznego, przebiegającego z prawdziwie lwowską wylewnością i fantazją, spotkania w Krakowie. Uczestniczył w nim też inny miłośnik Lwowa – Jerzy Michotek, który w piosenkach, wierszach, filmach, w reżyserowanych przez siebie widowiskach pielęgnował pamięć o ukochanym mieście. Moje zbiory powiększały się nie tylko dzięki penetracji antykwariatów, targów staroci i udziałowi w aukcjach, ale właśnie także dzięki życzliwości zaprzyjaźnionych kolekcjonerów i pomocy znajomych Wołyniaków, którzy z rodzinnych archiwów wyciągali interesujące mnie zdjęcia, pocztówki i dokumenty, a z domowych bibliotek często jeszcze przywiezione z Kresów książki.

Zajmowała mnie nie tylko przeszłość rodzinnej ziemi. Bacznie śledziłem też współczesne publikacje. W 1974 r. po raz pierwszy po wojnie odwiedziłem Łuck. Przywioziłem kilka książek dotyczących mojego miasta i albumów prezentujących piękno Ziemi Wołyńskiej. W czasie następnej podróży, która odbyła się w 1991 r. spotkałem wielu interesujących ludzi; i Polaków, i Ukraińców. Czekając w Kowlu na pociąg do Łucka, kupiłem kwartalnik „Wołyń”, a po przyjeździe na miejsce odwiedziłem redakcję pisma. Pan Władimir Nakonieczny, były dyrektor Archiwum, a także redaktor zespołu piszącego Księgę Pamięci Żołnierzy Radzieckich pochodzących z Wołynia, zaskoczony moją wiedzą na temat Łucka, zaprosił mnie na sympozjum o ukraińskiej diasporze, które odbywało się w gmachu Archiwum. Dzięki niemu poznałem wielu ciekawych ludzi; i naukowców, i dziennikarzy z różnych krajów. Wracałem do domu obfodowany książkami, gazetami i zdjęciami Wołynia. Kolejna moja wizyta w rodzinnym mieście wiązała się z zaproszeniem na VI Ogólnoukraińską Konferencję pod hasłem „Historyczne Krajoznawstwo i potrzeba odrodzenia kultury wielowiekowych narodowych tradycji Ukrainy”, która odbyła się w Łucku w 1993 roku. Organizatorem konferencji była Łucka Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Łesi Ukrainki. Wygłosiłem referat na temat: „Łuck w polskiej literaturze krajoznawczej XIX i pierwszej połowy XX w.”. Dzięki konferencji poznałem dwie osoby, które do dziś pomagają mi w moich wołyńskich pasjach; gromadzą i przysyłają mi wszystkie książki, czasopisma i widokówki Wołynia. Są to: pan



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze przy ul. Jedności Robotniczej 57.

Waldemar Piasecki, historyk sztuki, nauczyciel, publicysta, autor artykułów i książek o Łucku oraz pan Bogdan Kołosek, Dyrektor Instytutu Historii Architektury Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie, autor szeregu ważnych publikacji dotyczących kościołów i architektury Łucka. Po konferencji wracałem do Polski szczerze obdarowany książkami przez autorów – uczestników konferencji. Powiększyłem również mój zasób wołyńianów za sprawą wizyty w Kijowie, gdzie w 1994 r. gościłem na zaproszenie pana Bogdana Kołoska.

Mój zbiór pamiątek dotyczących Wołynia przedstawiał się imponująco, jednak pierwsza wystawa, w której wziąłem udział, dotyczyła mojej fascynacji jeszcze z czasów dzieciństwa – postaci Marszałka Piłsudskiego. Stało się to dzięki propozycji dyrektora Muzeum Wojskowego w Drzonowie. Z Włodzimierzem Kwaśniewiczem często spotykałem się na targach staroci, więc wiedział, że zbieram również materiały dotyczące Marszałka. Wystawa odbyła się w maju 1996 r. Uczestniczył w niej także mój znajomy Aleksander Pawelski, tak jak ja pasjonat Marszałka i Kresów Wschodnich.

Później zwróciło się do mnie z prośbą o udostępnienie materiałów na wystawę Stołeczne Koło Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia. Ekspozycja pod hasłem „Wołyń – ocalić od zapomnienia” została przygotowana w Domu Polonii w Warszawie. Otwarcie wystawy, w której wziąłem udział, miało miejsce w lipcu 1997 r. Pamiątkę po tym ważnym dla mnie wydarzeniu stanowi folder oraz pięknie wydany album pod tym samym tytułem. Pięć miesięcy później, w grudniu 1997 r., wystawę eksponowano w Lublinie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim

w związku z sympozjum, w którym miałem przyjemność uczestniczyć. Przebiegało ono pod hasłem „Polacy i Kościół rzymskokatolicki na Wołyniu w latach 1918-1997”.

Wiosną 2000 r. otrzymałem od pani dyrektor Marii Wasik propozycję zorganizowania autorskiej wystawy w Bibliotece Norwida w Zielonej Górze. W wypadku poprzednich ekspozycji byłem jedynie współuczestnikiem, teraz stanął przede mną trud samodzielnego przygotowania całości. Należało opracować scenariusz wystawy, wybrać odpowiednie materiały oraz rozplanować ich umieszczenie w gablotach i na planszach, ułożyć poszczególne hasła, zredagować i wydać folder wystawy. Spotkałem się z dużą życzliwością zarówno ze strony dyirekcji, jak i pracowników Biblioteki, którzy wykonali wszystkie prace techniczne. Tytuł wystawy brzmiał „Wołyń – podróż sentymentalna”. Materiały przedstawione w zielonogórskiej Bibliotece pochodziły w 90% z moich zbiorów. Resztę pożyczyli mi przyjaciele i znajomi. Ekspozycja cieszyła się sporym powodzeniem, o czym świadczą wpisy do książki pamiątkowej. Dzięki wystawie otrzymałem wiele cennych dla mnie zdjęć, pocztówek i dokumentów. W wielu działaniach związanych z przygotowaniem wystawy wspierała mnie moja córka Małgorzata Ziemska, która również pomogła w opracowaniu artykułów do folderu.

Dzięki panu Tadeuszowi Wawrzonkowi, członkowi Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia w Warszawie, w r. 2001 mogłem zaprezentować moją zielonogórską wystawę w stolicy. Organizatorem ekspozycji była Wspólnota Polska. Materiały ekspozycyjne w Zielonej Górze zostały zaprezentowane w Domu Polonii w Warszawie. Wystawa spotkała się

z dużym zainteresowaniem, a po jej zakończeniu również otrzymałem sporo cennych zdjęć.

W 2002 r. Muzeum Niepodległości zaproponowało mi udział w wystawie pod hasłem „Henryk Jan Józewski. Polityk. Artysta. Malarz”. Była ona poświęcona postaci byłego wojewody wołyńskiego. Dzięki udziałowi w ekspozycji poznałem krewnego wojewody pana Zbigniewa Chomicza, który przekazał mi sporo ważnych materiałów, m.in. obraz z cyklu „Morze i niebo”.

Za sprawą organizowanych wystaw, ale nie tylko, ciągle poszerza się krąg znajomych Wołyniaków. Wszyscy chętnie wracamy wspomnieniami do lat dzieciństwa i młodości na pięknej Ziemi Wołyńskiej. Ofiarowane mi rodzinne pamiątki pomogły ocalić pamięć o ukochanym Wołyniu.

Dzięki przychylności Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich po raz kolejny mogę zaprezentować niewielką część zbiorów poświęconych moim rodzinnym stronom. 6 października tego roku w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zielonej Górze została otwarta wystawa „Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej Polskiej Małą Ojczyzną Wielu Narodów”. To już szósta tego typu ekspozycja, w której biorę udział. Mam nadzieję, że dla tych, którzy przybyli z Wołynia na Ziemię Odzyskaną, będzie ona przypomnieniem odległych, ale jakże bliskich sercu lat na Kresach, przypomnieniem znajomych miejsc, ważnych ludzi i niepowtarzalnego klimatu Ziemi Wołyńskiej, a młodym ludziom pozwoli poznać rodzinne strony naszego romantycznego wieszca Juliusza Słowackiego oraz zrozumieć ważne aspekty naszej wspólnej historii.



VARIA

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Rok 2008 rokiem dialogu międzykulturowego

Grupa Intelktualistów ds. Dialogu Międzykulturowego utworzona z inicjatywy Komisji Europejskiej w Brukseli ogłosiła rok 2008 Rokiem Dialogu Międzykulturowego.

Ostatnio dotarłam do 26-stronicowego dokumentu przedstawiającego przemyślenia w/w gre-

mium na temat roli języków w UE. Opracowanie zatytułowano: *Zbawienne wyzwanie – w jaki sposób wielość języków mogłaby skonsolidować Europę.*

Członkowie grupy zadali sobie fundamentalne pytanie: „Jakie należy przyjąć założenia, aby skutecznie, dla dobra wszystkich obywateli UE wyko-

rzystać różnorodność językową, kulturalną i religijną społeczeństw zamieszkujących Unię?” Pytanie to rozważane było w oparciu o następujące przesłanki:

- Wielojęzyczność i wielokulturowość UE jest wielkim bogactwem, ale może też być powodem napięć.
- Narody europejskie powstały w oparciu o tożsamość językową.
- UE może powstać jedynie w oparciu o różnorodność językową.
- Historycznym zadaniem Unii jest nie tylko ochrona, ale również harmonijny rozwój tej różnorodności.

Jak zmaksymalizować korzyści płynące z tego faktu, a jak zminimalizować trudności? Wyzwanie to obejmuje ogrom działań i na pewno nie uda się go zrealizować w jednym pokoleniu. Być może, dywagują autorzy raportu, z czasem UE zaoferuje całej ludzkości model tożsamości opartej na różnorodności? Czym zatem jest „tożsamość europejska?”

Tożsamość europejska jest pochodną tego, co wnosimy niejako „w wianie” do UE np. my Polacy, czy inne narody, a świadomością tego, co składa się na dziedzictwo duchowe i materialne naszego kontynentu. Przy czym sprawą nadrzędną, jak podkreślają autorzy, jest tu dziedzictwo duchowe. Idea europejska zbudowana jest na dwóch fundamentach: uniwersalności wspólnych wartości moralnych oraz różnorodności ekspresji kulturowych.

Jak przekonać obywateli UE, iż trwałe zaakceptowanie różnorodności językowej jest możliwe? I tak członkowie w/w grupy proponują np.: w przypadku rozmów dwustronnych następujące rozwiązanie:

1. Rozmowy, w przypadku dwóch państw w UE powinny być prowadzone w jednym z tych dwóch języków przedstawicieli danych krajów, a nie w języku trzecim. Stanowisko to tłumaczy tym, że dużą rolę odgrywa w tym przypadku znajomość mentalności, realiów obu narodów itp. Wiadomo, nie zawsze użycie języka trzeciego, którym często jest angielski, gwarantuje sukces. (Na marginesie, jednojęzyczność Brytyjczyków stanowi poważny problem oświatowy w Wielkiej Brytanii).

2. Każdy z języków europejskich powinien mieć w każdym kraju EU grupę ludzi zajmujących się wszelkimi aspektami użytkowników danego języka (kultury, polityki itd.) „Każdy język jest produktem wyjątkowego doświadczenia historycznego, każdy jest nośnikiem pamięci, dziedzictwa literackiego,

szczególnych zdolności oraz stanowi słuszny fundament tożsamości kulturowej” – konkludują autorzy opracowania.

3. Ochrona wszystkich języków naszego dziedzictwa, w tym języków naszych przodków takich jak łacina i greka klasyczna, a w przypadku mniejszości wspieranie ich rozwoju w pozostałych częściach kontynentu to nieodłączne elementy idei Europy pokoju, kultury, wszechstronności i dobrobytu”.

4. Wspomniana grupa proponuje wprowadzenie tzw. przybranego języka własnego.

„Przybrany język własny” byłby to dobrowolnie wybrany język obcy (np. taki, w którym dana społeczność ma od dawna kontakty kulturowe czy handlowe), różny od języka angielskiego, (który i tak staje się językiem komunikacji międzykulturowej), naukę którego rozpoczynałoby się już w szkole podstawowej (lub wcześniej) i kontynuowałoby się przez cały ciąg edukacji. Nauka tego języka byłaby niejako równoległa z nauką własnego języka ojczystego. Dobrze byłoby, gdyby tym przybranym językiem własnym był język sąsiada albo „dla kontrastu” np. jeden z języków orientalnych, którego znajomość automatycznie dawałaby szansę dobrej pracy w przyszłości. I tu cenna uwaga: w dzisiejszym świecie, aby coś kupić wystarczy znać jeden język międzynarodowy, ale żeby coś sprzedać dobrze jest znać język potencjalnego nabywcy.

Możliwe, czy nawet pożądane byłoby w przypadku np. ścisłych kontaktów handlowych miasta polskiego z miastem włoskim, aby jako „przybrany język własny” dzieci włoskie uczyły się języka polskiego, a dzieci polskie włoskiego. Szkoły takie znalazłyby się np. w sieci szkół polsko-włoskich. Tego rodzaju kontakty, partnerstwa szkół już istnieją, podobnie jak i sama nauka (nie tylko języków obcych) on-line. A poza tym wielość różnorodnych połączeń on-line, nie tylko w dziedzinie gospodarki, ale utworzenie sieci językowo-kulturalnych dałoby nam wszystkim jeszcze większe poczucie konsolidacji. Naukę „przybranego języka własnego” można również polecić dziesiątkom milionów Europejczyków na emeryturze ze względu na ich coraz to większą mobilność i ciekawość świata, a także jako formę ciekawego „hobby”.

„Przybrany język własny” dla imigrantów, których ciągle przybywa w Europie z różnych krańców świata, powinien zostać język kraju, społeczności, w której postanowili się osiedlić.

Znajomość języka kraju zamieszkania była zawsze i pozostanie najsilniejszym elementem integrującym. Jednocześnie nie oznacza to wcale konieczności rezygnowania z kontynuowania tradycji języka i kultury kraju, z którego imigranci pochodzą. Co więcej należy stwarzać imigrantom takie warunki, aby mogli oni zachować swoją ciągłość kulturową i być z niej dumni. „Przybrany język własny” to wreszcie sposób na harmonijne, bo zagwarantowane ciągiem edukacji (połączonym z pobytami w rodzinach, wycieczkami itp.) dogłębne poznanie drugiego człowieka w kontekście języka danego społeczeństwa, aby umieć w przyszłości pracować w dwustronnych instytucjach kulturalnych, oświatowych, turystycz-

nych, handlowych w swoim kraju czy kraju partnera. Propozycje Grupy Intelktualistów wychodzą naprzeciw wszystkim obywatelom UE bez względu na język, kulturę i religię. Można im tylko przyklasnąć i podziękować Przewodniczącemu Komisji Europejskiej (Jose Manuel Barroso) oraz komisarzowi ds. wielojęzyczności (Leonardo Orban) za podjęcie tej ważnej inicjatywy.

PS Już po opracowaniu artykułu dowiedziałam się, że Minister Oświaty RP wprowadza z dniem 21.04.2008 obowiązkowe nauczanie języka angielskiego od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Czyżby opracowanie, o którym mowa, nie trafiło do Ministerstwa Oświaty RP?



Domi w Starej Plebanii

W pogodną wrześnieową niedzielę wybrałam się wraz z przyjaciółką do Białowic, małej wioski pod Nowogrodem Bobrzańskim, zatopionej w sosnowych lasach, wszechobecnych w Lubuskiem. Celem naszej wyprawy było spotkanie niezwykle, choć mocno już wpisane w historię i kulturę tej niewielkiej społeczności.

Od prawie dziesięciolecia Stara Plebania w Białowicach gości swych dawnych i obecnych mieszkańców. Co roku zjeżdżają do niej Niemcy, którzy niegdyś zasiedlali te ziemie, a na skutek dramatycznych zaszłości politycznych zmuszeni zostali do opuszczenia rodzinnych stron i domostw. Wiązało się to z pozostawieniem dorobku wielu pokoleń, a przede wszystkim z bolesnym poczuciem odcięcia rdzennych korzeni. W Białowicach (wioska nosiła niegdyś nazwę Billendorf) do dziś istnieją domy, w których zamieszkiwali, pielęgnowali rodzinne tradycje, wychowywali kolejne pokolenia. Może dlatego co roku oni, a także ich potomkowie, stawiają



Domi im Alten Pfarrhaus

An einem heiteren Septembersonntag begab ich mich mit einer Freundin nach Białowice, einem kleinen Dorf bei Nowogród Bobrzański, versunken in Kieferwäldern, die in Lubuskie allgegenwärtig sind. Unsere Reise hatte ein ungewöhnliches Ziel, auch wenn es inzwischen die Geschichte und Kultur dieser kleinen lokalen Gemeinschaft mitgeprägt hat.

Seit fast einem Jahrzehnt empfängt das Alte Pfarrhaus in Białowice die heutigen und ehemaligen Einwohner des Ortes. Jedes Jahr kommen die Deutschen hierher, die diese Ländereien bewohnt hatten und infolge von dramatischen politischen Begebenheiten ihre Heimat und ihre Familienhäuser verlassen mussten. Dies bedeutete, die Errungenschaften mehrerer Generationen zurückzulassen, vor allem aber, schmerzlich von den eigenen Wurzeln abgeschnitten zu sein. In Białowice (das Dorf hieß zuvor Billendorf) stehen bis heute Häuser, in denen diese Menschen gewohnt, Familientraditionen gepflegt und Generationen nach Generationen erzogen hatten. Das ist wohl der Grund, warum sie und ihre Nachkommen immer wieder bei diesem Septembertreffen erscheinen. Nun liegen diese verhängnisvollen Ereignisse mehr als 60 Jahre zurück, die Wehmut ist aber immer noch da. Ist das aber nur Wehmut?

„Domi“ (lateinisch: „zu Hause“), diesen Namen verdanken diese deutsch-polnischen Treffen in Białowice deren Initiator und Veranstalter, Jacek Wesołowski, seit mehreren Jahren Eigentümer des barocken Pfarrhauses, 1765 von den Grafen von Promnitz aus Sorau neben der mittelalterlichen Kirche aus Stein erbaut; sie war früher das Herz der (evangelischen) Pfarrei, heute nur noch eine

się na spotkanie organizowane we wrześniową niedzielę... Cóż, od tamtych tragicznych dla nich wydarzeń minęło z okładem 60 lat, a sentyment pozostaje. Ale czy tylko sentyment?

Domi (po łacinie „w domu”), tak nazwał białowickie spotkania polsko-niemieckie ich pomysłodawca i realizator, Jacek Wesołowski, od kilkunastu lat właściciel barokowej plebanii, postawionej przez hrabiów Promnitzów z Żar w 1765 roku obok średniowiecznego kamiennego kościołka; był on niegdyś sercem parafii (ewangelickiej), dziś jest tylko kościołem filialnym. Jacka Wesołowskiego, polskiego berlińczyka na stałe i białowiczana od czasu do czasu, nie trzeba przedstawiać czytelnikom „Pro Libris”. Od 2003 roku należy do naszych autorów, a w numerze 3/2006 znalazła się zaopatrzona w barwną wkładkę ilustracyjną obszerna prezentacja sylwetki tego artysty i teoretyka sztuki i literatury, a także organizatora życia kulturalnego, łącznika między kulturą polską a niemiecką już od ponad ćwierćwiecza. Autor białowickiego projektu *Domi* napisał w załączonej do zaproszenia ulotce: „Spotkania »W domu« mają na celu zbliżenie kulturowe między ludźmi, rozwijanie świadomości wspólnej historii europejskiej, przełamywanie uprzedzeń, wytworzenie społecznych i osobistych związków międzynarodowych i międzypokoleniowych”. I nie ma w tych słowach żadnej przesady. Miałam okazję dwukrotnie uczestniczyć w projekcie Wesołowskiego i przekonałam się, jak jest cenna jego inicjatywa. Gromadząc po jednym dachem dwie nacje (niegdyś sobie wrogie), różne pokolenia (rozpiętość wieku uczestników jest ogromna, od dzieci po osoby bardzo leciwe), zróżnicowane środowiska (od „zwykłych” ludzi po artystów, dziennikarzy, naukowców, osoby duchowne), sprawia, że każdy obecny czuje się jak u siebie, jak w domu.

Podobnie jak w ubiegłych latach, również i tym razem uczestnicy spotkania, Niemcy i Polacy, niezależnie od wyznania, wzięli udział w mszy św. celebrowanej przez księdza Sławomira Marciniaka, proboszcza parafii Bieniów. To bardzo poruszający moment. Skromne wnętrza świątyni tchnące historią, odświętne stroje wiernych, modlitwy wypowiedane z namaszczeniem w języku polskim i niemieckim (*Ojciec nasz...*, *Vater unser...*), dawały poczucie jedności i prawdziwej wspólnoty.

Każde ze spotkań białowickich opiera się na wydarzeniu kulturalnym. Osia imprezy bywa wystawa

Filialkirche. Jacek Wesołowski, der in Berlin lebende Pole mit einer Nebenwohnung in Białowice, braucht den „Pro-Libris“-Lesern nicht vorgestellt zu werden; seit 2003 gehört er zu unseren Verfassern und in der Ausgabe 3/2006 konnte man eine bunte Beilage mit Bildern und einem geschriebenen Porträt dieses Künstlers, Kunst- und Literaturtheoretikers finden, der sich auch mit der Gestaltung des Kulturlebens beschäftigt und schon seit mehr als 25 Jahren als Bindeglied zwischen der deutschen und polnischen Kultur fungiert. So schreibt der Urheber des Domi-Projektes in dem der Einladung beigelegten Flugblatt: „Die Domi-Treffen haben zum Zweck, Menschen und ihre Kulturen zusammenzubringen, bei ihnen das Bawusstsein der gemeinsamen europäischen Geschichte zu erwecken, Vorurteile zu überwinden, gesellschaftliche und menschliche Verbindungen zwischen Menschen aus unterschiedlichen Ländern und unterschiedlichen Generationen zu schaffen“- Und da ist kein Wort übertrieben. Ich hatte zweimal die Gelegenheit, an Wesołowskis Projekt teilzunehmen und mich vom hohen Wert seiner Initiative zu überzeugen. Indem sich unter einem Dach Vertreter zweier (früher einander feindlich eingestellter) Nationen versammeln, mehrerer Generationen (die Altersspannweite ist riesig, von Kindern bis zu sehr betagten Menschen), unterschiedlicher Milieus (von „einfachen“ Menschen bis zu Künstlern, Journalisten, Wissenschaftlern und Geistigen), haben alle das Gefühl, zu Hause zu sein.

Wie in den früheren Jahren, auch dieses Mal haben die polnischen und deutschen Gäste, unabhängig von ihrer Konfession, an der von Sławomir Marciniak, Pfarrer von Bieniów, zelebrierten Heiligen Messe teilgenommen. Es ist immer ein sehr bewe-



(artystyczna lub historyczna) koncert, wykład z dyskusją, spotkanie literackie. Tym razem gospodarz zorganizował wystawę prac artystów z *Kolekcji Biograficznej Jacka Wesołowskiego*. Jak dowiedzieliśmy się z jego wykładu, kolekcja powstaje z darowizn artystów – ludzi, z którymi znajomość miała lub ma nadal pewną wagę w biografii autora projektu *Połączenia – Wybór*. Taki właśnie tytuł nadał artysta wystawie w Starej Plebanii. Do każdej z dziewięciu prac swoich znajomych i przyjaciół, wybranych z kolekcji – Wesołowski „przytączył” własną – i tak w oparciu o formę, temat lub ideę – swojego dzieła i dzieła innego artysty – stworzył swoiste przekazy porozumienia międzyludzkiego w sztuce. Warto w tym miejscu wspomnieć, że koncept wystawy „połączeń” Jacka Wesołowskiego miał już swoją premierę wcześniej: artysta pokazał go w innej wersji jako część wystawy *Granica – Związki* w muzeum miejskim w Pałacu Poznańskich w Łodzi w 2006 roku.

W prezentacji w Starej Plebanii obecne były różne formy współczesnej sztuki plastycznej: malarstwo, rzeźba, obiekty, instalacje, dokumenty fotograficzne i tekstowe, performance. Odbył się zatem ważny akt kształcenia estetycznego, bo pamiętamy, że Wesołowski organizuje swe pokazy przede wszystkim dla byłych i obecnych mieszkańców Białowic i okolic, stanowiących większość wśród stałych uczestników spotkań projektu *Domi*, którzy na co dzień nie mają wiele kontaktu ze sztuką. Wśród autorów prac wystawionych w oryginalnym barokowym wnętrzu pojawiły się znane nazwiska jak Klaus Staeck (Heidelberg/Berlin) czy Jan Berdyszak (Poznań). Z artystów zielonogórskich w wystawie wzięła udział malarka Magdalena Gryska.



gender Moment. Das bescheidene Innere des Gotteshauses, voller Geschichte, die feierlichen Kleider der Anwesenden, ihre salbungsvoll in der deutschen und in der polnischen Sprache gesprochenen Gebete (Ojciec nasz... Vater unser...) verliehen das Gefühl der Eintracht und einer wahrhaften Gemeinschaft.

Jedes Treffen in Białowice ist mit einem kulturellen Ereignis verbunden. Es kann sich um eine - künstlerische oder historische - Ausstellung handeln, um ein Konzert, einen Vortrag mit anschließender Diskussion, ein literarisches Treffen. Dieses mal hat der Gastgeber eine Ausstellung mit Werken von Künstlern „aus der Biographischen Sammlung von Jacek Wesołowski“ organisiert. Wie wir bei dem Vortrag erfahren konnten, entsteht die Sammlung durch Gaben von Künstlern – Menschen, deren Bekanntschaft von einer Bedeutung für das Leben des Veranstalters war oder immer noch ist. *Verbindungen – eine Auswahl* heißt die Ausstellung im Alten Pfarrhaus. Jeder der ausgewählten 9 Arbeiten seiner Bekannten und Freunde hat Wesołowski eine eigene „angeschlossen“, und so durch eine Ähnlichkeit der Form, des Themas oder der Idee der beiden verbundenen Werke eine Botschaft über das Verständnis zwischen den Menschen in der Kunst verkündet.

Es ist erwähnenswert, dass das Konzept für diese Ausstellung schon früher geboren wurde: Jacek Wesołowski zeigte sie in einer anderen Version, 2006, als Teil der Ausstellung *Grenze – Verbindungen* im Stadtmuseum im Palast der Familie Poznański in Łódź.

Die Präsentation im Alten Pfarrhaus führte mehrere Formen der heutigen bildenden Kunst zusammen: Malerei, Skulptur, Objekte, Installationen, fotografische Dokumente, Texte oder Performance. Es ist also zu einem eigenartigen Unterricht in Sachen Kunst gekommen, denn wir sollen nicht vergessen, dass Wesołowski seine Ausstellungen vor allem für die heutigen und ehemaligen Einwohner von Białowice und Umgebung organisiert (sie machen ja die Mehrheit der Teilnehmer von *Domi* aus), die sonst nur selten Kontakt mit der Kunst haben. Unter den Autoren, deren Werke in diesem außergewöhnlichen barocken Ambiente gezeigt wurden, sind auch bekannte Größen, wie Klaus Staeck (Heidelberg/Berlin) oder Jan Berdyszak (Poznań). Die Künstler aus Zielona Góra waren von der Malerin Magdalena Gryska vertreten.

Spotkanie w Starej Plebanii trwało bardzo długo. Długo nie tylko dlatego, że gospodarz (biegle władający językiem niemieckim) tłumaczył na bieżąco z polskiego na niemiecki i odwrotnie. Uczcie duchowej towarzyszyła także uczta w sensie dosłownym. Przy pysznym bigosie i wybornych wypiekach toczyły się rozmowy, polskie, niemieckie, „mieszane”. Czuliśmy się w Białowicach jak w ciepłym, przytulnym domu, jak u siebie.

(Spotkanie kulturalne niemiecko-polskie z cyklu *Domi*, 7 września 2008 r., godz. 14.00, Stara Plebania w Białowicach – Billendorf koło Nowogrodu Bobrzańskiego. Organizacja: Jacek Wesołowski – przy wsparciu stowarzyszenia KunstGrenzen e.V. Berlin i Parafii Kościoła Rzym.-Kat. w Bieniowie)

Das Treffen im Alten Pfarrhaus dauerte sehr lange. Nicht nur, weil der Gastgeber, der deutschen Sprache mächtig, alles laufend in die beiden Sprachen verdolmetschte. Das geistige Festmahl wurde nämlich auch von einem Festmahl im wörtlichen Sinne begleitet. Beim köstlichen Bigos und vorzüglichem Kuchen wurden Gespräche geführt - auf Polnisch, auf Deutsch, und gemischt... Wir fühlten uns in Białowice gemütlich und warm, wie zu Hause.

(Das deutsch-polnische Kulturtreffen aus der Reihe *Domi*, 7. September 2008, 14.00 Uhr, das Alte Pfarrhaus in Białowice/Billendorf bei Nowogródek Bobrzański. Veranstalter: Jacek Wesołowski, mit freundlicher Unterstützung von KunstGrenzen e. V. Berlin und der Römisch-Katholischen Pfarrei in Bieniów)

Übersetzt vom Grzegorz Kowalski





PRZYPOMNIENIA LITERACKIE

Czytanie źródeł XIII

Gadający mózg Ludwika Lipnickiego

Czesław Markiewicz

Jest w tym jakaś magia: czytanie źródeł rozpocząłem od zbyt krótkiego wypadu do Trześniówka Krzysztofa Fedorowicza, na dłużej zatrzymałem się w Bytomiu Odrzańskim Marii Sidorskiej-Ryczkowskiej, by z trudem wykaraskawszy się z Linii Eugeniusza Paukszty zabrnąć i osiąść na koniec

w Drezdenku Ludwika Lipnickiego. Topografia układa się nie tylko z gustów, smaków i preferencji. „Imiona własne”, „Stacyjka na wschodzie i zachodzie”, „Pan lko” – to „świetna (święta?) trójca” tutejszej literatury. Książki, które utwierdzają mnie w przekonaniu, że wszelkie piśmiennictwo piękne daje się jednak

obiektywizować. Nie mnie jednego uwiiodły nazwiska Fedorowicza, Siderskiej i Lipnickiego. Choć to najmniej ważne, bo przecież nawet Miłosz kokieterijnie przyznał się, że nie przeczytał do końca „Ulissesa” Joyce’a. Bo jeśli nawet jestem jedynym czytelnikiem tej triady – to tym bardziej czuję się namaszczony. Nie lękam się nawet patosu, przecież pisarzy zachwycających, tutaj nie brakuje; brakuje tylko tych, którzy potrafią się zachwycić. To memento podziela choćby najmodniejszy współcześnie pisarz ze Wschodu Wiktor Pielewin, określając stany zachwycenia dosadniej, bo... genitalnie.

Więc koniec: „Pan Iko”. Historia, opowieść, akcja, rzecz o cudnie prowincjonalnym kasjerze, jakby nieprzypadkowo, sprawczo, powstała na obrzeżach odludzia – Puszczy Noteckiej. Sprawdzają się ontologiczne paralele: Jerzy Szaniawski swojego Tutkę spreparował prawdopodobnie w mikroskopijnym Zegrzynku. Wyczuwam, że ów punkcik nad Jeziorem Zegrzyńskim niedaleko Pułtusa żywo przypomina „secesyjne” Drezdenko Lipnickiego. Secesyjne – bo taki jest drezdenecki dom twórcy „Pana Iko”: trzeszczące schody, firanki z naturalnej bawełny, milczący mebel fortepianu, wiecznie ciepłe piece kaflowe i nieśmiertelnie intensywny zapach minionego, z piwnicznym chłodem przemijania.

I nagle coś, co profetycznie wkracza w nieokreśloną współczesność: ów wtorek, dzień, w którym trzeba czytać „Pana Iko” (tak chce autor umieszczając w podtytule powieści supozycję: „Powieść na wtorek”). Właśnie teraz, w kończącej się pierwszej dekadzie nowego milenium przeżywamy coś na kształt tamtego „czarnego wtorku”, a nawet całego skrwawionego bessą tygodnia. W taki nieoczekiwany sposób albo w niezawinionych przez autora „okolicznościach przyrody” wtorek stał się całkiem niepoślednim dniem tygodnia. W tym miejscu muszę na chwilę przedzierzgnąć się w postać drobiazgowego pana Iko. Ów wtorek niechybnie kojarzy się z 29 października 1929 roku, jako kolejny segment „czarnego tygodnia” na New Stock Exange (Nowojorskiej Giełdzie Papierów Wartościowych).

Inny istotny drobiazg Lipnickiego-Iko, to przeszczeń czasu powieściowego. Cała, z grubsza biorąc, historia rozpościera się w ciągu jednego dnia, między godzinami 00:01 a 22:45. Pojawia się więc kolejna konotacja literacka: James Joyce – oczywiście. Chociaż Leopold Bloom był akurat akwizytorem, co w żaden sposób nie kojarzy go z kasjerską profesją

pana Iko. Ale jeden dzień akcji – i owszem. Chociaż ten jeden dzień u Joyce’a (dokładnie 16 czerwca 1904 roku) wypadł na czwartek.

Uczepiłem się tych dat i wyliczeń – nie bez powodu. Otóż taka osobliwa drobiazgowość, nie pozbawiona erudycji, cechuje narrację „Pana Iko”. Nie jest to jednak (chyba na szczęście) ten sam nerw „strumienia świadomości” „Ulissesa”. Dokładnie, różnic jest o wiele więcej, choćby introspekcje, które w „Panu Iko” bywają bardziej instrumentalnymi wivisekcjami, niż „penetracją zaułków świadomości” (podświadomości?).

Mam ponowoczesne wrażenie, że gdzieś już z taką narracją się zetknąłem. Na pewno będzie to urzekające „gadulstwo” Profesora Tutki autorstwa przywołanego już tutaj Szaniawskiego. Może coś na kształt sanacyjnej lekkości Dołęgi-Mostowicza. Wreszcie ustrześliłem coś z Kabaretu Starszych Panów. Ale też coś z ponemieckiej albo austro-węgierskiej, ze wskazaniem na Czechy, secesji, pomieszaney z wczesnym egzystencjalizmem francuskim (bliżej jednak Sartre’a, niż Camusa). W takie oto „koleiny” wpędziły mnie np. wyszukane imiona (Emechiusz, Anastazja, Berenika, Orion, Salwator), z podobnym skutkiem uwiiodły mnie pojedyncze, acz wyrafinowane epitety („grasejujące chrapanie”, malowidła w stylu „sosów monachijskich”). Nadto pojawiają się aluzje do kokietującej narracji Bułhakowa („Ani opowiadający, bo go tam nie było, ani Pan Iko, bo niczego nie zapamiętał, nie mogli wiedzieć, że zdarzenie miało nieco inny przebieg”).

I w tym momencie należy się zatrzymać. W istocie, „tych zdarzeń” autor nadbudował tyle, że wyszła z tego już nie jakaś introwertyczna gadanina, ale coś na kształt „szkatułki”, którą najbliżej kojarzę po wierzchu z „Rękopisem znalezionym w Saragossie” Potockiego. Chociaż nie idzie o pomieszenie epok, czy stylów, ale o przenikanie i pozorne wynikanie jednej opowieści z drugiej, trzeciej, następnej i kolejnej, aż do niedokończoności. W praktyce Lipnicki „anonsuje” tę operację zazwyczaj chytrym albo tylko przebiegłym kwantyfikatorem:

„Tu dygresja” albo: „Tu konieczna jest niewielka dygresja”. Po czym stawia dwukropek i rozpoczyna jakąś nową historię, której z uroczą perfidią nie kończy, ale obiecuje ciąg dalszy, który być może w jakiejś metaforycznej formule gdzieś tam następuje, chociaż czytelnik musi przeniknąć rzeczywistość powieściową i podążyć już własnym, konotacyjnym tropem.

Pozornie nie ma w tym żadnej magii. Niby, że wszystkie przemyślenia i cała wewnętrzność Pana Iko inspirowane są zdarzeniami najbliższego bohaterowi otoczenia. A to na przykład dźwiękiem nierównych kroków wychodzącego do pracy Pana Gołębiarza; a to widokiem po raz pierwszy ujrzanych koronkowych majtek „dziewczyny mieszkającej na końcu korytarza”, czy „dwuznacznym zamówieniem Pani Anastazji”. Takie figury stylistyczne czynią zwyczajny przecież realizm nadzwyczajnie magicznym. Na co dzień nikt przecież (zwyczajny?) nie określa w tak szczególny sposób ani topografii, ani sytuacyjnych powikłań. Ale przecież nikt nie jest tak „literacki”, jak Pan Iko – twór bardziej, niż bohater.

A skoro o tym mowa: wszystko w „Panu Iko” nanizane jest na wąty czas jednego dnia i skarlała przestrzeń domostwa głównego... jednak bohatera. W tym, znowu pozornym ograniczeniu, znajduję panoramę człowieczej naiwności, którą cechują czystość intencji i dziwnie tkliwa nieporadność. Myśląc o przesłaniach, takie przedstawienie ucieleśnienia już ideę ludzkiej pokory wobec nieokiełzanego intelektualizmu. Bo można przyjąć (w założeniu), że Pan Iko jest nawet przysłowiowym głupkiem, tak jak w ordynarnym porzekadle, że np. nadzieja jest matką głupich, a wiara w czyste intencje otoczenia jest czczą naiwnością.

I chyba tylko w ten sposób, w stylu rozgwaru samego Pana Iko, można mówić o urodzie tej niepozornie ważkiej prozy Ludwika Lipnickiego. Ta powieść jest dla mnie propozycją bezbolesnej ucieczki w świat sublimacji; w świat, który jest rugowany z naszej świadomości podniecającą, aczkolwiek najczęściej bolesną tym razem, realnością tego, czego doświadczamy oglądając telewizję albo czytając codzienną prasę.

Świat Pana Iko po prostu nie istnieje. Pan Iko jest wypreparowanym z ilorazu inteligencji bytem (a jednak!). Pan Iko, mówiąc obrazowo, jest gadającym mózgiem, wprawdzie kontrolowanym przez autora, który świadomie lekceważy swoją wiedzę o świecie przedstawionym, ale ten świat jest przecież jego tworem. Paradoks? No, chyba, że zlekceważymy kategorię „śmierci autora”.

„Pan Iko” to niebezpiecznie inteligentna powieść. Lipnicki z profesorskim dystansem dobitnie sztydzi

z literatury rozumianej jako wieszczenie prawd objawionych. Dlatego ta książka robi wrażenie prozy popularnej, ma służyć rozrywce. I rozrywką jest, tak, jak filmy Chaplina, jak produkcje Cyru Monty Pythona.

I najistotniejsze: konstytucją „Pana Iko” jest subtelność. Lipnicki już w anachronizmie nazwania prologu „Przedśłowiem”, zachęca potencję czytelnika do zejścia w podziemia „wolnej woli”, a to tak: „Możesz, Szanowny Czytelniku, książkę tę wziąć do ręki albo w ogóle nie brać. Ale skoro czytasz te słowa, to jednak wzięłeś – lecz ciągle jeszcze możesz ją odłożyć – w co zresztą nie wierzę, jeśli ją kupiłeś”. A przecież można było tę zachętę ordynarnie zwulgaryzować i nazwać to to „marketingiem”. W języku Pana Iko nie obowiązują takie pojęcia. „Pan Iko” jest takżo precudnie spatyniały, żeby nie powiedzieć omszały, jak butelka starego, dobrego wina.

Nie sposób wreszcie, i nie ma takiej potrzeby, spenetrować fabułę „Pana Iko”. Ale wyjmując choćby pojedyncze rozdziały, a nawet akapity, czuć w nich rękę, mądrego mądrością dystansu, autora. Warto jednak na ten koniec, i na koniec w ogóle „Czytania źródeł” skompilować ze zdań „Pana Iko” (też ostatnich) coś na kształt postania całej powieści, całego pisania o pisaniu; to postanie to memento o radości z samego faktu egzystencji (egzystowania?); „Pan Iko uśmiecha się szczęśliwy z udziału w tym, co się śni jego głowie. Tyle kolorów – po raz pierwszy od... Od kiedy? Gdyby teraz się obudził i właśnie takie pytanie sobie zadał, to z pewnością nie potrafiłby znaleźć odpowiedzi. (...) A może burze, rozterki i niepokoje dnia to w gruncie rzeczy małe ważne przykości, jeśli po nich nadchodzi szczęśliwość zasypiania? (...) Pan Iko smacznie śpi zanurzony w zdrowym, kolorowym śnie. Oby odtąd jego sny były zawsze kolorowe. Jak tej niezwyklej nocy. Z wtorku na środę”.

I co najważniejsze (w życiu, w literaturze, w sztuce): „Pan Iko”, wbrew uniwersalnym pozorom, stwarza olbrzymie możliwości konotacyjne – ten postmodernistyczny urok przechodzenia od tego, co anachroniczne, do tego, co odkrywcze i ożywcze. Od „czarnego wtorku” na Wall Street, do szczęśliwego snu Starszego Pana, Profesora Tutki z obrzeża Puszczy Noteckiej.



Z TEKI HISTORYKA FILOZOFII

Maciej Makarewicz

Granice sztuki jako granice rzeczywistości – propozycja Leona Chwistka

Świat sztuki to dziedzina różnorodna. Kontrowersje związane z dziełami bądź też ze sposobem bycia samych artystów, często stanowiły temat chętnie dyskutowany nie tylko przez krytyków czy historyków sztuki, lecz również przez laików, nie-

związanych bezpośrednio ze sztuką, a poszukujących w diskutowanych dziełach idei krytycznych, uderzających bezpośrednio w religię, politykę, czy też w sferę szeroko pojętej moralności. Współcześnie prace takich artystów, jak Bill Henson, Chris Ofili czy

też, by wspomnieć o rodzimych twórcach, Dorota Nieznańska, są przedmiotem skandali i dyskusji, wywołanych nie przez krytyków, lecz czasem przez osoby, które nawet nie widziały oskarżanych dzieł. W dyskusjach tych pojawiają się pytania, czy ich prace, jak np. „Pasja”, mieszczą się jeszcze w granicach sztuki, oraz kwestie ważniejsze i bardziej ogólne: czy samej sztuce można i powinno się narzucać jakiegokolwiek ograniczenia. Pytania te nie są nowe. W historii pojawiały się one często, a zawsze wtedy, gdy nowa forma ekspresji artystycznej starała się zdobyć uznanie odbiorców oraz krytyków, zaś sami artyści prześcigali się w uzasadnianiu możliwości współistnienia często całkowicie różnych sposobów, w jaki artysta może się wyrazić poprzez swoje dzieła.

Co z tymi zagadnieniami ma wspólne twórczość zmarłego w 1944 roku Leona Chwistka? Był on przecież znakomitym logikiem matematycznym, którego prace z tej dziedziny zostały docenione przez samego Bertranda Russella, będącego czołową postacią światowej filozofii oraz logiki matematycznej ubiegłego wieku. Chwistkowi nie brakło przy tym oryginalnych osiągnięć w dziedzinie samej matematyki. Zajmował się on również ontologią, w szczególności zaś teorią rzeczywistości, której oryginalny pluralistyczny system po dziś dzień jest uznawany za najbardziej rozpoznawalny z jego osiągnięć. Powyższe nie wyczerpuje jednak szerokiego spektrum zainteresowań Chwistka, gdyż parał się on również z niemałym powodzeniem estetyką. Był przy tym nie tylko praktykującym malarzem, twórcą własnego stylu malarskiego, lecz ponadto teoretykiem sztuki, poszukującym ontologicznej racji bytu dla wielu różnych kierunków artystycznych. Choć teoria, którą w tym kontekście stworzył, wybiegała daleko poza ramy debaty *stricte* artystycznej, to właśnie w dziedzinie teorii sztuki oddziaływała ona najszerzej, po dziś dzień będąc kojarzoną niemal wyłącznie z dyskusją nad granicami wolności artystycznej.

Chwistek rozwijał swoje poglądy estetyczne czerpiąc inspiracje m.in. z problemów, jakie rodzi sama refleksja nad sztuką oraz z dokonujących się w niej, w pierwszej połowie XX wieku, przemian. Idzie tutaj o rodzącą się w czasach aktywności naukowej Chwistka *sztukę nową*, związaną przede wszystkim z malarstwem, kiedy to zaczęły pojawiać się dzieła futurystyczne i formistyczne, zaś nazwiska Braque'a i Picassa obiegały świat. Chwistek sam tworzył

w tych czasach, będąc nie tylko malarzem mieszczącym się w nurcie formistycznym, lecz również – na polu teorii i praktyki – rzecznikiem rodzącej się polskiej awangardy artystycznej. Ta nowa sztuka spotykała się w środowisku polskim ze sprzeciwem kół dyktujących warunki poprawności artystycznej. Jako zjawisko skrajnie odbiegające od kanonów wciąż panującej sztuki młodopolskiej, była nie tyle niedoceniana, co nawet wyszydzana oraz podlegała ustawicznemu próbowaniu unicestwienia ze względu na swą domniemaną szkodliwość dla *sztuki prawdziwej*.

Chwistek włączył się do debaty opierając swoje argumenty na własnej, nowej teorii rzeczywistości. Zdaniem Chwistka błąd przeciwników *nowej sztuki* polegał na przeświadczeniu, że rzeczywistość opisywana przez artystów jest tylko jedna, podobnie jak istnieje tylko jeden właściwy sposób odbioru oraz opisu tej rzeczywistości. W ujęciu Chwistka jednak doświadczenie zdawało się przeczyć tym przekonaniom, zaś różnorodność sposobów pojmowania samego doświadczenia doprowadziła filozofa do stworzenia tzw. teorii wielości rzeczywistości.

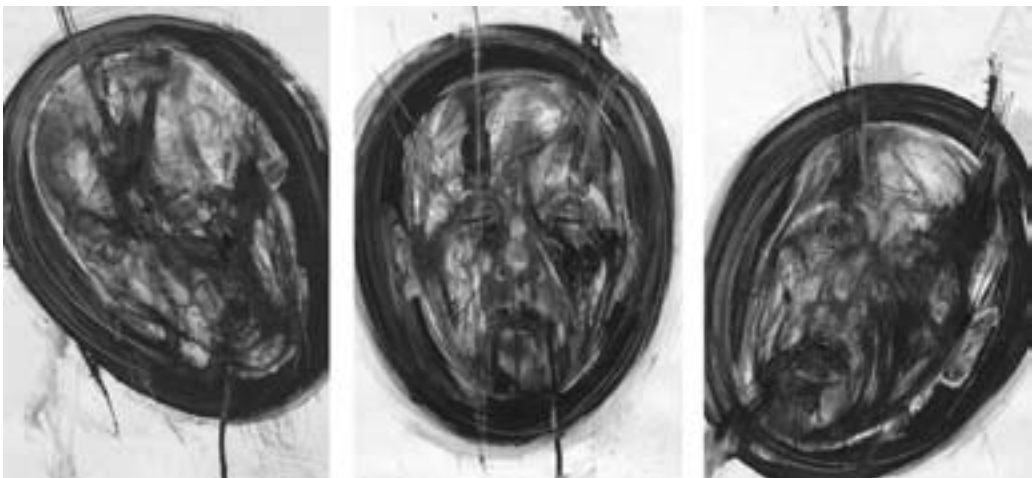
System Chwistka był relatywistyczny i pluralistyczny, tzn. przyznawał on rację bytu nie jakiejś jednej, wyróżnionej rzeczywistości, lecz rzeczywistościom przynajmniej czterem, związanym z czterema głównymi sposobami, na jakie ludzkość zwykła opisywać zjawiska w świecie. *Rzeczywistość rzeczy* stanowi tzw. system popularny, będący w sposób intuicyjny uznawany, jeśli nie za rzeczywistość jedyną, to przynajmniej za rzeczywistość główną, której pozostałe rzeczywistości są jedynie aspektami. Jest to system, w którym np. postrzegane krzesło jest po prostu realnie istniejącym krzesłem, bądź inaczej: naszemu postrzeżeniu krzesła odpowiada realnie istniejący obiekt będący właśnie tym krzesłem. W *rzeczywistości wrażeń* to, co postrzegane, nie łączy się z rzeczywistością, do istnienia w charakterze „rzeczowej” rzeczywistości. Wrażenie bowiem jest według Chwistka pewnym skrótem, naszą metodą opisu czegoś, czego istnienie zakładamy, nieco po kantowsku przyznając jednak, że to, co odbieramy jako wrażenie, oraz to, co uznalibyśmy za realny obiekt, niekoniecznie jest jednym i tym samym. Warto przy tym wspomnieć, że nasze wrażenie, ten *obraz* przez nas odbierany, wcale nie musi mieć przyczyny pod postacią realnego obiektu. *Rzeczywistość wyobrażeń* z kolei zdaje się najbardziej odcinać od rzeczywistości rzeczy. Jest to świat stworzony w całości przez umysł człowieka,

który nadaje mu kształt poprzez swoistą reprodukcję wrażeń. Jest ona właściwa przede wszystkim stanom narkotycznym, stanom snów, wizji i marzeń. Podczas gdy można bez popadania w sprzeczność uznać obopólne wspieranie się rzeczywistości rzeczy i wrażeń, tak rzeczywistość wyobrażeń uzyskuje swą realność poprzez całkowite zniekształcenie tamtych, oddzielenie się od nich, a nawet ich zaprzeczenie. Jest ona bowiem niczym innym, jak twórczą igraszką umysłu aktywnego podmiotu. Wreszcie, *rzeczywistość fizyczna* jest rzeczywistością tworzoną przez tezy nauki, podobnie oddzieloną, choć nigdy do końca, od trzech pozostałych. Tam, gdzie będąc w rzeczywistości rzeczy widzimy krzesło – twardy kawał drewna, na którym oprzeć można zmęczone ciało – tam uzbrojona w instrumenty badawcze nauka dojrzy chmurę atomów, niedostrzegalnych gołym okiem cząstek, pozostających w ciągłym chaotycznym ruchu, ulegających wzajemnym oddziaływaniom.

W teorii wielości rzeczywistości znalazła swoje uzasadnienie wielość i różnorodność doświadczenia artystycznego oraz jego indywidualny charakter. Otóż skoro nie mamy jednego pojęcia *doświadczenia*, to nie mamy tym samym podstawy do uznawania wyższości np. obrazu kobiety w konwencji naturalistycznej nad obrazem tej samej kobiety w konwencji kubistycznej. Zdaniem Chwistka, artyści tworzący w tych dwu różnych konwencjach, choć ujmują faktycznie jeden i ten sam obiekt, to jednak schemat przeżycia artystycznego jest u nich skrajnie odmien-

ny, bowiem zachodzi on właśnie w *różnych rzeczywistościach*. Inaczej rzecz ujmując, jeden i ten sam obiekt można *opisać* na wiele różnych sposobów, koncentrując się za każdym razem na innych jego aspektach, przy czym nie ma dla artysty obiektywnej podstawy, by któryś z tych sposobów uznać za lepszy czy też bardziej właściwy od innych.

Sam związek pomiędzy różnymi konwencjami (przede wszystkim) malarskimi a systemem wielu rzeczywistości jest w ujęciu Chwistka dużo bliższy, bowiem różne rzeczywistości odpowiadają w zamyśle Chwistka różnym stylom malarskim. By to uwiarygodnić, Chwistek pogrupował kierunki malarstwa w cztery zasadnicze typy, którym przyporządkował omówione cztery rzeczywistości. Owe typy malarstwa to: prymitywizm, realizm (rozumiany głównie jako naturalizm), impresjonizm oraz futurizm (czyli ówczesna sztuka nowa). Powiada Chwistek, że „ważne śledzenie warunków rozwoju każdego z wymienionych typów doprowadza do wniosku, że każdy z nich jest ściśle związany z jedną z czterech rzeczywistości, a mianowicie: prymitywizm z rzeczywistością rzeczy, realizm z rzeczywistością fizyczną, impresjonizm z rzeczywistością wrażeń, wreszcie futurizm z rzeczywistością wyobrażeń”. Dalszy opis owych nurtów jest właściwie zbędny, bowiem utożsamiając niejako charakter dzieła artystycznego z rzeczywistością, w oparciu o którą zostało ono stworzone, dyskusja na temat akceptowalności tego czy innego typu malarstwa czy rzeźby zostaje przesunięta na teren problematyki rzeczywistości. Zatem



by obalić poglądy Chwistka na równoprawność sztuki tworzonej w duchu formistycznym (bądź też: futurystycznym) z nurtami pozostałymi, należałoby najpierw zająć się jego pluralistyczną wizją samej rzeczywistości, gdyż dzieła artystyczne są jedynie jej odzwierciedleniem.

Chwistek w sposób widoczny przejawiał również niechęć do aksjologicznie pojmowanej estetyki. Otóż, dążąc do odidealizowania kategorii opisu dzieł artystycznych, Chwistek oparł się nie na wartościach, lecz na sferze doświadczeń empirycznych, z którymi zapoznał się w okresie pracy z Władysławem Heinrichem, prowadzącym przy Uniwersytecie Jagiellońskim pracownię psychologii eksperymentalnej. Na tej podstawie Chwistek sprowadzał wszelkie zagadnienia związane z doświadczeniem artystycznym do problemów rozpatrywanych na gruncie *stricte* naturalistycznym, zaś zgodnie z tym podejściem – jak pisze Karol Chrobak – „kategorie sztuki i wartości estetycznej mają dla niego sens o tyle, o ile wiążą się z psychologicznie pojętym przeżyciem artystycznym; tylko wtedy możliwe jest ich ścisłe zdefiniowanie, niepopadające w jakiegokolwiek idealizmy”. Mamy tutaj do czynienia z subiektywizmem, bowiem jakakolwiek ocena, przeżycie, cokolwiek co wiąże się z obcowaniem z dziełem artystycznym, pozbawione zostało obiektywnych podstaw, bowiem Chwistek wykazał zależność przeżyć artystycznych od indywidualnych doświadczeń zainteresowanego podmiotu. Nie stanowi to jednak słabości, lecz jest pozytywną konsekwencją teorii estetycznej, objawiającej się rozkwitem pożądanego krytycyzmu – nie zaś krytykanctwa – oraz różnorodności życia artystycznego. Zdaniem Chwistka rozkwit ten świadczy dość wyraźnie o tym, że sztuka nie trwa spetryfikowana w niezmiennych ramach, lecz podlega wciąż procesom kształtującym jej twórczy rozwój.

W kontekście wspomnianych na początku współczesnych debat o granice dowolności artystycznej, teoria Chwistka stanowi wciąż cenny głos w tej dyskusji, wspierający stanowisko przeciwników przejawów cenzury w sztuce. Oczywiście nie wiadomo, co sam Chwistek powiedziałby, gdyby miał np. możliwość ujrzania wystawy „Ecce homo” Elisabeth Ohlson Tallin, szwedzkiej artystki znanej z kontrowersyjnych prac fotograficznych. Należy jednak pamiętać, że sztuka, o uznanie której walczył filozof, choć dzisiaj nie wzbudza większych kontrowersji, to w czasach jego działalności wywoływała nie mniej emocji niż prace szwedzkiej fotografik dziś. Chwistek chciał poprzez swoją teorię pokazać, że sztuka faktycznie może się opierać na osobistej ekspresji artysty, który nie musi się krępować konwencjami mającymi pretensje do absolutności. Zazwyczaj krytycy sztuki oraz opinia publiczna dochodzą do podobnych wniosków, choć często potrzeba czasu, by kontrowersyjne dzieło zostało w pełni zaakceptowane. Wtedy triumfuje wolność artystyczna, ale i ona nie jest ostateczna, gdyż zawsze przychodzi moment, w którym znów pojawi się dzieło, które wymykając się utartym kategoriom, podda próbie wrażliwość odbiorców. Na tym zdaje się polegać rozwój samej sztuki, z czego Chwistek, jako malarz i teoretyk malarstwa, zdawał sobie doskonale sprawę.

Literatura: Leon Chwistek, *Pisma filozoficzne i logiczne*, t. I, PWN, Warszawa 1961; Karol Chrobak, *Niejedna rzeczywistość. Racjonalizm krytyczny Leona Chwistka*, InterEsse, Kraków 2004; Karol Estreicher *Leon Chwistek. Biografia artysty (1884-1944)*, PWN, Kraków 1971; Teresa Kostyrko, *Leona Chwistka filozofia sztuki*, Wydawnictwo Instytutu Kultury, Warszawa 1995; Ryszard Palacz, *Klasyki filozofii polskiej*, ZCO, Zielona Góra 1999. Warto też zajrzeć na <http://www.ohlson.se/>.



RECENZJE I OMÓWIENIA

A. Siatecki, *A jednak będzie noc poślubna*, Pro Libris, Zielona Góra 2007, 202 s.

Kolejna powieść Alfreda Siateckiego ma bardzo ładną szatę graficzną, w czym zasługa wydawnictwa i poznańskiej drukarni. Ma też poręczny format, w sam raz do szybkiego przeczytania. Ale to tylko pozory. Książki Siateckiego nie da się tak po prostu przeczytać – jest na to zbyt trudna i wielowarstwowa.

A jednak będzie noc poślubna to rzecz autobiograficzna. Nie chodzi rzecz jasna o autora, lecz o pokolenie dziesiętnych sześćdziesięciolatków, których największa aktywność zawodowa przypadła na lata 1970-2000. To czas dla Polski istotny – koniec socjalizmu i początki transformacji ustrojowej. Jeśli więc mamy przed sobą powieść traktującą o tamtym okresie i o tamtych ludziach, to oczekujemy swobodnego podsumowania, a może i rozliczenia się z historią.

I rzeczywiście, Siatecki sugeruje takie odczytanie swojego tekstu. Główni bohaterowie uwikłani są bowiem w politykę, niekiedy w sposób dramatyczny. Narrator, Denis Racula (swoją drogą prawie wszystkie imiona i nazwiska w książce są drażniące przez pretensjonalność i zamierzoną sztuczność) to architekt

o uporządkowanym życiu rodzinnym i zawodowym, aczkolwiek sugerującym niejaki aspiracje artystyczne. Z kolei Andrzej Durszlak, plastyk i długie lata dyrektor galerii, to najlepszy przyjaciel Denisa. Wokół ich losów prowadzi Siatecki narrację, mniej lub bardziej szczegółowo opisując środowisko artystyczne i polityczne Winnejgóry. Jak przystało na powieść z kluczem, rówieśnicy Siateckiego pewnie odnajdą w tekście starych znajomych, rozpoznają miejsca. Dla młodszych jednak ukrywanie, operowanie półśłówkami i niedopowiedzeniami to maniera denerwująca. Nie wiem, o kim mowa, a zatem odbieram utwór jako powieść – już bez klucza. W takim kontekście przygody głównych bohaterów stają w zupełnie innym świetle. Andrzej Durszlak jest przykładem marnego artysty, który dobrowolnie i z mozołem wspiera postulaty sztuki socjalistycznej, bo przecież jego papierowy raczej opór zawsze przełamany był przez towarzyszkę Lenę lub innych ważnych działaczy. Ani razu nie widzimy Durszlaka prawdziwego, chyba że za szczerość uznamy rojenia o sztuce nowoczesnej przyprawione odpowiednią dawką sikacza. Z kolei Denis Racula to człowiek stojący z boku i zdający się sugerować, że najbardziej ceni sobie święty spokój. Jest oportunistą do szpiku kości, nie tylko w znaczeniu politycznym (jakoś nie wydaje się, aby przeszkadzały mu kłopoty w pracy, wywołane brakiem członkostwa w PZPR), lecz również osobistym – urządził sobie wyprawy do kochanki i drżał, by żona się w tym nie zorientowała. I w gruncie rzeczy tylko te losy są w powieści ważne, aż po dobrowolną emigrację Durszlaka i jego przedwczesną śmierć w Australii. *Nihil novi sub sole* – udało się jednak Siateckiemu sportretować współczesnych sobie w latach 70. i 80. ubiegłego wieku, kiedy szczytem marzeń był talon na wartburga, futro z lisa czy butelka nędznego węgierskiego wina. Czuć wręcz zaduch, jaki wtedy panował, wszechogarniającą głupotę i marazm. Tyle tylko, że ów marazm ma jakby jedno odniesienie – dość hermetyczny krąg wokół Denisa Raculi. Reszty miasta, ludzi je tworzących właściwie nie ma. Toteż nie poznajemy Polski z lat 1970-2000, lecz tylko wersję tej Polski zapamiętaną przez jednego z bohaterów utworu. Podkreśleniem takiego spojrzenia miało być pewnie modernistyczne ukształtowanie narracji w strumień świadomości – niepotrzebny i sztuczny zabieg, gdyż i tak czytamy tekst duktem intonacyjno-zdaniowym. Niczego to nie wnosi, a jest dziś wyłącznie pretensjonalnym i zużyтым chwytem literackim. Nadto wizja przeszłości jest niezwykle uproszczona i jakby zza szyby. Mało tu prawdziwych emocji, więcej publicystyki. Jedyne miejsce, gdzie widać prozaika, to fragment opisujący przyjazd Andrzeja Durszlaka do Polski po wielu latach emigracji. To jest dobra literatura, bo nie wszystko zostało wypowiedziane, nie wszystko nazwana, a narracja staje się potoczysta i zajmująca, chociaż bohaterowie wciąż piją egri bikaver.

Prawda czasu miała wynikać z zachowania towarzyszek Leny oraz koleżanek i kolegów z biura projektowego. Pojawia się nawet, choć pośrednio, funkcjonariusz SB. Może i tak było, jednak świat wykreowany przez Siateckiego nie ma tu mocy perswazyjnej. W rezultacie powieść rozliczeniem nie jest, przynajmniej w wymiarze ogólniejszym niż wspomnienia Denisa Raculi. Zatrzymał się więc Siatecki jakby w pół drogi – miał niezły pomysł i zamierzył poprzez pryzmat indywidualnych przeżyć pokazać coś z minionego na szczęście świata. W wymiarze jednostkowym to się udało, w żadnym razie jednak nie stanowi ta powieść panoramy, a choćby i obrazu tamtych lat. Andrzej i Denis z lubością pili węgierski cienkusz, pokolenie dwudziestolatków w latach osiemdziesiątych wołało ordynarną wódkę i całkowitą abnegację. Oczekiwałbym od starszych wyjaśnienia, co takiego się stało, że wszystkie te historie z talonami, dylematami emigrantów politycznych czy podejrzanymi towarzyszami pokoleniu następnemu są obojętne, wręcz obrzydliwe, jak smak dostępnej i dziś „byczej krwi”.

Być może jednak chciałbym zbyt wiele, być może odpowiedzi nie ma, lub jest ukryta. W takim razie jednak niech przeczytam soczystą powieść obyczajową, nawet o sprawach mało istotnych, a nie sztuczny traktat o rzeczach z tamtych lat.

Jest więc źle? Niezupełnie. Alfred Siatecki jako jeden z nielicznych (bodaj czy nie jedyny) draży temat przeszłości, próbując z niej cokolwiek przybliżyć. Inni pozamykali się w ciepłe wspomnień niemal onirycznych, wędrówkach uliczkami Zielonej Góry (a najlepiej Grünberga) lub gazetowej publicystyki. Dlatego książkę Siateckiego przeczytać należy. A potem ją odłożyć, tyknać egri bikaver i zastanowić się, jak ona nam teraz smakuje.

Sławomir Kufel

Ulla Berkéwicz, *Überlebnis*, broschiert, Suhrkamp Verlag Frankfurt am Main 2008, 139 Seiten

Ulla Berkéwicz, Chefin des Suhrkamp-Verlages, hat schon einige Bücher über das Sterben geschrieben. In dem jetzt vorliegenden Text jedoch geht es um den Suhrkamp-Verleger Siegfried Unseld, dessen Todeskampf aus ihrer Sicht – der überlebenden Ehefrau – geschildert wird.

Die Autorin spannt den Bogen von ihrem ersten Toten zum Heute. Alexander nannte sie ihn damals und er war ein Igel in der Hand eines kleinen Mädchens. Es gab danach alte Frauen und junge Männer, deren Sterben sie begleitete. Die früheren Toten mit ihren Geschichten lenken ab vom Schmerz, von heißen Pfingsttagen und einem Herbststurm im Jahr 2002. Die kursiv gesetzten Zwischentöne über religiöse Bräuche und Lehren und immer wieder die griechische Tragödie stellen das Sterben dieses ‚Mannes‘ ins Rampenlicht. Die Autorin sieht die „Blitzlichtgewitter aus den Büschen, Ferngläser hinter den Nachbarfenstern“, sie kann nichts dagegen tun. Jedes Flüstern noch auf dem letzten Rang hörbar – wie im antiken Theater. Das Krankenhaus wird als un menschlichster aller Orte dargestellt, beherrscht von Maschinen, die Menschen sich ausdachten, um nicht selbst teilhaben zu müssen am Sterben, und von Menschen, die selbst zu Maschinen geworden sind, herzlos und brutal. „Und auf dem Fensterbrett die Kladde, in die die Ärzte und die Pfleger schreiben, was sie dem Kranken spritzen, was der schluckt, seine Befunde und Befindlichkeiten. Sonst nichts von ihm hier, keine Spur, die nicht mit einem leichten Wisch zu löschen wäre. Der Mittag rauscht, die Apparate rattern, das Röcheln nebenan wird mir vertraut.“ Die Autorin leidet bitterlich und reagiert verbittert auf alle, die nicht leiden, nicht mitleiden an der vorweggenommenen Trauer. Ulla Berkéwicz stellt ihr psychisches Herzweh dem physischen des ‚Mannes‘ gegenüber. „Wie das Theater ist die Krankheit eine Krise, die mit Tod, mit Wahnsinn oder Heilung endet.“

Wie ein Theatertext liest sich das Buch über lange Strecken, schafft sich einen eigenen Rhythmus der Worte, der Silben gar, bricht wieder aus und demonstriert bis in die Wahl der Buchstabenfolgen die Zerrissenheit der Erzählerin. Lyrische Prosa, seitenweise wie ein Gedicht, in seiner besten Form, der verdichteten Sprache. Es ist ein Buch in hoher sprachlicher Qualität, etwas bildungslastig und aus dem persönlichen Schmerz heraus manchmal sehr ungerecht. Die Geschichten der jüdischen Großmutter von Belavodje, dem anderen Land, von Fania, die Süßigkeiten schachtelweise aß, von Alik und seiner Zeitfabrik, lassen diesen Text zu mehr werden als einer Schicksalsbeschreibung. „Die Angst, die mich treibt, ist die, zu vergessen.“, wiederholt die Erzählerin in abgewandelter Form. Der Mann, den die Titelseiten zeigten und zeigen, hat in diesem Buch kein Gesicht, keine Geschichte außer der einer tiefen Liebe, außer der der Angst. Es ist kein Buch über den Mann, kein Buch über die Frau. Erzählt wird die Geschichte der schmerzhaftesten Trennung überhaupt, und davon, dass alle vorherigen Erlebnisse, Tode von Igelten oder lieben Freunden, uns nicht vorbereiten können auf den nächsten Schmerz.

Rita König

Ulla Berkéwicz, *Überlebnis*, Suhrkamp Verlag Frankfurt nad Menem 2008, 139 s.

Ulla Berkéwicz, szefowa wydawnictwa Suhrkamp, napisała już kilka książek o umieraniu. Jednak w tym tekście chodzi o właściciela wydawnictwa, Siegfrieda Unselda, którego walkę ze śmiercią opisuje ze swojego punktu widzenia, żony, która przeżyła. Autorka przypomina sobie pierwszą śmierć, której była świadkiem, i łączy ją z aktualnymi przeżyciami. Nazywała go Aleksandrem, a był jeżem w rękach małej dziewczynki. Potem widziała śmierć starych kobiet i młodych mężczyzn. Ci wcześniejsi umarli z jej historii odwracają uwagę od bólu, od tych gorących dni Zielonych Świątek i wiosennej burzy roku 2002.

Umieranie „mężczyzny” staje się głównym wątkiem dzięki wydrukowanym kursywą interludiom o zwyczajach religijnych i teoriach naukowych, i wciąż nowym odwołaniom do greckiej tragedii. Autorka widzi „burze z piorunami zza krzewów, lornetki zza okien sąsiadów”, nie może nic na to poradzić. Słychać każdy szepc, nawet na najwyższych miejscach - jak w antycznym teatrze.

Szpital opisany jest jako najbardziej nieludzkie ze wszystkich miejsc, opanowane przez maszyny, które ludzie wymyślili, żeby sami nie musieli ucześnieć w umieraniu, i przez ludzi, którzy sami stali się maszynami, bez serca i brutalni. „A na parapecie brulion, do którego lekarze i pielęgniarki zapisują, co właśnie wstrzyknęli choremu, co tyka, co mu dolega i jak się czuje. Po za tym nie ma tu nic, co byłoby jego, ani śladu, którego nie można by wymazać prostym machnięciem ścierką. Południe szemrze, urządzenia terkoczą, do rzęzenia z sąsiedztwa już się przyzwyczaiłam.” Autorka cierpi gorzko i reaguje z goryczą na wszystkich, którzy nie cierpią, nie współcierpią w jej oczekiwanej żałobie. Ulla Berkéwicz przeciwstawia swój psychiczny ból fizycznemu cierpieniu „mężczyzny”.

„Choroba, jak teatr, jest kryzysem, który kończy się śmiercią, szaleństwem lub ozdrowieniem.” Całe fragmenty tej książki czyta się jak sztukę teatralną, mającą własny rytm słów, wręcz sylab, który potem się urywa, pokazując nawet w doborze liter, jak rozdarta jest ich autorka. Jest to proza liryczna. Całe strony brzmią jak wiersz, w najlepszym wydaniu, w mowie prawdziwie związanej.

Jest to książka o wielkiej kulturze słowa, nieco przeciążona erudycją i czasem pełna niesprawiedliwości wynikającej z osobistego bólu. Historie żydowskiej babki z Białowód, tego innego kraju, o Fani, która zjadała słodczyce całymi pudełkami, o Aliku i jego fabryce czasu – dzięki nim książka jest czymś więcej, niż tylko opisem losu.

„To, czego się boję, to zapomnienie”, powtarza narratorka wciąż innymi słowami. Mężczyzna, który na co dzień pojawiał się i pojawia na pierwszych stronach gazet, w książce pozbawiony jest twarzy, nie ma swojej historii i nic poza głęboką miłością i strachem. To nie jest książka o nim, to nie jest książka o niej. To jest historia najbardziej bolesnej z możliwych rozłąk i o tym, że żadne wcześniejsze przeżycia, śmierć jeży czy ukochanych przyjaciół, nie potrafią nas przygotować na następny ból.

Rita König
Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

Iris Hanika, *Treffen sich zwei*, Literaturverlag Droschl, Graz/Wien 2007, 238 Seiten

„Treffen sich zwei” ist die Geschichte vom eventuellen Anfang einer Geschichte zwischen zwei Mittvierzigern in Berlin-Kreuzberg. Berlin allerdings bildet nur die Kulisse. Trotz Anspielungen auf die Geschichte samt einem Theaterstück zum Luisenstädtischen Kanal und einigen Tucholsky-Zeilen bleiben die Orte austauschbar – das Ganze hätte man auch in Köln ansiedeln können. So wie die Sprache: nicht nur bei Tucholsky borgt sich die Autorin Zitate, Bilder, Vergleiche, auch aus der Bibel, von Eichendorff und Arno Schmidt: „so dödelmäßig doof glubschglotzte sie ihn da an”. Hinzu kommen Auszüge der Kunst- und Literaturgeschichte, Boulevard- oder Therapeutenklatsch: „Ich heule schon so lange, dass es tatsächlich ein Teil meines Lebens geworden ist”. Es ist hilfreich, derbe Ausdrücke zu mögen und sich nicht von Wiederholungen abschrecken zu lassen. Davon nämlich gibt es in dem neuen Buch von Iris Hanika viele. Derbe Ausdrücke und Wiederholungen.

In dem gerade erschienenen Roman begegnen sich eines Abends im heißen August Thomas, der Informatiker, und Senta, die Galeriemitarbeiterin. Es dauert nicht lange, bis die beiden in ihrem Bett landen, und es bleibt nicht bei einem Mal: „beim Einschlafen Vorspiel dritter Akt, beim Aufwachen Geknutsche und schnell noch eine Nummer geschoben, ...” „Du vögelst schon ganz gerne”, sagte er, ...”. Es gibt außerdem Sentas beste Freundin Alina und Thomas’ Chef und Freund Aliqoli, es gibt ihren Chef samt Frau, die in ihrem Leben alles Wasser gegen Urin ausgetauscht haben, was dazu führt, dass sie in einer permanenten „Duft” wolke leben. Die Autorin konzentriert sich auf Thomas und Senta und das überwiegend in ihren die Gegenwart, kurze (gemeinsame) Vergangenheit und Zukunft reflektierenden Gedanken. Die erzählenden Kapitel werden durchbrochen von historischen Erläuterungen und „gelehrten Einschübe(n)”. Neben genormten Absätzen stehen Silben wie in der Lyrik untereinander, gibt es Passagen, die nur klein geschriebene Wörter aufweisen und solche, die in englischer Sprache verfasst sind („Kurzprogramme”/ „A QUICK FIX”). Von den kursiven Einsprengseln der meist englischsprachigen Liedzeilen abgesehen. Die Mehrdeutigkeit betrifft auch den deutschsprachigen Text:

Fremdwörter und Jargon stehen miteinander, und nicht in Konkurrenz. Die Hauptfiguren Thomas und Senta haben ausgeprägte Macken, aber vielschichtig gezeichnet sind sie nicht. Thomas als Gegenpol zu Sentas Verhalten, zeitweise konterkariert dadurch, dass er dieselben Sätze denkt wie sie, dieselben Bewegungen ausführt oder heulen möchte (Sentas Lieblingsbeschäftigung) wirkt weniger ausgefeilt und überaus klischeehaft. Die trivialen Formulierungen häufen sich auf manchen Seiten so sehr, dass man die ironische Absicht vermuten kann – „augen“scheinlich funktioniert das nicht. „...dass seine Augen zum ersten Mal angekrochen kamen, ...Seine Augen kamen von irgendwoher angekrochen..., Meistens krochen sie aber einfach in ihrem Hirn herum.“ Horror in der Szenekneipe, und das dreimal innerhalb von sieben Zeilen.

Den Anfang einer Liebesbeziehung durch ironische Brechung und jenseits der konservativen Erzählweise zu zeigen, ist ein interessanter Versuch. Geglückt ist er nicht.

Rita König

Iris Hanika, *Treffen sich zwei*, Literaturverlag Droschl, Graz/Wien 2007, 238 s.

Treffen sich zwei to historia o możliwym początku jakiejś historii między dwojgiem czterdziestokilkulatków w Berlinie-Kreuzbergu. Berlin jest jednak tylko tłem. Mimo aluzji historycznych czy sztuki teatralnej rozgrywanej nad Luisenstädtischer Kanal oraz kilku cytatów z Tucholskiego, lokalizacje można by właściwie dowolnie wymieniać, całość równie dobrze mogłaby się rozegrać w Kolonii.

Podobnie jest zresztą z językiem: autorka pożyczka cytaty, obrazy i porównania nie tylko od Tucholskiego, ale także z Biblii, od Eichendorffa i Arno Schmidta: „so dödelmäßig doof glubschglotzte sie ihn da an”. Dochodzą do tego wyciągi z historii literatury i sztuki, z plotek bulwarowych czy zasłyszanych u terapeuty: „Wyję już tak długo, że stało się to faktycznie częścią mojego życia”. Pomaga tu brak wrażliwości na dosadny język i obojętność na powtórzenia. Jednego i drugiego można bowiem znaleźć mnóstwo w nowej książce Iris Haniki. Dosadny język i powtórzenia.

Właśnie opublikowana powieść opowiada o spotkaniu Thomasa, informatyka i Senty, pracownicy galerii, do którego dochodzi pewnego gorącego sierpniowego wieczoru. Bohaterowie nie potrzebują dużo czasu, żeby znaleźć się w łóżku, a tam nie kończy się na jednym razie: „podczas zasypiania gra wstępna, akt trzeci, rano pieszczoty i jeszcze jeden numer (..)”, „Lubisz się pieprzyć, powiedział (...)”. Poza tym występują najlepsza przyjaciółka Senty, Alina, szef i przyjaciel Thomasa Aliqoli, jej szef z żoną, którzy w swoim życiu wszelką wodę zamienili na urynę, w związku z czym cały czas unosi się nad nimi „zapach”. Autorka koncentruje się na postaciach Thomasa i Senty, głównie na ich myślach poświęconych przede wszystkim terażniejszości, krótkiej (wspólnej) przeszłości i przyszłości. Narracja przerywana jest wyjaśnieniami historycznymi oraz „uczonymi wstawkami”. Obok zwyczajnych akapitów można znaleźć sylaby ułożone jak w wierszach, jedną pod drugą, fragmenty pisane wyłącznie małymi literami i inne, napisane wyłącznie po angielsku („Kurzprogramme” / „A QUICK FIX”). Nie licząc zapisanych kursywą „wrzutek” najczęściej z anglojęzycznych piosenek. Niejednoznaczność objawia się też w niemieckojęzycznym tekście: wyrazy obce i żargon sąsiadują ze sobą, nie konkurują.

Główni bohaterowie, Thomas i Senta, mają swoje dziwactwa, ale nie są postaciami o wielu wymiarach. Thomas jako przeciwieństwo Senty, zresztą niekonsekwentne, ponieważ często myśli to samo co ona, wykonuje te same ruchy i chce mu się wyć (co jest ulubionym zajęciem Senty), wydaje się mniej przemyślany i bardzo stereotypowy. Trywialne sformułowania są niekiedy tak nagromadzone, że można przypuszczać, że chodzi o ironię – co najwyraźniej nie działa. „... że jego oczy podpełzły po raz pierwszy”, „jego oczy podpełzły skądś...”, „najczęściej pełzają jednak po jej mózgu”. Horror w knajpie, i to trzy razy w zaledwie siedmiu liniijkach.

Pokazanie początku miłosnego związku poprzez ironiczne załamania konserwatywnej narracji to próba interesująca. Niestety, nieudana.

Rita König

Źłumaczenie Grzegorz Kowalski

Helge Timmerberg, *In 80 Tagen um die Welt*, Rowohlt Berlin Verlag GmbH 2008, 288 Seiten.

„Man reist heute 10mal so schnell, wie vor 100 Jahren“, lässt Jules Verne seinen Phileas Fogg sagen, bevor es zu der Abmachung kommt und die „Reise um die Welt in achtzig Tagen“ beginnen kann. Im Jahr 2005 flog Steve Fossett in 67 Stunden nonstop um die Erde und mit Zwischenlandung hätte er auch nicht viel länger als 80 Stunden gebraucht. Auch Helge Timmerberg nutzt das Flugzeug, weil „die Romantik der christlichen Seefahrt in den Häfen zu finden ist, nicht auf den Schiffen“, und das Meer „so romantisch wie Dauerkotzen“ ist. Der Autor zahlreicher Reportagen und Bücher strebt keinen neuen Geschwindigkeitsrekord an, sondern will in genau achtzig Tagen entlang der – leicht variierten – Route des gleichnamigen Buches von Jules Verne die Erde umrunden. Die Frage der Langsamkeit wird nicht weiter thematisiert, auch nicht die nach Abenteuer und neuen Welten, wie sie Jules Vernes Figuren umtrieben. Helge Timmerberg reist seit mehr als 30 Jahren über den Globus und aus der Frage nach Abenteuer ist die nach Selbstfindung geworden. Er erlebt alles im ‚abgesicherten Modus‘: bestens versorgt mit Erfahrungen, Geschichten und Adressen von früheren Reisen – sowie dem nötigen Kleingeld. „330 Euro, ohne Frühstück.“ Für eine Nacht. Für ein Hotelzimmer, das „mit Hass aber ohne Geschmack“ eingerichtet ist und in dem „nur eins“ geht: „Saufen, saufen, saufen. Irgendwo da draußen. Egal was und so viel, dass ich sofort einschlafe, wenn ich nachher wieder aufs Bett falle, aber nicht so viel, dass ich vorher noch kotzen muß. Das ist ein guter Plan.“ Venedig heißt die erste Station, und weil hier „Liebende selig und Alleinreisende kreuzunglücklich“ werden, reist Helge Timmerberg, der seine Liebe zu Hause gelassen hat, schnell weiter – über Triest und Rimini in das Raucherparadies schlechthin – nach Griechenland, wo dann endlich auch mal die Sonne scheint. Er vergleicht sich mit Jules Vernes Helden, der auch mit einem „wiederkehrenden Problem“ – dem ihn verfolgenden Detektiv – beschäftigt war; bei ihm ist es die Frage, ob er inzwischen nicht genug gesehen hat. Es kommt selten vor, dass Helge Timmerberg in einen jammernden Ton verfällt, meistens nimmt er sich selbst auf die Schippe, erzählt locker, lustig und humorvoll von skurrilen und ungewöhnlichen Begegnungen und seinen Erkenntnissen während dieser Reise. Nur notdürftig an die Vorgaben eines Jules Vernes gebunden, lässt Helge Timmerberg sich nicht nur vom Wetter leiten, sondern bestimmt Reiseroute und Verweildauer aufgrund gegenwärtiger Gefühle, Vorahnungen und Wünsche.

In dem Buch wird viel geraucht, getrunken und gekifft, werden Hotelzimmer beschrieben und Erinnerungen gepflegt. Ein Reiseführer ist nicht daraus geworden, doch die wunderbaren Bilder von einem Sonnenaufgang über der Ägäis, der Hand des Buddhas über dem Kloster Po Lin und einer Straße in Mexico City steigen auf wie die „großen, bunten Luftballons“ im „Loch der Zeit“. „Aber irgendwo da draußen geht jedem Ballon das Helium aus.“

Rita König

Helge Timmerberg, *In 80 Tagen um die Welt*, Rowohlt Berlin Verlag GmbH 2008, 288 s.

„Człowiek podróżuje dziś dziesięć razy szybciej, niż przed 100 laty“ mówi Juliusz Verne ustami Phileasa Fogg, zanim dochodzi do zakładu i podróży *W 80 dni dookoła świata*. W roku 2005 Steve Fossett obleciał świat dookoła w 67 godzin, a gdyby zdecydował się na międzylądowanie, to i tak nie potrzebowałby więcej niż 80 godzin. Również Helge Timmerberg wybiera samolot, ponieważ „romantykę chrześcijańskiej podróży morskiej odnaleźć można w portach, nie na statkach“, a morze jest „tak romantyczne, jak ciągłe rzyganie“. Ten autor licznych reportaży i książek nie pragnie ustanowić kolejnego rekordu szybkości, chce przejechać w dokładnie 80 dni – lekko zmienioną – trasę opisaną w książce Juliusza Verne’a o tymże tytule. Tematu prędkości już nie podejmuje, nie zajmuje się też przygodą czy odkrywaniem nowych światów, jak to było w przypadku postaci Verne’a. Helge Timmerberg podróżuje wokół globu już od ponad 30 lat i chęć przeżycia przygód zmieniła się u niego w potrzebę odnalezienia siebie. Podróżuje w „trybie bezpieczeństwa“: jest doskonale wyposażony w doświadczenie, historie i adresy z wcześniejszych podróży, ma też niezbędne drobne. „330 euro,

bez śniadania." Za jedną noc. Za pokój w hotelu, urządzony „bez miłości, ale i bez smaku”, w którym chodzi „tylko o jedno”: „Chłać, chłać, chłać. Gdzieś tam, w mieście. Nieważne co, nieważne ile, ważne, żebym potem zasnął, natychmiast, kiedy padnę na łóżko, ale nie tyle, żebym musiał przedtem rzygać. Dobry plan.”

Pierwszym przystankiem jest Wenecja, a ponieważ tutaj „Zakochani dostępują zbawienia, a samotni podróżnicy popadają w depresję”, Helge Timmerberg, który swą miłość zostawił w domu, szybko rusza dalej – przez Triest i Rimini do rajy palaczy – do Grecji, gdzie wreszcie świeci słońce. Porównuje się z bohaterem Juliusza Verne’a, również zajęтым „powracającym problemem”, ścigającym go detektywem; u Timmerberga jest to pytanie, czy przypadkiem nie widział już dosyć. Rzadko się zdarza, żeby Helge Timmerberg zaczynał się skarżyć, raczej sam się z siebie nabija, opowiada ze swadą, wesołością i humorem o dziwnych i niecodziennych spotkaniach i o swoich przemyśleniach podczas podróży. Wskazówkami Verne’a co do wyboru trasy czuje się związany raczej luźno, zmienia ją w zależności od pogody, kieruje się aktualnymi doznaniem, przeczuciami i zachciankami.

W książce dużo jest picia i palenia – tytoniu i nie tylko. Opisywane są pokoje hotelowe i wspomnienia. Przewodnik z tego nie powstał, ale cudowne obrazy wschodu słońca nad Morzem Egejskim, dłoni Buddy nad klasztorem Po Lin czy ulicy w Mexico City wyrastają jak „wielkie, kolorowe balony” w „dziurze czasu”. „Ale każdy balon gdzieś tam, w locie, traci kiedyś ostatnią cząsteczkę helu.”

Rita König
Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

Jerzy Hajduga, *Wynajęty widok*, Wydanie autorskie przy współudziale Fundacji Sztuki na rzecz „Integracji” i Wydawnictwa ANAGRAM, Warszawa 2008, s. 48.

Andrzej Sulikowski w postłowie do najnowszego tomiku wierszy ks. Jerzego Hajdugi CRL pisze: „Jerzy Hajduga osiąga lapidarność tak konsekwentną, że nie ma mowy o nadmiarze słów, częstym w poezji współczesnej”. Kto zna wiersze poety z Drezdenka, ten wie, że Hajduga w dążeniu do lapidarności jest konsekwentny. Być może to jeszcze nie jest *haiku*, ale zapewne autor osiąga taką kondensację znaczeń, że nie ma w tych wierszach słów zbędnych i niekoniecznych.

Tkanka najnowszej poezji Hajdugi jest niezwykle gęsta, niepozwalająca bez szkody dla sensu ominąć jakiegokolwiek słowa. Trudno szukać tutaj rozwlekłej narracji, kreślonego powolną ręką opisu wydarzeń, majestatycznego pejzażu codzienności. Wiersze Hajdugi wpisują się raczej w poetykę stop-klatki, błyskawicznych ujęć, fotografii o krótkiej migawce. To niewątpliwie poetyka, która doskonale współgra ze światem przedstawionym. Hajduga ze swoim wierszem wkracza w rewiry wciąż mało spenetrowane przez poezję. A są nimi: szpital, choroba, śmierć. Owszem, śmierć w jej metafizycznym wymiarze zawsze była obecna w poezji. Hajduga jednak nie pisze o śmierci jako takiej, o śmierci *in abstracto*. Poeta interesuje się człowiekiem chorym, a nie chorobą, człowiekiem umierającym, a nie śmiercią. Dlatego w najnowszej poezji Hajdugi tyle dotkliwej, namacalnej cielesności, tyle przyglądania się ciału, jak choćby w wierszu *Kruszynka*: „przygląda się własnemu ciału/ nie dowierza/ nie dowierza/ że potrafi jeszcze/objąć przytulić”. W tych wierszach jest cała, zdawałoby się niepoetycka, fizjologia życia: obmywanie i umywanie, „strzęp ciała/podmyty krwią” (*Być jeszcze jedną prośbą*), „lewy i prawy pośladek/lewy i prawy policzek” (*Płyn do ust dezodorant*). Wydaje się, że Hajdudze udało się rzecz niezwykłą, jaką jest ubranie w materię poezji tego, co najczęściej ukrywane, wstydlive, a przecież tak pierwotnie ludzkie.

Większość wierszy z *Wynajętego widoku* dzieje się w szpitalu. Hajduga jest przewodnikiem po tym świecie, gdzie scenografię budują prześcieradła, łóżka, worki z brudną bielizną, schnąca piżama i szklanka z wodą. Zresztą jako kapelan szpitala bardzo dobrze ten świat zna. To jak przedsiónek czyściśca na ziemi, gdzie poprzez cierpienie i ból dokonują się ostatnie zmagania z Bogiem. Poeta nie szafuje jednak słowem Bóg, nie wzywa go nadaremno. Tutaj nie ma zmagañ pobożnych czy metafizycznych. Szpital to miejsce zmagania

samego z sobą, z własną słabością, człowieczeństwem, ciałem, z kolejną chwilą do przeżycia. Ale Hajduga zapuszcza się jeszcze dalej, zapuszcza się na cmentarz, o którym pisze w zaskakującej metaforze, jak choćby w wierszu *Nie mów, że grób to cmentarz*:

ziemia ma prawo mieć brzuch
oczekująca jak kobieta
dźwiga swój ciężki

niech wszyscy wiedzą
że mogą rodzic

Cmentarz nie jest miejscem śmierci, lecz życia. Tam dokonuje się przecież czekanie na nowe narodzenie. Obecność przy zmarłym to nie jest oplakiwanie, to raczej milczące trwanie: „wracam na pamięć wstążką/ wśród wieńców/ złóż proszę we mnie/ zziębnięte dłonie” (*Nie do popełnienia*).

Wiersze Hajdugi nigdy nie wpisywały się w konfesyjny nurt poezji kapłańskiej. W *Wynajętym widoku* poeta jest wierny obranej perspektywie. Nie ma tu deklaracji, autorefercyjności. Nie ma też typowego dla poezji religijnej misyjnego nachylenia, chęci nawracania. Hajduga nie poucza, nie strofuje, nie zachęca. Wiersze poety z Drezdenka to poezja milczącego trwania przy drugim człowieku z całym jego bagażem egzystencji, który objawia się najdotkliwiej w zmaganiach z cielesnością. Z tego milczenia rodzą się słowa, krótkie frazy, westchnięcia, niczym akty strzeliste: „Jezu/ a co ze mną/ coraz mniej/ za mało” (*Pamięci ks. Jana Twardowskiego*). W takim znaczeniu poezja ks. Jerzego Hajdugi jest świadectwem. Daje kłam jakże powszechnemu przekonaniu, że kapłaństwo jest równoznaczne z odcieśnieniem, wyabstrahowaniem, utratą kontaktu z codziennością. W epicentrum kapłańskiego zainteresowania staje bowiem nie jakaś steologizowana, platońska, idealna dusza, która po śmierci staje przed Bogiem, ale człowiek z jego ciałem, często nagim ciałem: „ze aż dłoń pod prześcieradłem/ proszę rozbierz mnie gustowniej” (*Tyle mnie we krwi*). I oto narzędziem poetycko-kapłańskiego poznania staje się dłoń i dotyk. *Wynajęty widok* ks. Jerzego Hajdugi nie jest bowiem ostatecznie o patrzaniu, ale o dotykaniu, najbardziej ludzkim ze zmysłów.

ks. Andrzej Draguła

Adam Żuczkowski, *A w ustach węzeł słów*, Pro Libris, Zielona Góra 2008, s. 61.

Jeśli przyjąć założenie, że tytuł tomu – w szczególny sposób – kondensuje najważniejsze treści poszczególnych wierszy, mamy do czynienia z sytuacją niezręczną. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że tytuł może – w jakiejś mierze – odzwierciedlać także obecny status poetycki autora. Też pierwszą i drugą łatwo zweryfikować już po pierwszej lekturze. Problem polega na tym, że jedna i druga nie pasuje ani do Adama Żuczkowskiego, ani do jego najnowszej książki – *A w ustach węzeł słów*. Cóż nam pozostaje? Kolejny paradoks? Absurd? Tam, gdzie wyczerpują się kolejne manewry, rozpoczyna się dopiero interpretacja.

Tytułowy „węzeł słów” sugerowałby, że Żuczkowski ma problemy. Problemy wynikające z niemożności pisania i mówienia tego, co chciałby powiedzieć. Nie jestem laryngologiem, ale wyobrażam sobie, że wtedy słowa stają w gardle, grzęzną w ustach, nawarstwiają się tworząc anty semantyczną kluchę. Jest ich tyle, że trudno je i przełknąć i wypluć. Stanowią coś niedookreślonego i – co dla autora najważniejsze – bezużytecznego. Zauważmy, że tytułowa fraza poddana jest drobnej, choć istotnej modyfikacji. W wierszu dedykowanym Baczyńskiemu, pojawia się nie „węzeł”, ale „kęsy słów”. W dodatku słów kalekich, które tamują oddech. Prawie idzie o to samo, ale – jak wiadomo – prawie robi wielką różnicę. Żuczkowski wydaje przecież kolejne książki i pisze kolejne wiersze. Zatacza coraz szersze kręgi. Istotne frazy poetyckie rodzą się i z kęsów, i węzłów. Posiada niewiarygodne zdolności? Nie, raczej z pełnych sprzeczności napięć i paradoksów

odwzorowuje swój poetycki świat. Świat – jak celnie zauważa w postawie Czesław Sobkowiak – pełen niepewności, prywatnych niepokojów i niejasności bytu. Wie też, że *oswajanie tego świata /rozpoczyna się/od dotknięcia człowieka*.

Świat współczesny jawi się Żuczkowskiemu w mrocznych barwach. Jest zły, a poprzez to z dnia na dzień staje się coraz bardziej obcy i stanowi coraz większe zagrożenie. Chcąc ocalić człowieka i istotę człowieczeństwa poeta szuka ratunku i w tradycji i w historii. Podejmuje dialog z Mickiewiczem, Norwidem, Gombrowiczem i Herbertem, a kiedy to nie wystarcza odwołuje się do Księgi. Polemizuje. Przypomina. Poucza. Walczy z uprzedzeniami, szablonami i obłudą. Przystawalność sytuacji i zdarzeń jest uzasadniona, o ile już kiedyś udało się to zrobić. Czyżby prawo serii transponowane w rejonie poezji?

O ile sfera formalna wierszy poddana jest rygorystycznemu ujednoczeniu, tak wachlarz podejmowanych tematów zdaje się rozciągać w nieskończoność. Żuczkowskiego interesuje zarówno to, co tu i teraz, jak i to, co tam. Nie może przejść obojętnie ani obok wyrzucanych książek, ani wobec spraw – jak się zdaje – poważniejszych; ostatecznych.

Patriotyzm, ojczyzna, szeroko pojęta polskość – to wszystko z pewnością odprysk romantyzmu, którego poeta nie chce albo nie może się pozbyć. Blisko tu założeń programowych Nowej Fali i zarazem bardzo daleko od tego, co dzieje się w dzisiejszej poezji. Nikogo nie trzeba przekonywać, że Żuczkowski stąpa po niepewnym gruncie, i nie idzie tu wcale o wyeksploatowanie tematu. Przeciwnie, podejmowanie w wierszach problemów – którymi z natury rzeczy zajmuje się dziś przede wszystkim socjologia i politologia – jest zajęciem ryzykownym. Na palcach obu rąk można by policzyć autorów, którzy podobnie jak Żuczkowski sprawy społeczne, w tym zagadnienia polskości, uważają za niezwykle istotne. Już na palcach jednej ręki można policzyć tych, którym się udaje omijać publicystyczne głębie i nazbyt polityczne metafory. Żuczkowski chce mówić własnym głosem, ale – jak się zdaje – wciąż szuka usprawiedliwienia w odniesieniach metafizycznych i w mesjanizmie. Szuka potwierdzenia swoich obaw u innych. Szuka też potwierdzenia samego siebie poza samym sobą. I choć popada momentami w mentorski ton, udaje mu się realizować od czasu do czasu to, do czego wielokrotnie Miłosz namawiał Herberta. Zdobywa się na chłodną ocenę sytuacji. Zmienia perspektywę, a tym samym przewartościowuje idee, w tym także idee polskości. Ucieka publicystyce.

Czesław Markiewicz twierdzi, że poeta eksponuje „ja” liryczne w kontekście kulturowych i obyczajowych fetyszy współczesności. To niejasne uogólnienie, które nie ułatwia recepcji. Poza tym nie rozumiem do końca, czymże miałyby być ów fetyszyzm. Wolałbym widzieć w tym społeczne kompleksy, które warunkują poetyckie preferencje. Obcowanie z tym „fetyszyzmem materii” żadnej satysfakcji autorowi nie przynosi, czego najlepszym dowodem są poszczególne wiersze. Niezgoda, którą dzieli się z nami autor bywa interesująca. Szczególnie wtedy, gdy zaklina ducha miejsca – o którym pisze Sterna-Wachowiak, jak i wtedy, gdy zastanawia się nad etyczną stroną człowieczeństwa; nad etyczną stroną umierania. Intrygujący jest tam, gdzie pozwala sobie na okrucieństwo i ironię, jak choćby *W Celofanie*: „Twarz nie leży już/jak trzeba/na twarzy/ tu i ówdzie odstaje od reszty/ uwiera/ niekrochmalona/jak pytanie/ Salony ze świętym/ zadęciem/ na kłęczkach/ zdychają – / przeżarły się/ powagą chwili”. Czasami bywa też nieznośny i banalny: *Tęsknota to niebieski motyl/ oczekiwania*. Szkoda, że skomplikowana strategia poetycka temu wymyka się czasami wierszom. Rodzi to nieodparte wrażenie, że Żuczkowski chce powiedzieć nam za wiele, że wpycha do worka wiersza więcej, niż ten jest w stanie pomieścić. Należy szanować te próby, bo dzisiejsza poezja potrzebuje nowych poszukiwań i nowych rozwiązań. Na szczycie nie ma miejsca na powtarzalność i kalkowanie cudzych emocji. Na szczęście, poezja Żuczkowskiego znalazła już swoich odbiorców w Wolsztynie. Jeśli nie zyska nowych, niewiele się zmieni, najważniejsze by pozostali ci, którzy już są.

Konrad Wojtyła

A my – ale czymże my jesteśmy? Czy tamtym, czy tym,
co się jeno zbliża i staje w czasie?

Plotyn, *Enneady*, VI, 4 § 14

Retro – i futurospektywa Eugeniusza Kurzawy *Autoportret z przyszłością* na stronach od piątej do sto dwudziestej czwartej prezentuje 100 wierszy, wśród nich tłumaczone na niemiecki (Barbara Krzeszewska-Zmyślony), litewski (Gintaras Patackas), białoruski (Sokrat Janowicz), angielski (Olena Waśkiewicz, Wojśław Brydak). Okrągła setka na pięćdziesięciolecie (z hakiem) animatora suwalskiej kultury sprzed lat – ocala to co najcenniejsze z 13 tomów: *Wiem* (1979), *Serial codzienny* (1986), *Nie jesteś tu* (1986), *Samotnieję* (1986), opublikowanego przez STK w czasie, gdy Jubilat pracował w „Krajobrazach”, *Nad Błędem i Obrą* (1989), *Zapis I* (1990), *To wszystko nic* (1990), *Konieczność i nietrwałość* (1995), *Zapis II* (1996), *Oczko. Wiersze dla żony* (1999 w dwóch egzemplarzach), *Wiersze przydomowe* (2000). Zamyka wybór 25 *Wierszy nowych*.

Summa Kurzawy ukazała się przy pomocy Przyjaciół i Urzędu Marszałkowskiego w Zielonej Górze ze stroną tytułową projektu Andrzeja Strumiły: zaś foto-ilustracjami w stonowanej czerni – jakby zapewne określił Stanisław J. Woś – tym razem ozdobił wydanie Leszek Krutulski. Na otwarciu wita nas stary wiersz 0

Z DRZWI

Wejdźcie przyjaciele.

Siadajcie.

Nic nie mówcie.

Porozmawiajmy.

Na zamknięciu (polskim) zęgna:

dobrze jest mieć
czym się martwić
tylko martwi się
nie martwią

W pozostałych dziewięćdziesięciu ośmiu wierszowizyjnych ramkach mówi się, mówi się... Czy jest to rozmowa sercem, czy rozumem kontrolowana? Czy aby z czasem dusza z ciała wiersza nie uleciała? A jeśli tak, to w jakie rejony? I o tym będzie recenzja, nim reszta stanie się milczeniem w oczekiwaniu na nowe. Śladem starej Nowej Fali i Nowych Roczników, które zostały „zmyte przez wtórną nową falę” (s. 69) wzbiera ów pesymistyczny strumień z relatywistycznymi dopływami.

Warto zajrzeć do pierwodruków i porównać je z aktualnymi kształtami dość gruntownie nieraz przesztychowanych wierszy. Czy aby tylko dla zasady, że „korekta jest nadzieją // jak to co jeszcze trwa” (*Korekta II*, s. 73).

Dla przykładu wersja pierwotna i aktualna:

*** / ***

możesz otrzymuje dyrektywy / możesz otrzymuje dyrektywy
na górze synaj / na górze synaj
mija z górą cztery tysiące lat / mija z górą cztery tysiące lat a gdy
w połowie stuknął krzyżyk / w połowie stuknął im krzyżyk piłat
piłat umył ręce a mimo to / umył ręce lecz mimo to wszedł do historii
wszedł do modlitwy do historii / nawet jak święty do modlitwy nie swojej

był ateistą (?) nie wierzył w tego / wiary nie uwierzył w tego którego skazał
którego skazał - - - - -

wytyczne są nadal aktualne tylko / wytyczne są nadal aktualne
zdevaluował się bóg / tylko zdevaluował się bóg
jesus pierwszy komunista / jesus jako pierwszy komunista
(*Serial codzienny*, s. 20) (*Autoportret z przyszłością*, s. 42)

I kolejne dwa fragmenty z wiersza dedykowanego „rodzicom”, z którego *Serial codzienny*, wydany w serii V *Pokolenie, które wstępuje* w roku 1979, wziętą tytuł:

Z ŻYCZENIAMI POGODY DUCHA / Z ŻYCZENIAMI POGODY DUCHA

Rodzicom / rodzicom

Oni już pozostaną / oni już pozostaną
tacy z Matką Boską / tacy z matką boską
i różańcem i nadzieją / różańcem i nadzieją
na cudowne uzdrowienie / na cudowne uzdrowienie
(...) / (...)
ojciec ciągle coś robi jeździ na działkę / ojciec ciągle coś dłubie jeździ rowerem na działkę
matka narzeka i modli się / mama gotuje narzeka i niepotrzebnie
za mnie / modli się za mnie
(*Serial codzienny*, s. 28) / lata 70. – 2005 (*Autoportret z przyszłością*, s. 105)

Ortodoks podsumowałby krótko: Synu marnotrawny n i e p o t r z e b n i e nie bluźnij! Czuj Ojca swego i Matkę swoją, która z nadzieją otwiera niebo serca i wiary, zwłaszcza że wcześniej o „dyrektywach z góry Synaj” powiedziało się: „wytyczne są nadal aktualne”, a nie wszystkim – „zdevaluował się bóg”.

Może warto wziąć pod rozwagę zdanie Czesława Miłosza z *Ziemi Ulro*: „człowiek nie potrafi wierzyć w coś, czego nie rozumie”? „Wszechświat jest formą istnienia białka. /Ale coś czasem w kominie załka...” – śpiewają Skaldowie jakby na potwierdzenie faktu, że oczywistość sprowadza poetów na manowce. Toną w rozumie XIX-wieczną świadomością, a udają XX-wiecznych. Nowoczesna fizyka kwantowa miałyby tu też coś do powiedzenia.

Ortodoksja ortodoksja, a ducha poezji tropić warto, zwłaszcza, że znakomity autor *Posłowia* – Andrzej K. Waśkiewicz – w szczegółach znalazł wiele, a w ogóle stwierdził, że to „Mądre, gorzkie, ale i pełne nadziei wiersze”. No właśnie – gdzie, jaka i w czym ta nadzieja? Jak można nie wierzyć w nic i mieć nadzieję na coś? Z jakiej materii owo COŚ jest budowane, bo sam automatyczny czy półautomatyczny „zapis”, deklarowany i podkreślony dwoma tytułami tomów – to zaledwie technika utrwalania. Czytelnik wie dobrze, iż na tym polu kamery cyfrowej i atomowego zegara żaden najnowocześniejszy wieszcz nie prześcignie. Zdałaby się też większa moc niż 3,5 wata. Może przebudować zasilacz, gdy zawodzi

zbudowany własnoręcznie transformator
przetwarzający
wielki prąd kontaktów
z wszechświatem na niewielką moc
zaledwie rozpraszającą zawiesinę ciemności
budującą przystępną
szarość
jutra
(s. 90)

Ta *Wieczna lampka* drogi do wieczności nie rozświetli na postromantyczną sławę i chwałę, a należałoby ocalić proch, z którego wyłania się myśl na przeciąg życia, myśl twórcza – przeblysłk wieczności niedostrzeżonej.

Kurzawa wadzi się z wieszczami dawnych i nowych romantyzmów od Adama do Krzysztofa Kamila: *** (*rozszarpały się setki stron tysiące wierszy*), *Do K.K. – To wszystko nic*. Nie przepuszcza „poetom przeklętym” i „kaskaderom literatury” – Markowi Hłasce czy Rafałowi Wojaczkowi, wbijając w motto słynną frazę autora „Nie skończonej krucjaty”: „Poetów należy używać”. Ale z używaniem siebie jakoś nie radzi, niebezpiecznie publicystyczniejąc albo gromiąc już w tytule wilczęta wyroste z wnucząt („Pochwała kurewstwa czyli z życia żurnalistów”). Z „Moimi rocznikami” poeta żegna się z nostalgią w parabazie wiersza datowanego 2001 – 30 I 2002:

chcieliśmy być uczciwi
wobec życia prywatni i poetyccy
pisać wiersze i zmieniać świat
lub chociaż otoczenie i siebie
(s.68)

Zamiast nadziei unosi się nad tymi strofami aura wypalonych pokoleń, po których zostanie nawet nie „żłom żelazny”, a – makulatura zwietrzałych manifestów i echo starej nowomowy, „fobie, frustracje i falowanie / nieistniejącej duszy” (s.60). W martwocie tej materii nie widać czasu na zmiany.

Na osi symetrii tomu (s.61) znalazł się wiersz programowy, wg którego

POETA

musi być
po właściwej stronie
słowa żeby istnieć

Jednak tej „właściwej strony słowa” Kurzawa nie odśłania. I samotnie, publicystyczniejąc pośród przyziemnej materii komercyjnego konsumpcjonizmu i koniunkturalizmu. Teleportacji medialnej ani dusz bratnich obcowania ponad czasem i przestrzenią, mimo przywoływanego gdzie indziej Swedenborga, jakoś tu nie widać. Może dlatego, że Swedenborg w odmiennych stanach świadomości równoważył rozum wiarą i prowadził pozafizyczny dialog dusz. Kurzawie pozostaje automatyczny zapis nierzeczywistej rzeczywistości i satysfakcja, iż „jestem czułym sejsmografem”. Ale to tylko czułość wilkanowskich zaciszy pod opieką domowych i ogrodowych Aniołów. Każde nowe otwarcie na świat prowadzi nieuchronnie do konstatacji rozpadu, sygnalizowanego lękiem wobec skończoności materialnego bytu, niewypowiedzianej „marność nad marnościami”, gdyż bezduszny materializm niczego innego zaferować nie może; jedynie zapis półautomatyczny, a z czasem - automatyczny. Rzadkością są takie chwile:

gdy stanę na podwórzu przed moim domem
czuję rosnącą nieskończoność
(s.87)

Ale do końca wiersza poeta zdąży zasklepić się w „skończoności”, a 22 strony dalej przygasa w pełnym słońcu wieku dojrzałego:

już się nie zerwę
do lotu
(wiersz datowany jest 21 XI 2005 Wilkanowo)

Jean Guitton rozważając sens czasu ludzkiego w aspekcie kontaminacji i dysocjacji poza banalną uwagą na marginesie, iż „Przyszłość jest dziedziną złudzeń” gdzie indziej nadmienia: „Dlatego jeśli chce się poznać wartość istnienia, niewskazany jest pośpiech, pożądany natomiast jest pewien umiar. Zarzucano Goethemu, że zalecał nieprzyspieszanie rytmu życia: *Das ewige gelten lassen, das leben und leben lassen*. Ale życie zgodne z wrodzonymi zasadami moralności, nie doprowadzające do kontaminacji będącej wynikiem odczucia marności tego świata ani do dysocjacji wyphywającej z pychy, docenianie wartości chwili obecnej i na podstawie przemyślanych wspomnień tworzenie nowej terażniejszości przygotowującej następną, jeszcze lepszą, przechodzenie zatem od poezji przeszłości do prawdy przyszłości – to istota mądrości ludzkiej, a zarazem jej rezultat”. Na kolejne pięćdziesięciolecie życzymy więc Poecie ożywczej nadziei w czasie nieomkniętym i aby nie zrywał się na tych, którzy z wolnej woli i szczerego serca bezinteresownie modlą się za pomyślność jego dzieła, widząc w żywym ciele żywą duszę, a nie tylko sejsmograficznie użyteczny przedmiot postępu dziejów. Bo jeżeli ów pseudopostęp postępuje depcząc czynnie relatywizowane dobro i piękno, może najwyższy czas zastąpić inżynierię dusz solidnym i odpowiedzialnym rzemiosłem. Czyżby Kurzawa, gromiąc Trzech Wieszców, zapomniał o Czwartym – Cyprianie Kamilu Norwidzie i jego użytecznej radzie:

Bo piękno na to jest by zachwycało
Do pracy – praca, by się zmartwychwstało.

Wacław Klejmont

Jan Janusz Werstler, *Kunickie strofy*, Kunickie Stowarzyszenie Inicjatyw Pozarządowych, Żary-Kunice 2008, 54 s.

Janusz Werstler jest poetą dojrzałym, ma swój, charakteryzujący go sposób patrzenia na świat. Jego dorobek jest niezbyt obszerny, ale wyrazisty. Przede wszystkim to do czego doszedł zawdzięcza przestrzeganiu dobrej zasady, którą można określić mianem wierności obranemu tematowi. Tym tematem na początku było życie jako takie, później moralność rozpatrywana w kontekście doświadczeń wojennych, ale już wtedy poeta zaznaczał, że narracje i inspiracje klimatami lokalnymi są dla niego ważne. Jednak jeszcze na tej drodze daleko było do apologii idei i mitologii „małej ojczyzny”. W pewnym momencie uświadomił sobie, że jego temat, a zarazem żywioł liryczny, ściśle wiąże się z miejscem zamieszkania. Żary – topografia i historia – zawładnęło jego strofami bezgranicznie, zdaje się, że w kolejnych tomikach nastąpiło daleko idące utożsamienie z miejscem życia i pracy. Tyleż samo ważny okazał się opis miasta, co spojrzenie na sferę społeczną, poprzez wprowadzenie – tak to określe – czynnika ludzkiego. Ludzi, którzy podobnie jak on kształtowali i budowali jego sferę kulturalną, wyznający fascynacje podobne do jego fascynacji, podobne idee, które dotyczyły bezinteresownej obecności w kręgu najbliższego świata. Udowodnił swoimi wierszami, że więzi osobiste, prywatne, znaczą dla niego tyleż samo co oficjalne. To znaczy: jego ład świata, który z wierszy da się wyczytać polega na tym, że wartościowe jest w nim to, co da się wzajemnie przekładać, co się nie oddziela ani nie rozdziela, ale jest wyposażone w tę samą tkankę człowieczą i ludzką, tak samo weryfikowalne w każdej sferze życia. Przez to dużo w poezji Werstlera tkliwości i głębokiego odczucia cudzego losu, zwłaszcza w tomie *Ocalone w słowie* (2001). Czasami też popada w bardzo sentymentalny tom. Można to rozumieć, a już po ludzku na pewno należy docenić. Ten sposób kreślenia wizerunku postaci i krajobrazu jest mu najbliższy i zawsze go interesował. I jako poecie udało mu się zapewne na tym polu artystycznie spełnić. To, że jest poetą zdolnym wrażliwie opisywać nie tylko wyjątkowo własne gniazdo, żarskie domy i ulice, świadczy kolejny, najnowszy zbiorek pt. *Kunickie strofy*; niezbyt obszerny, gdy idzie o zasób tekstowy (mogłoby wierszy być więcej), w którym temat także mu blisko znany stanowią Kunice, pobliskie wobec Żar. Akcent położony został w tych zwartych, oszczędnych w wyrazie, wierszach na czynnik społeczny. To są z jednej strony poetyckie obrazki miejsc dla tej miejscowości ważne, jak: Stara Huta, Glinianki, Cegielnia, Dworzec, Bawelna, Kafłarnia, a z drugiej, bardzo byśmy byli

w błędzie, gdyby te obrazki jako takie chciał odbierać dosłownie. Raczej ukazany jest za każdym razem problem z nimi związany. Problem niegdyś trwającej wszędzie wytężonej pracy. To poetę naprawdę obchodzi. Świat jednak się zmienił, inne są powody powstania nieco fantasmagorycznie opisanej nowej części miasta w wierszu *Nowe Kunice*. Niby dobrze przyjmuje ten fakt, ale tej fadności nowych domów Werstler zdaje się nie do końca chyba dowierzać. Jakby nic za nimi nie stoi, są wyłącznie fasadowe, odkonkretnione, nie to w nich obecne już, co stanowiło niegdyś o rytmie życia w przeszłości. Zostali też konkretni ludzie Kunic wprowadzeni do poszczególnych wierszy, ci którzy to miasto w najwyższym stopniu reprezentują. Są i odniesienia do historii. Z jednej strony tomikowi patronuje „Przydrożna kapliczka” (znak lokalnego sacrum), a z drugiej pojawiają się: „żar z tego pieca” (dobrze, mocno to brzmi) „zatroskane twarze”. Werstler lubi być dosłowny, konkretny, wiarygodny, faktograficzny, niekoniecznie bardzo metaforyczny, ale na pewno podnoszący zwyczajność do rangi poezji. Myślę, że w budowaniu mitologii tego miasteczka – Kunic wykonał ponadprzeciętną pracę. Choć na dobrą sprawę są to tylko migawki, szkice niemal, zwięzłe poetyckie zapiski, ale jednak mogą wzruszać, czy wzruszą także mieszkańców, czy się w tych wierszach odnajdą, to już inna kwestia. Myślę jednak, że jest coś na rzeczy, gdy zważymy, że na spotkaniu promocyjnym tego zbioru, w Domu Kultury w Kuźnicach, pojawiło około dwieście osób. To jest na pewno jakaś miara społecznego zainteresowania wykonaną przez poetę pracą. Zbiorek ilustrowany bogato, na kredowym papierze, wydało w nakładzie 750 egzemplarzy Kunickie Stowarzyszenie Inicjatyw Pozarządowych.

Czesław Sobkowiak

Henryk Szyłkin, *Santoka*, Regionalne Centrum Animacji Kultury, Zielona Góra 2008, 48 s.

Henryk Szyłkin, to bez wątpienia dzisiaj najstarszy lubuski poeta, urodzony w 1928 roku, i można rzec: z innej epoki, planety, pamiętający inny świat. Niewątpliwie jest postacią barwną, pełen różnych fascynacji, wiedzy życiowej, różnorakich przygód i przeżyć, doświadczeń wojennych i powojennych, a zwłaszcza zapobiegliwy i zaradny życiowo. Na przykład niezwykle zaradny w publikowaniu kolejnych zbiorów wierszy; po roku 1990 jego książki ukazywały się corocznie, co może nie jest najlepszym rozwiązaniem dla literackiej strategii. Źródłem jego tworzenia jest nostalgia oraz emocjonalna reakcja na codzienne wydarzenia. Ostatnio, co kolejne tomiki potwierdzają, jego uwaga skupiona jest niemal wyłącznie na przywoływaniu kresowych, a raczej głównie santockich obrazów dzieciństwa, które zapadły w jego dziecięcą i młodościową pamięć. Urodził się bowiem w zaścianku Santoka, położonym w dawnym powiecie święciańskim, w rozwidleniu rzek Łokai i Żejmiany. W miejscu naznaczonym dzianiem się historii. Symbolem dzieciństwa zawsze jest dom. Do niego się wraca. Fotografiami tego domu, fotografiami rodziny na jego tle, poeta ilustrował niejednokrotnie swoje książki. Do Santoki jako ściśle swojego tematu wracał w różnych okresach życia, wiersze wspomnieniowe pojawiały się już w kilku jego książkach. Tym razem jednak postanowił je zebrać w jednym wydaniu, nazywając swój kolejny tom po prostu *Santoka*. Na okładce książki został umieszczony właśnie santocki dom, jak widać, już po dokonaniu znaczącego remontu. Jego miejsce jest centralne wobec pięknej i bogatej przyrody. Do tego krajobrazu wraca Szyłkin realnie, bo często swoje rodzinne strony, swoją łtakę odwiedza, (choć trudno Szyłkina nazywać Odysem, nie żeglował po morzach) i poetycko odwiedza w poszczególnych wierszach. Jednak, jeśli mógł nawet dotknąć dawnych drzew, kamieni, zobaczyć i usłyszeć ptaki, i spojrzeć na tamte pola, lasy i zakola rzek, nawet łowić w nich ryby czy zbierać w lasach grzyby i jagody, to nie mógł tylko jednego – znaleźć się ponownie w świecie dzieciństwa, bo dzieciństwa nie można zobaczyć, nie można do niego przyjechać na wakacje, owszem każdy przyjazd może być pomocny w rekonstrukcji tego wszystkiego, co kiedyś było i się działo, ale już tylko pamięć odgrywa usługną rolę rekonstruktorce. Nic więcej. Trzeba powiedzieć, że Szyłkin stara się udowodnić, że jego pamięć precyzyjnie funkcjonuje. To ona raczej konfrontuje dawne z obecnym. Najkrócej można powiedzieć, iż poeta widzi wszystko zmienione. „Nie ma żywej duszy” (*Zima w Santoce*), „Mostu też już nie ma, a był nasz rodzinny” (*Santockie brzozy*). Patrzy i nie odtwarza już nawet tamtych

obrazów, jakie były, ale jakie są teraz. Owszem stoi dom, można w nim mieszkać, zresztą osiemnaście lat mieszkał w nim poeta litewski Mieżelaitis, bo „Polubił ciszę santockiej ustroni”, obok domu jest chyba ciągle ten sam „Żuraw skrzypiący jak niegdyś przy studni”, „Ojca muzeum na strychu”, „Fortepian stryja”, ale poeta tyleż samo słusznie przeżywa, że „lipa u bramy złamana przez burzę”, „Rząd pustych uli”, „Nie widać dzieci idących do szkoły” (*Puste gniazdo*) – takie są te główne, dotkliwe doznania, obrazy, które powiadają w jakim miejscu i czasie jesteśmy. Oczywiście to nie odejmuje temu miejscu znamion ważności. Może ją nawet zwielokrotnia. Mimo dostrzegalnej katastrofy, bo np. „Rozwalone płoty”, a w innych wierszach to będą obrazy dewastacji polskich gospodarczych budynków i pól, np. „Pole ojcowizny od lat nie orane” (*Ziemia Ojca*), zaginęły w Rymkach folwark szlachecki, „a w nim szkoła nasza cichutka i skromna”, nie ma „ani chłopskich domków” (*Moja szkoła*), ale jednak dusza poety podczas wizyty na moment ożywa jakby, bowiem podczas pobytu w rodzinnych stronach narasta poczucie swojskości, kiedy autor tych wierszy płynie łódką po Łokai i kojarzy sobie: „łozy jak dziewczęta wstąpiły do rzeki”. Miły to widok. Obraz tych dziewcząt mógł być wyłącznie wywiedziony z lat dzieciństwa. Cała reszta, myślę o współczesnych odniesieniach społecznych, jest przynębiająca. Po prostu, tu skończyło się dawne życie, żadna krowa swojsko, radośnie nie zaryczy. Gniazdo jest, ale „puste”, toczyło się w nim niegdyś jakieś życie, toczyła wielka historia, o której stara się Szyłkin poetycko dywagować, wykonywać jakieś gesty, formułować postulaty o pamięci, wierności itp. O jego deklaracjach religijno-patriotycznych wyłącznie już świadczy tylko grób powstańca „Na wiejskim cmentarzu” lub usytuowany w pobliżu domu „Krzyż santocki”. To są obrazy bólu i goryczy. Pisze o tym wszystkim Szyłkin niewątpliwie w poczuciu obowiązku, też w tym samym duchu kieruje swe prośby do „Pani Ostrobramskiej”. Choć nie do końca jasne jest czego obecnie te prośby miałyby dotyczyć, gdy wiernego „ludu”, takiego o jakim myśli poeta, tu po większości już nie ma. I wiadomo dlaczego nie ma. Szyłkin zawsze chce być dramatycznie poważny, ale jak to często bywa, niekiedy z odwrotnym, może niezamierzonym skutkiem, jak np. w wierszu *Wigilia w Santoce*. Jeśli jednak mówić o odnalezieniu w sensie pozytywnym przez Szyłkina swego kraju dzieciństwa, to na pewno nie jest to odtworzony dawny rytm życia, ale wyłącznie apologia i zachwyt nad pięknem i witalnością, sensualnie odczuwaną przyrodą. Ona jedna, jednak nie została potraktowana zdawkowo, ale bywa unaoczniana. Często i gęsto. Z nią poniekąd nadal mentalnie poeta obcuje. Jest poprzez nią zachowana jakaś kontynuacja. To ona jest tą Itaką, sferą autentycznego spotkania. Poeta jej malowaniem zajmuje się z całym poświęceniem. A więc są drzewa i ptaki, łąki i pola, owady, zioła, zboża, trawy, ścieżki, promienie świtu, rzeki. W wierszu *Moje drzewa* nie bez przyczyny czytamy: „Wszystko wam oddam, ale nie te brzozy / mrugające bielą”. Są też olchy, topole, sosny. Piękne, dostojne, ale i pomniejszych okazy natury – krzewy różnego typu. Całej tej sferze Szyłkin dedykuje swoją miłość. Warto byłoby to obrazowanie przyrody może poddać dokładniejszej analizie, bo tu zdaje się ukrywać dusza poety. Na pewno znajdą te wiersze czytelnika, któremu kresowe klimaty są znane, nie będzie mu przeszkadzać doza staroświeckości wywiedzona z poetyki Syrokomli lub Kasprowicza. Od strony edytorskiej tomik ten jest taki sam jak kilka poprzednich. Trochę jednak szkoda.

Czesław Sobkowiak

Edward Derylak, *Cień lasu, Pro Libris, Zielona Góra 2008, 274 s.*

Edward Derylak jest przykładem, jednak typowym ostatnio, podejmowania literackiej twórczości dość późno. Wtedy dopiero, kiedy już obowiązki zawodowe, etatowe, przestają mieć znaczenie i czasu do dyspozycji dostatecznie dużo na realizację jakichś wewnętrznych potrzeb lub ambicji w sferze literatury czy sztuki. Może to być realizacja na poziomie hobby, ale niekoniecznie, zdarza się, że pojawia się także twórczość z prawdziwego zdarzenia. To znaczy taka, gdzie opisanie świata i losu człowieka osiąga jakiś rozmach. I nie jest tylko nic nieznaczącą zabawą. Wiadomo, że taką zabawą bywa w licznych przypadkach pisanie wierszy, bo to trudne zbytnio nie jest. Natomiast podjęcie pisania prozy, która coś sensownego w sobie zawierałaby, już jed-

nak bez określonego wysiłku i nakładu wielu godzin pracy nie jest możliwe. Oczywiście w to rzemiosło trzeba się wprawiać. Myślę, że Edward Derylak od kilku lat do pisania prozy się przybliżał. Czytałem niegdyś jego zapewne pierwsze podejścia, próby prozatorskich narracji, które skłaniały mnie do krytycznych, aczkolwiek życzliwych uwag, ale dość długo później nie za wiele docierało do mnie, co z tych kroków wynikało. Toteż pewnym zaskoczeniem jest dla mnie książka prozatorska pt. *Cień lasu*, którą autor w Pro Libris wydał. Książka od strony edytorskiej prezentuje się dobrze. Na uwagę zasługuje determinacja autora w pozyskiwaniu funduszy, dzięki którym mogła się ukazać. Jak mi wiadomo na kilkadziesiąt instytucji tylko kilka zdecydowało się to przedsięwzięcie autorskie wesprzeć. Trzeba to docenić. Okazało się zarazem, że jest to już drugi tom prozy. Pierwszy, zatytułowany *Styro* ukazał się w 2004 roku. Autor mieszka w Żaganiu, a więc wzbogaca krajobraz lubuskiej literatury (wiem, że zawężam perspektywę oglądu) prozą, której za wiele się u nas jednak nie uprawia. Tę książkę gatunkowo można kwalifikować do prozy nurtu wiejskiego. Już nie w klasycznej formie, gdzie chodzi o odtworzenie wiejskiego świata, wnętrza ludzi, całego kosmosu życia i wartości plebejskich, podlegających bolesnej dla bohaterów erupcji w zderzeniu z realiami życia miejskiego, ale ukazuje świat ludzi zmagających się z warunkami życia, którym trudno podołać. Bohaterowie: Dzikie, Waldek, Wiesiek stanowią kumpłowską grupę, spędzają ze sobą wolny czas, przestrzegają kumpłowskiego ethosu, mogą na siebie w różnych sytuacjach liczyć, gdy trzeba, to służyć także pomocą. Oczywiście czasami muszą wyteńczyć siły i zapracować dorywczo na życie, co łatwe nie jest. Fabuła się dzieje na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy ludzie pracę w wyniku przemian ustrojowych tracili, wyjeżdżali za chlebem za granicę, ale nie wszyscy, ci którzy zostawali wiedli liche, przypadkowe życie, kombinowane, mogli, jak w tej prozie, pod osłoną nocy pojechać do lasu, aby pozyskać za darmo drzewo na deski i robić z nich palety, wtedy modny towar. Pili oczywiście dość często i gęsto wódkę. Wszyscy są ludźmi z krwi i kośćmi, ale już nie ma w nich poczucia wiejskiej tożsamości, żyją na wsi i nie ma to większego znaczenia. Żadnego cienia filozofii z tego powodu nie deklarują, no, może poza przywiązaniem do prawdy, uczciwości i poczucia godności. Nie pozwolą się oszukiwać. Trzeba zauważyć, że Derylak najpełniej, najbarwniej przedstawił życie właśnie Dzikiego, który jest człowiekiem prostym, zdecydowanym, twardym, ale nie prostackim czy wulgarnym, ani obcesowym wobec np. kobiet, wobec tej, którą sobie szczęśliwie upatrzył – pielęgniarki Michaliny. Ją samą też sympatycznie autor pokazał, jako mądrą życiowo osobę, spragnioną miłości. Po prostu toczy się w tej prozie życie, myśli o nim są potoczne, dotyczą codziennej egzystencji, o przeciętnych ambicjach, więc tu niczym się czytelnik nie zachwyci, gdy idzie o poziom refleksji, rubasność jest na pierwszym miejscu, a nie odniesienia do uniwersum, ale na pewno doceni znajomość samego życia, jego niuansów, realiów wiarygodnych zachowań, psychologicznego prawdopodobieństwa postaci. Tym może się Derylak pochwalić. Książkę swoją napisał rzeczowo, realistycznie, bez uprzedzeń czy ironicznego komentarza, próby wywyższania się i dezawuowania wszystkich naokoło. Jest ciężka praca, picie alkoholu, jest miłość, śmierć, niedostatek, są nieszczęścia. Jak w powszednim życiu – zwyczajnie, przeciętnie. Dialogi nie nużą, narracja celnie je uzupełnia. Język nacechowany jest żywością, surowością nawet, bez udawania i cyzelowania leksykalnego. Tak jak trzeba. Autor zmyślnie zbudował swoją prozę, jednak nie z wielu opowiadań, ale raczej z wielu fragmentowych odstępów opisywanego życia. Wątki są podejmowane i zawieszane w pewnym momencie, by w następnym rozdziale mógł się pojawić ten sam bohater, ale jednak w innej już sytuacji. Nie wiem czy świadomie, ale Derylak zdaje się wykorzystał poetykę telenoweli, przez co jego fabuła ma warki nurtu, cechuje się dużą dozą zmienności akcji. Zdarzają się jednak i potknięcia sytuacyjne, stylistyczne lub konstrukcyjne. Nie jest na pewno prozatorsko trafnie pomyślane zakończenie książki. Zbytньо cały tok narracji, zwłaszcza szpitalnej, zostaje sprowadzony do kategorii melodramatycznego przedstawienia, swobodnego happy endu, który tu jest błędem pisarskim. Można było nad tym więcej popracować. Bo nagle robi się słodko, niemal szczęśliwie, gdy mogło być pięknie dramatycznie. Na tym polega pisanie, by wybrać czasami właściwą, odpowiednią puentę, by kończący obraz, tak jak na filmie, wiele do całej treści dopowiadał.

Czesław Sobkowiak

Irena Zielińska: *Oceania irenejska*, RSTK, Gorzów Wlkp. 1998, 57 s.; *Naga rzeka*, Wydawnictwo Arsenał, Gorzów Wlkp. – Międzyrzecz 2003, 62 s., *Złota cisza poety*, Wydawnictwo Arsenał, ZLP Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów – Międzyrzecz 2008, 63 s.

Irena Zielińska, to poetka mieszkająca w Międzyrzeczu. Również jej twórczość stanowi przykład późnego debiutu. Można zaryzykować twierdzenie, że geneza eskalacji poetyckiej ekspresji ściśle łączy się w jej przypadku z kolejami osobistego losu, którego treścią są doświadczenia negatywne, bolesne, trudne, ciemne, odczuwczające również. Cierpienie wezwało – tak to określe – poezję na pomoc. Poeci często to robią, by ująć całość ze swoich opresji. Pisać o tym Grochowiak – o leczeniu ran poezją. A gdy o leczeniu ran mowa, to i o działaniu terapeutycznym mówić jest zasadne, co w niczym nie umniejsza wielkości i mocy poetyckiego rzemiosła. Cierpienie zresztą różnego rodzaju bywa. Dla kogoś pochmurny dzień, a dla kogoś innego codzienna nużąca, monotonna egzystencja, itp. sytuacje mogą stać się ważnymi powodami wewnętrznego bólu. Gdy jednak cierpienie bierze się z poczucia zagrożenia własnego bytu, z grozy doświadczanej konkretnie, egzystencjalnie, to już chodzi o coś bardzo poważnego. Nie można się dziwić, że w takiej sytuacji reakcją konieczną może okazać się tylko krzyk, który zawsze zwraca na siebie uwagę. Krzyk bowiem nigdy nie oznacza i nie dotyczy normalności sytuacji. W krzyku niczego nie da się zbudować, można tylko wyrażać. Dwie książki Ireny Zielińskiej: *Oceania irenejska* (1998) i *Naga rzeka* (2003) są aż nadto wymownym na to dowodem. Dają obraz doświadczenia życia zarówno wewnętrznego jak realnego tak przejmującego, tak dotkliwego, że trudno byłoby drugi taki, podobny, w lubuskim środowisku przywołać. Nie ma tu niemal żadnej gry znaczeniowej, jest tylko wyrzucanie z siebie obsesji, lęków, rozpacz, buntu nawet. Irracjonalności i absurdu istnienia. Oczywiście nie traci poetka panowania nad zasadami języka poetyckiego, ale często można odnieść wrażenie, że co innego dla niej ma znaczenie – chce jak najwięcej, najdalej, aktywnie, z uporem, niemal bezlitośnie przeniknąć wszystkie osobiste determinacje, by osiągnąć jakiś stan wyzwolenia, jakiś stan normalności. Tak jest naprawdę. Marzy oczywiście o innym świecie, w którym jest piękno życia, radość egzystencjalna i emocjonalna. Konfrontacje rodzą dyskomfort emocjonalny. Widać w jej postępowaniu poetyckim, co tylko potwierdza przekonanie, że najtrudniejsze doświadczenie dopiero wtedy jest przezwyciężane, gdy uzyskuje się wobec niego dystans, więc widać jak ważne jednak okazuje się osadzenie podmiotowego *ja* w kulturze, w jej formach i treściach. Zwłaszcza w *Nagiej rzecie* już fascynacje malarstwem, zwłaszcza muzyką czy teatrem doprowadzają do ustalenia bezpiecznych proporcji. W świat podmiotu włącza się kultura. Toteż w pewnym momencie już wprost wyznaje, już demonstrując swoją duchową zdobycz, iż jest w niej „teraz cud układania słów”. Dość długą musiała odbyć drogę do tego typu sformułowania. Na ten „cud” wskazuje oczywiście bardzo świadomie, gdyż nie inaczej ma się rzecz. Tak właśnie. Mówiąc wprost: Zielińska docenia wartość słowa, wiersza, poezji, bowiem ją samą wyraża, identyfikuje osobowo i jest orędownikiem jej racji istnienia, a nawet poczucia misji. Jest sobą: „Teraz nie wstydzę się swojej inności”. Dysponuje wewnętrzną wartością. Może ją publicznie eksponować jako jej własną, zdobytą. Docieramy do fundamentu człowieka. Kolejny, trzeci zbiór wierszy pt. *Złota cisza poety*, również wydany w wydawnictwie Arsenał, podobnie jak poprzednie ilustrowany jej rysunkami, pokazuje, iż poetka już jest na innym terenie, już po stronie słowa, słowu uwierzyła i zawierzyła niemal bezgranicznie, traktując je jak doświadczaną rzeczywistość. Rzeczywistość o tyle bezpieczną, że symboliczną. Ten imaginowany świat daje pole do popisu wyobraźni. I daje pozór rzeczywistości, więc łatwiej się w tej sferze poruszać. Tak więc udało się podmiotowi lirycznemu umknąć, uwolnić, wyjść po prostu – jak kto woli – z piekła rzeczywistości i znaleźć się po drugiej stronie, w raju wartości strictly literackich, papierowych, w świecie doznań niekiedy oderwanych od rzeczywistości. Z nadzieją, że prawdziwe wtajemniczenia duchowe dopiero tu będą mogły się dokonać. Nie ma już niedawnego żywiołu, jest więcej cyzelowania i powściągliwości. Sporo wierszy autorka pisze o wierszach, definiuje je: „W skalistej bieli wiersza / jest wzlot ciężarnego słowa”, „Cała jestem w twarzy / wiersza”. To wdzięczny temat, podobnie jak pisanie o innych poetach, bądź co bądź jest się bliżej refleksji, można nawiązywać kontakt z duchami wielkich poetów, wieść z nimi dyskurs jak np. w swoistym poetyckim *Liście otwartym do A. M.*, można poprzez pisanie o wierszu przemycać refleksje o świecie, i zarazem grać samymi tytułami: *Apokaliptyczny wiersz*, a obok *Filozoficzny wiersz*, *Kynologiczny wiersz*, *Luzacki wiersz*, *Wiersz*, *Marzenie poety*, *Wiosenny wiersz*. Jest to jednak ryzykowne. Tom składa się w przeważającym stopniu z wierszy o wierszach, więc wątpliwe czy to jest dobry sposób na uprawianie poezji, bo w ten sposób odchodzi

się na pobocza, w sferę dość jałowego dyskursu. Jeśli coś mi wypada w wierszach Zielińskiej cenić, to głównie obrazy życia, jej własnego lub cudzego, np. *Niebiański psychiatra*, *Reportaż*, *Toaleta poranna*. Na „złotą ciszę” jeszcze za wcześniej.

Czesław Sobkowiak

***Wysłuchani w kamienie Gorzowa, Arsenał, Gorzów Wlkp.* 2008, 212 s.**

Ireneusz Krzysztof Szmidt wykonał ogromną pracę. Ważną dla mitologii Gorzowa, do którego przed piętnastu latu przeprowadził się ze Szczecina. Ułożył bowiem sporej objętości, bo ponad dwustutronicową „Antologię wierszy wywiedzionych z życia miasta i jego mieszkańców napisanych przez poetów, którzy żyli i żyją lub gościli w Gorzowie” pt. *Wysłuchani w kamienie Gorzowa*. Została opublikowana przez Wydawnictwo Arsenał. Podszedł do zadania pieczołowicie, gdyż, jak czytam we wstępie Krystyny Kamińskiej „Domowy Gorzów”, która ponadto napisała noty biograficzne autorów: „przeczytał chyba wszystkie tomiki wierszy gorzowskich autorów, mnóstwo starych gazet, dotarł nawet do rękopisów. I okazało się, że Gorzów, miasto zniszczone straszliwie w czasie wojny, potem w centrum odbudowane bez szacunku dla przeszłości, miasto w czasach socjalistycznych przede wszystkim robotnicze, dla którego kultura, a literatura w szczególności była kwestia drugorzędna, że to miasto da się kochać i pisać o nim wiersze. Mało. Ono inspiruje do przemyśleń o życiu, losie, o miłości i śmierci. Także do obserwacji rzeczy małych a bliskich.” Dodam od razu od siebie: to dobrze, nawet bardzo dobrze, że coś takiego z twórczości miejscowych poetów da się wyczytać. Pod względem realizowania tematu miejsca, zaznaczania wielorakich odniesień topograficznych w wierszach, literacki Gorzów bije na głowę Zieloną Górę. Niestety. Mimo, że to tutaj przez lata był oddział literatów, tu zresztą powstał, funkcjonowało przez kilka dekad pismo społeczno-kulturalne „Nadodrze”, mimo że zielonogórskie środowisko długo było liczniejsze niż gorzowskie. W Zielonej Górze był konkurs winobraniowy, dobry konkurs, nawiązujący do wiekowej tradycji uprawy winorośli, sporo powstało wierszy, ale nie przeżyły się on w ważkim stopniu na stworzenie mitologii miasta, nie przydał mu na trwałe znaku rozpoznawczego. Widać, co innego ma znaczenie, co innego potrzeba. Wiadomo czego, takiego poczucia miasta, by był jakiś powód do pisania o swoim życiu z poczuciem obecności jego najbliższej przestrzeni, a więc parków, zwłaszcza ludzi, architektury, przyrody, całej materialnej sfery. Jeśli w Gorzowie taki proces ma miejsce, a jak widać ma, to z dwóch powodów, po pierwsze tradycję pisania o mieście – prawdziwego, wzruszającego – dość wcześnie zapoczątkowali dwaj przez lata reprezentatywni pisarze: Zdzisław Morawski i Irena Dowgielewicz. Stworzyli tradycję, przetarli szlak, następcom poszło już łatwiej, gdyż nobilitacja tematu została przeprowadzona. Trzeba też wskazać na drugi czynnik o dużej wadze i znaczeniu w procesie wiązania wyobraźni. A mianowicie: Gorzów ma Katedrę (ucieka do niej np. Teresa Borkowska „w zamyśleniu patrzę na Katedrę / uciekam rzeczywistości”, Furman widzi w niej „szerokobiodrą”), tramwaje (pisze Jerzy Hudziński: „Tramwaj się wyfaniał zza zakrętu”, na gorzowskim przystanku tramwajowym też stał Władysław Łazuka „ja chcę napisać wiersz o tramwajach”) i rzekę Wartę, a związku z tym i mosty nad Wartą, to są nie do uniknięcia ani zlekceważenia detale, wdzięczne do wykorzystania w lirycznych konstrukcjach. Ma też place, ulice, kawiarnie, cmentarze wielokrotnie nazwane i przywołane w wierszach. To bardzo piękne. Zielona Góra ma tylko winnice, co okazuje się nie dostarczać podniety niemal żadnej miejscowym poetom, a szkoda. Gdyby mierzyć tą miarą te dwa nasze lubuskie środowiska literackie, to niewątpliwie gorzowskie środowisko prezentuje się bardzo ciekawie, jako żywotne, a jego menadżerowie (Arsenał) sporo w tym kierunku robią. Tu nie chodzi o to, by tylko kochać swoje miasto, nie wyłącznie o to, można nawet mieć mu to i owo za złe, ale rzecz w tym, by było obecne. Wracając do Antologii Szmidta trzeba zauważyć, że właściwie, to zrobił on coś więcej, zredagował nie tyle książkę stricte o Gorzowie, jako o miejscu życia, o przedmiocie fascynacji literackich, tak jak to najczęściej się robi, ale poszedł nieco dalej. Zdecydował się na krok jakby nie patrzeć ryzykowny, choć z drugiej strony tę decyzję trzeba traktować jako ciekawą, ożywczą i raczej do obronienia. Włączył bowiem do antologii także wiersze o ludziach, właśnie, o legendarnym Morawskim, jako że przez kilka lat sporo wierszy o autorze *Strof o dzierzawie*, za sprawą

corocznego konkursu jego imienia, napisano, i materiału do wyboru było sporo, o Papszy mieszkającej sporo lat na ulicy Wodnej też wielu poetów napisało, o Irenie Dowgielewicz, o Andrzeju Gordonie, o rzeźbach Zofii Bilińskiej i innych postaciach, czyli o ludziach Gorzowa. Miasto w tej książce żyje, naprawdę jest na każdej karcie obecne. A czasem pojawiają się tu wiersze jako o Gorzowie tylko z powodu dedykacji, co świadczy o szerokim pojmowaniu tematu, może nawet za szerokim. Można jednak z całą pewnością powiedzieć, że Gorzów ma swój literacki obraz – obraz serca i duszy, pielgrzymki papieskiej i festynu z piwem, egzystencji, historii, materii codziennej, przyrody, krajobrazu, miejsc najbliższych, zaułków, domów, restauracji, przedmiotów i budowli. To wszystko za sprawą wielu poetów. Można powiedzieć: całego środowiska, bo kogóż tu nie ma. To przykład, iż jego kondycja jest całkiem satysfakcjonująca. Tę książkę – antologię *Wstuchani w kamienie Gorzowa* urozmaica także zabieg ikonograficzny, czyli ilustracje, różnorodne – wizerunki ludzi, dzieł sztuki i oczywiście samego miasta fotografie i rysunki. Pięknie się dopełniająca całość. Przyznać muszę, że ten zabieg korzystnie wpływa na proces czytania. Zrobił więc Ireneusz Krzysztof Szmidt dobrą rzecz. W kolejnym wydaniu, jeśli na takie przyjdzie pora, przydałaby się twarda oprawa i także precyzyjniejsza korekta literowa.

Czesław Sobkowiak



KRONIKA LUBUSKA

czerwiec – sierpień 2008

- 5 czerwca w Zielonej Górze odbył się Festiwal Piosenki Rosyjskiej, na którym usłyszeliśmy Aleksandrę Matusiak i Macieja Wróblewskiego. Koncerty zagrano w klubach Kotłownia i U Ojca oraz amfiteatrze.
- W sali dębowej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze 5 czerwca miała miejsce promocja książki *Józef Zych. Na przekór losowi*. Wziął w niej udział autor, Wojciech Szwadler oraz Marszałek Sejmu, Józef Zych.
- Studenci Instytutu Sztuk Pięknych UZ 7 czerwca zorganizowali wystawę fotografii, slajdów, plakatów i kolaży zatytułowaną: *Ja? – Tak! Berlin – Poczdam – Frankfurt/Słubice*. Pojawił się na niej wybitny projektant z Poczdamu Lex Drewniński.
- W ramach otwarcia Targów Gospodarczo-Turystycznych Regionu Kozła w sobotę 7 czerwca odbyły się imprezy kulturalne: otwarcie wystawy malarstwa nowego patrona, Międzynarodowy Przegląd Zespołów Śpiewaczych oraz Biesiada Rycerska.
- 7 czerwca świętowało także miasto Sulechów. Koncertowała Angela Weber, Majka Jeżowska, Amilia Zazu oraz Maciej Maleńczuk. Wystąpił również taneczny zespół Break Dance.
- W amfiteatrze w Gorzowie Wielkopolskim 7 czerwca wystawiono *Carmen* i *Wesołą wdówkę* w wykonaniu Opery Śląskiej.
- 7 czerwca na scenie na Bulwarze Gorzowskim wystąpili Anita Lipnicka i John Porter.
- Premiera *Trzy razy Piaf* w Teatrze Osterwa 7 czerwca. Spektakl wyreżyserował Artur Barciś. W role główne wcielił się m.in.: Karolina Miłkowska i Marzena Wieczorek. Przedstawienie odbyło się na scenie kameralnej.
- W niedzielę 8 czerwca w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii w Zaborze zorganizowano szósty festyn pt. *Bezpieczne wakacje w Unii Europejskiej*. Na profesjonalnej scenie wystąpiło blisko dwustu dzieci, uzdolnionych artystów z Zielonej Góry i okolic.
- 8 czerwca w Kargowej koncertowały zespoły: Kapela Rycha z Nowogrodu Bobrzańskiego, Leszcze oraz Fuks Band.
- Podczas Dni Gorzowa wystąpiła czeska grupa Ivan Mladek & Banjo Band (8 czerwca). Odbyło się także wielkie grillowanie z Maćkiem Kuroniem oraz zorganizowano spotkania z wikingami.
- Zielonogórskie Towarzystwo Śpiewacze – Cantores i Uniwersytet Zielonogórski 8 czerwca zorganizowały koncert „Mistrzowie niemieckiego baroku”. W kościele ewangelickim zaprezentował się zespół Cantores pod dyrekcją Jerzego Markiewicza.
- W klubie U Ojca 10 czerwca wystąpił pianista jazzowy Zdzisław Babiarski z zespołem.
- 12 czerwca w Galerii BWA otwarto wystawę malarstwa Anny Okrasko – *Te prace nigdy nie będą miały tytułu*. Tematem prac była kobieta-artystka.
- W Galerii PRO ARTE Okręgu Zielonogórskiego ZPAP 13 czerwca wystawiono grafiki Przemysława Tyszkiewicza.
- Otwarcie wystawy prezentującej Skarb z Giecza 13 czerwca zapoczątkowało obchody 30-lecia Muzeum Grodu Santok i Dni Santoka. W piątek odbył się wernisaż w muzeum.
- Filharmonia Zielonogórska zaprosiła nas 13 czerwca na Koncert Wiosenny, w którym wystąpił pianista Artur Jaroń. Usłyszeliśmy utwory takich mistrzów jak: Rossini, Mozart czy Schumann.
- W amfiteatrze w Zielonej Górze 13 czerwca wystąpił lubelski kabaret Ani Mru Mru, czyli Marcin Wójcik, Michał Wójcik i Waldemar Wikołek.
- Tego samego dnia rozpoczęły się Dni Techniki Kolejowej. Różne ciekawostki związane z koleją w Zielonej Górze można było oglądać na dworcach obu lubuskich stolic.
- 13 czerwca zainaugurowano 15. edycję Ogólnopolskiego Festiwalu Zespołów Tanecznych Dzieci i Młodzieży w Gorzowie Wlkp. Zespoły przemaszerowały z Kwadratu do Starego Rynku. Wieczorem miał miejsce koncert „Witamy w Gorzowie”.
- VIII Euroregionalne Targi Agroturystyki i Kultury odbyły się w Krośnie Odrzańskim 14 czerwca. Tuż obok, w amfiteatrze zorganizowano VIII Międzynarodowy Festiwal Kultury Współczesnej Wsi. Na scenie pojawiło się 13 zespołów oraz solista Henryk

- Janas z Międzyrzecza. Dodatkową atrakcją był II Rajd Weteranów Szosą Trasą Odry i Dębu.
- Od 18 czerwca w holu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze można było zwiedzać dwie wystawy z okazji promocji Miasta i Gminy Sulechów: *Sulechów dawny i współczesny* oraz *Miasto i Gmina Sulechów – prezentacja osiągnięć*.
 - 19 czerwca w Galerii w Starej Fabryce w Zielonej Górze, podczas wieczoru poetycko-muzycznego *Kartka z Żar* z cyklu *Zielonogórski Montmartre*, poezję Zygmunta Kowalczyka zaprezentowała Magda Massier.
 - Z inicjatywy Narodowego Banku Polskiego oraz Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze 19 czerwca 2008 r. odbył się w sali dębowej wieczór wspomnień poświęcony twórczości Zbigniewa Herberta, połączony z emisją monet kolekcjonerskich, upamiętniających poetę.
 - Tego samego dnia w Galerii Biura Wystaw Artystycznych wystawiono fotografię Ewy Jędrzejowskiej „Poziomy obecności”.
 - W Międzyrzeczu przedstawiono rekonstrukcję wydarzeń z 1474 roku. Zainscenizowano bitwę o zamek, w której uczestniczyło wiele bractw rycerskich z całej Polski (19 czerwca).
 - 20 czerwca w zielonogórskiej hali miał miejsce finał *Tańca z mediami* oraz otwarcie Palmiarni. Gościem specjalnym była Urszula Dudziak.
 - Fundacja Kombinat Kultury dokonała 20 czerwca odsłony bogatego programu na lato. VI Róża Jazz Festiwal otworzył koncert zespołu Robotobibok.
 - Na kąpielisku w Ochli 20 czerwca usłyszeliśmy maraton z DJ-ami. To kolejna impreza taneczna pod szyldem Green Hills. Wystąpiły niemieckie duety: Kyan & Albert, Stoneface & Terminal oraz Alchemist Project.
 - 21 czerwca w Nowej Soli po raz czwarty startowały Lubięcińskie Reggulacje Letnie – Reggulator. Na scenie festiwalowej wystąpiły zespoły: Jamal, Tumbao Riddim Band i Managga.
 - 21 czerwca w Gorzowie Wielkopolskim zorganizowano piknik sobótkowy pod patronatem Grodzkiego Domu Kultury.
 - W Kamieniu Wielkim (21 czerwca) odbył się tradycyjny festyn świętojański. Organizatorem imprezy był Dom Pomocy Społecznej.
 - Na jamajskie rytmy w Żaganiu zapraszała Korba Studio do Baru Za Torami. Z muzyką reggae wystąpili Full Spontan Positive i Surrealista (21 czerwca).
 - W kościele pw. św. Maksymiliana Kolbego 21 czerwca odbył się koncert Poznańskiej Orkiestry Kameralnej Amadeus prowadzonej przez Agnieszkę Duczmal. Wystąpiła także Agata Mróz i Krzysztof Meisinger.
 - 27 czerwca w Gorzowie Wlkp. na koncercie charytatywnym w amfiteatrze gościł zespół Czerwone Gitary. Dochód z biletów przekazano na rehabilitację chorej Marty Piekarz.
 - W Gorzowskim teatrze 27 czerwca ruszyła kampania *Spektaklu co weekend*. Jako pierwsza na deskach teatru została wystawiona sztuka *Bajki Samograjki*, rozpoczynając tym samym *Scenę Letnią*.
 - Tego samego dnia odbył się koncert Orkiestry Symfonicznej FZ z Czesławem Grabowskim, dyrektorem naczelnym i artystycznym Filharmonii Zielonogórskiej.
 - Kolejny koncert 27 czerwca, tym razem na scenie Ogrodów – VI Róża Jazz Festiwal. 16 studentów jazzu i muzyki estradowej UZ zagrało utwory Jamiroquai.
 - Dalszy ciąg Festiwalu Rockowego: Rock Nocą. Wystąpili: Guerilla, HMON, Izmail, King Nothing i Patefon. Gościem specjalnym był Irek Wereński – basista Kultu. Po przerwie zaprezentował się zespół Laoche (27 czerwca).
 - 28 czerwca odbyły się w Zielonej Górze słuchowiska Ireneusza Iredyńskiego, po raz pierwszy na deskach Lubuskiego Teatru. Na wieczornej gali Leonów przyznano nagrody dla najpopularniejszych aktorów teatru.
 - 29 czerwca w Pieskach odbyły się VI Muzyczne Spotkania z Folklorem. Zaprezentowało się 19 lubuskich i wielkopolskich zespołów folklorystycznych.
 - Tego samego dnia w Teatrze Lubuskim odbyła się akcja charytatywna z cyklu „Warto jest pomagać” na rzecz Hani Wesołowskiej. Program imprezy przewidywał m.in. koncert zespołu Street of Sound.
 - 3 lipca otwarto IV Festiwal Kina Niezależnego – Filmowa Góra.
 - 4 lipca aktorzy Teatru z Zielonej Góry zagrali *Powrót smoka, czyli ogród ostatniej zieleni*.
 - Kolejny koncert Róż Jazz Festiwal odbył się 4 lipca. Wystąpiła węgierska formacja Little Jazz Band.

- W Galerii Biura Wystaw Artystycznych zaprezentowano prace z Katedry Sztuki i Kultury Plastycznej Uniwersytetu Zielonogórskiego (4lipca).
- Dwa spektakle letniego przeglądu off w Lubuskim Teatrze (4 lipca). Wystąpił Teatr Rondo ze Słupska z *Sataną* i *Das Kuchendrama*.
- 4 lipca po raz 20. w amfiteatrze zatańczyli Cyganie z całej Europy. Obchodzono jubileusz Międzynarodowych Spotkań Zespołów Cygańskich Romane Dyvesa. Zaprezentowały się zespoły: Romano Drom, Gitanes oraz polska grupa Romanca.
- 4 lipca rozpoczął się XVI Ogólnopolski Festiwal Grup Śpiewaczych – *Ziemia i Pieśń* organizowany przez Regionalne Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze i Szprotawski Dom Kultury.
- Zielonogórski Klub Fantastyki Ad Astra zorganizował Piknik z Fantastyką (5 lipca).
- 5 lipca w kinie Wenus w ramach Akademii Twórczych Poszukiwań zaprezentowano prace fotograficzne absolwentów Lubuskiej Szkoły Fotografii. Prace powstały w pracowniach Marka Sarnowskiego, Pawła Siarkiewicza oraz Anny Dрупki.
- W Zbąszyniu 6 lipca rozpoczęły się VIII Międzynarodowe Spotkania Artystyczne Experiment 2008. Odbył się koncert organowy w wykonaniu szkoły muzycznej oraz koncert Jerzego Gburka.
- 10 lipca Muzeum Ziemi Lubuskiej przygotowało Festiwal Mozart Plus. To kolejny weekend Lata Muz Wszelakich. Zagrano koncert *Mozart plus Grieg*.
- Tego samego dnia zaprezentowano prace medialne z archiwum Centrum Sztuki WRO na Festiwalu Video i Performance – *Pokazywać naprawdę*.
- Europejskie Ogrody Sztuki – Filmowa Góra od 10 lipca wyświetlały: *7 diamentów kina*. Jako pierwszy zaprezentowano film *Struktura kryształu* K. Zanussiego.
- Lubelski Teatr – Salon Artystyczny wystawił cykl kabaretowy *Po kolacji – na żarty*. Zaprezentowały się kabarety: Forma i Ciach (10 lipca).
- Początek Warsztatów i Festiwalu Muzyki Gospel 10 lipca w Małomicach. Gwiazdami imprezy był zespół Feel i Tercet Egzotychny.
- Lubuski Teatr 11 lipca zainaugurował cykl spektakli pt. *Bajki – Bajdy – Banialuki*.
- Klubowa impreza w Piekarni Cichej Kobiety odbyła się 11 lipca pod hasłem *Bluesowe Noce*. Wystąpił zespół Damaga Control – nowoczesny kwartet łączący muzykę jazzową z fusion.
- Tego samego dnia rozpoczął się III Letni Festiwal Off Teatr w sali kameralnej Lubuskiego Teatru Zza Boru, czyli mieszkańców gminy Zabór oraz *Dolne partie – musical intymny* Teatru Zakład Krawiecki we Wrocławiu.
- 11 lipca Europejskie Ogrody Sztuki Przygotowały VI Różę Jazz Festiwal: CNQ – Contemporary Noise Quintet.
- Początek kolejnej odsłony teatralnego weekendu w Gorzowie Wlkp. 11 lipca. Na Scenie Letniej odbył się koncert jazzowy oraz dwa spektakle z piosenkami: *Przyjaciele Pinokio* oraz *Zimny drań*.
- Edyta Górniak i zespół Feel wystąpili 12 lipca w Ślubicach podczas Święta Odry. Na scenie pojawili się gościnnie Łukasz Zagrobelny i zespół Carpe Diem.
- Galeria Sztuki Najnowszej w Miejskim Ośrodku Sztuki w Gorzowie wystawiła prace Czecha Jiriego Siguta (12 lipca).
- 12 lipca na Europejskich Ogrodach Sztuki – IV Letnich Spotkaniach Biesiadnych *Okna wyobraźni*, zorganizowano biesiadę bałkańską *W bałkańskim kotle*.
- Podwórko Lubuskiego Teatru – *Wakacyjne wibracje: Wieczór kabaretowy z wyrazem*. Wystąpiły kabarety To Za Duże Słowo i Hlynur (12 lipca).
- 17 lipca ruszyła czterodniowa impreza turystyczna nad malowniczą rzeką Drawą – Dni Głuska i zlot Rodzin Turystycznych.
- Całodniowy cykl spektakli odbył się w Teatrze Lubuskim 18 lipca. Wystawiono sztuki: *Tygrysiek Pietrek* oraz *ławeczka*. Zaprezentowano także autorski projekt Katarzyny Pawłowskiej: OUN – Porywanie Ciał.
- Koncert zespołu Bajm w Gorzowie Wielkopolskim 18 lipca. Odbył się na stadionie żużlowym, zaś gościem specjalnym był zespół Kashmir z Katarzyną Pietras.
- Teatr Osterwy w Gorzowie przygotował kolejną odsłonę sceny letniej. Aktorzy Teatru Wielkiego z Będzina zagrali: *Magiczną trupę Robinsona Bluesa, Aj waj! czyli historie z cynamonem* oraz *Polenmarkt* (18-20 lipca).
- 19 lipca Klub MCK Magnat przygotował Reggae After Party. Wystąpili Rymcerze. Pionierzy E-Hopu.
- XI Noc Nenufarów odbyła się 19 lipca w Lubrzy. Zorganizowano festyn nad jeziorem Goszcza oraz zaproszono Macieja Maleńczuka z zespołem.
- 24 lipca w Muzeum Ziemi Lubuskiej koncertowali artyści zaproszeni przez Fundację Lubuska Came-

- rata, początkujący Międzynarodowy Festiwal *Mozart Plus*.
- W tym dniu rozpoczął się także IV Międzynarodowy Festiwal Muzyczny Serenada nad Wartą. Na otwarcie – *Stabat Mater* Giovanniego Battisty Pergolesiego w wykonaniu Iwony Kowalkowskiej i Anny Karin Lindgren.
 - 24 lipca w cyklu „Diamenty kina” w ramach Festiwalu Filmowa Góra zaprezentowano film *Stan posiadania*.
 - 25 lipca w Jazz Club Pod Filarami odbył się koncert zespołu Aramis Sum.
 - 25 lipca w Zielonej Górze podczas Biesiady Rosyjskiej *Moskwa Wieczorem* swoje ballady i romanse zagrał Maciej Wróblewski.
 - Tego samego dnia na Różach Jazz Festiwal jazzową dyskusję podjęli trębacz Eddie Henderson oraz wizjoner gatunku Leszek Kułakowski.
 - Największe polskie gwiazdy reggae wystąpiły na festiwalu w amfiteatrze w Gorzowie Wlkp. Koncertowały: Kultura de Natura, Maleo Reggae Rockers, Managa i inni (25-27 lipca).
 - 26 lipca w Gorzowie podczas ostatniego wakacyjnego teatralnego weekendu aktorzy poznańskiego Dobrego Teatru zagrali *O księżniczce i bardzo grzecznym rycerzu*.
 - W Żaganii Korba Studio zorganizowało kolejną edycję Magabibuni 26 lipca. Zagrały sound systemy: Surrealisa, Nohands i Włóczęga Wśród Gwiazd.
 - 27 lipca na scenie kameralnej Teatru Lubuskiego odbył się w ramach II Letniego Festiwalu Off Teatr spektakl *Zabawy pod kocym*.
 - 31 lipca w Kościele pw. Najświętszego Zbawiciela odbył się ostatni koncert III Międzynarodowego Festiwalu *Mozart Plus*. Koncert zorganizowała Fundacja Lubuska Camerata. Z recitale organowym wystąpiła francuska organistka Catherine Todorowski.
 - W ramach IV Festiwalu Kina Niezależnego – Filmowa Góra: 7 Diamentów Kina – diament IV: *Dotknięcie ręki* K. Zanussiego rozpoczęło kolejny filmowo-muzyczny weekend w ogródku Fundacji Kombinat Kultury (31 lipca).
 - 31 lipca rozpoczął się Festiwal Woodstock z gamą koncertów rockowych.
 - Norwidowski spektakl Witka Łukaszewskiego odbył się 31 lipca na Podwórzu Galerii U Jadźki. Swój projekt artysta nazwał *Norwid – Flamenco & Rock*. Było to widowisko z tekstami C. K. Norwida, muzyką flamenco, rockiem i z baletem.
 - 1 sierpnia sala kameralna Lubuskiego Teatru – Festiwal Off zaprezentowała gorzowski Teatr Kreatury. Zagrano: *A dzieci nie chcą mieć i Betanki*.
 - Tego samego dnia odbył się koncert laureata nagrody publiczności Festiwalu Piosenki Rosyjskiej w Zielonej Górze – Ilja Bołdakowa i zespołu Akustic & Project.
 - W Piekarni Cichej Kobiety podczas Bluesowej Nocy wystąpił 1 sierpnia Avshalom Farjun – wirtuoz quantum.
 - 2 sierpnia w amfiteatrze w Zielonej Górze na Gali Operetkowej odbył się koncert Operetki Wrocławskiej. Bohaterką wieczoru była Monika Gruszczyńska.
 - 3 sierpnia w kościele ewangelickim zorganizowano koncert organowy w wykonaniu Lundgera Mai.
 - 7 sierpnia w galerii BWA odbył się Festiwal Video i Performance „Pokazywać naprawdę”. Zaprezentowano prace medialne z archiwum Centrum Sztuki WRO.
 - Studio Teatralne *Guliwer z Zielonej Góry* 8 sierpnia w amfiteatrze wystawiło sztukę *Powrót smoka, czyli ogród ostatniej zieleni*.
 - 8 sierpnia w galerii U Jadźki zorganizowano konkurs kisenia ogórków. Wystąpił także zespół Roztoki.
 - Tego samego dnia w Piekarni Cichej Kobiety odbyła się Bluesowa Noc. Koncertowali: Tomi Blues Kapela & Karolina Cyganek.
 - W Gorzowie Wlkp. 8 sierpnia w kościele przy ulicy Niemcewicza wystąpił chór Sine Nomine z Lublina oraz Preambulum – organizator spotkania.
 - W Dębinie ruszyła XII Triada Teatralna. Tegoroczna edycja miała przydomek „magiczna”. Gwiazdą imprezy był Emilian Kamiński oraz artyści ze Szczecina, Krakowa i Gorzowa (8 sierpnia).
 - 9 sierpnia na scenie przy ratuszu w Zielonej Górze podczas biesiady latynoskiej „Karnawał w Rio” zaprezentowały się dziewczęta z zielonogórskich szkół tańca.
 - W amfiteatrze zielonogórskim wystąpił wokalista Marcin Rozynek (9 sierpnia).
 - 10 sierpnia w kościele ewangelickim podczas *Wieczorów u Luteranów* odbył się koncert kameralny – kwartetu Viol da Gamby, który wykonuje muzykę XVI-XVIII wieku.
 - Seans Festiwalu Quest Europe miał miejsce 10 sierpnia w Zielonej Górze. W ogródku Straszego Dworu wyświetlono filmy dokumen-

talne: *Przetamując ciszę, Śladami Olendrów i Pustki – próba sił.*

- Tego samego dnia w amfiteatrze w parku Siemiradzkiego w Gorzowie Wlkp. wystąpił zespół Śląsk. Zaprezentował on folklor polski, grecki i saksoński.
- 10 sierpnia w Bogdańcu zaczęło się Lubuskie Święto Chleba Bogdaniec 2008. Za scenariusz i reżyserię odpowiadał Gerard Nowak.
- 4 sierpnia galeria BWA podczas Festiwalu Video i Performance *Pokazywać naprawdę* gościła Zbigniewa Warpechowskiego. Jest on pionierem sztuki performance, dla której charakterystyczna jest procesualność, jednorazowość i osobisty udział performerów w strukturze dzieła.
- W salonie artystycznym *Stańczyk* Lubuskiego Teatru odbył się 14 sierpnia wieczór Kabaretowy *Pokolacji – na żarty.*
- Kabaret Adin wystąpił podczas wieczoru kabaretowego w Lubuskim Teatrze (14 sierpnia).
- 15 sierpnia na stadionie żużlowym z Gorzowie zabrzmiała *Habitat*, czyli pierwsza część *Oratorium dla świata* Piotra Rubika. Teksty napisał znany i ceniony poeta Roman Kołakowski.
- W Żaganiu 16 sierpnia rozpoczęły się uroczystości związane z otwarciem repliki baraku 104, z którego w 1944 roku rozpoczęła się słynna Wielka Uciezka.
- W amfiteatrze w Zielonej Górze odbył się koncert zespołu Breakont (16 sierpnia). Gwiazdy lat 70. zagrały rockową muzykę.
- W Paradyżu ruszył cykl koncertów „Muzyka w Raju”. Wśród zaproszonych solistów znaleźli się m.in. Andreas Arend i Uri Smilanski (16-24 sierpnia).
- 17 sierpnia w ogródku Straszego Dworu, przy BWA odbył się kolejny pokaz filmów na Międzynarodowym Festiwalu Kina Autorskiego Quest Europe. Gościem spotkania był Grzegorz Halama.
- Na scenie przy ratuszu na VI Letnie Spotkania Biesiadne Okna zaproszono zespół Nagielbank. Zespół był głównym gościem Biesiady Żeglarskiej (17 sierpnia).
- 21 sierpnia w Kościele Wyższego Seminarium Duchownego w Paradyżu odbyła się uczta dla melomanów Festiwalu *Muzyka w Raju*. Utwory Bacha, Telemanna i Vivaldiego wykonywali m.in.: Maria Sanner, Emanuel Balssa i Alexis Kossneko.
- Tego samego dnia na Festiwalu Video i Performance KALeKa, czyli Roman Bromboszcz i Tomasz Misiak zaprezentowali *AduKCJĘ* – sztukę światła i dźwięków.
- 22 sierpnia na Różach Jazz Festiwal wystąpił zespół New York Ska-Jazz Ensemble. Grają oni mieszankę dance hall, reggae, rock steady i jazzowy swing.
- 23 sierpnia na Oknach Wyobraźni podczas IV Europejskich Ogrodów Sztuki – Irlandzkiej Biesiady Rycerskiej wystąpiła grupa tańca irlandzkiego, a walczyło Bractwo Rycerskie z Zielonej Góry.
- Jarmark cysterski w Bledzewie odbył się 23 sierpnia. Wystąpili lokalni artyści, m.in. zespoły: Bledzewiaczy, Pod kasztanem. Gwiazdą wieczoru był Zbigniew Wodecki.
- Muzeum Etnograficzne – Skansen w Ochli przygotowało festyn *U progu jesieni: żniwowanie, wykopki* (24 sierpnia).
- W sali dębowej Biblioteki Wojewódzkiej 27 sierpnia odbył się koncert fortepianowy wenezuelskiego artysty Sadao Muraki.
- Biuro Wystaw Artystycznych – Festiwal i Performance *Pokazywać naprawdę* gościło 28 sierpnia Antoniego Karwowskiego – absolwenta Uniwersytetu im. M. Kopernika w Toruniu.
- Otwarcie wystawy plenerowej na deptaku: *We Are From Europe* odbyło się 28 sierpnia. Przygotowana została z okazji Europejskiego Roku Dialogu Międzykulturowego. Gościem był patron wydawnictwa – Marek Siwiec.
- W tym też dniu odbył się finał IV Festiwalu Kina Niezależnego *Filmowa Góra*. Zorganizowano pokaz nagrodzonych tytułów oraz koncert muzyki filmowej.
- 29 sierpnia rozpoczął się czterodniowy Ogólnopolski Konwent Miłośników Fantastyki – Polcon 2008. Wśród gości był Wojciech Siudmak, który stworzył w muzeum wystawę *Podróż po Diunie*, składającą się z kilkadziesiątu rysunków.
- W Gorzowie z okazji Święta Województwa 30 sierpnia w amfiteatrze wystąpił zespół Raz Dwa Trzy oraz Maciej Maleńczuk z zespołem.
- 30 sierpnia w Międzyrzeczu na boisku przy Sali sportowej odbył się koncert Budki Suflera.
- *Pożegnanie lata z Anną* – Amfiteatr w Zielonej Górze zorganizował recital Magdaleny Kucharskiej, laureatki nagrody im. Anny German Festiwalu Piosenki Rosyjskiej Zielona Góra 2008 (30 sierpnia).
- W Gorzowie odbyły się dwie premiery muzyki klasycznej. W katedrze zabrzmiały: *Jubilate Deo* i *Msza Pastoralna G-dur* Mozarta (30-31 sierpnia).

- Finał Międzynarodowego Festiwalu Kina Autorskiego – Quest Europe miał miejsce 30-31 sierpnia w Zielonej Górze w kinie Nawa. Między seansami pojawili się Tomasz Marciniak, Kamil Piróg i Grzegorz Halama.
- 30 sierpnia na stadionie w Gorzowie Wlkp. wystąpiła amerykańska gwiazda – 50 Cent.
- Na błoniach w amfiteatrze 31 sierpnia odbył się festyn *Pożegnanie wakacji*. Koncertował zespół The Positive.
- 31 sierpnia w galerii sztuki „M” Marii Idzikowskiej – Zielonogórski Montmartre: pejzaż polski w sztuce. Odbył się także koncert Karoliny Szum.

- Narcyz Bartoszewski-Wnukowski, *Opowiadania*, Wydawnictwo „Dekorgraf”, Żagań 2008, 128 s.
- Jolanta Baworowska, *Ballada o kluczach i inne wiersze*, Żarskie Towarzystwo Kultury, Żary 2004, 64 s.
- Halina Bohuta-Stapel, *W tonacjach dur i moll czyli fraszki, limeryki i liryki*, Wydawnictwo „Organon”, Zielona Góra 2008, 72 s.
- Bory Lubuskie. Leśny Kompleks Promocyjny*, pod red. Leszka Jerzaka i Grzegorza Gabrysia, Nadleśnictwo Lubsko, Lubsko 2007, 219 s.
- Maciej Boryna, *Małomice na rubieży Borów Dolnośląskich*, „Chroma” Drukarnia Krzysztof Raczkowski, Żary 2008, 92 s.
- Henryk Chmielewski, *Blaski i cienie*, Wydawnictwo MAJUS, Zielona Góra 2008, 109 s.
- Elżbieta Dybalska, *Ślady miłości*, Wydawnictwo „Organon”, Zielona Góra 2008, 24 s.
- Zbigniew Kopociński, Krzysztof Kopociński, *Kopocińscy. Szkic do portretu rodziny*, „Chroma” Drukarnia Krzysztof Raczkowski, Żary 2008, 180 s.
- Międzyrzecz: krótki spacer po mieście i okolicach*, Urząd Miejski, Międzyrzecz 2007, 12 s.
- Moja mała ojczyzna. Współczesne legendy o Zielonej Górze*, zbiór i oprac. Urszula Pietrulewicz i Elżbieta Faber, Szkoła Podstawowa nr 14 im. Adama Mickiewicza w Zielonej Górze, Zielona Góra 2008, 97 s.
- Katarzyna Styś, *Olimpijczyk z Żar. Tadeusz Ślusarski (1950–1998)*, Wydawnictwo „Monogram”, Żary 2008, 64 s.
- Jerzy Szewczyk, *Między chmurą a kałużą*, Wydawnictwo „Organon”, Zielona Góra 2008, 32 s.
- Adam Szymański, *Błądząc w przestworzach*, Wydawnictwo „Bon Livre”, Zielona Góra 2008, 26 s.
- To już piętnaście lat... Ogólnopolski Festiwal Zespołów Tanecznych Dzieci i Młodzieży Szkolnej: Gorzów 1994-2008*, wybór i oprac. Jadwiga Kowaleczko, Wojewódzki Ośrodek Metodyczny, Gorzów Wlkp. 2008, 127 s.

Krzysztof Dobrucki

Ur. w 1986 r. Mieszka i studiuje w Zielonej Górze.

ks. dr Andrzej Draguła

Zastępca dyrektora Instytutu Teologiczno-Filozoficznego im. Edyty Stein w Zielonej Górze.

Agnieszka Haupe

Ur. w 1970 r., poetka zielonogórska, autorka wierszy i bajek dla dzieci. Obecnie mieszka i pracuje w Irlandii.

Wacław Klejmont

Autor fraszek i aforyzmów, bibliotekarz, nauczyciel, dziennikarz. Mieszka i pracuje w Olecku.

Rita König

Poetka, prozatorka. Mieszka i pracuje we Frankfurcie n. Odrą.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Kierownik Centrum Kultury i Języka Niemieckiego UZ, animator polsko-niemieckich przedsięwzięć kulturalnych; tłumacz.

Sławomir Kufel

Ur. w 1965 r. w Międzyrzeczu, historyk i teoretyk literatury, profesor UZ.

Władysław Łazuka

Ur. w 1946 r. poeta, prozaik, laureat nagród i wyróżnień literackich. Często publikuje w prasie, a także na antenie PR. Autor zbiorów wierszy. Mieszka w Choszcznie.

Maciej Makarewicz

Ur. w 1984 r., absolwent Instytutu Filozofii UZ, współtwórca Koła Naukowego Studentów Filozofii UZ. W r. 2007 realizował projekt badawczy z dziedziny pragmatyki filozoficznej w Università degli Studi di Milano.

Tadeusz Marcinkowski

Ur. w 1932 r. w Łucku. Od półwiecza kolekcjonuje pamiątki dotyczące Wołynia. Z zawodu ekonomista. Na przełomie lat 50. i 60. członek klubu filmowego w Zielonej Górze.

Czesław Markiewicz

Ur. w 1954 r. w Zielonej Górze; poeta, prozaik, krytyk literacki, eseista, dziennikarz „Radia Zachód” w Zielonej Górze.

Ewa Mielczarek

Ur. w 1961 r. Starszy kustosz w WiMBP w Zielonej Górze. Prowadzi Oficynę Wydawniczą „Pro Libris”.

Wojciech Mielczarek

Ur. w 1959 r., absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego.

Zbigniew Mich

Reżyser i aktor. Autor inscenizacji (m.in.: w Krakowie, Łodzi, Warszawie, Kolonii, Zurychu) oraz realizacji telewizyjnych dla TVP. Nauczyciel aktorstwa. Publikuje w „Dialogu”, „Twórczości”, „Teatrze”, „Tyglu Kultury”, „Scenie”, „Foyer”, „Gazecie Wyborczej”.

Alfred Siatecki

Ur. w 1947 r., rodowity Lubuszanin; autor powieści, zbiorów opowiadań i reportaży, słuchowisk oraz bio-bibliografii pisarzy Środkowego Nadodrza. Laureat prestiżowych nagród literackich. Pracuje jako dziennikarz w „Gazecie Lubuskiej”.

Ewa Maria Slaska

Polska pisarka, dziennikarka i organizatorka projektów. Mieszka od 23 lat w Berlinie. Jedna z inicjatorek Polsko-Niemieckiego Towarzystwa Literackiego (WIR), obecnie jego przewodniczącą. WIR wydaje (nieregularnie) polsko-niemiecką edycję literacką o tej samej nazwie. Organizuje też warsztaty, imprezy i projekty z zakresu pol.-niem. zagadnień kulturalnych, w tym również wystawy, wieczory autorskie i projekty w, i wraz z Galerią ZERO. Od 2003 r. Galeria ZERO jest siedzibą Towarzystwa.

Czesław Sobkowiak

Ur. w 1950 r., poeta, krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich.

Jerzy Szewczyk

Długoletni szef lubuskiej inspekcji pracy; miłośnik kultury śródziemnomorskiej, autor publikacji prasowych poświęconych Hiszpanii, Andorze i Malcie; prezes ZG Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej; działacz TKKF i NOT; podróżnik, fotograf.

Anna Wakulik

ur. 1988r. w Gdańsku. Obecnie studentka kulturoznawstwa na UW. Od 4 lat pracuje w Teatrze Atelier im. A. Osieckiej w Sopocie. Laureatka nagród i wyróżnień literackich.

Mieczysław Warszawski

Ur. w 1950 r. w Laskach Odrzańskich k. Zielonej Góry, poeta, prozaik. Laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w 1995 r.

Rafał Werszler

Ur. we Wrocławiu w 1968 r. Mgr sztuki, artysta plastyk, absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, obecnie studiuje w ASP. Członek Związku Polskich Artystów Plastyków, udziela się aktywnie w Duszpasterstwie Środowisk Twórczych we Wrocławiu. Kierownik Działu Poligrafii w Dolnośląskiej Bibliotece Publicznej. Laureat prestiżowych nagród i wyróżnień.

Jacek Wesołowski

Artysta i teoretyk nowej sztuki, literaturoznawca, doktor nauk humanistycznych. Mieszka w Berlinie i Białowicach w Lubuskiem.

Marek Wittbrot (pseud. Mateusz Bremer)

Książd palotyn, dziennikarz, redaktor, fotografik. Autor tekstów poświęconych literaturze i sztuce współczesnej. W latach 1991-1999. był redaktorem miesięcznika „Nasza Rodzina” wydawanego w Paryżu. Obecnie redaktor naczelny czasopisma internetowego „Recogito”. Publikuje m.in. w: „Czasie Kultury”, „Gazecie Wyborczej”, „Nowych Książkach”, „Tyglu Kultury”, „Zeszytach Literackich”, „Twórczości”. Od 1990 r. przebywa we Francji.

Konrad Wojtyła

Ur. 1972 w Zielonej Górze; poeta, dziennikarz, krytyk literacki, doktorant na Uniwersytecie Szczecińskim. Mieszka w Szczecinie. Dziennikarz Polskiego Radia Szczecin. Zastępca redaktora naczelnego kwartalnika literacko-filozoficznego [fo:pa]. Wydał trzy tomy wierszy; publikuje w czasopismach literackich i społecznych.

Donata Wolska

Ukończyła WSP w Zielonej Górze; pracuje w Bibliotece Głównej UZ, tłumaczy z angielskiego i greckiego. Mieszka w Zielonej Górze.

Grażyna Zwolińska

Dziennikarka. 25 lat pracowała w prasie wrocławskiej. Od 1994 r. związała się z „Gazetą Lubuską”. Specjalizuje się w szeroko pojętej tematyce społecznej. Pisuje m.in. reportaże.

KSIĄŻKI OFICyny WYDAWNICZEJ
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. C. NORWIDA W ZIELONEJ GÓRZE



